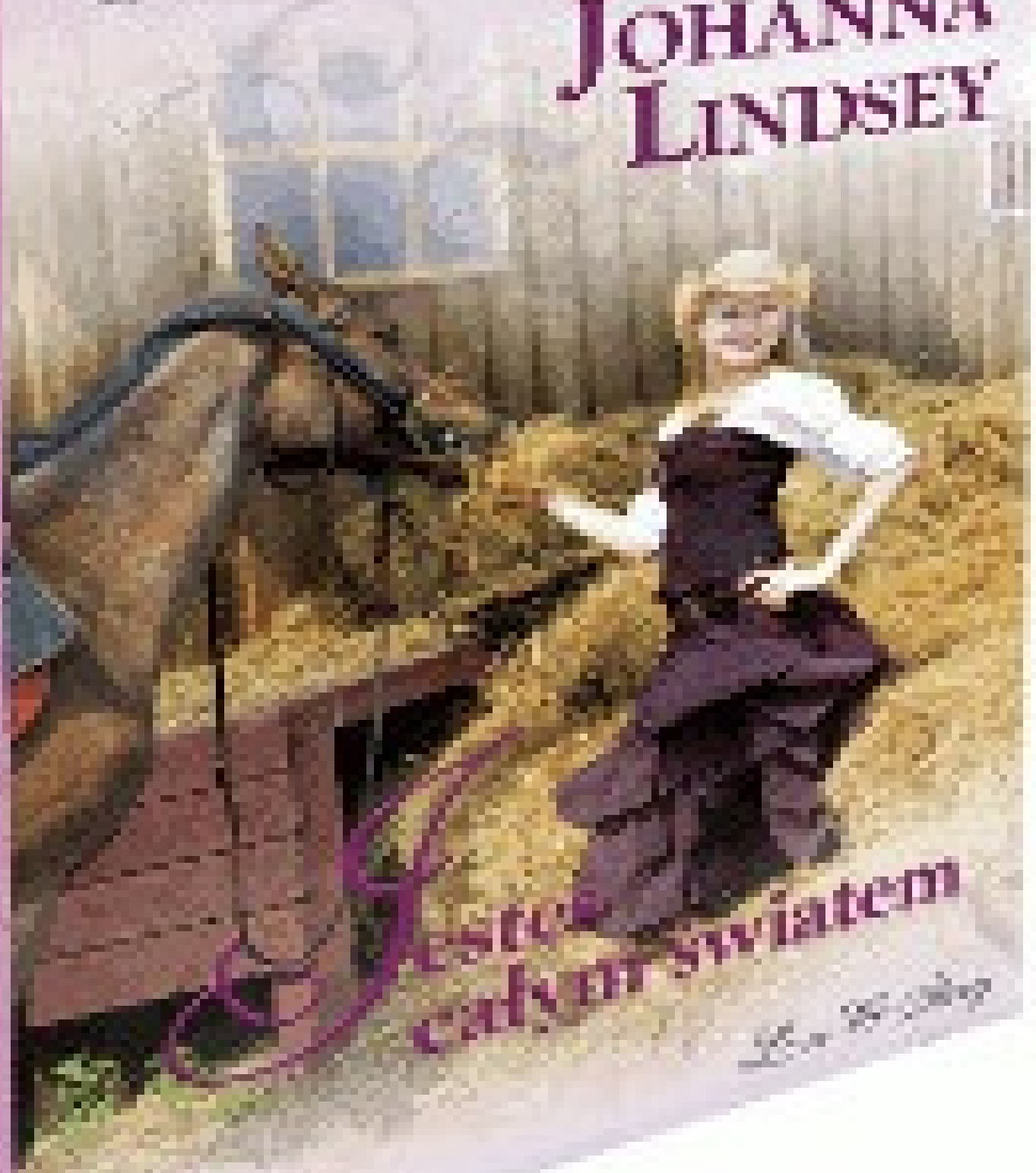


Anna Lindsey

**JOHANNA
LINDSEY**



*Estu
calvin swiatem*

2000

JOHANNA LINDSEY

2000

Lindsey Johanna

Jesteś całym

światem

Tytuł oryginału ALL I NEED IS YOU

Z angielskiego przełożyła Bożena Krzyżanowska

Dla A. J..

dumy ojca. radości matki

i ogromnego szczęścia dziadków.

Witaj w rodzinie, brzdącu.

Rozdział 1

Teksas 1892

- Gównu mnie obchodzi, że jesteś współwłaścicielką tego rancza. I tak nie będziesz go prowadzić!

- To nie w porządku i dobrze o tym wiesz. Gdyby Tyler był w domu, pozwoliłbyś mu się zająć ranczem.

Tyler jest już dorosłym mężczyzną. Ty masz zaledwie siedemnaście lat, Casey.

- Nie wierzę własnym uszom. Uważasz go za dorosłego, choć jest starszy ode mnie zaledwie o rok. Zapominasz, że dziewczęta w moim wieku bywają mężatkami i mają po troje dzieci.

Ale to dla ciebie za mało, prawda? A może po prostu chodzi ci o to, że jestem kobietą? Lecz jeśli powiesz „tak”, słowo daję, że nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

- Z niecierpliwością czekam na tę chwilę.

W rzeczywistości żadne z nich tak nie myślało, ale ktoś obcy by na to nie wpadł. Courtney Straton obserwowała, jak mąż i ich jedyna córka patrzą na siebie wilkiem. W pewnym momencie głośno westchnęła, mając nadzieję, że dzięki temu zwrócą na nią uwagę. Bez skutku. Sprzeczka, która zaczęła się od wymiany ostrych słów, stawała się coraz głośniejsza, a kiedy Chandos i Casey się kłócili, zawodziły wszelkie subtelne próby uciszenia ich.

Courtney szczerze wątpiła, czy którekolwiek z nich pamięta o jej obecności. To była właściwie stara sprawa, jednakże nigdy wcześniej nie doszło do tak ostrej wymiany zdań. W

ubiegłym roku zmarł Fletcher Straton. Od tego czasu los rancza Bar M był wielką niewiadomą. Całe

gospodarstwo

powinno przypaść w udziale Chandosowi. Jednak Fletcher dobrze znał swojego syna, zastrzegł więc w testamencie, że jeśli Chandos odmówi przyjęcia spadku, ranczo przejdzie na trójkę jego dzieci. Tak też się stało.

Chandos nie potrzebował tego gospodarstwa. Sam nieźle sobie radził. Od początku chciał

udowodnić ojcu, że potrafi mu dorównać, i to mu się udało. Może miał nieco mniej ziemi, jednak nie ustępował Fletcherowi pod względem liczby bydła, a jego dom był niemal dwa razy większy od domu ojca i bardziej przypominał rezydencję.

Gdyby połączyło się rancza Bar M i K.C.. powstałaby jedna z największych posiadłości w Teksasie. Ponieważ stanowiły własność ojca i syna, większość ludzi od dawna uważała je za całość. Jedyne ojciec i syn myśleli, że jest inaczej, a od niedawna tylko Chandos traktował je jak dwie oddzielne części.

Choć nie zgadzał się na połączenie obu gospodarstw, nie miał zamiaru pozwolić córce na prowadzenie drugiego z nich. Był człowiekiem łatwo wpadającym w złość, a Casey uparcie broniła swojego stanowiska, poważnie podchodząc do sprawy.

Ojciec i córka mieli bardzo podobne charaktery. W przeciwieństwie do swoich dwóch jasnowłosych braci, osiemnastoletniego Tylera i zaledwie czternastoletniego Dillona, Casey odziedziczyła po Chandosie usposobienie i wygląd. To ojcu zawdzięczała czarne jak smoła włosy, a także słuszny jak na swą płeć wzrost - dzięki swoim stu siedemdziesięciu trzem centymetrom była chyba najwyższą dziewczyną w okolicy.

Po matce Casey miała jedynie niezwykle oczy, które przypominały lekko lśniące bursztyny.

Podkreślała, że jest kobietą, i naprawdę nią była. W tej części kraju dziewczęta bardzo wcześnie wychodziły za mąż, Casey jednak wcale nie spieszyło się do małżeństwa. Była wysoka, gibka i szczupła jak ojciec, nie mogła tylko poszczycić się jego umięśnieniem.

Gdyby chociaż na chwilę przestała się wiercić, można by dojść do wniosku, że jest bardzo ładna. Rzecz w tym, że Casey obcy był spokój. Zawsze była w ruchu - chodziła tam i z powrotem, gestykulowała lub spacerowała wydłużonym, męskim krokiem.

Jeśli jednak komuś udało się uchwycić ją w chwili bezruchu, musiał zauważyć jej ogromne oczy. gładką, delikatną, lekko opaloną skórę i nieco zadarty nosek. Miała trochę za gęste brwi i identyczny jak u ojca, zbyt wydatny podbródek, ale dzięki pięknie zarysowanym kościom policzkowym właściwie w ogóle nie dostrzegało się tych drobnych usterek. Casey odziedziczyła jednak po Chandosie pewną niepokojącą cechę - jeśli tylko chciała, potrafiła ukryć swoje emocje tak, że nikt by nie odgadł, o czym dziewczyna myśli lub co czuje.

Tym razem było jednak zupełnie inaczej. Casey posiadała jeszcze inną umiejętność Chandosa -

opracowywanie strategii. Gdy jedna taktyka zawodziła, dziewczyna zazwyczaj stosowała następną.

Nic nie wskórała krzykiem, przemówiła więc nieco łagodniejszym tonem.

- Ktoś musi zatroszczyć się o Bar M

- Przypiętowany Ząb dobrze sobie radzi.

- Przypiętowany Ząb ma sześćdziesiąt siedem lat. Jakiś czas temu przestał pracować i żył

sobie spokojnie na swoim maleńkim skrawku ziemi. Po śmierci dziadka zgodził się prowadzić ranczo, póki nie znajdziesz kogoś innego. Ale wszyscy, którzy wyrazili chęć przejęcia tych obowiązków, żądali w zamian połowy zysków, więc się nie zgodziłeś, a sam nie chcesz zająć się tym ranczem.

- Mam wystarczająco dużo problemów tutaj. Brakuje mi czasu, poza tym nie mogę być w dwóch miejscach naraz...

- Mogłabym zająć się tym ranczem. Wiesz, że sobie poradzę. Bar M w jednej trzeciej należy do mnie. Mam prawo...

- Nie skończyłaś jeszcze osiemnastu lat, Casey...

- Ciekawe Jakie to ma znaczenie? Zresztą za kilka miesięcy skończą...

- A wtedy powinnaś zacząć myśleć o małżeństwie i założeniu własnej rodziny. Nie zrobisz tego, jeśli bez przerwy będziesz troszczyła się o Bar M.

- Małżeństwo! - prychnęła dziewczyna. - Chodzi przecież zaledwie o kilka lat, tatusiu, do ukończenia przez Tyle-ra studiów. Wiem wszystko na temat prowadzenia rancza. Osobiście tego dopilnowałeś. To ty przekazałeś mi całą potrzebną wiedzę, to ty pokazałeś mi, jak przetrwać na szlaku...

To był największy błąd w moim życiu - wymamrotał Chandos.

- Nieprawda - wtrąciła w końcu Courtney. - Chciałeś, żeby Casey umiała sobie poradzić w każdej sytuacji, gdyby nie było cię w pobliżu i nie mógłbyś jej pomóc.

- Właśnie - przyznał Chandos. - Gdyby nie było mnie w pobliżu.

- Chcę się tym zająć, a ty nie podałeś mi żadnego przekonującego powodu twojej odmowy.

- W takim razie mnie nie słuchałaś, córeczko - orzekł Chandos, marszcząc czoło. - Jesteś za młoda, jesteś kobietą, dlatego czterdziestu paru kowbojów z Bar M nie będzie chciało wykonywać twoich poleceń, a na domiar złego jesteś w wieku, kiedy powinnaś raczej zająć się szukaniem męża. Nie znajdziesz go, jeśli nie wystawisz nosa poza ran-czo, po którym będziesz chodzić brudna i spocona.

Casey zrobiła się czerwona, najprawdopodobniej ze złości, chociaż właściwie trudno było to powiedzieć.

- Znowu małżeństwo! - zadrwiła. - Od dwóch lat w najbliższej okolicy nie pojawił się mężczyzna, którego uznałabym za godnego uwagi. Chyba że chcesz, abym wyszła za mąż za kogokolwiek? Jeśli tak, to znam przynajmniej tuzin kawalerów. Jutro pojedę złapać na łące jednego z nich. Może to wystarczy...

- Dość tych impertynencji.

- Mówię całkiem poważnie - obstawała przy swoim Casey. - Mojemu mężowi na pewno pozwoliłbyś zająć się Bar M. prawda? Na taki układ zgodziłbyś się bez zastrzeżeń. No cóż, w takim razie już wkrótce przedstawię ci kandydata. Przyprawiam go nie później niż...

- Nie zrobisz tego! Nie wyjdiesz za mąż tylko po to, by dostać w swoje ręce księgi rachunkowe...

- Tatusiu, te księgi rachunkowe już od kilku miesięcy są w moich rękach. Chyba nie zauważyłeś, że Przypięty Ząb prawie nie widzi. Próby prowadzenia owych ksiąg przyprawiają go jedynie o potworny ból głowy, a to bardzo niekorzystnie odbija się na jego zdrowiu.

Teraz z kolei Chandos się zaczerwienił, chociaż w jego przypadku nie było wątpliwości, że powodem rumieńców jest złość.

- Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Może dlatego, że ilekroć Przypięty Ząb przyjeżdża, by się z tobą zobaczyć, jesteś nieuchwytny. Trudno również wykluczyć fakt, że nie chcesz wybrać się do Bar M, bo mógłbyś poznać powód jego wizyt. Prawdopodobnie to ranczo nic cię nie obchodzi- Dziadek nie żyje, a ty próbujesz zrobić mu na złość, zaniebując to, co do niego niegdyś należało.

- Casey! - zawołała zbulwersowana Courtney.

Dziewczyna zbladła. Wiedziała, że posunęła się za daleko. Dlatego, nie czekając, aż ojciec ją za to złaja, wybiegła z pokoju.

Courtney zaczęła zapewniać Chandosa, że Casey po prostu dała się ponieść emocjom, że naprawdę wcale tak nie myślała, on jednak zacisnął mocno usta i tak samo jak Casey wyszedł

z salonu. Niestety, wcale nie miał zamiaru jej szukać. Skierował się na tyły domu, obierając najkrótszą drogę do stajni, podczas gdy jego córka wybiegła przodem.

To był poważny błąd. Chandos nic powinien dopuścić do

takiego zakończenia kłótni. Nic należało zostawiać Casey na pastwę potwornych wyrzutów sumienia, a mimo to wciąż zdecydowanej zmienić decyzję ojca. Powinien wyraźnie powiedzieć, o co mu chodzi. Wy tłumaczyć, że nie chce, by Casey się załamała, gdy poniesie niechybną porażkę.

Kowboje z Bar M mogli przez jakiś czas słuchać dziewczyny, ponieważ wiedzieli, że jest wnuczką Fletchera, lecz przecież z czasem nieuchronnie pojawią się nowi ludzie, którzy nie będą jej znali, obca im również będzie historia ciągnącego się od wielu lat sporu. Inaczej by było, gdyby mieli do

czynienia z nieco starszą kobietą, wdową lub kimś w tym rodzaju.

Większość mężczyzn po prostu nie lubi wykonywać poleceń kobiety, a tym bardziej dziewczyny.

Niestety, Chandos w ogóle o tym nic wspomniał, a przynajmniej nie wprost. To zadanie będzie musiała wziąć na siebie Courtney, chociaż wcześniej trzeba dać Casey dzień lub dwa na ochłonięcie. Gdy poniosą ją emocje, potrafi być nieprzewidywalna.

Rozdział 2

Gdy Casey jak burza wypadła z pokoju, nie ruszyła schodami na piętro. Bliżej znajdowała się frontowa weranda, a wczesnym rankiem zazwyczaj było na niej pusto i spokojnie. Tego dnia również.

Weranda była ogromna. Miała zaledwie trzy metry szerokości, ale ciągnęła się na dwadzieścia kilka metrów. Biegła wzdłuż całej przedniej fasady domu. Stały na niej białe stoliki i krzesła, kilka zrobionych przez ojca dwuosobowych huśtawek oraz bardzo dużo roślin, którymi zajmowała się matka. Wśród kwiatów ukryte były liczne spluwaczki używane przez pracowników rancza.

Casey podeszła do poręczy i tak długo ją ścisnęła, aż zbieleły jej kostki. Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się ziemia Stratonów. należąca albo do ojca. albo do dziadka Casey -rozległe równiny, gdzieniegdzie oznaczone przypadkowymi wzniesieniami, samotnymi kępami drzew wokół niewielkich oczek wodnych oraz kaktusami i typową w tych okolicach roślinnością. Na północnych krańcach posiadłości rósł las, lecz z domu nie było go widać.

Obie posiadłości oddzielało od siebie koryto strumienia. Nieco dalej na południe znajdowało się wspólne jezioro, w którym aż roiło się od okoni. Była to surowa, ale piękna kraina.

Niestety, w ten uroczy wiosenny poranek Casey niczego nie dostrzegła.

Za nic w świecie nie powinna mówić ojcu tego, co mu powiedziała, niezależnie od tego, jak bardzo nie miał racji. O wiele gorszy kłopot stanowiło uporanie się ze złością i poczuciem winy. Co prawda do złości Casey zdążyła się już przyzwyczaić, jako że dorastała z dwoma braćmi, którzy wprost uwielbiali się z nią drażnić. Niestety, wyrzuty sumienia to całkiem inna sprawa, zwłaszcza że jej słowa mogły okazać się prawdą...

Właściwie co innego mogła myśleć? Zawsze wyglądało na to, że ojciec nie przywiązuje żadnej wagi do Bar M. Nie chciał mieć do czynienia z niczym, co kiedykolwiek należało do Fletchera Stratona. Wszyscy o tym wiedzieli. Casey jednak szczerze kochała dziadka. Nigdy nie rozumiała, dlaczego on i Chandos po tylu latach nie mogą, jak to się mówi, zakopać topora wojennego i żyć w zgodzie. Fletcher robił wszystko, by do tego doprowadzić, Chandos pozostawał jednak niewzruszony.

Oczywiście, Casey знаła historię. Żona Fletchera. Meara, prawdopodobnie nic mogąc się pogodzić z jego niewiernością, odeszła, zabierając ze sobą syna. Fletcher szukał ich, wszędzie, pragnąc, by wrócili do domu. oni jednak przepadli bez śladu.

Dopiero po latach dowiedział się, jak to się stało, że tak całkowicie zniknęli mu z oczu.

Pewnego dnia Chandos pojawił się w Bar M. Miał dużo szczęścia, że nikt po drodze go nie zastrzelił, gdyż przyjechał na łaciatym koniu, odziany w kozłą skórę, a na domiar złego miał posplatane długie, czarne warkocze. Wyglądał na stuprocentowego Indianina. Do tego wizerunku nie pasowały jedynie odziedziczone po Mearze ciemnoniebieskie oczy. To tylko dzięki nim ojciec zdołał go poznać.

Ze słów Fletchera wynikało, że Meara opuściła go w przyływie gniewu, dlatego pominęła środki ostrożności, które powinna podjąć, uciekając z domu. Ona i Chandos zostali schwytani przez Kiowów, którzy sprzedali matkę i syna Komańczom. Najbliższym Fletchera dopisało szczęście. Młody wojownik wziął Mearę za żonę, a chłopca adoptował. Kilka lat później z tego związku urodziło się dziecko -uwielbiana przez Chandosa przyrodnia siostra. Białe Skrzydło.

W chwili dostania się do niewoli Chandos był jeszcze dzieckiem. Dopiero dziesięć lat później, gdy miał osiemnaście lat i szykował się do objęcia należnej mu wśród członków plemienia pozycji, przysługującej każdemu dorosłemu wojownikowi, Meara odesłała go do domu, do ojca. Chciała, by poznał życie białych, nim ostatecznie zdecyduje się na pozostanie wśród Komańczów.

To był błąd. Chandos wyjechał, ponieważ zrobiłby wszystko, o co poprosiłaby go matka, ale już wcześniej podjął decyzję. Wychował się wśród Komańczów i uważał się za Komańcza.

Nie miał jednak nic przeciwko temu, by nauczyć się wszystkiego, co tylko możliwe, od

„białych”, jak ich w tym czasie nazywał. Nie tylko biały człowiek postępował zgodnie z zasadą: „Poznaj swojego wroga”. Ojciec, zadowolony z przyjazdu syna, uznał, iż Chandos zostanie z nim już na zawsze, dlatego nie mógł zrozumieć wrogości młodego człowieka. Na domiar złego sam Fletcher, w owych czasach niezwykle uparty, wojowniczy i władczy, jedynie podsycił tę wrogość.

Bez przerwy się kłócili. Jakby tego było mało, ojciec usiłował ukształtować syna na swój obraz i podobieństwo. Chandos nie był już jednak dzieckiem.

Przełom nastąpił trzy lata później, kiedy Fletcher kazał swoim ludziom zapędzić Chandosa w jakiś kąt i obciąć mu warkocze. Ze słów Fletchera wynikało, że to była prawdziwa walka.

Chandos zranił trzech ludzi, po czym uciekł. Fletcher myślał, że już nigdy więcej nie ujrzy syna.

W jakiś czas później wyszło na jaw, że Chandos wrócił do swojego plemienia. Niestety, większość jego pobratymców nie żyła. Zginęli podczas masakry urządzonej przez białych.

Siostra i matka zostały zgwałcone, a potem zabite. Wszystko to stało się właśnie tego dnia, kiedy Chandos wrócił do nich i do swojego domu. Przez cztery lata wraz z kilkoma pozostałymi przy życiu Komańczami tropił morderców, by się na nich zemścić, a zemsta Indian była brutalna, tak jak brutalna była masakra kobiet i dzieci z ich plemienia. W tym czasie Chandos spotkał Courtney Hartę, matkę Casey.

Od razu przypadli sobie do gustu. Koniec końców Chandos postanowił zająć się sąsiadującą z

ranczem ojca posiadłością, należącą do rodziny żony. Chciał stanąć w szranki z Fletcherem i dowieść mu, że i bez jego pomocy potrafi z powodzeniem prowadzić gospodarstwo. Wiele lat temu Fletcher założył synowi w banku w Waco konto, na którym znajdowała się istna fortuna. Chandos nie tknął tych pieniędzy i najprawdopodobniej nigdy tego nie zrobi.

Wszystko, co udało mu się osiągnąć, zdobył własnymi rękoma.

Chandos i Fletcher, ojciec i syn, nigdy się nie pogodzili, a przynajmniej nikt o tym nie słyszał.

I chociaż Fletcher już nie żył, Chandos nadal rozdrapywał stare rany. Oczywiście, pewnego dnia oba rancza przejdą w ręce dzieci Chandosa, nawet jeśli to wcale by mu się nie podobało.

Może dlatego wolałby zobaczyć, jak Bar M chyli się ku upadkowi, nic zatem dziwnego, że nie chciał zająć się tym ranczem.

Niemniej Casey nic powinna mówić tego na głos. Miała prawo myśleć, co jej się żywnie podoba, ale wyrażając swoje zdanie, dopuściła się najgorszej zniewagi, a nigdy wcześniej nie obraziła ojca.

Nie usłyszała, że od tyłu ktoś do niej podchodzi, zaraz też padło pytanie:

- Zamierujesz płakać, panienko?

Wcale nie musiała się odwracać, i tak wiedziała, kto się do niej przyłączył, na dodatek musiał być tak blisko, że słyszał jej kłótnię z ojcem. Po śmierci Fletchera bardzo zaprzyjaźniła się z Przypiłowanym Zębem. Dzięki łączącej ich zażyłości miał prawo zadać to pytanie i oczekiwać odpowiedzi.

- Co mi dadzą łzy? - spytała przez zaciśnięte gardło.

- Zawszem uważał, że służą tylko po temu, coby mężczyzna źle się czuł. Co w takim razie zamierujesz?

- Chcę udowodnić tacie, że dam sobie radę bez męża. Że mogę pracować wśród mężczyzn bez żadnego typka, trzymającego się mojego fartuszka.

- Przeca ty nigdy nie wdziejiesz fartuszka. - Na myśl o tym zachichotał. - Jeno jak chcesz to zdziałać?

- Zdobywając pracę, która nie przystoi kobiecie - odparła Casey.

- Niewiela zajęć przystoi kobiecie, więc co tu gadać o tych, co jej nie przystoją.

- Mam na myśli coś naprawdę niestosownego, może niebezpiecznego lub tak wyczerpującego, że żadna dama nawet by o tym nie pomyślała. Czy córka Oakleyów przez jakiś czas nie była pogromczynią byków i zwiadowcą?

- Z tego. com słyszał, córka Oakleyów wyglądała jak chłop. Niektóre chłopcy przy niej wysiadowały.

Odziewała się jak chłop. Czego ty chcesz dowieść? Nie zamierujesz chyba niczego głupiego, co?

- To, czy coś jest grupie, czy nie, zależy jedynie od naszej oceny. Chodzi o to, że naprawdę muszę coś zrobić. Tata w cudowny sposób nie zmieni swojej decyzji. Obce mu są sentymenty, a przecież oboje wiemy, skąd mu się to wzięło, czyż nie tak?

Prychnął. Przypiętowany Ząb był w końcu dobrym przyjacielem Fletchera. Przyznał jednak:

- Jakosik wcale mi się to nie podoba.

No cóż, szkoda — wyznała niezadowolona. — Nie pytałam o zgodę. Z drugiej jednak strony nie spodziewałam się również, że będę musiała udowodniać, do czego jestem zdolna, ponieważ tata dobrze wie, co potrafią. Muszą się jeszcze nad tym wszystkim zastanowić.

- Chwalić Pana. Strasznie się bojam. panienko, kiedyś robisz coś naprędce.

Rozdział 3

Gdzieś w oddali widać było ogień, właściwie ognisko -przynajmniej Damian Rutledge miał nadzieję, że to ognisko, co oznaczało, że spotka ludzi, których od dwóch dni nie widział.

Mogliby to być nawet prostytutki, byle wskazali mu drogę do najbliższego miasta.

Całkiem zablądził. Zapewniano go, że zachodnia część kraju jest cywilizowana, ale dla niego

„cywilizowana” oznaczała „pełna ludzi”. Sąsiadów. Budyneków. Z pewnością to określenie nie pasowało do pustych przestrzeni, ciągnących się bez końca.

Gdy miasta, przez które po drodze przejeżdżał, stawały się coraz mniejsze, powinien się domyślić, że ta część kraju znacznie odbiega od tego, do czego przywykł. Dotychczas całkiem nieźle sobie radził. Od Nowego Jorku podróżował pociągiem. Wszystko się zmieniło, gdy dotarł do Kansas. Tam zaczęły się kłopoty.

Najpierw zawiodła kolej. Pociągi „Kąty”, jak ludzie czule nazywali „Missouri, Kansas & Texas Railway” w tym tygodniu nie kursowały z powodu drobnego napadu rabunkowego, podczas którego wysadzono około dwudziestu pięciu metrów szyn i zniszczono lokomotywę.

Damian dowiedział się, że na tych terenach kursują dyliżanse. Okazało się również, że jeśli dotrze do najbliższego miasta, złapie tam inny pociąg. Uznał więc, że zmieniając tory na cztery koła, tylko nieznacznie zboczy z trasy. Nikt jednak go nic uprzedził, że ten konkretny dyliżans nie był używany od ponad pięciu lat, ponieważ wyparła go kolej.

Większość podróżnych, zmierzających w tym samym kierunku co on, wolała zaczekać, aż pracownicy kolei dokonają niezbędnych napraw, ale Damianowi zbyt się spieszyło. I na tym właśnie polegał jego największy błąd. Gdy zobaczył, że jest jedynym pasażerem, powinien zrozumieć, iż musi być jakiś powód, dla którego większość ludzi nie chce nawet myśleć o tym rozsypującym się pojeździe.

W Kansas wciąż kursowało sporo dyliżansów, ale jeździły one między miastami, do których nie docierała kolej, a na domiar złego ostatnio często na nie napadano. Damian dowiedział się o tym dopiero w trakcie postoju, podczas którego pojono konie. Właśnie wtedy woźnica zrobił się nieco bardziej rozmowny. W jakiś czas później zaczęły się kłopoty...

Gdy nowojorczyk usłyszał świst kul, wiedział przynajmniej, co się dzieje. Woźnica się nie zatrzymywał. Próbował uciec rabusiom, co nie było najmądrzejszym rozwiązaniem w przypadku tak starego i nieporęcznego wehikułu.

Potem, nie wiadomo dlaczego, pojazd zjechał z drogi. Pędzili wiele mil, a wokół nich świstały kule. Nagle się zatrzymali, a Damian upadł na drzwi i uderzył głową o metalową klamkę. Przez kilka następnych godzin nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

Prawdopodobnie obudził go deszcz dudniący o dyliżans. Była noc. Kiedy Damian w końcu zdołał wydostać się z przechylonego na bok pojazdu, okazało się, że w pobliżu nie ma żywej duszy... a wokół roztacza się pustkowie.

Konie zniknęły - nie wiadomo, czy zostały ukradzione, czy ktoś puścił je luzem. Woźnica przepadł. Mógł zginąć od kuli, wypaść podczas jazdy, dostać się w ręce bandytów lub przeżyć i pójść po pomoc. Damian nie miał nawet kogo o to zapytać. Był zlany krwią, która sączyła się z boku głowy. Gdy zbierał swój porzrucany dobytek i z powrotem wkładał go do torby podróżnej, deszcz częściowo przemył mu ranę.

Pozostałą część tej żalostnej nocy Damian spędził w dyliżansie, ponieważ tam przynajmniej było sucho. Niestety, nazajutrz obudził się dopiero w południe, tak więc słońce nie mogło mu wskazać, w jakim kierunku powinien się udać, chociaż właściwie i tak nie wiedział, w którą stronę chce iść. W ciągu nocy deszcz zmył nawet ślady pozostawione przez dyliżans.

Ukradziono Damianowi zegarek i pieniądze, które miał przy sobie i w torbie. Banknoty ukryte pod podszewką kurtki wciąż się tam znajdowały, co stanowiło pewne pocieszenie w trudnej sytuacji. Z boku dyliżansu znalazł przyczepioną manierkę z wodą, zabrał ją więc ze sobą. Pod jednym z siedzeń leżała zatechła narzuta na kolana, która okazała się bardzo przydatna, gdyż do zmierzchu nie spotkał żywej duszy, nie natknął się również na żadne zabudowania.

Wędrował na południe, w stronę następnego miasta, do którego zmierzał, chociaż sam kierunek Damian mógł określić tylko w przybliżeniu, gdyż droga, którą jechali, była bardzo kręta. Mógł znajdować się za daleko na wschód lub na zachód albo minąć miasto, nawet o tym nic nie wiedząc. Miał nadzieję, że natknie się na jakąś drogę, niestety zabrakło mu szczęścia.

Pod koniec pierwszego dnia żywił poważne obawy, czy jeszcze kiedykolwiek będzie coś jadł.

Nic miał broni, by coś upolować, gdyby natknął się na jakieś zwierzę. Przez całe życie mieszkał w mieście, nic przypuszczał więc, że broń będzie mu potrzebna. Gdy napotkał

niewielką sadzawkę, zmył z włosów resztkę krwi i przebrał się w świeże, chociaż wilgotne od deszczu ubranie. Tego wieczoru położył się spać z brzuchem pełnym wody, ale niewiele to dało,

ponieważ nadal był bardzo głodny.

Pulsujący ból głowy, towarzyszący mu przez cały pierwszy dzień, drugiego dnia zaczął się zmniejszać. Nie zwracał jednak uwagi na tę dolegliwość, gdyż zaczęły bardzo mu dokuczać pęcherze, które pojawiły się na dłoniach od dźwigania torby i na stopach od wielogodzinnego marszu w nieodpowiednich butach. Na dodatek skończyła mu się woda. Tak więc pod koniec drugiego dnia był w opłakanym stanie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zauważył ognisko. Stało się to w momencie, kiedy miał zamiar owinać się narzutą i ułożyć do snu. Jednak blask dochodził z daleka, z tak daleka, że Damian, idąc i idąc bez końca, zaczął myśleć, iż to złudzenie. Po jakimś czasie światełko zaczęło się zwiększać, przestało być migotliwą kropką, powoli nabierało kształtów i coraz bardziej przypominało ognisko. W końcu poczuł zapach kawy i woń piekącego się mięsa. Z głodu zaburczało mu w brzuchu.

Niemal dotarł już do ogniska, znajdował się zaledwie sześć metrów od niego, kiedy poczuł na szyi zimny metal i usłyszał stuknięcie odwodzonego kurka. Nie zauważył ani nie usłyszał

żadnego innego ruchu, wszakże odgłos przygotowywanej do użycia broni powstrzymał go od zrobienia następnego kroku.

- Nie wie pan, że nie wolno bez ostrzeżenia zbliżać się do cudzego obozowiska?

Zabłądziłem dwa dni temu - odparł Damian ze znużeniem. - I nie wiedziałem, że zwyczaj nakazuje najpierw ostrzegać, a dopiero potem szukać pomocy.

Cisza. Denerwująca cisza. Damian w końcu uznał, że należy dodać:

- Jestem nie uzbrojony.

Następne stuknięcie świadczyło o uwolnieniu kurka, polem metal otarł się o skórzaną kaburę.

- Przepraszam pana, ale w tej okolicy trzeba być bardzo osi rożnym.

Damian odwrócił się, by zobaczyć swojego wybawcę. Miał nadzieję, że znalazł człowieka, który umożliwi mu powrót do cywilizacji. Był zaskoczony, zobaczywszy przyglądającego mu się chłopca. Dzieciak nie należał do zbyt wysokich i był raczej dość chudy. Nad jaskrawoczerwoną bandaną, zawiązaną luźno wokół szyi, widać było gładkie jak u niemowlaka policzki. Chłopak liczył sobie z piętnaście, szesnaście lat. Miał sięgające do kolan mokasyny i brązowo-czarne wełniane poncho, zarzucone na ciemnoniebieską koszulę.

Gdzieś musiała być też kabura, choć kryło ją poncho. Kapelusz o szerokim rondzie, jakich Damian widział mnóstwo od chwili, kiedy przekroczył Missouri, przykrywał nierówno przycięte, czarne, długie do ramion włosy. Od stóp do głów zmierzyły Damiana jasnobrązowe, kocie oczy, które można by uznać za ładne, gdyby należały do dziewczyny. W

przypadku chłopaka były... niezwykle.

Poncho i mokasyny skłoniły Damiana do zadania pewnego pytania, choć zrobił to bardzo niechętnie:

- Chyba nie wkroczyłem na teren rezerwatu indiańskiego, prawda?

- To byłoby bardzo trudne tak daleko na północ od terytorium Indian... Skąd przyszło to panu do głowy?

- Po prostu zastanawiałem się, czy nie jesteś Indianinem.

Damian zobaczył coś w rodzaju uśmiechu, choć wcale nic był tego pewien.

- Czy wyglądam na Indianina?

- Nie wiem. Nigdy w życiu nie widziałem czerwonoskórego - musiał przyznać Damian.

- To oczywiste, że nie mógł go pan widzieć, żółtodziobie.

- Czy aż tak bardzo widać, że nie jestem stąd?

Przez chwilę chłopak patrzył na niego bez wyrazu, potem się roześmiał. Był to gardłowy, zmysłowy śmiech, trochę niepokojący jak na chłopca. Damian wiedział, że młodzieniec sobie z niego żartuje, niezależnie od tego, na czym miał polegać ów żart. Trzeba jednak przyznać, że w obecnym stanie rzeczywiście musiał wydawać się bardzo śmieszny.

Damian nie miał kapelusza, w związku z czym czuł się niemal nagi; niestety, po wypadku dyliżansu nie udało mu się uratować melonika, a innego nakrycia głowy w tę podróż nie zabrał. Chociaż poprzedniego dnia włożył świeże ubranie, dzisiaj było ono już pokryte grubą warstwą kurzu i rzepów. Prawdopodobnie wyglądał na człowieka, który całkowicie się zgubił, i naprawdę tak się czuł. Nie zapomniał jednak o dobrych manierach. Nie zastanawiając się dłużej, co tak serdecznie rozbawiło młodego gospodarza, wyciągnął rękę.

by się przedstawić.

Damian Rutledge Trzeci. Naprawdę bardzo mi miło, że cię spotkałem.

Chłopak spojrzał na wyciągniętą dłoń, ale jej nie ujął, jedynie kiwnął głową i powiedział:

- Jest was trzech? - Potem machnął lekceważąco ręką, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że to pytanie było głupie. - Nieważne. Żarcie jest gorące. Chętnie się nim z panem podzielę.

Może pan również przespać się przy moim ognisku. Po chwili z delikatnym uśmieszkiem wyższości dodał: - Wygląda na to, że jest pan głodny. Damian się zarumienił, ponieważ od chwili, kiedy dotarł do niego zapach jedzenia, jego żołądek wzniecał potworny hałas. Nie poczuł się jednak urażony, zwłaszcza że zaproponowano mu posiłek. I chociaż dręczyło go kilka pytań, które bardzo chciałby zadać, w tej chwili najważniejsze było napełnienie pustego żołądka, w związku z tym bez dalszych

wstępów skierował się prosto do ogniska.

Prawdę mówiąc, były to dwa ogniska - jedno. duże. wciąż płonęło i przyjemnie oświetlało najbliższą okolicę, na drugim, mniejszym, coś się gotowało. W ziemi wykopany był otwór, a cztery kamienie podtrzymywały żelazny ruszt. Pod spodem umieszczone zostały mniejsze, żarzące się gałązki, wyjęte z sąsiedniego ogniska - chodziło o to. by mięso zdążyło zmięknąć, nim się przyrumieni. W jednym rogu rusztu stał czarny cynowy dzbanek na kawę, w drugim cynowe pudełko, w którym, jak się okazało, znajdowało się sześć świeżo upieczonych biszkopcików. Obok podgrzewała się puszka fasoli. Dla Damiana to była prawdziwa uczta.

- Co to za mięso? - spytał, gdy dostał do ręki talerz. Dzikiej preriowej kurki.

Nie były to duże ptaki, ale jeden z dwóch znajdujących się na ruszcie wraz z trzema biszkopcikami i połową fasoli zrzucony został na talerz Damiana. Nowojorczyk szybko zabrał

się do jedzenia. Dopiero po chwili zauważył, że jest tylko jeden talerz i że chłopak je prosto z rusztu.

- Przepraszam — zaczął.

- Niech pan nie będzie głupi - przerwał mu dzieciak. - Talerze stanowią tu prawdziwy luksus.

Tam, w dole. jest rzeka, w której potem może się pan umyć.

- Umyć się? Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności. Pewnie nie masz przy sobie mydła?

- Przynajmniej nie takie, jakie by panu odpowiadało -brzmiała zagadkowa odpowiedź. - Jeśli chce się pan wykąpać, niech pan. jak większość ludzi, skorzysta z mułu leżącego na dnie rzeki. To wystarczy, by pozbyć się każdego brudu.

Jakie to prymitywne! - pomyślał Damian. Z drugiej strony jednak wszystko było tu właśnie takie, obozowisko pod gołym niebem i tylko to. co naprawdę niezbędnę. Ale jedzenie było wyśmienite, dlatego wdzięczny za nie Damian powiedział:

- Dziękuję za posiłek. Sądzę, że bez jedzenia nie byłbym w stanie dalej iść.

Na ustach młodzieńca pojawił się następny z tych subtelnych uśmiezków, co do których Damian wcale nie miał pewności.

- Naprawdę pan sądzi, że byłbym w stanie zjeść to wszystko sam? Po prostu zeżarł pan moje śniadanie... tylko proszę ponownie nie przepraszać. Zazwyczaj rano nie gotuję świeżego posiłku, a tylko zjadam resztki z poprzedniego dnia. Tym sposobem zyskuję nieco na czasie.

Ale nie spieszy mi się aż tak bardzo, żebym nie mógł upitrasić kilku cieniasów.

Damian nie mógł się już doczekać, niezależnie od tego, czym były owe cieniasy. Ale teraz, kiedy zjedli razem kolację i miał pełny - no, może prawie pełny - brzuch, odżyła poprzednia ciekawość.

Damian zaczął od przypomnienia chłopcu:

- Nie dosłyszałem twojego imienia.

Chłopak zmierzył go tymi niezwykłymi, jasnobrązowymi oczami, po czym wrócił do kawy, którą właśnie nalewał.

- Może dlatego, że nie chwalę się nim jak pan.

- Jeśli wolisz nie...

- Nie mam imienia - uciął szorstko chłopak. - Przynajmniej nigdy go nie znałem.

Nie to spodziewał się usłyszeć Damian.

- Ale jakoś muszą na ciebie mówić.

- Ludzie najczęściej wołają na mnie „Kid”.

Rozumiem. Damian uśmiechnął się. To przezwisko często pojawiała się w otrzymanej przez niego dokumentacji dotyczącej zachodnich stanów, ale za każdym razem powiązane było z jakimś innym określeniem.

- Jak Billy the Kid?

- Raczej jak osoba trochę za młoda na to, co robi - prychnął chłopak.

- To znaczy?

Damian dostał do ręki kubek kawy. Niemal ją wylał, gdy usłyszał:

- Poluję na przestępców.

Nie... hm... nie pomyślałbym, że jesteś przedstawicielem prawa. To znaczy nie wyglądasz dokładnie na...

- Kogo?

- Stróża porządku.

- Och, ma pan na myśli szeryfa? Nie, kto by mnie wybrał w moim wieku?

Damian pomyślał dokładnie to samo, dlatego był tak zaskoczony.

- W takim razie dlaczego polujesz na przestępców? - spytał uprzejmie.

- To chyba oczywiste. Ze względu na nagrody.

- To lukratywne zajęcie?

Spodziewał się, że będzie musiał wyjaśnić znaczenie słowa „lukratywne”, lecz ponownie czekało go zaskoczenie.

- Bardzo.

Widać, że chłopak jest bardzo inteligentny - pomyślał Damian.

- Ilu od początku kariery udało ci się zatrzymać?

- Do tej chwili pięciu.

- Widziałem kilka listów gończych - wspomniał Damian. Prawdę mówiąc, dokumentacja, którą otrzymał, aż się od nich roiła. - Na ogół oferuje się nagrody za „żywego lub umarłego”?

- Jeśli chodzi panu o to, ilu z tych opryszków zabiłem, odpowiedź brzmi: „żadnego”.

Przynajmniej na razie. Chociaż kilku zraniłem. Na dodatek jeden z tej piątki ma wyznaczoną randkę z katem, więc prawdopodobnie jeszcze przed Nowym Rokiem spotka się ze Stwórcą.

- Czy ci zatwardziali kryminaliści traktują cię poważnie? - drażył Damian.

Ponownie zobaczył delikatny uśmiezek, nie uśmieszek.

- Rzadko - przyznał dzieciak. - Ale z tym naprawdę się liczą.

Mogło się wydawać, że rewolwer sam zmaterializował się w jego dłoni, na dodatek w mgnieniu oka. Widocznie chłopak trzymał go pod ponchem, tylko Damian nie zauważył, kiedy go wyjął.

- Tak, no cóż, rewolwery mają w sobie coś, co przykuwa do nich uwagę - wyznał Damian.

Było to jednak największe ustępstwo, na jakie mógł sobie pozwolić. Chłopak był po prostu za młody, by móc dokonać tego, co sobie przypisywał. Nawet gdyby miał o kilka lat więcej, Damian szczerze by w to wątpił. Poza tym dzieciaki lubią chwalić się niezwykłymi wyczynami, by wyrzucić wrażenie na swoich rówieśnikach, co jest stosunkowo łatwe, kiedy niczego nie trzeba udowadniać.

Niemniej Damian przezornie nie odrywał wzroku od broni, dopóki znajdowała się na wierzchu. Dopiero kiedy oddał kubek, rewolwer powędrował z powrotem do kabury, gdyż inaczej dzieciak nie mógłby nalać sobie kawy.

- Mieszkasz w tej okolicy? - spytał Damian po chwili.

- Nie.

- Czy ktokolwiek mieszka w tej okolicy?

Nacisk położony przez Damiana na słowo „ktokolwiek” sprawił, że chłopak zachichotał.

Podobnie jak w przypadku poprzedniego śmiechu, również i tym razem słyhać w nim było dziwną, zmysłową nutę, dość drażniącą u takiego młodzieńca. Gdyby Damian nie wiedział, kto ten dźwięk wydaje, i nie patrzył prosto na swojego rozmówcę, pomyślałby, że do obozowiska wkradła się kobieta. Ale dzieciak obdarzony był raczej kobiecą urodą, nic więc dziwnego, że Damian miał dość dziwne skojarzenia.

Odsunął te rozważania na bok, ponieważ jego gospodarz zauważył:

- No cóż, trochę zbczył pan z drogi, panic Rutledge.

- Nie wierzę - odparł Damian sucho, a po chwili dodał: - Mam nadzieję, że wiesz, gdzie jesteśmy.

Chłopak szorstko przytaknął.

- Przypuszczalnie dzień lub dwa na południe od Coffeyville.

Nazwa miasta nic Damianowi nie mówiła. Wiedział jedynie, że nie tam zdązał, być może jednak dyliżans przed wypadkiem zawiózł go nieco dalej na południe, a na piechotę pokonał

następny szmat drogi, jakimś cudem mijając cel podróży.

- Czy to najbliższe miasto?

- Nie wiem. Nie znam zbyt dobrze tego terenu.

- W takim razie co tu robisz?

- Mam do załatwienia w Coffeyville pewną sprawę, a przynajmniej liczę na to, że uda mi się ją załatwić.

Nie udzielił dalszych wyjaśnień. Damian zaczynał podejrzewać, że chłopcu wcale nie podobają się te wszystkie pytania, dlatego udziela na nie jak najkrótszych odpowiedzi.

Damian jednak z prawdziwą przyjemnością podtrzymywał rozmowę, chociaż bardziej przypominała ona przesłuchanie, więc póki nie usłyszy, żeby pilnował swojego nosa...

- Chciałbym wiedzieć, czy nie kręciłem się w kółko. Czy przynajmniej jesteśmy w pobliżu jakiejś drogi?

Chłopak potrząsnął głową.

- Gdy to tylko możliwe, staram się unikać dróg. Dzięki temu rzadziej spotykam ludzi, a tak się składa, że lubię podróżować sam.

To stwierdzenie było tak bezceremonialne, że na policzkach Damiana pojawiły się lekkie rumieńce.

- Przykro mi, że przeszkadzam, ale naprawdę się zgubiłem.

- Jak to się stało? - zainteresował się Kid. - Uciekł panu koń?

Sam ton, jakim zadane zostało to pytanie, sugerował, że chłopak nie wierzy, by Damian potrafił jeździć konno lub w ogóle miał jakiegoś wierzchowca. Zrozumiałe więc, że Damian odpowiedział nieco urażonym głosem:

Nic. podróżowałem dyliżansem. I zanim zapytasz, czy z niego wypadłem i zostałem w tyle...

- Chwileczkę, proszę pana - przerwał Kid. - Nie powinien się pan obrażać o proste pytanie, zwłaszcza że wcześniej sam pan zadał ich tak dużo. Dotarł pan do mojego obozowiska na piechotę, nie konno. Logiczne więc było założenie, że albo pański koń okulał, albo pana zrzucił, albo uciekł. Ludzie jeżdżący dyliżansami rzadko kończą podróż na piechotę.

Damian westchnął. Kid miał rację, to było całkiem logiczne rozumowanie. Poza tym Damiana ponownie zaczynała boleć głowa. Nie miał jednak zamiaru jeszcze raz przeproszać, zwłaszcza że jego własne założenie prawdopodobnie również było słuszne.

- Dyliżans, którym jechałem, został ostrzelany - wyjaśnił Damian. Próbowaliśmy uciec.

Skończyło się na tym, że pojazd się rozbił. Podczas wypadku straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, była już noc. Woźnica zniknął, konie również, a moje kieszenie i torba zostały opróżnione.

Chłopak znacznie się ożywił.

- Napad na dyliżans? W tej okolicy? Kiedy to się stało? Przedwczoraj.

Kid. ciężko zawiedziony, westchnął.

- Prawdopodobnie są już daleko stąd. Damian zmarszczył czoło.

- Tak sądzę. Wolałbyś, żeby było inaczej?

- Wells Fargo naprawdę dobrze płaci za zatrzymanie rabusiów, którzy napadają na dyliżanse.

A natknięcie się na ludzi, którzy robią wszystko, by rozesłano za nimi listy gończe, jest o wiele lepsze niż szukanie ich, kiedy wcale nie chcą być znalezieni.

Damian podjął grę zaproponowaną przez towarzysza.

- Tak, sądzę, że to znacznie ułatwiłoby ci robotę.

- Nic ułatwiło, ale przyspieszyło. Prawdę mówiąc. takie przypadki traktuję jak bonifikatę, niespodziewaną, acz miłą. Teraz kolej na pana, panie Rutledge. Co sprowadza pana na zachód?

- Dlaczego sądzisz, że jestem ze wschodu?

Tym razem chłopak zdecydowanie się uśmiechnął, a jego jasnobrązowe, w blasku ognia niemal bursztynowe oczy ponownie zmierzyły Damiana od stóp do głów.

- Strzelałem.

Damian skrzywił się. Kid zachichotał, potem powiedział od niechcienia:

- Jest pan na jednej z tych wycieczek po kraju, które tak lubią mieszkańcy wschodu?

Damian był tak poirytowany, że odparł:

- Nie. Jadę do Teksasu, by zabić człowieka.

Rozdział 4

„Jadę do Teksasu, by zabić człowieka”.

Gdy to powiedział, odżyły wspomnienia. Przypomnił sobie tę wiosenną noc sześć miesięcy temu, kiedy jego cały świat nagle legł w gruzach. Tamtego dnia wszystko szło jak po maśle: cieplarniane kwiaty dotarły do Winnifred na krótko przed przyjazdem Damiana, zaprojektowany przez niego pierścienek zaręczynowy rano został skończony. Nawet punktualnie dotarli do restauracji. Ten jeden jedyny raz spory ruch panujący na ulicach Nowego Jorku nie zakłócił planu dnia. A sama kolacja była wspaniała. Wręcz wyśmienita. Po odwiezieniu Winnifred do domu miał zamiar zadać jej niezwykle ważne pytanie.

Jej ojciec wyraził już zgodę na małżeństwo. Jego ojciec był zadowolony. Stanowili niezwykle dobraną parę, on -spadkobierca Rutledge Imports, ona - dziedziczka C.W. & L. Company. To byłoby nie tylko małżeństwo, lecz również połączenie dwóch największych firm importowych w mieście.

Polem, gdy jedli deser, do ich stolika podszedł sierżant Johnson z Dwudziestej Pierwszej Dzielnicy. Policjant z ponurą miną oświadczył, że chce na osobności zamienić z Damianem kilka słów. Wyszli do hallu. Gdy skończyli rozmowę, Damian był w szoku.

Wcale nie miał pewności, czy poprosił sierżanta, by zapewnił Winnifred bezpieczny powrót do domu. On sam natomiast pognął do biura Rutledge Imports. Wszystkie światła były pozapalane.

Biuro zazwyczaj zamykano koło piątej po południu, chociaż od czasu do czasu zdarzało się, że pracownicy zostawali do późna, by nadrobić zaległą robotę papierkową. Czasami dłużej pracowali nawet ojciec Damiana... chociaż rzadko do tak późna. O tej porze już nawet sprzątaczkі kończyły pracę. Tym razem, gdy Damian dotarł na miejsce, jedynymi pracującymi tam byli nowojorscy policjanci.

Ciało wciąż wisiało na maszcie w dużym, wysokim biurze. Znajdowały się w nim dwa ozdobne słupy, po jednym z każdej strony drzwi. Rokrocznie w lipcu przez cały miesiąc na każdym z nich wisiała flaga amerykańska. Przez pozostałą część roku maszty podtrzymywały wiele roślin pnących. Z jednego z nich zrzucano kwiaty i na kremowym dywanie leżała ziemia i zerwane liście. A u góry wisiały ludzkie zwłoki.

Gdyby ściany nie zostały wzniesione z cegły, tak potężnie zbudowany człowiek nie mógłby wisieć zaledwie piętnaście centymetrów nad podłogą. Niestety, oba słupy zostały wykonane ze stali i osadzone w cegle, żeby nigdy nie uległy zniszczeniu. Mimo dzicwiećdziesięcio kilogramowego obciążenia maszt nawet się nie wygiął.

Tak blisko podłogi, a jednak tak daleko. Być może wystarczyłyby buty. Przynajmniej na krótką chwilę pozwoliłyby oprzeć ciężar ciała na czubkach palców. Niestety, stopy były bose.

Za to ręce miały całkowitą swobodę działania. Te mocne ramiona z łatwością mogłyby sięgnąć do masztu, by powstrzymać zaciskanie się sznura na szyi. Tuż pod słupem stało krzesło. Nie zostało przewrócone, wystarczyło tylko spróbować.

- Odetnijcie go.

Nikt nie usłyszał Damiana. Na zewnątrz trzech mężczyźni chcieli powstrzymać go przed wtargnięciem do biura, póki nie usłyszeli, kim jest. Z kolei ludzie znajdujący się w samym biurze byli zbyt zajęci szukaniem dowodów, by zwrócić uwagę na zdławiony głos. Dlatego Damian krzyknął, by go usłyszano:

- Odetnijcie go!

To przykuło ich uwagę. Jeden z ubranych po cywilnemu oficerów zagrzmiął z oburzeniem: -

Kim pan, do diabła, jest!? Damian wciąż nie odrywał wzroku od ciała.

- Jego synem.

Gdy odcinano zwłoki Damiana Rutledge'a II, rozległo się kilka pomruków wyrażających współczucie, ale były to bezsensowne, pozbawione znaczenia słowa, które z trudem dotarły do szokowanego Damiana. Nie żyła jedyna osoba, którą naprawdę kochał. Nie miał żadnych innych krewnych.

Matka rozwiodła się z ojcem, gdy Damian był jeszcze dzieckiem. Odeszła, by wyjść za mąż za swojego kochanka. Damian nigdy więcej jej nie widział i wcale tego nie żałował. W głębi duszy uważał ją za martwą. Ale ojciec.

Winnifred też się nie liczyła. Zamierzał ją poślubić, ale jej nie kochał. Uważał, że będą dobrym małżeństwem. W końcu nie zdołał doszukać się u niej żadnej wady. Była wyjątkowo piękna i miała nienaganne maniery. Widział w niej doskonałą matkę dla ich dzieci. Lecz, prawdę mówiąc, była dla Damiana niemal obcą osobą. Ale ojciec...

- ...ewidentne samobójstwo - usłyszał po chwili. A potem: - Jest nawet list.

Podsunięto mu tenże „list” pod oczy.

Gdy w końcu udało mu się skupić na słowach, przeczytał: „Próbowałem z tego jakoś wybrnąć, Damianie, ale mi się nie udało. Wybacz mi”.

Wyrwał list z ręki policjanta i przeczytał jeszcze raz... i jeszcze raz. Wyglądało na pismo ojca.

choć było trochę bardziej kanciaste. Sama kartka sprawiała wrażenie, jakby została w coś wetknięta - do kieszeni lub do ręki.

- Gdzie to znaleźliście? - spytał.

- Na biurku... prawdę mówiąc, leżała na samym środku. Trudno było jej nic zauważyć.

- Na biurku leżą świeże kartki papieru - zauważył Damian. - Dlaczego ten list jest pomięty, skoro został napisany tuż przed...?

Nie był w stanie dokończyć tego zdania. Policjant jedynie wzruszył ramionami. Inny zasugerował:

- Nieszczęśnik mógł przez kilka dni nosić ten list przy sobie, nim podjął ostateczną decyzję.

- Czy również przyniósł ze sobą sznur? Ta linka nie jest od tego masztu.

- W takim razie rzeczywiście musiał ją przynieść - zabrzmiała odpowiedź. Niech pan posłucha, panie Rutledge. Wiem, że trudno się pogodzić, gdy ktoś bliski odbiera sobie życie w taki sposób, ale to się zdarza. Czy pan wie, z czego próbował wybrnąć? O co mu chodzi w tym liście?

Wie. Mój ojciec nie miał żadnego powodu do samobójstwa - obstawał przy swoim Damian.

- No cóż... wygląda na to, że on sądził inaczej.

Oczy Damiana stały się zimowo szare, jasne niczym ocieniony śnieg.

- Ma pan zamiar uznać to za fakt? - spytał. - Nic weźmie pan pod uwagę, że mógł zostać zamordowany?

- Zamordowany? - powtórzył policjant protekcjonalnym tonem. - Istnieją łatwiejsze i znacznie szybsze metody zadania sobie śmierci niż wieszanie się na sznurze. Wie pan, jak długo się w ten sposób umiera? Śmierć nie następuje szybko, chyba że pękną kręgi szyjne, ale w tym przypadku wcale tak się nie stało. Istnieją również o wiele łatwiejsze i szybsze metody pozwalające na zamordowanie człowieka niż wieszanie go.

- Chyba że komuś zależy na tym, by dany przypadek wyglądał na samobójstwo.

- Jeśli już o to chodzi, taki sam efekt dałaby kulka w głowę. Proszę się rozejrzeć. Czy widzi pan tu jakieś ślady walki? Nic również nie wskazuje na to, że pański ojciec miał związane ręce, by się nie bronił przed powieszeniem. Jak pan myśli, ilu mężczyzn trzeba by było, by powiesić tak ciężkiego człowieka, gdyby on wcale tego nie chciał? Jeden czy dwóch to za mało. A zatem trzech, może więcej. Dlaczego? Jaki miałby powód? Czy pański ojciec trzymał tu pieniądze? Czy zniknęło stąd coś wartościowego? Czy miał wrogów, którzy nienawidzili go do tego stopnia, by go zabić?

Odpowiedzi brzmiały: „Nie”, „Nic” i „Nie”, chociaż Damian nawet nie zadał sobie trudu, by to

powiedzieć. Policjanci wyciągnęli wnioski na podstawie znalezionych dowodów. Damian nie mógł ich winić o to, że przyjęli naj-prostsze wyjaśnienie. Po co mieliby ulegać jego namowom i szukać dalej, skoro mogli skończyć papierkową robotę i zająć się następną sprawą? Próba przekonania ich, że w tym przypadku zostało popełnione przestępstwo wymagające bardziej wnikliwego dochodzenia, wydawała się jedynie stratą czasu - zarówno Damiana, jak i samych policjantów. Niemniej spróbował. Następne dwie godziny poświęcił

na ponawianie próśb. Potem pojawił się koroner, a każdy z policjantów wyjaśnił, że z takiego czy innego powodu musi wyjść. Oczywiście, zapewnili go, że uważniej przyjrzą się całej sprawie, chociaż Damian ani przez chwilę w to nie wierzył. Były to słowa powiedziane na odczepne człowiekowi, który stracił bliską sobie osobę. W tym momencie obiecaliby wszystko, byle się stamtąd wyrwać.

Dopiero o północy Damian wrócił do domu, w którym mieszkał razem z ojcem. Była to ogromna, stara rezydencja, o wiele za duża dla nich dwóch, dlatego mimo osiągnięcia dojrzałości Damian się z niej nie wyprowadził. On i ojciec żyli w zgodzie, żaden nie wchodził

drugiemu w drogę, za to obaj byli do dyspozycji, gdy któryś z nich miał ochotę na pogawędkę.

Damian rozejrzał się tego wieczoru po domu i poczuł... pustkę. Nigdy więcej przed wyjściem do biura nie zje z ojcem śniadania. Nigdy więcej późnym wieczorem nie zastanie ojca w gabinecie lub bibliotece, gdzie czytali klasykę i dyskutowali na jej temat. Nigdy więcej przy kolacji nie będą rozmawiali o interesach. Nigdy więcej...

W tym momencie potoczyły się powstrzymywane dotychczas łzy i wcale nie miały zamiaru przestać. Damianowi nie udało się doczekać z tym, aż dotrze do swojego pokoju, ale o tak późnej porze nie było żadnych służących, którzy widzieliby to odstępstwo od prezentowanej zazwyczaj powściągliwości. Nalał sobie kieliszek brandy, którą trzymał w swoim biurze na wypadek, gdyby miał kłopoty z zaśnięciem, chociaż, prawdę mówiąc, miał zbyt ściśnięte gardło, by ją wypić.

Po głowie krążyła mu tylko jedna myśl - że dowie się, co się naprawdę wydarzyło, ponieważ nigdy nie pogodzi się z myślą, że ojciec odebrał sobie życie. Brakowało dowodów świadczących o tym, że było inaczej, nie znaleziono żadnego śladu walki, a jednak Damian wiedział, że to było morderstwo. Znał swojego ojca, byli sobie bardzo bliscy.

Damian senior nie był człowiekiem zdolnym do jakichkolwiek oszustw lub udawania. Nigdy nie kłamał, ponieważ nawet gdy próbował to robić, zawsze sam się zdradzał. Więc gdyby działo się coś bardzo złego, gdyby był naprawdę zrozpaczony, syn by o tym wiedział.

Poza tym planowali ślub. Była nawet mowa o przerobieniu zachodniego skrzydła domu, by Damian nie czuł się skrzepowany, gdyby chciał zamieszkać tu razem z żoną. Poza tym starszy pan nie mógł się już doczekać, kiedy będzie rozpieszczał wnuczęta.

Co ważniejsze, Damian senior był człowiekiem szczęśliwym. Nigdy nie miał zamiaru ponownie się żenić. W zupełności wystarczała mu utrzymanka. Wyjątkowo dużo zarabiał, a wcześniej odziedziczył ogromną fortunę. Poza tym bardzo lubił swoją firmę - firmę założoną niegdyś przez jego ojca,

Damiana I, i nadal rozbudowywaną. Miał po co żyć.

Ktoś jednak uważał, że jest inaczej. „Wybaczysz mi?” Nic, to nie były słowa ojca. Damian nie miał mu czego wybaczać. Miał natomiast powód do zemsty...

Odsunął teraz na bok tamte wspomnienia. Detektyw, którego wynajął, znalazł odpowiedzi na dręczące Damiana pytania. Dlatego przyjechał na zachód, by zabić człowieka, który zamordował jego ojca. Wyjawienie tego wcale nie zdziwiło siedzącego nieopodal chłopca.

Kid po prostu zapytał:

- Tak dla własnego widzimi się czy z jakiegoś konkretnego powodu?

- Z bardzo konkretnego powodu.

- Pan również jest łowcą nagród?

- Nie. To sprawa osobista.

Damian wyjaśniłby, o co chodzi, ale Kid go o nic nie zapytał. Jedynie lekko przytaknął.

Nawet jeśli go to interesowało, nie dał po sobie poznać. To z pewnością niezwykły dzieciak.

Większość chłopców w jego wieku ma mnóstwo pytań, a ten zadał tylko kilka, na dodatek z niewielkim zainteresowaniem.

- Myślę, że się wykąpię, a potem pójdę spać - oznajmił Damian, wstając.

Kid wskazał kciukiem za siebie.

- Tam jest brzeg. Gdy pan wróci, będę już spać, proszę więc nie robić hałasu.

Damian przytaknął, chwycił swoją torbę i ruszył po zboczach w dół. Oddalając się, usłyszał

jeszcze:

- Proszę uważać na węże.

Potem rozległ się chichot, po którym Damian zgrzytnął zębami. Cholerny dzieciak. Jak on wytrzyma z nim najbliższy dzień lub dwa?

Rozdział 5

Obudził Damiana zapach kawy, nie poruszył się jednak na swoim niewygodnym łożu, jakim była twarda ziemia. Czuł się tak, jakby spał najwyżej godzinę lub dwie. To było całkiem możliwe. Uchyliwszy nieco powieki, zobaczył niebo wciąż pełne gwiazd, chociaż na wschodzie, tam gdzie wkrótce powinno pojawić się słońce, widać było pierwsze przebłyski błękitu. Trzeba jednak

przyznać, że poprzedniej nocy również się nie wyspał, chociaż był

bardzo wyczerpany. Nic więc dziwnego, że tego ranka nic czuł się zbyt wypoczęty.

Nic pierwszy raz wydarzenia związane ze śmiercią ojca i tym, co nastąpiło później, nie pozwalały Damianowi zasnąć. Od sześciu miesięcy nieodłącznie towarzyszyła mu kotłująca się tuż pod powierzchnią wściekłość. Wciąż na nowo przeżywał tamte uczucia: frustrację i niedowierzenie. Przypominał sobie chwilę, kiedy podjął ostateczną decyzję, że sprawiedliwości musi stać się zadość, czego miał zamiar osobiście dopilnować.

Po licznych rozmowach z policją wynajął detektywów. Byli szybcy i dokładni. Tego wieczoru, kiedy popełnione zostało morderstwo, mała kafejka naprzeciwko Rutledge Imports była otwarta, choć panował w niej niewielki ruch. Jeden z pracujących tam kelnerów zauważył, jak z biurowca wychodzi dwóch krzepkich mężczyzn. Zwrócił na nich uwagę, ponieważ nie pasowali do tego miejsca. Tak się złożyło, że kelner ów był artystą amatorem.

Za niewielkie wynagrodzenie naszkicował z pamięci portrety obu mężczyzn.

Widocznie naprawdę miał talent, ponieważ wykonane przez niego rysunki pokazywane w najniebezpieczniejszych dzielnicach miasta w końcu doprowadziły do jednego ze sprawców, którego udało się namówić do wyznania całej prawdy. Ale jeszcze nim to się stało, zaczęto podejrzewać Henry"ego Curruthersa.

Damian nie chciał uwierzyć, że w to wszystko zamieszany jest Curruthers. Od ponad dziesięciu lat pracował dla ojca jako księgowy. Był nie rzucającym się w oczy, niskim, samotnym, czterdziestoparoletnim mężczyzną. Wraz z podstarzałą i utrzymywaną przez siebie ciotką mieszkał we wschodniej części miasta. Nigdy nie opuścił ani jednego dnia pracy.

Zawsze był albo w biurze, albo w jednym z należących do firmy magazynów, gdzie przeprowadzał inwentaryzację. Tak samo jak inni pracownicy brał udział w pogrzebie i wydawało się, że jest szczerze zrozpaczony nagłą śmiercią Damiana seniora.

Jeden z detektywów poprosił jednak o zgodę na przejrzenie ksiąg rachunkowych firmy i znalazł w nich duże rozbieżności. Przepytał Henry'ego, lecz jego odpowiedzi okazały się niezadowolające.

Wciąż brakowało niezbitego dowodu, chociaż wkrótce Henry bez śladu zniknął z miasta. Ale wtedy przydały się szkice.

Dwaj mężczyźni, których wynajął Henry, nie znali jego nazwiska, ale dokładnie go opisali, od okularów o grubych soczewkach poczynając, a na rzednących brązowych włosach kończąc. Wspomnieli też o pojedynczym pieprzyku na lewym policzku i sowich, niebieskich oczach. Bez wątplenia był to Henry Curruthers. Zapłacił tym ludziom pięćdziesiąt dolarów za to, by zabili jego pracodawcę, nim ktoś się zorientuje, że księgowy zdefraudował pieniądze firmy.

Pięćdziesiąt dolarów. Damian wciąż nie mógł uwierzyć, że czyjeś życie może mieć tak niską cenę. Jeden z detektywów wyjaśnił mu wtedy, że to, co jeden uważa za psie pieniądze, dla drugiego może

stanowić istną fortunę.

Ponoć Henry chciał, by morderstwo upozorować na samobójstwo. Zaopatrzył oprawców w sfalszowany list pożegnalny. Musiał liczyć na to, że pogrążony w żałobie Damian nawet nie pomyśli, by zajrzeć do ksiąg rachunkowych, przynajmniej do czasu, kiedy istniejące w nich rozbieżności nie zostaną ukryte i nikt ich nigdy nie znajdzie.

Prawdziwym mordercą był Henry Curruthers, a dwaj wynajęci przez niego mężczyźni pełnili jedynie rolę marionetek. Na domiar złego wszystko uszłooby mu na sucho, gdyby Damian tak zawzięcie nie szukał odpowiedzi. To i tak nie zmieniało faktu, że Henry przez cały czas przebywał na wolności. Zniknął. Ukrył się. Po trzech miesiącach detektywi wpadli na jego ślad w Fort Worth, nim jednak zdołali go zatrzymać, znowu gdzieś przepadł.

Damian czekał, ale patrząc, jak inni za niego pracują, czuł się bezużyteczny. Nic mógł pogodzić się z myślą, że Curruthers krąży gdzieś po świecie, wciąż ciesząc się wolnością.

Widziano go w Fort Worth w Teksasie. Jak wielu innych ludzi ściganych przez prawo uciekł na zachód, by zniknąć w tej bezkresnej krainie. Damian postanowił jednak, że go znajdzie.

Nic nie wiedział na temat tropienia człowieka, ale postanowił odszukać Henry'ego. Na dodatek miał odznakę, która mogła zalegalizować ewentualne zamordowanie ściganego.

Opłaca się mieć potężnych przyjaciół, a jego ojciec znał kilka takich osób. Damianowi udało się pociągnąć za odpowiednie sznurki i otrzymać mianowanie na stanowisko zastępcy szeryfa. Zrobił to tylko w jednym celu - by załatwić sprawę Curruthersa. Dokumenty, które dostał wraz z odznaką, zawierały mnóstwo szczegółów i wymieniały nazwiska oraz pseudonimy znanych kryminalistów z Teksasu, a także innych zachodnich stanów. Na tej liście znalazł się również Curruthers.

- Hej, chłopcy, przyjdziecie tu na kawę czy macie zamiar wycierać brzuchami trawę aż do wschodu słońca?

Damian otworzył oczy. Słowa Kida niewątpliwie nie były skierowane do niego. Prawdę mówiąc, w tym momencie usłyszał dochodzący z oddali chichot. Gdy powoli usiadł, zobaczył

w cieniu, w odległości mniej więcej sześciu metrów, dwóch mężczyzn, którzy teraz już stali i otrzepywali ubranie.

Damian zerknął na swojego gospodarza, by ujrzeć jego reakcję na niespodziewanych gości.

Kid był ubrany. Miał na sobie ten sam strój co poprzedniego wieczoru, chociaż przybyło na nim kilka dodatkowych fałdów od spania. Kapelusz wisiał na sznurku w połowie pleców, ukazując czarne włosy chłopaka, które były nie tylko nierówno przycięte, ale splątane i brudne, sprawiały wręcz wrażenie, jakby od miesięcy nie widziały grzebienia.

Chłopak kuczał przy ognisku, które na nowo rozniecił, i wyglądał na spokojnego, pomimo

nieodgadnionego wyrazu twarzy. Trudno powiedzieć, czy był nieufny w stosunku do dwóch gości, zadowolony z dodatkowego towarzystwa, czy też było mu wszystko jedno. To bardzo niepokoiło Damiana.

Poza tym nic miał pojęcia, skąd Kid, do diabła, wiedział, że ci mężczyźni tam są. Blask padający od ogniska oświetlał zaledwie krąg o promieniu trzech metrów. Wszystko, co znajdowało się dalej, spowijał nieprzenikniony mrok, ponieważ do wschodu słońca zostało jeszcze przynajmniej trzydzieści minut. Damian musiał przymrużyć oczy, by dostrzec cienie obcych, i to dopiero wtedy, gdy stali, tymczasem chłopak jakimś cudem wypatrzył ich tymi swoimi złocistymi, kocimi oczami.

Damian zastanawiał się również, czemu ci dwaj mężczyźni z ukrycia obserwowali obozowisko, skoro poprzedniego wieczoru Kid podniósł taką wrzawę o to, że zwyczaj nakazuje powiadomić o swoim nadejściu. Widocznie nie tylko Damian tego nie wiedział.

Obaj mężczyźni powoli podchodzili do ogniska. Kiedy było ich już widać, Damian zauważył, że wyższy z przybyszów uśmiecha się przyjaźnie. Drugi wciąż grzmocił swoim zgniecionym kapeluszem o nogi, by strzepnąć z niego kurz. Jak można w taki sposób traktować jakiegokolwiek nakrycie głowy...!

Mężczyzna z gołą głową zatrzymał się na widok Damiana. Jego oczy zrobiły się okrągłe, jakby zobaczył ducha. Po chwili powiedział do swojego kompana:

- Jeśli się nie mylę, zapewniałeś mnie, że ten facet nie żyje. Moim zdaniem nie wygląda na martwego.

Jego przyjaciel głośno jęknął.

- Jesteś najbardziej gadatliwym osłem, z jakim miałem nieszczęście podróżować. Billybobie.

Mówiąc to, wyjął broń i wycelował w Damiana. Billybob przez chwilę szamotał się ze swoim rewolwerem, w końcu jednak go wyjął i wymierzył w Kida, który powoli wstał z rękami po z bokach, by pokazać, że z jego strony nic im nie grozi. Wciąż miał kamienną twarz. Nie okazywał ani cienia strachu. Już to samo wystarczyło, by Damian się zirytował. Najwyraźniej mieli do czynienia z mężczyznami, którzy okradli dyliżans, tymczasem Kid sprawiał wrażenie całkiem obojętnego.

Billybob jedynie się poskarżył:

- Nie masz prawa na mnie kłaść, Vince, ponieważ to twoja wina, że ten facet tak mnie zaskoczył. Następnym razem, gdy powiesz, że klient nie żyje. dopilnuj, by była to prawda.

Stul pysk, Billybobie. Włazisz w jeszcze większe gówno.- Billybob spojrzał pod nogi. by sprawdzić, w co naprawdę wdepnął. Jego kumpel, zauważywszy to. wywrócił oczami, potem szturchnął niższego mężczyznę, by mu przypomnieć, że powinien patrzeć na obozowisko, a raczej na dwóch znajdujących się w nim ludzi. Ponownie się uśmiechnął, gdy jego wzrok padł

na Damiana.

- No cóż - powiedział przyjaźnie. - Skoro Billybob i tak się już wygadał, możemy przejść do rzeczy. Wiemy, że pan nie ma przy sobie niczego ciekawego. A co z tobą, Kid?

Przez chwilę Damian myślał, że przestępcy znają chłopca i dlatego mówią do niego „Kid”.

Szybko jednak zdał sobie sprawę, że słowo „kid” odnosi się do wieku gospodarza. Jak sam przyznał, był tak młody, że nie znając jego imienia, ludzie automatycznie zwracali się do niego w taki sposób.

- Czy mam coś ciekawego? - spytał Kid, wyraźnie zastanawiając się nad pytaniem. - Gorącą kawę i miseczkę ciasta na naleśniki, jeśli o to wam chodzi.

Słyszając tę odpowiedź, Vince zachichotał.

- Prawdę mówiąc, bardzo mnie to interesuje, chciałbym jednak wiedzieć, co masz w kieszeniach...

- No cóż. to...

Tym razem nie było wątpliwości. Kid w mgnieniu oka wydobyl rewolwer, chociaż niecałą sekundę wcześniej trzymał ręce po bokach. I nic tylko wyjął broń, lecz również z niej wypalił, natomiast trudno było powiedzieć, czy trafił, czy nie. Jeśli miał zamiar zabić Vince'a, to znacznie chybił, natomiast jeżeli chodziło mu o to, by go rozbroić, musiał mieć diabelnie dobre oko, ponieważ jego kula trafiła w broń Vince'a. sprawiając, że opryszek krzyknął i upuścił rewolwer. Nie odniósł żadnych ran, miał jedynie oparzoną dłoń.

Czując pieczenie, szpetnie zaklął i zawył. Billybob patrzył na Vince'a z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, dzięki czemu Kid z łatwością podszedł do niego i przystawił mu wylot lufy do boku. Na szczęście niższy z opryszków był tępym facetem. Gdyby obserwował

Kida. tak jak należało, doszłoby do wymiany ognia, w trakcie której ktoś mógł postrzelić siedzącego pośrodku Damiana. Nowojorczyk szybko przesunął się w bok, a gdy tylko zapanował nad zdumieniem, poderwał się na równe nogi. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje, patrząc, jak Kid wyjmując ze zdrtwiałej ręki Billyboba broń, a potem podnosi z ziemi drugi rewolwer. Z niezwykłą łatwością i bez rozlewu krwi rozbroił obu przestępców, przez cały czas zachowując kamienną twarz. Sprawiał wrażenie całkowicie obojętnego na rozgrywające się wydarzenia. Można by powiedzieć, że właśnie wrócił z krzaków, w które wyszedł za potrzebą, a nie rozbroił dwóch opryszków napadających na dyliżanse.

Kid rzucił w stronę Damiana jeden z rewolwerów, drugi wetknął sobie za pasek. Wszystkie te ruchy wykonał, nic wypuszczając z ręki swojej broni. Potem powiedział:

- Usiądźcie i załóżcie ręce za głowy. I nie próbujcie sprawiać mi kłopotów. Dowiezienie was martwych byłoby łatwiejsze i szybsze niż jazda z żywymi. Nie chodzi o to, że przerażają mnie trudności, ale mam już dodatkowy bagaż, więc lepiej nie zachęcajcie mnie do tego, bym poszedł na łatwiznę.

Damian nie usłyszał wszystkiego, przynajmniej nic dotarły do niego słowa o dodatkowym bagażu, gdyż Kid uprzejmie obniżył głos, wspominając o nim. Poza tym zastanawiał się, czy podnieść broń, która prześlizgnęła się po ziemi i zatrzymała u jego bosych stóp. Nie potrafił

obchodzić się z rewolwerem. Prawdę mówiąc, nigdy nie miał nawet okazji, by wziąć tego typu broń

do ręki. W Nowym Jorku rewolwery są kompletnie bezużyteczne. Damian potrafił

jednak całkiem nieźle posługiwać się strzelbą. Umiejętność tę doskonalił na zawodach strzeleckich podczas studiów, a potem w trakcie wypraw myśliwskich z ojcem.

Prawdopodobnie nie mógł zostawić rewolweru na ziemi, zwłaszcza że obaj bandyci mieli jeszcze wystarczającą swobodę ruchów i mogli podjąć próbę uwolnienia się. Chłopak podpowiedział mu jednak, co należałoby zrobić:

- Niech pan, panie Rutledge, poszuka w swojej torbie czegoś - rzucił przez ramię - czym można by ich związać. Doskonale nadają się do tego porozrywane stare koszule.

Damian niemal prychnął. Nie miał starych koszul. Sama myśl o czymś takim...

- I tak nie zabierze pan ze sobą tej torby - dodał Kid. - Nie będzie na nią miejsca. Mamy tylko jednego konia.

Damian ucieszył się, że nie prychnął. Dotychczas nie zastanawiał się, w jaki sposób dotrą do miasta, widocznie jednak dzieciak przemyślał już tę sprawę, biorąc pod uwagę, że jest ich dwóch na jednego wierzchowca i że w związku z tym zostanie bardzo mało miejsca. Po przeszukaniu torby Damian stanął z koszulą w jednej ręce i rewolwerem w drugiej. Kid spojrzał na niego z politowaniem. Dopiero wtedy Damianowi zaświtało w głowie, że to on sam ma rozerwać koszulę i związać przestępców. Przypuszczalnie to było całkiem logiczne, ponieważ każdy z intruzów widział już, co chłopak potrafi wyczyniać z bronią, istniało więc niewielkie prawdopodobieństwo, że będą próbowali jakichś sztuczek, przynajmniej póki Kid ich pilnuje. Na pewno zauważyli też, że Damian obchodzi się z rewolwerem równie niezdarnie jak Billybob. Vince odzyskał głos w chwili, gdy jego kumpel został związany.

- Dokąd to niby masz zamiar nas zawieźć, dzieciaku? - zapytał wojowniczo.

- Do szeryfa Coffeyville.

- To czysta strata twojego i naszego czasu, ponieważ nie zrobiliśmy niczego złego.

- Mam tu naocznego świadka, który z prawdziwą przyjemnością zaprzeczy waszym słowom.

- To żaden świadek. Był nieprzytomny.

- Mam również wasze zeznanie.

- Jakie zeznanie? - spytał Vince. po czym odwrócił się do swojego kumpla i obrzucił go ostrzegawczym spojrzeniem. - Czy do czegoś się przyznawałeś? Billybob oblał się pąsem, podjął jednak grę.

- Po co miałbym robić coś tak głupiego?

Kid jedynie wzruszył ramionami, a potem powiedział: Nie udawajcie niewiniątek. Szeryf nie będzie

nie miał żadnego kłopotu z oceną wszystkich zeznań i dojściem do tego, co zrobiliście albo czego nie zrobiliście. Niezależnie od tego, czy był to napad na dyliżans, czy zwykły rabunek, ręczę wam, że gdzieś w biurku będzie miał schowane listy gończe z waszymi podobiznami, a jeśli nie... no cóż, uznaję to za swój dobry uczynek w tym miesiącu.

Gdyby Damian patrzył uważnie, może zauważyłby, że bandyta o imieniu Vince przestraszył się, usłyszawszy o listach gończych. Nowojorczyk powinien również zdać sobie sprawę, że z zatrzymanej dwójki bardziej niebezpieczny jest właśnie Vince i to jego należałoby związać najpierw, a dopiero potem zająć się Billybobem. Choć, prawdę mówiąc, Damian w ogóle nie przypuszczał, że z którymś z nich będzie miał jakieś problemy. Dlatego był zaskoczony, gdy Vince rzucił się do przodu, pod nogi Kida, i złapał dzieciaka za kostki. Chłopak upadł na plecy. Vince poderwał się na równe nogi, by chwycić rewolwer. Nim jednak zaczęli mocować się o broń, Damian podniósł Vince'a. Właśnie miał zamiar wymierzyć mu cios między oczy, kiedy obaj usłyszeli odgłos odwiedzonego kurka. Zamarli w całkowitym bezruchu.

Vince pierwszy odzyskał głos. Przesłał piorunujące spojrzenie Kidowi, który zdążył wstać i wycelować prosto w głowę opryszka.

- Przecież mnie nie zabijesz?

- Jesteś tego pewien?

To było wszystko, co powiedział Kid. To wyraz jego twarzy, a raczej całkowity jego brak, sprawił, że Vince się cofnął i niechętnie coś burknął. Po prostu trudno było powiedzieć, co dzieciak myśli lub czuje, kto więc mógł zgadnąć, czy potrafiłby zamordować z zimną krwią, czy po prostu jest chłopcem, który doskonale umie ukrywać strach.

Damianowi nie udało się zapanować nad złością. Po prostu tego ranka spotkało go za dużo niespodzianek, nie wspominając już o tym, że jemu i jego młodemu wybawcy groziło niebezpieczeństwo. Nowojorczyk był bardzo mocny, a jego pięść wylądowała na nosie Vince'a. Opryszek nawet się nie zorientował, na co się zanosi - stracił przytomność, nim upadł na ziemię.

Damian natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Od ukończenia piętnastego roku życia nie uciekał się do użycia siły. To właśnie wtedy liczba złamanych przez niego nosów sięgnęła magicznej liczby „siedem” i musiał wysłuchać najbardziej nudnego kazania, jakie kiedykolwiek wygłosił jego ojciec - na temat wysokiego wzrostu i niczym nie uzasadnionej przewagi nad znacznie niższymi rówieśnikami.

Nawet jako dorosły mężczyzna Damian wyrastał ponad przeciętność. Miał niemal metr dziewięćdziesiąt, był więc wyższy, a na dodatek potężniej zbudowany niż większość mężczyzn.

Kid uwolnił go od poczucia winy.

- Dobra robota, panie Rutledge - przyznał. - A teraz, gdyby zechciał pan dokończyć tę robotę, w ciągu kilku minut usmażyłbym naleśniki, żebyśmy mogli coś przekąsić i wyruszyć w drogę.

To wszystko. Na dodatek powiedział to tak spokojnie, jakby tego ranka nic wydarzyło się nic szczególnego. Ten chłopak musiał mieć nerwy ze stali albo w ogóle się nie denerwować.

Damian przytaknął i wykonał polecenie.

Rozdział 6

Kid ponownie kucnął przy ognisku i skoncentrował się na nalewaniu bardzo cienkiej warstwy ciasta na patelnię, potem przewracaniu naleśników i wyrzucaniu ich na jedyny talerz.

Przynajmniej Damian zakładał, że chłopak koncentruje się na gotowaniu.

Ponownie schował rewolwer do kabury, ale teraz wszyscy już wiedzieli, jak szybko w razie potrzeby potrafi go wyjąć. A te kocie oczy, wbrew początkowemu wrażeniu Damiana bardziej złociste, nie brązowe, najwyraźniej widziały rzeczy, których nie dostrzegało oko zwykłego człowieka. Bez wątplenia ten dzieciak robił wrażenie. Damian zaczynał wierzyć, że Kid ujął pięciu przestępców.

Nowojorczyk wykorzystał fakt, że Vince był nieprzytomny, i bardzo mocno związał mu ręce za plecami. Potem położył go na boku. Opryszkowi wciąż płynęła krew z nosa, a w tej pozycji przynajmniej mogła swobodnie ściekać. Billybob milczał, z rezerwą obserwując Damiana.

Gdy obaj bandyci zostali unieruchomieni, Damian włożył marynarkę, którą poprzedniego wieczoru zdjął i starannie złożył. Wziął również do ręki buty. Kiedy miał zamiar wsunąć w nie stopy, zdał sobie sprawę, że Kid dyskretnie pilnuje nie tylko gotowania.

- Przed włożeniem butów powinien pan trochę nimi potrząsnąć - poradził dzieciak. - Jakieś żyjątko mogło uznać je za całkiem miłą kryjówkę na noc.

W naturalnym odruchu Damian upuścił buty, jakby lada chwila miały wyslizgnąć się z nich węże. Billybob parsknął śmiechem, czym zasłużył sobie na piorunujące spojrzenie nowojorczyka. Chłopak zdążył szybko ukryć uśmiezek, dlatego Damian zobaczył tę sarną co zwykle obojętną minę. Niepewnie wziął do ręki buty, chwytając je za czubki, po czym mocno nimi potrząsnął. Potem podszedł z nimi do ogniska i zajrzał do wnętrza.

- Powiedziałbym, że teraz spokojnie może je pan włożyć - oświadczył Kid.

Damian spojrzał podejrzliwie na chłopaka.

- Nie nabierałeś mnie, prawda?

- Niestety, nie. Nie wiem, czy w tej okolicy są skorpiony, ale na niektórych obszarach...

Nie musisz podawać mi szczegółów.

Damian skrzywił się, po czym odszedł ciężkim krokiem, by przynieść swoją torbę i parę świeżych skarpetek. Nie przewidywał, że tego ranka będzie bez butów spacerować po obozowisku, jak również że ponownie ktoś go okradnie, a przynajmniej będzie próbował to zrobić.

Szybko doszedł do wniosku, że powinien zostać w starych skarpetkach. Zdejmując je, rozkrwawił kilka pęcherzy, w związku z czym włożenie butów przypominało istne piekło.

Kiedy kulejąc, wracał do ogniska, przypomniał sobie, że miał nadzieję, iż podróż do Coffeyville będzie trwała dzień, nie dwa, jak przypuszczał chłopak. Byłby szczęśliwy, gdyby nie musiał oglądać następnego ogniska.

Gdy dotarł do ognia, został obdarzony talerzem pełnym naleśników, słoiczkiem miodu i uwagą:

- Moje masło wczoraj zjełczało, dlatego musi panu wystarczyć miód. Poranna dawka przemocy trochę zepsuła mi apetyt, może więc pan zjeść wszystko, panie Rutledge. Ja, w razie potrzeby, później wrzucę coś na ruszt.

Damian nawet nie zerknął na Vince'a i Billyboba.

- Nie karmimy pozostałych gości?

- Do diabła, nie. Jeśli chcieli dostać śniadanie, mogli nie wymachiwać rewolwerami.

Odraza pobrzmiewająca w jego głosie była pierwszym uczuciem, jakie tego dnia ujawnił Kid.

Przynajmniej coś czuł. Widocznie nic lubił okazywać tego innym.

Potem wstał, wytarł ręce o spodnie i podszedł do Billyboba.

- Macie tu gdzieś ukryte konie?

- Kawałek w górę rzeki.

Kid szorstko przytaknął i ruszył w tamtą stronę.

Damian odwrócił się, by mieć oko na opryszków i zjeść śniadanie. Nie sądził, by Billybob próbował jakiejś sztuczki, przynajmniej dopóki Vince jest nieprzytomny, ale leż nie miał

wcale zamiaru ponownie dać się zaskoczyć.

Przyszło mu na myśl, że może dzięki dodatkowym koniom będzie mógł zabrać ze sobą torbę podróżną, zamiast ją tu zostawiać. Kid wrócił z dwoma wierzchowcami. Oba były w pożałowania godnym stanie. Damian nigdy nie widział tak zaniedbanych koni. Jeden z nich kulał, drugi prawie też. Był zaskoczony, gdy chłopak podszedł prosto do Vince'a i mocno kopnął go w tyłek. Co prawda ze względu na mokasyny to nie mogło bardzo boleć, niemniej...

- Naprawdę nienawidzę ludzi, którzy tak traktują zwierzęta - wyznał, rzucając w stronę Billyboba mordercze spojrzenie. Opryszek cofnął się na wypadek, gdyby chłopak miał ochotę wymierzyć kopniaka również jemu. - Który jest twój?

- Żaden. Oba należą do Vince'a - skłamał bez żenady.

- No cóż, na jednym można jechać. Drugi jeszcze długo nie będzie się nadawał pod wierzch.

Wyjąłem mu z kopyta kamień. Rana zaczynała się już jątrzyć. Poza tym oba mają poranione boki od cholernych ostróg.

Billybob jeszcze bardziej się cofnął, na szczęście Kid skończył już swoją tyradę i skierował się w stronę ogniska.

- Pora ruszać w drogę - powiedział do Damiana. - Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli uda się nam dotrzeć dalej, niż gdyby ci dwaj szli pieszo. Muszą jechać we dwóch na jednym koniu. Drugi okuleje, jeżeli będzie dźwigał jakikolwiek ciężar, póki nie zagoi mu się rana.

Niech to diabli, ale głupi ludzie zawsze cholernie mnie wkurzają.

To było wyraźnie widać. W związku z tym Damian postanowił nawet nie wspominać o swojej torbie podróżnej. Przypuszczał, że gdy tylko dotrze do cywilizowanego świata, będzie mógł

kupić następną. Znalezienie nowej odzieży dobrej jakości to całkiem inna sprawa...

Pomógł zwinąć obozowisko, a przynajmniej zrobił to, co dyktował mu zdrowy rozsądek, to znaczy umył w rzece naczynia. Kiedy wrócił, ognisko było zasypane, a koń Kida osiodłany i objuczony ogromnymi sakwami, w których znajdował się potrzebny na szlaku sprzęt.

To właśnie wtedy Damian po raz pierwszy zobaczył kasztanka, który dotychczas był

uwiązany na skraju obozowiska. Było to piękne zwierzę, zadbane i pełne energii, sprawiało wrażenie rwącego się do drogi. Przypominało konie czystej krwi, jakie Damian widywał, od czasu do czasu bywając na torach wyścigowych. Trochę go dziwiło, że ten kościsty chłopak ma takiego wierzchowca.

Kid próbował wsadzić Billyboba na koński grzbiet, biorąc jednak pod uwagę docierające z tamtej strony odgłosy, nie bardzo mu się to udawało.

- Słowo honoru, nie dam rady tego zrobić, mając związane z tyłu ręce - tłumaczył Billybob. -

Nawet jeśli się tam w drapię, spadnę, nie mogąc się niczego chwycić.

To dobrze. W takim razie przez cały dzień będziesz się zastanawiał, w jaki sposób utrzymać się w siodle. Nie będziesz miał czasu na myślenie, jak przysporzyć mi kłopotów. A teraz albo tam włazisz, albo będziesz szedł. Słowo daję, jest mi całkiem obojętne, na co się zdecydujesz.

To wcale nie wyglądało na zbyt trudne zadanie, dlatego Damian podszedł od tyłu do Billyboba i dosłownie wrzucił go na koński grzbiet. Opryszek zdążył jedynie warknąć:

- Co, do diabła...?

Potem skoncentrował się na tym, by nie spaść na drugą stronę.

Kid obdarzył Damiana szczerym uśmiechem. Jego spojrzenie mówiło: „Uważam, że nie jest pan wcale taki bezużyteczny”. Potem przeniósł wzrok na wciąż nieprzytomnego Vince'a.

- Jeśli ten facet jeszcze żyje. może udałoby się panu powierzyć tę sztuczkę?

Aluzja do tego. jak mocny był cios Damiana, wywołała na jego twarzy lekki rumieniec.

Przytaknął i rzeczywiście pomógł Vince'owi zająć miejsce za kumplem, wcześniej jednak wylał na niego pół manierki wodjy, pragnąc go na tyle ocucić, by nie spadł. Kiedy jednak nadszedł czas, by sam wskoczył na konia, zaczął żałować, że nie ma w pobliżu nikogo, kto dźwignąłby i jego - jakkolwiek nie potrafił sobie wyobrazić, by istniał ktoś wystarczająco duży.

Damian przez całe życie mieszkał w wielkim mieście i nigdy nie miał do czynienia z wierzchowcami, a końmi zaprzęganymi do powozu zajmowali się służący i woźnice. Prawdę mówiąc, tego dnia po raz pierwszy miał znaleźć się w siodle, poza tym nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że koń jest taki duży, zwłaszcza ten tryskający energią kasztanek.

Chłopak dosiadł konia i czekał, w końcu podpowiedział:

- Niech pan włoży nogę w strzemień, panie Rutledge. Nigdy wcześniej nie jeździł pan konno?

- Korzystałem jedynie z powozów, a nie ciągnących je zwierząt - wyznał Damian niechętnie.

Dzieciak westchnął, po czym powiedział:

- Powinienem się tego domyślić... Dla równowagi proszę skorzystać z mojej ręki, ale musi się pan odepchnąć nogą. Potem, gdy będzie pan już siedział, wyjmie pan nogę ze strzemienia.

Oczywiście, łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Damianowi udało się dokonać tej sztuki za drugim razem i przy okazji wcale nie wylądował w kurzu. Jednak bardzo niepewnie trzymał

się w siodle i nawet zaczął współczuć siedzącemu za Billybobem Vince'owi, który nadal miał związane z tyłu ręce. Gdyby stracił równowagę, nie zdołałby zapobiec upadkowi.

Kid dodał Damianowi nieco otuchy:

- Jeśli będzie to konieczne, proszę się mnie przytrzymać. Nie będziemy jechali zbyt szybko, więc nic powinien mieć pan kłopotów z utrzymaniem się w siodle.

Wyruszyli w drogę. Wkrótce Vince zaczął się skarżyć, i to nie tylko na to, że musi jechać ze związanymi rękoma. Miotał pod adresem Damiana głośne obelgi, wcale nie kryjąc, co o nim myśli w powodu złamanego nosa.

W końcu Kid postanowił położyć kres tym narzekaniom.

- Zamknij się - krzyknął - jeśli chcesz dziś wieczorem dostać coś do jedzenia!

I Vince się zamknął.

Damian uśmiechnął się pod nosem. Musiał przyznać, że Kid miał godny podziwu, rzeczowy sposób postępowania -przynajmniej w pewnych sytuacjach. Prawdę mówiąc, nowojorczyk musiał zrewidować swoją początkową opinię na temat chłopca. Chociaż Kid posługiwał się dość niewyszukanym językiem, był inteligentnym młodzieńcem. Jak na swój wiek świetnie sobie radził, i miał zdecydowane zdolności przywódcze, nawet jeżeli czasami trochę się szarogęsił. Trzeba przyznać, że mógł człowiekowi zaimponować, chociaż jednocześnie wywoływał jakiś dziwny niepokój. Damian bardzo chciał dojść do tego, co tak naprawdę zastanawia go w chłopcu, na razie jednak nie potrafił precyzyjnie tego określić.

Ponieważ Kid z łatwością ujął obu napadających na dyliżanse rabusiów i miał zamiar oddać ich w ręce stróżów prawa, należało uznać, iż wcale się nie przechwalał, mówiąc, czym się zajmuje, i podając liczbę przestępców, których osobiście doprowadził przed oblicze sprawiedliwości. Jak na łowcę nagród był bardzo młody. Damian przypuszczał jednak, że dzięki fantastycznej wręcz umiejętności posługiwania się bronią Kid idealnie nadawał się do tej roboty, pomijając fakt, że była ona niebezpieczna.

Z drugiej jednak strony jego niektóre przyzwyczajenia wymagały pewnych zmian. Niedawno obozował na brzegu rzeki, mógł się więc wykąpać, chociaż bez wątplenia w bardzo prymitywnych warunkach. Nie skorzystał z tej możliwości, a nawet jeśli tak zrobił, trudno było to zauważyć. Ponieważ obaj znajdowali się w bardzo niewielkiej odległości od siebie.

Damian bardzo szybko poczuł unoszący się wokół Kida odór. Nie był to wcale miły zapach.

Gdy koło południa zatrzymali się na krótki postój, by dać odpocząć koniom i rozprostować nogi, Damian szybko wyjął ze swojej torby chusteczkę do nosa. Był niezmiernie zadowolony, gdy obejrząwszy się za siebie, zobaczył swój bagaż przytroczony paskiem do siodła prowadzonego luzem konia. Nie chcąc, by dzieciak, obejrząwszy się za siebie, głupio się poczuł. Damian dyskretnie przycisnął chusteczkę do nosa. To pomogło jedynie w minimalnym stopniu.

W normalnych warunkach Damian nigdy nie poruszyłby tak osobistej sprawy, jednak późnym popołudniem, po wdychaniu tego smrodu przez cały dzień, nie mógł już dłużej powstrzymać cisnącego się na usta pytania.

- Czy całe życie spędzasz w tym ubraniu? - wypalił prosto w mostu.

- Prawie brzmiała odpowiedź. - Dzięki niemu całe robactwo trzyma się ode mnie z daleka.

Damian nie wiedział, czy chłopak żartuje, więc nawet nie próbował zapytać, o jakim robactwie mowa. Westchnął, dochodząc do wniosku, że będzie musiał znosić te zapachy dopóty, dopóki nie dotrą do miasta, co pociągnęło za sobą następne pytanie...

- Jak sądzisz, czy dotrzemy do Coffeyville przed zmierzchem? - spytał w nadzieję w głośno.

Chłopak nawet nie obejrzał się za siebie, by udzielić odpowiedzi.

- Może by się nam to udało, ale te dwa typki spod ciemnej gwiazdy bardzo zwalniają tempo.

Dlatego szczerze wątpię, panie Rutledge.

Damian ponownie westchnął, a potem, pragnąc podtrzymać konwersację, zapytał:

- Mając na względzie naszą dość bliską, choć chwilową znajomość, może zechciałbyś mówić do mnie po imieniu? Nie sądzisz, że formułka „panic Rutledge” jest tutaj trochę nie na miejscu? A i ty z pewnością masz jakieś inne imię niż „Kid”. Przecież jakoś musiano na ciebie wołać w twoim krótkim życiu.

- No cóż, nie wiem, czy o to ci chodzi, ale kiedy muszę podpisać jakieś ważne papiery, używam inicjałów K.C.

- Co one oznaczają?

- Oznaczają? -Chłopak wzruszył ramionami.- Nic. Po prostu gdy po raz pierwszy musiałem pokwitować odbiór nagrody, postawiłem swój znaczek, a szeryf odczytał go jako K.C. I tak już zostało - przynajmniej ten konkretny szeryf inaczej na mnie nie mówi.

- K.C.? Prawdę mówiąc, to ładne imię. jeśli tak się na to popatrzy i nie potraktuje jak zwykłych inicjałów. W takim razie czy mogę mówić na ciebie Cascy?

Dzieciak na chwilę zeszywniał.

- Nie mam nic przeciwko temu - oznajmił.

To nie była całkowita prawda, lecz najwyraźniej chłopak nie miał zamiaru robić z tego wielkiej sprawy. Damian uśmiechnął się, dochodząc do wniosku, że Kid ma pewne zastrzeżenia, ponieważ to imię nadaje się zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom. A chłopcy w jego wieku są wyjątkowo drażliwi, jeśli chodzi o takie drobiazgi.

Potem ponownie zapadło między nimi milczenie. Właściwie był to długi, nudny dzień spędzony na szlaku, Damian uznał jednak, że właściwie powinien się z tego cieszyć, ponieważ ominęły go zaskakujące i niebezpieczne wydarzenia, które sprawiały, że czuł się tu jak w zupełnie obcym świecie.

Mniej więcej godzinę przed zachodem słońca Casey ponownie skierował się w stronę rzeki, by zatrzymać się na noc. W ciągu kilku minut rozpałił ognisko, szybko przygotował ciasto i odstawił je na bok, by rosło. Potem z powrotem dosiadł konia, a Damianowi kazał

przypilnować gości.

Damian przez chwilę był przerażony, obawiając się, że zostanie sam. Odjeżdżając, Casey powiedział:

- Postaraj się nie łamać następnych nosów w czasie, kiedy ja będę szukać czegoś na kolację.

Nowojorczyk potwornie się zarumienił, ale Casey tego nie zauważył, był już daleko.

Rozdział 7

Następnego ranka Casey ucieszyła się na widok Coffeyville tak samo jak Damian. Woląca podróżować sama. W towarzystwie nie mogła dobrze odpocząć i być sobą, ponieważ przez cały czas musiała się pilnować. Nawet mając w pobliżu wodę, nie mogła pozwolić sobie na szybką kąpiel. Problem stanowiło również zaspokajanie potrzeb naturalnych, gdyż za każdym razem musiała się oddalać i ukrywać. Tymczasem jej towarzysze robili swoje bez zastanowienia. Nie mogła jednak mieć pretensji o to, że wprawiają ją w zakłopotanie, skoro wszyscy trzej myśleli, że ona też jest mężczyzną.

To była jej wina. Co prawda nie dokładała żadnych starań, by wyglądać inaczej niż w rzeczywistości. Gdy opuszczała dom, nawet nie przyszło jej na myśl, że udawanie chłopca mogłoby ułatwić jej życie.

Prawdą mówiąc, wówczas nie szukała żadnych ułatwień, wręcz przeciwnie. W końcu zależało jej na udowodnieniu swoich racji. Jediną rzeczą, jaką zrobiła, było obcięcie włosów do wysokości ramion, zresztą tylko dlatego, że przy stroju, który musiała włożyć na szlak, opadający na plecy długi warkocz wywoływałby zbyt wielkie zainteresowanie, a nigdy nie lubiła znajdować się w centrum uwagi.

Męski strój, jaki miała na sobie, doskonale nadawał się do jazdy konnej, a głównie w ten sposób przemieszczała się z miejsca na miejsce. Najbardziej jednak zwodziło ludzi grube wełniane poncho, ponieważ ukrywało dziewczęcą figurę. Nosiła je, bo tak jej było wygodniej.

Luźne z przodu, umożliwiało szybkie sięgnięcie po broń. W przypadku kurtki sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Gdy rewolwer znajdował się w kaburze, jedną połą wtykało się za pasek, zdarzało się jednak, że opadała ona do przodu, co stanowiło poważne zagrożenie.

Casey była stosunkowo wysoka, toteż ludzie, patrząc na nią, zakładali, iż jest chłopcem. Nie widziała powodu, dla którego miałyby rozwiewać to błędne przekonanie. Dzięki temu podczas pobytu w miastach nikt jej nie zaczepiał. Z tego samego powodu zatrzymani przez nią bandyci nie próbowali wykorzystać przewagi, jaką mieli nad słabszą płcią. To zabawne -

zapewne mniej im przeszkadzała świadomość, że dali się złapać młodemu chłopcu, niż gdyby wiedzieli, że dokonała tego kobieta. Ale taka była prawda. Po prostu niektórzy mężczyźni nie traktują kobiet poważnie.

Gdyby ktoś ją zapytał, powiedziała by prawdę. W końcu wcale nie udawała kogoś innego, pozwalała jedynie ludziom pozostać przy pierwszym wrażeniu. Nie miała również żadnego wpływu na to, że nikt nie zbliżał się do niej na tyle blisko, by zauważyć pewne rzeczy. A że trochę od niej zalaatywało? No cóż, w pewnym stopniu było to uzasadnione.

Musiała polować, by mieć co włożyć do ust, a zwierzęta z ogromną łatwością potrafią zwietrzyć człowieka. To od ojca nauczyła się, w jaki sposób ukrywać swój zapach. Czasami zdarzało się, że dzięki temu dosłownie wpadała na zwierzę, które nawet nie wyczuwało grożącego mu niebezpieczeństwa.

Z tego powodu Casey nie zadawała sobie trudu, by prać ubranie, chyba że zatrzymywała się w mieście na dłużej niż dzień, chociaż kąpała się tak często, jak tylko było to możliwe. Teraz zdawała sobie sprawę, że cuchnie, ponieważ jej wełniane poncho, ilekroć przemokło, zaczynało potwornie śmierdzieć, a właśnie kilka dni temu nawiedziła te okolice ulewa.

Casey w ogóle by się tym nie przejmowała, gdyby nie miała towarzystwa, nie jechała jednak sama, a od momentu, kiedy Damian Rutledge III wkroczył na teren jej obozowiska, wielokrotnie odczuwała potworne zażenowanie.

Nigdy wcześniej nie spotkała nikogo, kto na tak długo przykułby jej uwagę jak ów człowiek ze wschodu. Ten wielkolud w eleganckim garniturze wyglądał naprawdę niezwykle. Ale, do jasnej cholery, był bardzo przystojny. Miał brązowe włosy, tak ciemne, że czasem wyglądały na czarne; szeroko rozstawione kości policzkowe, świadcząca o dużej pewności siebie broda i gęste brwi. Dzięki temu wszystkiemu jego twarz sprawiała wrażenie wyjątkowo męskiej, tak samo jak prosty nos i zdecydowanie zarysowane usta. Obdarzony był przenikliwymi szarymi oczami, które parokrotnie zaniepokoiły Casey, ponieważ odnosiła wrażenie, że ten człowiek jest w stanie przejrzeć ją na wylot.

Wytrącał ją z równowagi, po prostu wytrącał ją z równowagi. Łapała się na tym, że patrzy na niego, a robi to tylko dlatego, że on był tak miły i zerknął na nią. Czuła się przy nim dziwnie, co jej się wcale nie podobało. Poza tym parę razy wpadł jej do głowy idiotyczny pomysł, by podkreślić nieco swoją urodę i w ten sposób pokazać mu, jaka jest naprawdę, a to była już całkowita głupota. Gdy tylko dotrą do Cof-fewille, nowojorczyk pojedzie w swoją stronę.

Casey bardzo się z tego cieszyła. Nie potrzebowała dodatkowych atrakcji.

Ogólnie rzecz biorąc, dziewczyna całkiem nieźle sobie radziła. Przez jakiś czas naprawdę podle się czuła, ilekroć sobie przypominała, że opuściła dom po kłótni z ojcem. Na domiar złego złość nie pozwoliła jej na zostawienie rodzicom jakichkolwiek wyjaśnień. Po prostu wyjechała bez pożegnania, prawdę mówiąc — wykradła się w nocy.

Jednak co kilka tygodni wysyłała matce telegraficzną wiadomość, by Courtney wiedziała, że jej córka dobrze się miewa. Casey nie chciała, żeby się o nią martwili, choć wiedziała, że to zupełnie niemożliwe. Ale nie miała zamiaru wracać do domu, póki nic osiągnie swojego celu.

Chandos na swój sposób postawił na swoim. Casey jedynie robiła to samo. Próbowwała dowieść, że bez męskiej pomocy potrafi sama się utrzymać i że umożliwi jej to wykonywanie zajęcia zastrzeżonego tylko dla mężczyzn.

Czasami jednak czuła się jak przestępca, których tropiła. Doskonale знаła ojca, przypuszczała więc, że wciąż jej szuka, a niełatwo było mu umknąć. Na szczęście mógł jedynie podać opis Casey takiej, jaką pamiętał, tymczasem teraz wyglądała trochę inaczej. Z tego, co wiedziała, nikt jeszcze nie odkrył

ironii kryjącej się za używanymi przez nią inicjałami, zresztą zaledwie kilku szeryfów znało ją jako K.C. Większość ludzi mówiła na nią: Kid.

Może wkrótce będzie mogła wrócić do domu. Przynajmniej z taką nadzieją przyjechała tu, na północ.

Miała wyjątkowe szczęście. W odpowiednim czasie znalazła się w odpowiednim miejscu i podслуchała Billa Dooli-na chwającego się, że w tym tygodniu planowany jest napad na dwa banki w Coffeyville. Doolin należał do gangu Dahona. Casey bez trudu by go ujęła -

zwłaszcza że był wtedy kompletnie pijany - postanowiła jednak poczekać i złapać jednocześnie całą bandę.

Należycie odrobiła pracę domową dotyczącą tej grupy przestępczej, to znaczy przeprowadziła mnóstwo rozmów i przeczytała stare artykuły w prasie. Zawsze to robiła przed wyruszeniem na poszukiwanie takiego czy innego człowieka wyjętego spod prawa. Trzej bracia Daltonowie

- Robert, Emmett i Grattan - swego czasu byli zastępcami szeryfów nieopodal Arkansas. To okropny wstyd, gdy przedstawiciele prawa schodzą na złą drogę.

Swoją przestępczą działalność rozpoczęli zaledwie kilka lat temu w Oklahomie, przede wszystkim kradnąc konie. Potem jednak, gdy szef gangu, Robert, przeniósł się z nimi do Kalifornii, zaczęli popełniać poważniejsze przestępstwa. Na początku ubiegłego roku próbowali okraść należący do Southern Pacific Railroad ekspres jadący z San Francisco do Los Angeles. Nie udało im się, ponieważ nie zdołali otworzyć sejfu. W tej sknoconej robocie zginął jeden człowiek. Po całej Kalifornii porozklejano podobizny członków gangu, wrócili więc do Oklahomy. Grattan został aresztowany i skazany na dwadzieścia lat, udało mu się jednak uciec i przyłączyć do braci.

Najwyraźniej to właśnie wtedy w gangu pojawiło się czterech nowych członków - Charlie

„Czarna Twarz” Bryant, Charlie Pierce, „Gorzki Strumień” George Newcomb i Bill Doolin.

W maju tegoż roku okradli Santa Fe Limited w Wharton w Cherokee Strip. Tym razem nikt nie zginął, a bandyci uciekli z miejsca przestępstwa, unosząc ponad tysiąc dolarów. „Czarna Twarz” Bryant nie zdążył wydać swojej doli, ponieważ krótko po napadzie zginął w strzelaninie z szeryfem Edem Shortem.

Jeszcze w tym samym miesiącu gang zatrzymał w Leliet-cie pociąg Missouri, Kansas & Texas i zdobył łup wartości dziewiętnastu tysięcy. Potem prawdopodobnie zaszył się w jakiejś dziurze, żyjąc ze swoich nieuczciwie zdobytych pieniędzy, ponieważ wzmianki o gangu Daltona pojawiły się w gazetach dopiero w czerwcu, kiedy w Redrock obrabowano następny pociąg. Podczas ostatniego napadu w lipcu w Adair ponownie popłynęła krew - trzy osoby zostały ranne, a jedna zginęła.

Widocznie teraz rozszerzyli zakres działania na banki i postanowili okraść niejedną, lecz dwa jednocześnie. Jeśli to prawda, były to ambitne plany, jak na taką grupkę. Casey miała zamiar dotrzeć na miejsce i zapobiec napadowi, a potem zebrać całą pulę nagród.

Łączna suma proponowana za członków gangu znacznie przewyższałaby kwotę, którą Casey chciała

mieć w banku po zakończeniu operacji „Udowodnianie”. Mogłaby wrócić do domu, o czym zaczęła marzyć dwa tygodnie po opuszczeniu rodziców. Tymczasem nie widziała ich już od sześciu miesięcy. Sześciu długich i pełnych łez miesięcy.

Rozdział 8

Gdyby poprzedniego dnia jeszcze przez godzinę zostali na szlaku, mogliby przespać się w stosunkowo komfortowych warunkach. Casey o tym nie wiedziała, ponieważ po raz pierwszy zapuściła się tak daleko na północ i dotarła aż do Kansas. Nie wiedziała również, że nim dojedzie do następnego miasta, skończą się jej zapasy, do czego wydatnie przyczyniły się trzy dodatkowe osoby.

Tego ranka późno wyruszyli w drogę, ponieważ ponownie musiała zapolować, by mieli coś na śniadanie. Poprzedniego wieczoru skończyły się konserwy i składniki na ciasto. W każdym mieście, przez które przejeżdżała, kupowała taką ilość podstawowych produktów, by dotrzeć do następnego dużego skupiska ludzi, nie wzięła jednak pod uwagę, że tym razem spotka po drodze zbłąkanego nowojorczyka i dwóch niezbyt roztropnych opryszków, zajmujących się napadaniem na dyliżanse. Więc chociaż mieli przed sobą zaledwie godzinę drogi, do Coffeyville wjechali dopiero późnym rankiem.

Było to całkiem przyzwoite kupieckie miasto. Wiedząc, że są w nim dwa banki. Casey przypuszczała, że tak właśnie będzie. Kiedy jechali główną ulicą, kierując się do biura szeryfa, dostrzegła oba - First National Bank i znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy Condon Bank. Potem rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu dobrego punktu obserwacyjnego.

Na ulicy pracowali robotnicy - chwilowo usuwali sprzed obu banków poręczę do wiązania koni. Przejeżdżając obok nich, Casey wcale nie była pewna, czy podoba jej się to, co robią.

Bandyci napadający na banki zazwyczaj liczą, że będą mogli uwięzić swoje konie blisko wyjścia, by mieć zapewnioną drogę odwrotu, dlatego wybierają poręczę znajdujące się bezpośrednio przed celem ich napadu lub nieco w bok od niego. Jeżeli Daltonowie przyjadą i zobaczą, że nie mają gdzie zostawić swoich wierzchowców, mogą zrezygnować z napadu i odjechać.

To byłoby dobre dla miasta, ale nie wykluczyłoby tych konkretnych przestępców z gry. W

takim razie musiałaby rozpoznać ich na podstawie opisów, które udało jej się zdobyć -

oczywiście, gdyby nadal miała zamiar oddać ich w ręce stróżów porządku.

Na razie jednak wszędzie było cicho, wyglądało więc na to, że jest dość czasu, by odwieźć dwóch schwytanych, a potem rozpocząć przygotowania do ujęcia następnych.

Wciąż nie podjęła jeszcze decyzji, czy powiedzieć tutejszemu szeryfowi, na co się zanoszą.

Zawsze istniała szansa, że człowiek ten podziękuje jej za informację i poradzi, by trzymała się z dala od miasta. Tym sposobem to on stałby się bohaterem. I zgarnął całą pulę nagród.

Dziewczyna nie wykluczała również, że szeryf ją wydrwi i nie da wiary jej słowom. W końcu w tych

okolicach dobrze znano gang Daltonów z napadów na pociągi, nie na banki.

Pozostawała jeszcze jedna sprawa - Casey dobrze wiedziała, co potrafi, czego nie mogła powiedzieć o innych. Z drugiej strony, nigdy dotąd nie próbowała ująć tak wielu przestępców naraz. Przymuszczałnie ostateczną decyzję będzie musiała podjąć po spotkaniu z szeryfem.

Właśnie dotarła do jego biura.

Przemierzając miasto. Damian, Casey i ich towarzysze zdążyli już zwrócić na siebie uwagę, ponieważ na każdym koniu jechały dwie osoby, a na dodatek Billybob i Vince byli związani.

Ciekawscy mieszkańcy Coffeyville chętnie pomogli ściągnąć przestępców z konia i doprowadzić ich przed oblicze szeryfa. Jak się okazało, za obu mężczyznznaczono niewielkie nagrody, gdyż nie był to ich pierwszy napad na dylizans. Damian więc nie musiał opowiadać o tym, co się wydarzyło. Wystarczyło, że wspomniał o rozbitym dylizansie i zaginionym woźnicy.

Było trochę zamieszania, ponieważ z niezrozumiałych powodów, które zresztą bardzo rozdrażniły Casey, wszyscy założyli, że to Damian ujął przestępców. Tylko dlatego, że on był tak cholernie wysoki, a ona wyglądała bardzo młodo... - idiotyczne, pierwsze wrażenia.

Damian wyszedł, gdy tylko szeryf go zwolnił. Casey chciała się z nim pożegnać, gdyż musiała jeszcze pozłatwiać różne formalności.

- Życzę miłej podróży - powiedziała, wyciągając ręką.

- Wystarczyłoby mi, gdyby była pozbawiona przygód, przynajmniej póki nie dotrę do Teksasu - odparł.

- Ach, to prawda, przecież polujesz na człowieka. W takim razie życzę również szczęścia.

Damian ujął jej dłoń i mocno ją uściskał.

- Dziękuję za pomoc, Casey. Gdybym tamtego wieczoru nie dostrzegł twojego ogniska, przymuszczałnie do dziś krążyłbym po okolicy.

Casey nie bardzo się z tym zgadzała, ale nie powiedziała nic. Potrząsnęła jego dłonią, potem się zarumieniła, ponieważ dotyk jego ręki wywołał u niej jakiś dziwny niepokój. Damian chyba tego nie zauważył. Był roztargniony, ponieważ zależało mu na tym, by ruszyć już w dalszą drogę. Rozejrzał się w jedną i w drugą stronę, by sprawdzić, co to miasteczko ma mu do zaoferowania.

- W takim razie do widzenia - powiedziała, po czym szybko odwróciła się na pięcie i weszła do biura szeryfa.

Prawdopodobnie po raz ostatni widziała żółtodzioba. Damian pewnie zamelduje się z najdroższym hotelu w mieście, podczas gdy dla Casey najważniejsza była oszczędność, dlatego zawsze szukała najtańszych pensjonatów. Wieczorem będzie przesiadywać w saloonach, ponieważ tam najlepiej

zbiera się informacje. Jej dotychczasowy towarzysz natomiast pójdzie do teatru, o ile taki tu istnieje.

Zdaniem Casey Damian powinien wrócić do domu. Zachód potrafi być bardzo niemiły dla ludzi, którzy nie urodzili się na tych terenach. Czyż osobiście się o tym nic przekonał? Tylko czy przy okazji czegoś się nauczył?! Do diabła, nie! Mieszkańcy wschodu czasami sprawiają wrażenie, jakby należeli do innej rasy. Inaczej patrzą na rzeczywistość, prawie nic nie wiedzą o sztuce przetrwania i nie potrafią obyć się bez przedmiotów, do których przywykli... Znowu popełnia ten sam błąd - myśli o mężczyźnie, chociaż nie powinna tego robić.

Wróciła do załatwiania formalności i ponownie stanęła przed koniecznością podjęcia decyzji, czy ma powiedzieć o wszystkim szeryfowi, czy nie. Nie miała dobrego zdania o jego zastępcach, ponieważ musiała wysłuchiwać dowcipów na temat jej młodego wieku. Uznali nawet, że musiała przez przypadek natknąć się na śpiących lub pijanych opryszków. gdyż inaczej nie zdołałaby ich ująć. Niczego nie prostowała. Wolała, by jak najmniej osób wiedziało, do czego jest zdolna.

Dopiero po dobrych dwudziestu minutach szeryf skończył załatwianie różnych formalności i kazał jej przyjść nazajutrz po dwieście dolarów. To nie była zbyt wysoka nagroda za ujęcie pary opryszków napadających na dyliżanse, ale Billybob i Vince dopiero niedawno zaczęli naruszać prawo.

Potem było już za późno na podejmowanie decyzji, czy mówić szeryfowi o tym, co wie, czy lepiej wszystko przemilczeć. Do jej uszu dotarły charakterystyczne odgłosy wystrzałów, i to przynajmniej kilku. Zapominając o niej, szeryf i jego zastępcy wybiegli z biura.

Casey naprawdę miała ogromną nadzieję, że gang Daltona nie dotarł jeszcze do miasta.

Jednak w głębi duszy westchnęła, obawiając się, iż są to płonne nadzieje. Chociaż, sądząc po odgłosach, ich plany zdecydowanie się nie powiodły.

Rozdział 9

Damian stał z podniesionymi rękami, nie mogąc uwierzyć, że ponownie go okradają i że właśnie odbierają mu te same pieniądze. Przypomnił sobie ostrzeżenie, które padło z ust Cascya. gdy poprzedniego wieczoru siedzieli przy ognisku.

- Jest szansa, że pieniądze, które Billybob i Vince ci ukradli, są jeszcze w ich kieszeniach lub jukach. Lepiej odbierz je teraz, Damianie, ponieważ wątpię, by szeryf ci je zwrócił. Sam kiedyś czekałem tydzień na odbiór nagrody. Słowo daję, przedstawiciele prawa i urzędnicy nie żyją ze sobą w zbytnej zgodzie.

- Wcale mnie to nie martwi - odparł Damian. - Mogę kazać sobie przysłać pieniądze. Prawdę mówiąc, zaraz po przyjeździe muszę się wybrać do banku, żeby...

- Nie robiłbym tego.

- Słucham?

- Po prostu spróbuj mi uwierzyć, Damianie. Będąc w mieście, trzymaj się z dala od banków.

Potem dzieciak zmienił temat. Pieniądze rzeczywiście znalazły się w sakwie Vince'a. Damian odzyskał je tylko po to, by teraz wręczyć je bandycie, który właśnie napadł na bank.

Trzej mężczyźni, którzy weszli do Condon Bank, byli uzbrojeni po zęby. Mieli winchestery i rewolwery. Poza tym natychmiast wzięli na muszkę kilku klientów i pracowników banku.

Dwóch bandytów miało przyklejone sztuczne wąsy. Wszyscy wyglądali na młodych, mogli mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. I byli śmiertelnie poważni. Damian przypuszczał, że nie pozwolą sobie na żadne partactwo. Ich spojrzenia jednoznacznie świadczyły o tym, że jeśli tylko napotkają jakiś opór, bez wahania zaczną zabijać.

Damian - tak samo jak poprzednio — nie miał broni, nie mógł więc w żaden sposób zaprotestować. Dodatkowy rewolwer, który ostatnio nosił, oddał szeryfowi.

Ponownie go okradano. Nie do uwierzenia. Na dodatek w świetle dziennym, w samym środku miasta, w czasie, kiedy na ulicach roiło się od ludzi i robotników. A dzieciak wiedział, że to się wydarzy. Próbował go ostrzec. Damian uznał jednak, że chłopak jest nadgorliwy... lub złośliwy i próbuje dodatkowo go zdenerwować. Co może człowiekowi się przydarzyć wczesnym rankiem w tłumie ludzi?

Przez kilka minut panowało napięcie, ponieważ wszyscy czekali, aż o dziewiątej czterdzieści pięć otworzy się ustawiony na tę godzinę zamek do skarbcza. W tym czasie napastnicy kazali klientom banku opróżnić kieszenie. Od początku napadu do Condon Bank nie wszedł nikt nowy, Damian zauważył jednak, że przez okno ktoś zagląda do środka. Facet musiał

zauważyć wyciągniętą broń i domyślić się reszty, ponieważ w chwilę później na ulicy rozległy się krzyki i ogłoszono alarm.

To niespodziewanie położyło kres napadowi. Jeden z rabusiów zaklął. Drugi zbladł. Teraz nie wydawali się już tacy pewni siebie, prawdę mówiąc: zapomnieli o skarbcu i strzelając z rewolwerów, rzucili się do drzwi. Wszyscy obecni na ulicy chwycili za broń. Zaczęło się istne pandemonium.

Przy pierwszych strzałach większość ludzi znajdujących się w banku rzuciła się na podłogę.

Damian tego nie zauważył, nie pomyślał również, by zrobić to samo. Podeszedł powoli do drzwi i przez chwilę obojętnie wszystko obserwował. Z naprzeciwnka, z First National Bank, wypadło dwóch następnych mężczyzn z rewolwerami w rękach, unosząc łupy. Ktoś próbował

ich zatrzymać. Został zastrzelony z winchestera. Kilka sekund później zginęło dwóch następnych świadków, którzy weszli w drogę przestępcom, usiłującym uciekać w dół ulicy.

Potem tuż koło ucha Damiana świsnęła kula. Przeleciała tak blisko, że poczuł jej ciepło.

Chociaż dookoła latał grad pocisków, ten jeden kawałek ołowiu wytrącił Damiana z równowagi. Nie miał jednak na kim wyładować złości... póki nic zobaczył przebiegającej obok Casey, podążającej w kierunku, w którym uciekli bandyci.

To była potworna rzeź. Nim padł ostatni strzał, Casey dotarła do znajdującej się najbliżej banku przecznicy, w której Daltonowie ukryli swoje konie. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Emmett Dalton spada z konia.

Strzelanina trwała zaledwie pięć minut. W tym czasie zginęło czterech mieszkańców miasta, łącznie z szeryfem, który wymienił w przecznicy kilka strzałów z Gratem Daltonem. czego nic przeżył żaden z nich. Zresztą zaulek ten stał się śmiertelną pułapką. Wszyscy bandyci dotarli do koni, ale w ich stronę poleciało zbyt dużo kul. by złodziejaszkom uszło to na sucho.

Robert i Grat Daltonowie nie żyli, Dick Broadwell i Bill Powers również. Doolina, którego przechwałki Casey podsłuchiwała, nawet tam nic było.

Prawdę mówiąc, tego ranka okulał mu koń i dlatego Doolin został daleko w tyle. chociaż nie wyciągnął żadnego wniosku z błędu popełnionego przez swoich zastrzelonych kumpli, ponieważ w jakiś czas później założył własny gang i kontynuował dotychczasowy proceder.

Jako jedyny przeżył ten dzień Emmett Dalton. Po wylizaniu się z ran czekało go dożywocie w więzieniu stanowym w Kansas.

Spoglądając na wynik napadu, Casey siarczyście zakłęła. Mogła wziąć żywcem wszystkich tych bandziorów, w najgorszym wypadku ściągnąć ich z koni, każdego raniąc w nogę. Tym sposobem zostaliby unieszkodliwieni i szybko by się poddali.

Pozostaliby jednak przy życiu. To wcale nie oznaczało, że Casey rozpacziała z powodu ich śmierci. Nie mogła się tylko pogodzić, że zabrali ze sobą na tamten świat niewinnych przechodniów. To zawsze wywoływało u niej ból serca.

Gdyby dotarła do Coffeyville nieco wcześniej, mogłaby uratować tych ludzi. Powinna.

Właściwie miała szansę przyjechać tu wczoraj, może nawet przedwczoraj, a wówczas miałyby mnóstwo czasu. Przeszkodził jej jednak dodatkowy bagaż...

Damian i jego cholerni dyliżansowi rabusie.

Vince i Billybob właściwie nie spowodowali żadnego opóźnienia. Trochę zwalniali tempo posuwania się do przodu, ale dla nich samych nie wyruszyłaby tego ranka na polowanie, zwłaszcza że już wkrótce miała ich przekazać szeryfowi. Wcale by się nie przejmowała, gdyby tej parze jeszcze przez kilka godzin poburczało w brzuchu. Wtedy zdążyłaby dotrzeć do miasta na czas.

Inaczej wyglądała sprawa z Damianem. Nawet nie przyszło jej do głowy, by mu powiedzieć, że na następny posiłek będzie musiał poczekać, aż dotrą do miasta. Doskonale wiedziała, że większość takich wielkoludów jak on ma nienasycony apetyt. Poza tym przyjechał tu ze wschodu, co w jej mniemaniu oznaczało, że na szlaku jest całkowicie bezradny. Od chwili, kiedy pozwoliła mu skorzystać ze swojego ogniska, czuła się za niego odpowiedzialna, co było jednoznaczne z koniecznością karmienia go.

Damian nie powinien się tu znajdować. Przede wszystkim mieszkańcy wielkich miast w ogóle nie powinni pojawiać się na zachodzie. To, że mimo wszystko tu przyjechał, było jego sprawą, to on o tym zdecydował, dlatego Casey mogła rzucić na niego całą winę za swoje niepowodzenie. Nie było go jednak w pobliżu. To dobrze, ponieważ czuła, że mogłaby go nawet zastrzelić.

W tym momencie się pojawił...

Casey zdała sobie z tego sprawę, gdy jej plecy spotkały się z najbliższą ścianą, nogi zawisły nad chodnikiem, a jej poncho, koszula i ukryty pod tym wszystkim stanik znalazły się nagle w ogromnej garści Damiana, który trzymał dziewczynę wysoko nad ziemią. Jego druga pięść wymierzona była prosto w jej twarz, gotowa do zadania druzgocącego ciosu.

Powinna zacząć wołać o pomoc, ale nawet nie drgnęła. Uznała, że Damian nie uderzy chłopca, którym w jego przekonaniu była. Ku jej ogromnej uldze okazało się, że miała rację.

Burknąwszy z obrzydzenia, opuścił ją na ziemię i przeszył wzrokiem. Jego oczy w tym momencie były szare jak niebo przed burzą.

Nie wiedziała, o co mu chodzi, mimo to jej złość wcale nie ziała. Jednak Casey, gdy była wściekła, nie miała takich skrupułów jak Damian. Bez wahania zadała Damianowi pięścią cios między oczy, jakkolwiek jej uderzenie nie padło dokładnie tam, gdzie celowała. Z

powodu jego wysokiego wzrostu nie udało jej się starannie wymierzyć. To, oczywiście, spowodowało, że ponownie zawisła nad chodnikiem. Nie miała zamiaru czekać, by sprawdzić, czy Damian ma zamiar ją udusić, czy tylko powstrzymać.

Sięgnęła po rewolwer. Natychmiast zamarł w bezruchu i zacisnął dłonie w pięści. Jego twarz poczerwieniała ze złości, która teraz, z powodu bezsilności, zamieniła się w furię.

Co dziwne, gdy tylko Casey zdobyła przewagę, poczuła, że jej wściekłość gwałtownie maleje.

Trochę pomogło jej też i to, że go uderzyła, chociaż nie wyrządziła mu żadnej krzywdy, jako że użyła lewej ręki. Wiedziała, że lepiej nie wymierzać ciosów ręką, która mierzy z rewolweru. Starła się nie zwracać uwagi na pulsowanie odczuwane w lewej dłoni.

- To było całkiem uczciwe, prawda? - warknął szyderczo.

- Jasne, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę twoje rozmiary.

Jej spokojny ton jeszcze bardziej go rozzłościł.

- Wiedziałaś, że te banki zostaną obrabowane, prawda? To oczywiste!

Casey nie odpowiedziała. zaproponowała jedynie:

- Nie załatwiamy tej sprawy na ulicy, żółtodziobie. Co prawda nie zwrócili na siebie niczyjej uwagi ani nikt nie mógł ich podsłuchać, ponieważ połowa mieszkańców Coffeyville tłoczyła się w

pobliskiej przecznicy, usiłując coś zobaczyć. Nawet najbliższy sklep, do którego Casey wpełzła Damiana, był całkiem pusty - właściciel, tak samo jak wszyscy, koniecznie chciał

się dowiedzieć, co to za strzelanina o tak wczesnej porze dnia.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Damian powtórzył pytanie. Teraz nie widziała powodu, dla którego miałyby zaprzeczać.

Szorstko kiwnęła głową, ale to go nie zadowoliło.

- Skąd to wiedziałeś? - spytał groźnie.

- Kilka tygodni temu, będąc w jakiejś piekielnej dziurze daleko na południe stąd, rozpoznałem jednego z członków gangu. Miałem zamiar go ująć i w tym celu zbliżałem się do niego, kiedy usłyszałem, o czym mówi, lub może czym się przechwala kumplowi.

- Mówił o napadzie na tutejsze banki?

- Tak.

- Ten człowiek opowiadał o tym, chociaż ktoś mógł go podsłuchać?

- Nie wiedział, że jest podsłuchiwany. Kiedy chcę, potrafię być niezauważalny. Poza tym tego wieczoru wypił ogromną ilość bimbrow. Nie zauważyłby muchy na swoim nosie, tym bardziej mnie.

- Dzięki temu wiedziałeś dokładnie, co tu się będzie działo. Cholera jasna, Casey, niewiele brakowało, a zginąłbym w tym banku. Nie mogłeś wspomnieć o tym wczoraj podczas naszej wieczornej rozmowy? - spytał rozczarowany.

- Takimi informacjami dzielę się tylko z przedstawicielami prawa. Trzeba było mi uwierzyć i odpowiednio potraktować moje ostrzeżenie - nic by ci wtedy nie groziło i nie znalazłbyś się na linii strzału. Dlaczego, do diabła, tego nie zrobiłeś?

Trzeba przyznać, że Damian lekko się zarumienił, ponieważ został przyłapany na tym, że zignorował otrzymaną radę.

- Miałem zamiar wpaść do tego banku tylko na minutę lub dwie. Chciałem jedynie sprawdzić, czy w razie potrzeby będę mógł wydać polecenie, by przelano mi tu jakieś pieniądze. Teraz rzeczywiście będę ich potrzebował, ponieważ ci bandyci zabrali mi odzyskaną właśnie gotówkę.

- Zasłużyłeś sobie na to, nie słuchając moich rad - orzekła Casey bez cienia współczucia. -

Pozwól, że powiem ci coś jeszcze. Może zdążyłeś się zorientować, że ludzie leżący teraz na ulicy znajdowali się tam, gdzie nie powinni. Mógłbym temu zapobiec, gdybym dotarł tu wczoraj. Czemu się spóźniłem? Ponieważ pojawiłeś się w moim obozowisku. Przez ciebie straciłem również mnóstwo pieniędzy - ponad dziesięć tysięcy dolarów, które dostałbym za całą tę zgraję.

Usłyszawszy to. Damian zeszywniał.

- Cholera jasna, zaczekaj chwileczkę, dzieciaku. Nie możesz mnie obwiniać o to, że ci ludzie ponieśli śmierć. a ty straciłeś swoje nagrody. Chyba że. twoim zdaniem, byłbyś w stanie w pojedynkę ująć ich wszystkich i sam nie zginąć - zadrwił Damian. - Ja jednak nie bardzo w to wierzę.

Casey westchnęła.

- Czyżbyś zapomniał, Damianie, że na tym polega moja praca? Ścigam i łapię przestępców, a oni dokładają wszelkich starań, by tego uniknąć. Nie lada gratką jest trafienie na grupkę opryszków zebraną w jednym miejscu. Większość ludzi nie jest na tyle głupia, by sięgać po broń. gdy ktoś w nich mierzy. Byłoby to jawne zaproszenie dla przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Jednak desperaci czasami to robią. Jeśli myślisz inaczej, to znaczy, że próbujesz się oszukiwać. Prawdę mówiąc, zabiliby cię, gdybyś tylko spróbował tej sztuczki. Moim zdaniem bardziej wygląda na to, że uratowałem ci życie, uniemożliwiając podjęcie takiej próby.

Casey wywróciła oczami.

- Nigdy nie będziemy mieć co do tego całkowitej pewności, prawda? Wiem natomiast, że po tej operacji miałbym dość pieniędzy, by pozwolić sobie na odpoczynek, a tak ich nie mam.

Dam ci jeszcze ostatnią radę, Damianie. Wracaj do domu. To nie miejsce dla ciebie. Prawdę mówiąc, jest jeszcze coś. Do diabła, trzymaj się ode mnie z daleka.

Rozdział 10

Przez kilka następnych dni Damian leczył stopy. Pieścił się z nimi, by pęcherze mogły się wygoić, chociaż to oznaczało siedzenie w pokoju hotelowym, a nawet zamawianie do niego posiłków, by uniknąć wkładania butów. Ściągnął również na wizytę miejscowego lekarza i kazał obejrzeć sobie ranę na głowie. Po wielu sykach usłyszał, że powinno się tę ranę zeszyć, ale było już za późno, ponieważ zaczynała się goić.

Damian z przyjemnością został w pokoju hotelowym. Bez wątplenia nic był to luksusowy apartament, do jakich przywykł, ale i tak bił na głowę klitki, w których się zatrzymywał, jadąc na zachód. Poza tym nowojorczyk wcale nie miał zamiaru oglądać ani zwiedzać tutejszych miast. Liczył natomiast na to. że przed wyjazdem uda mu się kupić melonik i... strzelbę. Nic chciał, by ponownie coś go zaskoczyło, a on nic miał broni. Ale ta sprawa mogła poczekać, aż będzie gotów wsiąść do pociągu i kontynuować swoją podróż na południe.

Jednak siedzenie w pokoju wiązało się z całkowitą beczynnością. Damian przeczytał więc ponownie dokumenty dotyczące mężczyzn poszukiwanych przez prawo na zachód od Missouri. W jego kartotece byli bracia Daltonowie i znani członkowie ich gangu. Nie wszyscy wzięli udział w napadzie na banki w Coffeyville, jednak na szczęście przynajmniej trzech bracia Daltonowie już nigdy więcej nie pojawią się w żadnej kartotece.

Wracając do zdrowia po przejściach „na szlaku”, Damian również bardzo dużo rozmyślał.

Patrząc na wszystko z per-spektywy czasu, żałował, że w tak niemiły sposób rozstał się z Caseyem. Polubił tego dzieciaka. Tego dnia, kiedy napadnięto na bank, Kid dał mu ostatnią radę. po czym po prostu odszedł. Od tego czasu Damian go nie widział. Chociaż wcale nic dlatego, że wziął sobie tę radę do serca i starał się unikać chłopaka. Po prostu nie ruszał się z hotelu, nie wiedział więc, czy Casey wciąż jeszcze jest w mieście, czy nie.

Rozważywszy wszystko, Damian czuł się winny. Gdy rozpaczliwie potrzebował pomocy, Casey mu jej udzielił. Owszem, Damian mu za to podziękował, niemniej później omal nie pobił go do nieprzytomności. Nie tak traktuje się kogoś, kto prawdopodobnie uratował człowiekowi życie.

Poza tym w głowie Damiana wciąż odbijało się echem jedno zdanie: „Ścigam i łapię przestępców, a oni dokładają wszelkich starań, by mi umknąć”.

W głębi duszy Damian przyznał się już, że właściwie nie ma pojęcia, w jaki sposób znaleźć Henry'ego Curruthersa. Znał jedynie nazwę miasta, w którym po raz ostatni go widziano.

Natomiast ktoś taki jak Casey wiedziałby, co należy zrobić, by dopaść mordercę. Chłopak w taki właśnie sposób zarabiał na życie.

W jakiś czas później Damianowi wpadł do głowy pomysł, by zlecić tę robotę Kidowi, ale nie załatwił tej sprawy od razu. Powód tej zwłoki był prosty. Nowojorczyk przywykł do otrzymywania od ludzi tego, na czym mu zależy, tymczasem od Casey'a spodziewał się zdecydowanej odmowy. Nie chciał jednak, by teraz, po wszystkim, co przeszedł, ktoś odrzucił jego propozycję.

W końcu jednak zdrowy rozsądek zwyciężył. Dzięki Casey'owi Damian mógł zaoszczędzić tygodnie, a nawet miesiące. Poza tym proszenie nie boli. Jeśli spotka się z odmową, zawsze będzie mógł poszukać innego łowcy nagród. Chociaż wolałby dzieciaka, ponieważ już go zna i na własne oczy widział, co Casey potrafi. Poza tym ufał mu, chociaż nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Tymczasem ktoś. kogo by nic znał...

Po podjęciu decyzji Damian zaczął się obawiać, że przegapił szansę i że dzieciak już zmienił miejsce pobytu. Postanowił go jednak poszukać. Dopisało mu szczęście.

Poszedł do obskurnego pensjonatu na skraju miasta, najtańszego miejsca, jakie można było znaleźć. Niechlujna właścicielka wskazała Damianowi pierwsze drzwi na piętrze.

Nowojorczyk obawiał się, że któryś ze stopni może się złamać pod jego ciężarem, ponieważ drewno groźnie trzeszczało, gdy szedł na górę. Nikt nie odpowiedział na pukanie. Ku zaskoczeniu Damiana drzwi były otwarte, wszedł więc do środka, by zaczekać.

Wchodząc, nie przypuszczał, że Casey jest u siebie, a jednak był. Chłopak wyszedł z mającej wielkość szafy łazie-neczki, pocierając ręcznikiem głowę - niewątpliwie mył włosy i dlatego nic słyszał pukania. Nie miał na sobie pon-cha. Damian po raz pierwszy zobaczył Kida bez tej części

garderoby.

Jak na mniej więcej piętnasto-, szesnastoletniego chłopaka Casey był chudszy, niż Damian przypuszczał, i miał bardzo wąskie ramiona. Zbyt duża na niego, wetknięta do spodni biała koszula ukazywała talię tak szczupłą, że mogłaby się stać powodem zazdrości wielu kobiet.

Nawet pozbawione mokasynów stopy były bardzo małe i wyglądały na drobne.

Prawdę mówiąc, czysty Casey bardziej przypominał dziewczynę, i to ładną. Może Damian wyświadczyłby mu przysługę, gdyby kilka dni temu zdzielił go pięścią w twarz?

Zniekształcony na stałe nos odciągałby uwagę od urody chłopaka.

Zauważywszy stojącego obok łóżka Damiana, Kid zamarł w bezruchu, jedynie przymrużył złociste oczy.

- Jak tu, do diabła, wszedłeś?

- Drzwi nie były zamknięte.

- Czy wisi na nich wywieszka: „Proszę wejść”? - spytała sarkastycznie Casey, owijając ręcznik wokół szyi, a potem opuszczając jego końce na klatkę piersiową i mocno je tam trzymając. - A może teraz zajmujesz się włamywaniem do cudzych pokojów. Damianie?

Oblał się pąsem.

Siedząca na dole kobieta powiedziała mi, że jesteś. Kiedy nie odpowiedziałeś na pukanie...

chciałem sprawdzić, czy nic ci nie jest.

- Czuję się całkiem nieźle. Ale będzie mi jeszcze milej... gdy stąd wyjdiesz.

- Nie jesteś zbyt gościnnie.

- Jasne. Ale przynajmniej cię nie zastrzeliłem. Damian się uśmiechnął. Nic nie mógł na to poradzić.

Rozczarowany Casey zachowywał się gorzej niż rozkapryszona kobieta.

- Chciałbym przeprosić za swoje zachowanie tamtego ranka. Przyznaję, że nic zapanowałem nad swoim gniewem.

- Zauważyłem.

To już się nie powtórzy - zapewnił Damian. Casey wzruszyła ramionami.

- Niewiele mnie to obchodzi, czy jeszcze kiedykolwiek dasz upust swojej złości. Nie będę tego widział. Teraz możesz uznać, że mnie już przeprosiłeś. Ja obiecuję to samo. Drzwi są za tobą.

Damian westchnął. Dzieciak nie ułatwiał mu zadania. Poza tym miał nieprzenikniony wyraz twarzy - ten, pod którym tak skutecznie ukrywał swoje uczucia i który kilkakrotnie nieco wytrącił Damiana z równowagi. Chociaż tym razem tak się nie stało, gdyż chłopak był nic uzbrojony - jego rewolwer i pas wisiały na oparciu jedyne krzesła, które stało w pobliżu Damiana.

- Nim wyjdę, chciałbym ci coś zaproponować - wyjaśnił Damian.

- Nie interesują mnie twoje propozycje.

- Nim odrzucisz moją ofertę, może warto, żebyś poświęcił krótką chwilę i przynajmniej mnie wysłuchał.

- Skąd wiesz, że warto, skoro powiedziałem, iż mnie to nie interesuje?

Damian zignorował ten komentarz.

- Chciałbym, żebyś znalazł dla mnie mordercę. Casey westchnęła.

- Czy wyglądam na kogoś, kogo można wynająć, Damianie? Nic. Sam decyduję, kogo chcę ścigać. To proste. Wtedy nikt nie próbuje mi rozkazywać, nikt nie zmusza mnie do tego, żebym szybciej doprowadził sprawę do końca, nikt się nie skarży, że postępuję inaczej, niż powinienem.

- Zapłacę ci dziesięć tysięcy dolarów.

Po tych słowach z twarzy Casey zniknęła maska obojętności. Spojrzała z niedowierzaniem.

Kwota, którą wymienił Damian, nie była przypadkowa - Casey uważała, że dokładnie tyle straciła.

- Jesteś szalony? - brzmiały pierwsze słowa.

- Nie, jedynie bardzo bogaty.

- To wyrzucanie ogromnych pieniędzy.

- Wszystko zależy od tego, jak się na to patrzy. Ten człowiek zamordował mojego ojca, Casey, i każdego dnia do szalu doprowadza mnie myśl, że takiemu bandycie udało się uniknąć sprawiedliwości. Poza tym wydałem już tysiące dolarów na prywatnych detektywów, którzy znaleźli jego ślad w Fort Worth, w Teksasie. Tam też go zgubili. Dlatego jadę w tamte strony i chcę osobiście znaleźć tego człowieka. Jeżeli dzięki twojej pomocy złapię go szybciej, niż gdybym szukał sam, wówczas gra będzie warta świeczki.

Kid przeszedł kilka kroków i usiadł na brzegu łóżka. Przez kilka długich minut wpatrywał się w podłogę. Damian nie odezwał się już ani słowem, pozwalając chłopakowi na dokładne przemyślenie sprawy. Liczył na to, że na ostateczną decyzję wpłynie poczucie sprawiedliwości młodzieńca.

Po jakimś czasie dzieciak w końcu podniósł głowę i powiedział:

- Muszę być z tobą szczery. Znam kilkunastu facetów, którzy przyjmą tę robotę za drobną częśćkę tego, co chcesz zapłacić. Wszyscy są równie dobrymi łowcami nagród. Gdybyś wiedział, gdzie szukać, znalazłbyś też wielu chętnych rewolwerowców, którzy w ten sposób zarabiają na życie.

- Sam fakt, że mi o tym mówisz, jedynie potwierdza, iż mój wybór padł na właściwą osobę.

Dlatego właśnie chcę ciebie. Wierzę, że nie wyprowadzisz mnie w pole i nie wykorzystasz mojej całkowitej nieznajomości tej części kraju. Nie znam nikogo innego, nikomu nie ufam.

dlatego moja propozycja dotyczy ciebie, wyłącznie ciebie.

Minęło kilka następnych, wypełnionych milczeniem minut, ale tym razem były bardziej nieznośne niż poprzednio, ponieważ chłopak nie okazywał, co myśli. Damian wiedział, że Kid wolałby nie mieć z nim więcej do czynienia. Zdawał sobie jednak również sprawę, jak ważne dla dzieciaka są pieniądze. Inaczej nie byłby taki zły, że nie udało mu się wziąć nagród za gang Daltonów.

- W porządku - oświadczyła w końcu Casey. - Powiedz mi wszystko, co wiesz o tym człowieku.

Damian w głębi duszy westchnął z ulgą.

- Wszystkiego dowiesz się w drodze.

- Co takiego?

- Jadę z tobą.

- Nic z tego.

- To część umowy. Muszę przy tym być, zidentyfikować go...

- A potem zabić? - urwała Casey, mrużąc oczy. - Pamiętam, jak mówiłeś, że masz taki zamiar. Ale jeśli myślisz, że będę tam stał i pozwolę ci zastrzelić tego człowieka z zimną krwią, to grubo się mylisz.

- Czyż nie jest to niepisana zasada obowiązująca w twoim zawodzie? - przypomniał Damian.

- „Żywy lub martwy”. Te słowa widnieją na każdym liście gońcym, nie ma tam jednak wyjaśnienia, w jaki sposób postarać się o to, by przestępca był „martwy”.

- Ja kieruję się własnymi zasadami. Damianie, a wśród nich nie ma zabijania.

- Tak. Już wcześniej zauważyłem, że w taki właśnie sposób załatwiasz swoje sprawy. Ale nic musisz się o to martwić. Nie mam zamiaru odbierać temu człowiekowi życia, chyba że mnie do tego sprowokuje. Żywię jedynie nadzieję, że będzie próbował to zrobić, ale wystarczy mi, jeżeli ten drań resztę życia spędzi w więzieniu. Niektórzy uważają, że to gorsze od śmierci.

- Mam na to twoje słowo? Jeśli to konieczne, to tak.

- Zgoda. Wyruszamy jutro rano. Kup sobie konia... Damian mu przerwał:

- Pojedziemy pociągiem. Oszczędzimy w ten sposób nieco czasu, przynajmniej dopóty, dopóki tory będą zmierzały w tę samą stronę co my. Kupię bilety, ponieważ mam zamiar pokrywać wszystkie koszty podróży.

Dzieciak obdarzył Damiana spojrzeniem, które wyraźnie mówiło: „Już rozkazy?” Powiedział jedynie:

- Z mojego doświadczenia wynika, że pociągi nie zawsze są szybsze, ale rób, co uważasz za słuszne.

Rozdział 11

Casey przez resztę dnia miała do siebie pretensje, że uległa pokusie. Nigdy nie powinna się zgodzić na ponowne „towarzystwo” Damiana Rulledge'a. Znalezienie mordercy to jedna sprawa, lecz zabieranie ze sobą Damiana... powinna wiedzieć, że nie należy tego robić.

Zdawała sobie już sprawę z tego, jak jest jej trudno, gdy on kręci się w pobliżu.

Czuła się z nim jak matka z małym dzieckiem, przy którym wszystko trzeba zrobić, ponieważ ono samo tego nie potrafi, gdy jednak na niego spojrzała, czuła coś całkiem innego. Za bardzo ją poruszał. Sprawiał, że budziło się w niej coś, do czego nie przywykła. Do diabła, nawet gdy wydawało jej się, że już nigdy więcej go nie zobaczy, nie przestawała o nim myśleć.

Jednak dziesięć tysięcy dolarów za wykonanie jednego zlecenia... nie, za nic w świecie nie mogła odrzucić takiej propozycji, ponieważ zaraz po ukończeniu tej roboty będzie mogła wrócić do domu. Wysokość nagrody podawana na listach gończych zazwyczaj miała związek z tym, jak groźny był ścigany. W tym przypadku ta reguła nie obowiązywała. W końcu morderca to człowiek ze wschodu, czy mógł więc być niebezpieczny?

To będzie łatwe zadanie, zbyt łatwe jak na proponowane pieniądze. Casey jednak wcale nie miała zamiaru martwić się tym, że Damian chce wyrzucić w błoto taką ogromną kwotę.

Będzie tylko musiała poradzić sobie z pewnymi niedogodnościami... które dały znać o sobie już następnego dnia.

Casey pojawiła się na stacji kolejowej o godzinie, którą podał jej Damian. Łatwo było go znaleźć. Miał na sobie elegancki garnitur, a na głowie głupio wyglądający kapelusz, który nawet w najmniejszym stopniu nie osłaniał twarzy przed promieniami słońca. Na domiar złego Damian stał na peronie jak kołek.

Oprócz torby podróżnej zabrał futerał na strzelbę. Casey po cichutku liczyła na to, że w futerale nie ma broni palnej, ponieważ gdyby Damian chciał sobie postrzelać, prawdopodobnie trzeba by mu było opatrywać odstrzelone palce u nóg.

- Spóźniłeś się - rzucił Damian zamiast powitania, gdy tylko do niego podeszła.

- Jestem na czas - nic zgodziła się.

Nie klócił się w tej sprawie. Zamiast tego ruszył w stronę pociągu, do którego wsiadali już ludzie, spodziewając się, że Casey pójdzie za nim. Nie zrobiła tego.

Zerknęła na skład i zawołała: Nie widzę wagonu dla zwierząt!

Zatrzymał się, odwrócił i zmarszczył czoło.

- Wagonu dla zwierząt? Spojrzała na niego z politowaniem.

- Myślisz, żółtodziobie, że zostawię konia?

Był tak zażenowany, że natychmiast oblał się pąsem. Widocznie załatwiając sprawy związane z podróżą, nie wziął pod uwagę konia, z drugiej jednak strony dopiero kilka dni temu po raz pierwszy znalazł się w siodle. Teraz będą musieli poczekać na następny pociąg, w którym oprócz pasażerów znajdzie się również miejsce dla zwierząt, co może nastąpić za kilka godzin lub za kilka tygodni.

- Zaraz będę z powrotem - obiecał Damian. Wrócił po kilku minutach i oświadczył: - Dopną wagon dla zwierząt. Casey miała ochotę wybuchnąć śmiechem, poprzestała jednak na uśmiechu.

- To musiało cię sporo kosztować.

Przytaknął. Wciąż był zażenowany. Pociąg odjechał z opóźnieniem, dopiero gdy dopięto do niego dodatkowy wagon. To prawdopodobnie kosztowało Damiana więcej, niż przypuszczała. Maszyniści szcycili się tym, że ściśle trzymają się rozkładu jazdy.

W końcu Damian i Casey mogli się usadowić w najbardziej luksusowym wagonie, jaki dziewczyna kiedykolwiek widziała. Jeśli o to chodzi, Damianowi dopisało szczęście. W tym składzie znalazł się jeden z owych niezwykle wygodnych wschodnich wagonów pulmanowskich, tak przynajmniej sądziła Casey. Jednak gdy do salonki nie wsiadł żaden inny pasażer, dowiedziała się, że Damian kazał ściągnąć sobie ten wagon z jednej z północnych stacji i dostał go do swojej wyłącznej dyspozycji.

Za jego wynajęcie zgodził się zapłacić horrendalną sumę pięćdziesięciu dolarów za dzień.

Ponieważ jednak zdążył już poznać normalne wagony z twardymi, niewygodnymi siedzeniami, oświadczył Casey, że jego zdaniem to i tak nie jest zbyt wygórowana cena za wygodę, zwłaszcza że wciąż jeszcze mają do pokonania całe terytorium Oklahomy i północny Teksas.

Casey nic mogła się skarżyć. Zgadzała się z Damianem, że kilka pociągów, którymi jechała w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, wcale nie należało do najwygodniejszych. Prawdę mówiąc, jako osoba wychowana na ranczu wołała świeże powietrze i dobre końskie siodło, ale jeśli już musiała jechać pociągiem, doskonale w tym celu nadawał się jeden z luksusowych wagonów George'a Pullmana.

- Powiniem o tym pomyśleć, gdy wyjeżdżałem z Nowego Jorku - przyznał się jej Damian.

- Mój ojciec był właścicielem takiego wagonu. Podróżowaliśmy nim, ilekroć sprawy zawodowe zmuszały nas do opuszczenia miasta. Były tam niemal wszystkie udogodnienia, jakie mieliśmy w domu, łącznie z ogromną sypialnią. Przykro mi to wyznać, ale nie pomyślałem, by z niego skorzystać podczas wyprawy na zachód.

- Co takiego? Nie ma tu łóżek? - zadrwiła Casey, wypychając językiem policzek.

Nie dostrzegł sarkazmu.

Nie, ale siedzenia wyglądają na dość wygodne, by się na nich przespać, jeśli pociąg nie zatrzyma się w mieście na noc. Czasami się to zdarza, a twarde ławki na stacjach znajdujących się z dala od miasta są tak samo wygodne jak goła ziemia.

- Wszystko zależy od tego, czy lubi się spać na gołej ziemi, nie sądzisz.'

Usłyszawszy tę uwagę, spojrział na Casey z ukosa.

- Podejrzewam, że ty lubisz.

Casey zagłębiła się w grubym, zbyt grubo wyściełanym.

obitym aksamitem fotelu, splotła dłonie na brzuchu i po prostu się uśmiechnęła. Wyglądało na to, że to niezmiernie drażni Damiana, tak przynajmniej tłumaczyła sobie pełne obrzydzenia spojrzenie, jakim ją obrzucił. Więc dodała jeszcze wzruszenie ramion.

- Wychowałem się na ranczu, Damianie. Wiele nocy spędziłem pod gołym niebem, pędząc zwierzęta i śpiąc przy ognisku.

Niektóre z jej najwspanialszych wspomnień pochodziły z okresów, kiedy wraz z ojcem i braćmi przebywała na łonie natury, a Chandos uczył ich wszystkiego, co jego zdaniem powinni umieć. Nie miała jednak zamiaru mówić o tym na głos, ponieważ powiedziała Damianowi, że jest sierotą.

Podawała się za osobę bezimienną, więc wszyscy z góry zakładali, że nie miała kochających rodziców. Nie chciała jednak rozgłaszać wszem i wobec, jak ma na imię. Chociaż minęło już sporo czasu, ojciec prawdopodobnie nadal jej szuka.

- Czy to znaczy, że potrafisz nie tylko tropić ludzi, lecz również gospodarować na ranczu? -

spytał Damian od niechcienia.

- Wiem wszystko na temat prowadzenia rancza.

- Mówisz to tak, jakbyś lubił to robić. Dlaczego zatem zostałeś łowcą nagród, skoro jest to o wiele bardziej niebezpieczne zajęcie?

- Bardziej niebezpieczne? - Casey nie zdołała opanować uśmiechu. - To sprawa dyskusyjna.

- Sądzę... Urwała mu.

- Zajmowałeś się kiedykolwiek bydłem, by to wiedzieć, Damianie? W przypadku rewolwerowca stawiasz swoje umiejętności przeciw jego. tymczasem było to brutalna siła.

Gdy szarżuje na ciebie byk lub stado ogarnie panika, nie wystarczą żadne umiejętności, możesz jedynie zmykać co sił w nogach.

- Lecz jeśli wolisz...? Casey wzruszyła ramionami.

- Wrócę na rancho, tylko wcześniej muszę jeszcze coś zrobić.

- To znaczy?

- Zadajesz za dużo pytań, Damianie. Tym razem to Damian się uśmiechnął.

- Nie tyle. ile bym mógł, ale to nieważne. Po prostu doszedłem do wniosku, że skoro mamy spędzić ze sobą dużo czasu, powinniśmy lepiej się poznać.

- Wystarczy, jeśli będziesz wiedział o mnie tyle, że potrafię wykonać tę robotę. A teraz może ty powiedz mi coś o człowieku, którego chcesz złapać.

To nie trwało długo. Niewiele było samych faktów. Ale Damian wyliczył również wszystkie dowody, które znaleźli jego detektywi. Każdy, kto znał Henry'ego Curruthersa, był

zszokowany, gdy dowiedział się, co ten człowiek zrobił - jego podstarzała ciotka, współpracownicy, sąsiedzi. Nikt nic mógł uwierzyć, że Henry mógł zdefraudować pieniądze należące do firmy, w której pracował, a tym bardziej uciec się do morderstwa, mającego na celu ukrycie owej malwersacji.

Jednak czasami w pewnych okolicznościach ludzie całkowicie się zmieniają. Casey o tym wiedziała. Sama była tego przykładem. Wystarczający dowód stanowiły dwa zeznania oraz fakt, że Curruthers uciekł na zachód, nic mówiąc nikomu, iż wyjeżdża z miasta. Nie należało również zapominać o wskazówkach znalezionych w prowadzonych tylko przez niego księgach rachunkowych, które jednoznacznie świadczyły o dokonanej kradzieży.

- Z takim wyglądem łatwo będzie go znaleźć zauważyła Casey, gdy Damian skończył

mówić. Dodała jednak: -Ale nim przekazemy go wymiarowi sprawiedliwości, chciałbym usłyszeć jego wersję.

Damian zmarszczył czoło.

- Po wszystkim, co ci powiedziałem, myślisz, że ten człowiek może być niewinny?

- Nie, raczej nie. Jego historia nie należy jednak do typowych. W przypadku ściganych bandytów zawsze są jacyś świadkowie popełnionego przez nich przestępstwa. Gdybym musiał zabić któregoś z

tych przyjemniaczków, nie miałbym zbyt wielkich wyrzutów sumienia, gdyż wiem, że wcześniej jego wina została udowodniona.

- Mówiłeś, że dotychczas nie zabiłeś żadnego z nich.

- To prawda, ale coś takiego mogło się zdarzyć, tymczasem dzięki naocznym świadkom sprawa jest już właściwie przesądzona, a rozprawa sądowa po schwytaniu ściganych przestępców toczy się jedynie po to, by można ją było wpisać w dokumenty. Spotkałem się z jednym wyjątkiem od tej reguły. W tym przypadku był tylko jeden świadek. Utrzymywał, że jego brata z zimną krwią zastrzelił facet o nazwisku Horace Johnson. Sam świadek był

popularną w mieście osobą, a Johnson nie, ponieważ niedawno się sprowadził, więc porozsyłano za nim listy gończe. Kiedy jednak porozmawiałem z jego matką i jedynym przyjacielem, którego udało mi się odnaleźć, zacząłem podejrzewać, że sprawcą morderstwa jest sam świadek. Gdy stanąłem przed nim niemal pewny swego, okazało się, że od dawna dręczyły go wyrzuty sumienia. W końcu załamał się i wyznał, że to on zabił brata.

- To zdumiewające rzekł Damian. - W rzeczywistości uratowałeś niewinnego człowieka.

Jakiś mniej skrupulatny łowca nagród mógł go po prostu zastrzelić. Nie sądziłem, że jesteś aż taki rzetelny.

Casey zarumieniała się, co niezmiernie ją poirytowało. Wcale nie próbowała wywierać na Damianie wrażenia, jedynie usiłowała udowodnić mu swoją rację.

- Staram się tylko wyjaśnić - zastrzegła - dlaczego chciałbym wysłuchać najpierw, co Curruthers ma do powiedzenia.

- Ale są świadkowie - ci dwaj mężczyźni, których zatrudnił...

- Nie uważam płatnych morderców za świadków, Damianie. To współwinni. Poza tym mordercy nie bywają zbyt prawdomówni. Z tego, co wiesz, ci dwaj panowie mogli z jakiegoś nieznanego powodu mieć urazę do Curruthersa, a kiedy wpadli, uznali, że się w jakiś sposób na nim zemszczą, wskazując na niego jako na mordercę. To byłoby wystarczającym powodem jego ucieczki.

- Nie zapominaj, że ukradł pieniądze.

- Tak, to prawda. Ale co stoi na przeszkodzie, by przepytąć człowieka, gdy go już będziemy mieli?

- Rób, jak uważasz... najważniejsze, żebyś go znalazł.

Rozdział 12

To miała być pozbawiona jakichkolwiek wydarzeń podróż do Fort Worth, Casey i Damian doszli jednak do wniosku - chociaż każde z innego powodu - że opuściło ich szczęście. Tak się złożyło, że zostało im zaledwie kilka godzin do granicy Teksasu, kiedy pociąg niemal się wykoleił. Na szczęście maszynista zdołał zatrzymać lokomotywę tuż przed wyrwą w szynach.

Niemniej z powodu ostrego hamowania wielu pasażerów z przednich wagonów pospadało z ławek.

Casey, usadowiona w jednym z dużych, grubo wyściełanych foteli w wagonie pulmanowskim, jedynie drgnęła. Zerknęła na Damiana, by się upewnić, czy wszystko w porządku, po czym podeszła do okna i wystawiła głowę. Nie widziała brakujących szyn, zobaczyła jednak zamaskowanych jeźdźców, wylaniających się z kępki drzew i kierujących w stronę pociągu. Mieli wyciągniętą broń.

Usiadła, poprawiła poncho i powiedziała do Damiana:

- Nie przejmuj się, to tylko napad na pociąg. Błysnął oczami.

- Następny napad? Żartujesz, prawda? Powiedz mi, że żartujesz. Prawdopodobieństwo, że tak szybko padnie się ofiarą następnego rabunku...

- ...jest wyjątkowo wysokie - dokończyła Casey - jeśli weźmie się pod uwagę, przez jaki teren właśnie przejeżdżamy.

- Powiedz mi, proszę, co ma z tym wspólnego ten teren - powiedział wzburzony.

- Te okolice zawsze stanowiły dla przestępców ogromną pokusę. Damianie. Połowa tego obszaru kilka lat temu, kiedy z myślą o białych osadnikach odkupiono od Indian Cherokee Strip, zamieniona została w Terytorium. Część, przez którą właśnie przejeżdżamy, wciąż należy do Indian.

- Indiańskie Terytorium? Nie mogłeś powiedzieć mi tego wcześniej?

- A po co? To spokojni Indianie. Niestety, aż do dziewięćdziesiątego roku cały ten teren znajdował się poza jurysdykcją białych, a Indianie, których rząd przesiedlił tu wiele lat temu, pilnowali swojego nosa, przynajmniej dopóty, dopóki przestępcy zostawiali ich w spokoju.

Do diabła, niedaleko stąd znajduje się niewielka enklawa, nie bez powodu określana mianem ziemi niczyjej.

- Ziemia niczyja?

- Istny raj dla przestępców. Biali ani Indianie nie mieli tam żadnej jurysdykcji, ponieważ był

to teren, do którego nikt nie zgłaszał żadnych pretensji. Na tym obszarze i poza nim do dziś ukrywają się ludzie wyjęci spod prawa. Fakt, że trzy sponsorowane przez rząd, przeprowadzone w ostatnich latach akcje osiedleńcze zaowocowały pojawieniem się tu nowych ludzi, wcale nie oznacza, iż przestępcy się stąd wynieśli.

- Nie mogłeś powiedzieć mi o tym wcześniej? - zapytał Damian.

Casey wzruszyła ramionami, a potem się uśmiechnęła.

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał. W końcu, wbrew temu, co może sądzisz, napady na pociągi naprawdę zdarzają się bardzo rzadko.

- Twojemu twierdzeniu zaprzecza statystyka wydarzeń towarzyszących mi podczas tej podróży - zauważył Damian, idąc do futerału na strzelbę, leżącego w rogu wagonu.

Casey zmarszczyła brwi.

- Co masz zamiar zrobić? Zerknął na nią zdecydowanie.

- Dopilnować, by tym razem nie odebrano mi pieniędzy.

- I przy okazji dać się zabić - burknęła niezadowolona Casey.

- Jestem skłonny się z tym zgodzić - powiedział wchodzący przez drzwi mężczyzna z zawiązaną na twarzy bandaną, usłyszawszy przewidywania Casey. — Lepiej niech pan usiądzie. Wtedy może pan przeżyć.

Damian zatrzymał się, ale ani nie usiadł, ani się nie cofnął. Wyglądał na złego. Oczywiście, był zły, ale pokazywanie tego zakrawało na czystą głupotę, zważywszy na to, że bandyta, który napadł na pociąg i właśnie pojawił się w ich wagonie, wyglądał na młodego i... bardzo zdenerwowanego. Wszystko wskazywało na to, że nie jest o wiele starszy od Casey.

Przypuszczalnie był to pierwszy napad tego młodego człowieka.

- Ten wielkolud nie ma zamiaru cię zaatakować, więc nie rób głupstw - zaproponowała Casey.

Patrzyła na opryszka, jednak jej słowa bardziej skierowane były do Damiana. Jej uwaga wcale nie zmniejszyła zdenerwowania przestępcy. Rewolwer wyraźnie drżał mu w dłoni, a oczy strzelały niepewnie to na nią, to na Damiana.

W końcu zebrał się na odwagę i rozkazał:

- Rzućcie tutaj pieniądze i już znikam.

- Może zastanowiłbyś się nad wyjściem stąd bez pieniędzy? - zasugerowała Casey spokojnie.

Dlaczego?

- Dzięki temu popłynie mniej krwi.

Casey wcale nie była zaskoczona, że oczy rabusia pobiegły w stronę Damiana. Wysoki człowiek ze wschodu wydawał się stanowić większe zagrożenie. Jednak fakt, że została uznana za mniej niebezpieczną, tym razem wcale jej nie rozżłościł, ponieważ dzięki temu mogła wyciągnąć broń bez zwracania uwagi opryszka.

W ciągu kilku ostatnich dni już po raz drugi ktoś próbował ją okraść, strzelała więc nie tylko po to, by rozbroić na-pastnika. Trafiła go dokładnie w prawą rękę, tak by podczas następnego napadu nie mógł użyć rewolweru, a przynajmniej by nie mógł tego robić dokładnie.

Broń cicho stuknęła o wyłożoną dywanami podłogę, potem zaczęła kapać krew. Krzyk przestępcy był żalony, lecz krótki, za to następujący po nim jęk ciągnął się bez końca. Oczy widoczne nad bandaną pełne były bólu i przerażenia. Rabuś nie poruszył się jednak, zwłaszcza że Casey wciąż trzymała go na muszce, dlatego jedynie chwycił się za nadgarstek okaleczonej ręki i obie dłonie mocno przycisnął do piersi.

Casey w głębi duszy westchnęła. Głupi ludzie zawsze lekceważą dobre rady.

Głośno warknęła:

- Wynoś się! - Zrobił to natychmiast, a kiedy dobiegał do drzwi, krzyknęła za nim: - I poszukaj sobie innego zajęcia, kowboju. Inaczej szybko spotka cię śmierć.

Pędził tak szybko, że prawdopodobnie jej nie usłyszał. Casey podeszła do okna. zrobiła to wszakże tylko po to, by się upewnić, czy bandyta kieruje się do swojego konia i odjeżdża, czy może zbiera swoją bandę, by się zemścić. Z zadowoleniem zauważyła, iż czmychnął z powrotem w stronę kępki drzew. Po kilku minutach z pociągu zaczęli się wysypywać pozostali uczestnicy napadu. Oni również ruszyli w tym samym kierunku. Czy usłyszeli strzał

i się przestraszyli, czy po prostu zależało im na szybkim zebraniu łupu, wiedzieli tylko pozostali pasażerowie pociągu.

Po chwili Casey niemal wyskoczyła ze skóry, gdy tuż obok niej padł strzał. Rzuciła Damianowi piorunujące spojrzenie, ale tylko dlatego, że ją przestraszył.

- Pozwól im zwiać. Spojrzał na nią wilkiem.

- Niech mnie diabli, jeśli...

To tylko banda młodych, nie mających pracy kowbojów - przerwała mu.

- To rabusie napadający na pociąg, nic więcej - wycedził przez zęby, oddając następny strzał.

- A skoro już o tym mowa, pozwól sobie powiedzieć, że mam dwadzieścia siedem lat. Chyba dotychczas tego nie zauważyłeś. To śmieszne, żeby osłaniał mnie dzieciak, więc na przyszłość tego nie rób.

- Słucham? - spytała Casey sztywno.

- Słyszałeś, co powiedziałem. Do jasnej cholery, umiem poradzić sobie sam. Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, pozwól, że sam zdecyduję, w jaki sposób się uporać z tą czy inną niemiłą sytuacją.

Casey wzruszyła ramionami i usiadła na swoim miejscu. Sam sobie poradzi, rzeczywiście!

Chociaż wcale jej to nie interesowało. A jeśli chodzi o jego strzelanie, i tak nie byłby w stanie do niczego trafić, w związku z czym nie miała zamiaru przejmować się faktem, iż Damian postanowił stracić nieco dobrej amunicji. Była nawet zdumiona, widząc, że jej towarzysz dobrze składa się do

strzału. Przynajmniej nie będzie musiała zajmować się wybitym barkiem, co często się zdarzało ludziom, którzy nie potrafią odpowiednio obchodzić się z bronią.

Po oddaniu czterech następnych strzałów Damian odwrócił się do Casey — najwyraźniej skończył strzelać, nie przestał się jednak skarżyć.

- Miałeś w rękach jednego z nich. Odkąd to, adwokacie, puszczasz przestępców wolno?

- Odkąd wynajęto mnie do znalezienia jednego konkretnego mordercy. Nie przyszło ci na myśl, ile czasu byśmy stracili, gdybyśmy ujęli tych facetów?

- Zabicie ich nie zajęłoby w ogóle czasu, a to byłoby i rak więcej, niż na to zasługują.

Casey nie była zaskoczona, słysząc, że człowiek ze wschodu mówi takie rzeczy, dlatego prychnęła. po czym zauważyła:

- W takim razie dowiedz się, żółtodziobie, że nie trafiłbyś nawet w stodołę. Teraz jesteś zły i opowiadasz bzdury, potem jednak twoje sumienie bardzo by ci doskwierało.

Damian przez chwilę ponownie patrzył w okno, polem na jego ustach pojawił się uśmiezek wyższości.

Casey poderwała się na równe nogi, by osobiście sprawdzić, czy naprawdę w coś trafił. Ale do tego czasu przestępcy byli już jedynie kropkami na horyzoncie, a nigdzie nie było widać zabitych.

Zgrzytnęła zębami, uznając, że Damian ją nabrał. Nie chciała jednak zwiększać jego satysfakcji, mówiąc mu o tym. Oświadczyła tylko:

- Idę zobaczyć, czy zatrzymaliśmy się z powodu zepsutych torów i jakie są szkody.

Ruszyła w stronę drzwi.

Usłyszawszy następne pytanie Damiana, stanęła jak wryta. Dlaczego uznałeś, że to jedynie kowboje?

- Poznałem to po skórzanych nakładkach na spodnie. Ludzie pracujący na ranchu noszą je niemal bez przerwy. Dodatkową wskazówką było zdenerwowanie tego faceta. Niewątpliwie nigdy wcześniej nie robił czegoś takiego, dlatego albo był bardzo zdesperowany, albo namówiono go, gdy sporo wypił.

- Musiałeś nad tym długo myśleć - zadrwił Damian. Wzruszyła ramionami.

- Nie zawsze mam rację. - Potem się uśmiechnęła. Ale rzadko się mylę.

Wyszła z wagonu. Damian ruszył za nią i dotrzymywał jej kroku, chociaż Casey wyciągała nogi, zmuszając go do tego, by szedł o wiele szybciej niż normalnie.

- Zawsze tak ci się spieszy? - spytał po drodze. Zerknęła na niego, po czym powiedziała zamyślona:

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, tak mi się przynajmniej wydaje. Podejrzewam jednak, że po prostu spieszno mi do dorosłości.

- Jeżeli nadejdzie ten moment, daj mi znać.

- Nie do wiary! Jesteś dzisiaj w bardzo sarkastycznym nastroju. Przypomnij mi, żebym na przyszłość oszczędził ci następnych napadów. Tego typu wydarzenia zupełnie nie pasują do twojego usposobienia.

Teraz to Damian powinien prychnąć, Casey jednak nie dała mu szansy na powiedzenie niczego, co mogłoby ją rozdrażnić. Po prostu jeszcze bardziej przyspieszyła kroku. Gdy dotarli na przód pociągu, zebrała się tam większość pasażerów. Zdążyli usłyszeć, jak konduktor oznajmia, że pociąg wróci do ostatniego miasta, przez jakie przejeżdżali, by zaczekać, aż zostaną naprawione tory. Damian wyglądał tak, jakby miał za chwilę wybuchnąć z powodu nowego opóźnienia.

Casey próbowała rozładować jego złość, zadając mu pytanie:

- Masz zamiar zostać tutaj czy wolisz wyruszyć do następnego miasta leżącego na trasie i tam złapać inny pociąg? Jednak to drugie oznaczałoby ponowną wspólną jazdę na koniu.

Niemal go kopnęła, gdy pochylił się nad nią i pociągnął nosem. Dopiero potem oświadczył:

- Jedziemy.

Rozdział 13

Następne miasto na trasie właściwie nie było miastem, chociaż w przyszłości na pewno uda mu się dostąpić tego zaszczytu. Na razie w pobliżu stacji kolejowej powstał sa-loon z restauracją, sklep ogólnoprzemysłowy, piekarnia, telegraf i coś, co uchodziło za hotel, chociaż miało zaledwie dwa pokoje.

Przyjechali o dość późnej porze, więc Casey posłała Damiana do hotelu, by załatwił nocleg, a sama poszła na stację, by zameldować o napadzie i uszkodzonych torach. Kiedy ponownie spotkała swojego towarzysza przed hotelem, miała dla niego złą wiadomość.

- Następny pociąg odjedzie najwcześniej za tydzień -powiedziała bez wstępów. - Mniej więcej tyle samo czasu zajmie kolejarzom z tej stacji naprawienie torów, by mógł po nich przejechać pociąg podążający na południe.

Damian westchnął.

- Podejrzewam, że przez tę dziurę nie przejeżdża żaden dylizans.

- Żaden, lecz to nie koniec złych wiadomości - ostrzegła go. - W tej osadzie nie ma również stajni, gdzie mógłbyś kupić sobie konia, a najbliższe ranczo, w którym znalazłby się jakiś zbędny wierzchowiec, znajduje się o dzień jazdy stąd. Nie ma jednak żadnej gwarancji, że rzeczywiście coś się tam dostanie, więc ewentualna jazda może się okazać jedynie stratą czasu.

Damian spojrzał ze smutkiem na otaczające ich budynki.

- To znaczy, że utknęliśmy tu na najbliższy tydzień?

- Chyba że chcesz jechać dalej we dwójkę na Starym Samic. Ja właściwie nie mam nic przeciwko temu, ale on wkrótce z pewnością zacznie się skarżyć na dodatkowe obciążenie.

Damian niemal się uśmiechnął.

- Ja też mam złą wiadomość. W hotelu był tylko jeden pokój, więc będziemy musieli mieszkać w nim razem.

Casey zeszywniała. Mieszkać z Damianem w tym samym pokoju, na dodatek przez tydzień?

Jedną noc by zniosła, ale cały tydzień? Do jasnej cholery, to niemożliwe.

- Znajdziemy dla ciebie wierzchowca - oświadczyła nic znoszącym sprzeciwu tonem.

Mówiąc to, zerknęła na kilka koni stojących przed wejściem do saloonu po drugiej stronie ulicy.

Damian spojrział w tym samym kierunku co ona.

- Kradzież nie wchodzi w rachubę. - Uznał, że koniecznie musi o tym wspomnieć.

Casey prychnęła, nie powiedziała jednak ani słowa więcej, jedynie ruszyła na przeciwną stronę ulicy. Damian bez zbytniego entuzjazmu poszedł za nią. W tej niewielkiej osadzie nie było również banku. W przeciwnym razie Damian nie miałby kłopotu ze zdobyciem konia, niezależnie od tego, ile by za niego zażądano. Liczył na to, że wystarczy mu gotówka, którą ma w kieszeni, ponieważ jednak w najbliższej okolicy wierzchowiec był raczej nieosiągalny, wątpliwe, by ktoś zechciał odstąpić swojego konia za niewielką cenę.

To wcale nie oznaczało, że Damian miał ochotę kontynuować podróż na końskim grzbiecie.

Czym innym była jazda razem z dzieciakiem, ponieważ to nie Damian kierował Starym Samem. Natomiast dosiadanie własnego wierzchowca z pewnością sprawiałoby mu duży kłopot, zwłaszcza że podczas tej diabelskiej podróży Damian nie zdążył się jeszcze tego nauczyć.

Saloon był pierwszą zachodnią knajpą, do jakiej wszedł Damian, i jeśli tak wyglądały wszystkie, postanowił już nigdy żadnej z nich nie odwiedzać. Lokal okazał się niezbyt duży, nie mógł się też poszczycić oszałamiającą liczbą klientów. W powietrzu unosił się zapach kwaśnego piwa i whisky, wymieszany z dymem i smrodem wymiocin.

Podłoga wysypana była trocinami. Przy trzech okrągłych.

porysowanych i brudnych stołach stały krzesła, zachęcając do skorzystania. Tylko jeden stolik był zajęty. Obok znajdowała się oddzielna sala. Nad prowadzącymi do niej drzwiami wisiała wywieszka: „Nie najlepsze żarcie, ale to wszystko, co w tej okolicy możesz dostać”.

Wewnątrz stały tylko dwa stoły - widocznie nie spodziewano się wielu klientów.

Casey stanęła przy długim kontuarze. Wydawało się, że czuła się tu jak u siebie w domu, a do jej obyczajów należało odwiedzanie takich miejsc. Damian potrząsnął głową. Powinno obowiązywać tutaj prawo zabraniające podawania dzieciom alkoholu.

Chłopak zamówił już drinka i trzymał kieliszek w ręce. Potem się odwrócił, by przyjrzeć się zajętemu stolikowi. Siedziało przy nim trzech mężczyzn, którzy z przyjemnością oddawali się grze w karty. Pieniądze leżące obok ich łokci sugerowały, że jest to gra hazardowa. Zerknęli na chłopaka, ale szybko go zlekceważyli. Na Damiana, który po wejściu ruszył w stronę Casey, spoglądali nieco dłużej.

Patrząc na trzech mężczyzn, Casey spytała:

- Kto jest właścicielem stojącego przed wejściem łaciatego?

Młody mężczyzna z gęstą, nie przyciętą brodą odparł:

- Pewnikiem ja, chyba że jest tam jeszcze jakowyś inny.

- Lubisz grać?

- Kiej mam ku temu odpowiedni humor - odparł i spojrział w dół, na karty, po czym zachichotał. - Tako właśnie mi się zdaje, że go mam.

- Potrzebny mi dodatkowy wierzchowiec - wyjaśniła Casey. - Co byś powiedział na mały zakład - twój koń przeciw mojemu?

Słyszac to. Damian syknął na Casey:

- Co ty, do diabła, robisz.'

- Załatwiam ci konia, więc siedź cicho, dobrze? - szepnęła Casey.

Mężczyzna powiedział:

- Chciałbyk obaczyć twojego.

- Stoi po drugiej stronie ulicy, przed hotelem. Obejrzyj go sobie. Nie znajdziesz lepszego.

Facet wstał, stanął przy wahadłowych drzwiach i cicho gwizdnął.

- Ho-ho. Ale szkapa! - Odwrócił się do Casey wyraźnie zainteresowany. - O co chceta się założyć?

- Że stojący tu żółtodziób rzuci monetę przed sobą, a ja trafię ją w locie między jego nogami, oczywiście niczego mu nic odstrzeliwując.

Rozległ się chichot, ale tylko dlatego, że Damian zaczerwienił się jak burak - trudno powiedzieć, czy z zażenowania, czy ze złości. Jednak zarośnięty facet zadrwił:

- Widziałem już wcześniej te dyrdymały. Dyc to łatwizna.

- Czyżbym nie wspomniał, że wcześniej będę musiał wyjąć rewolwer z kabury? - dodała Casey.

Facet uniósł krzaczaste brwi.

- Z kabury, hm? Aleć on ma długasne nogi i moneta będzie długo spadować. Kiej spudłujesz, stracisz ino konia.

- Myślisz, że to dla mnie przyjemność? Widocznie tak pomyślał, ponieważ powiedział:

- Daruj se to wyciąganie kolta z kabury. Wolałbyk, co-byś trafił monetę, kiej będzie trzymał

ją w ręce.

Damian zeszytniał. Casey szepnęła mu na ucho:

- No cóż, sędę, że obolałe palce to niska cena za możliwość ruszenia w dalszą drogę.

- Dopóty, dopóki będą obolałe, a nie zakrwawione - gderał.

Dzieciak uśmiechnął się do niego.

- Poradziłbym ci, żebyś nie trzymał tej monety w ręce, którą normalnie strzelasz, ot tak, na wszelki wypadek, ale ty przecież nie używasz rewolweru, więc to i tak nie ma żadnego znaczenia, prawda?

Nie lubił żartów Casey, ale na tym nie kończyły się jego zmartwienia. Widział, co dzieciak potrafi robić z rewolwerem. Kiedy jednak rzucono chłopcu monetę, zaczął się martwić.

- Cylnij do tej brzmiał rozkaz.

Casey zerknęła na pieniążek, jakby nie widziała go zbyt wyraźnie, co wywołało gromki śmiech wśród klientów sa-loonu.

Damian uspokoił się dopiero wtedy, gdy Casey wręczyła mu monetę i szepnęła:

- Nie martw się, złotodziebie. Robiłem to więcej razy, niż zdołałbyś zliczyć.

Odwróciła się, by przejść do końca kontuaru, po czym powiedziała do reszty zgromadzonych:

- Czy trzy metry wam wystarczą, panowie? Wygląda na to, że nie ma tu miejsca, by się bardziej oddalić.

- Pewnikiem wystarczą. Jenó w nią cylnij - poradził ha-zardzista z uśmiechem. - Spieszno mi, coby przejechać się już na swojej nowej szkapie.

Casey przytaknęła i uniosła poncho, by jej nie przeszkadzało. Potem zaczekała, aż Damian wyciągnie rękę z monetą. Nowojorczyk nie mógł uwierzyć, że naprawdę pozwala na taką demonstrację umiejętności strzeleckich, skoro to jego ręka ucierpi, jeśli coś pójdzie nie tak, jak trzeba. Jednak uspokoiła go pewność siebie Kida. Dzieciak wiedział, że trafi.

Potem wypalił i... chybił. Moneta wciąż znajdowała się między kciukiem a palcem wskazującym Damiana. A Casey... Damian nigdy wcześniej nie widział w niczyich oczach tak bezgranicznej rozpacz.

Zagrała i przegrała konia. Nie spodziewała się, że taki będzie ostateczny wynik tej rozgrywki.

Kumple gratulowali zarośniętemu facetowi, tymczasem Casey wybiegła z sa-loonu zażenowana. Damian nie był pewien, wydawało mu się jednak, że w złocistych oczach dostrzegł łzy.

- Hej, lepiej, coby nie próbował odjechać na mojej nowej szkapie - ostrzegł zwycięzca.

- Nie zrobi tego - zapewnił Damian, patrząc na kołyszące się drzwi. - Jest honorowy... nawet jeśli nie potrafi strzelać tak dobrze, jak mu się wydawało.

Rozdział 14

Damian nie poszedł natychmiast za swym młodym przyjacielem. Podejrzał, że dzieciak płacze, a jeśli tak, prawdopodobnie woli, by nikt tego nie widział. Tak więc nowojorczyk wypił kilka kieliszków okropnego alkoholu sprzedawanego w saloonie, a dopiero potem skierował się do hotelu.

Kid mógł uniknąć tego rozczarowania, ale jak zwykle zlekceważył Damiana i wyznaczył mu rolę pomocnika, chcąc samodzielnie załatwić sprawę. Tak samo postąpił w pociągu.

Podczas napadu chłopak założył, że Damian, strzelając przez okno, ani razu nie trafił, chociaż w rzeczywistości zranił po kolei wszystkich uciekających opryszków. Jeśli nie ma wśród nich doktora, przyciągną sporo uwagi, gdy pojawią się w jakimś mieście. A nawet jeśli nie, to przynajmniej znacznie wolniej będą posuwać się do przodu, co zwiększy szansę na to, że dostaną się w ręce sprawiedliwości.

W hotelu Damian zastał chłopaka stojącego w oknie małego pokoiku, który mieli wspólnie zajmować. Kid bez wątpienia spoglądał w dół, na stojącego na ulicy Starego Sama, i wciąż rozmyślał nad poniesioną stratą. Damian mógł wygłosić jakąś uwagę na temat zbytnej pewności siebie, postanowił jednak tego nie robić. Wiedział, że i tak dzieciak czuł się podle.

Casey nie słyszała, kiedy Damian wszedł. Musiał odchrząknąć, by zwrócić na siebie jej uwagę.

- Możesz przestać się mazać - powiedział. - Udało mi się...

Nic zdołał dokończyć, ponieważ Casey odwróciła się i napadła na niego: Czemu pozwoliłeś mi to zrobić? Czemu? Stary Sam był ze mną od ukończenia przeze mnie dwunastego roku życia. Wychowałem go od żrebaka. Traktowałem jak członka rodziny!

Damiana na chwilę zamurowało. Zaskoczyła go gwałtowna reakcja chłopaka, który zawsze doskonale maskował swoje uczucia. Dlatego nowojorczyk zaczął się bronić.

- Zaczekaj, do jasnej cholery - warknął. - Nie możesz mnie winić...

- Nic mogę?

- Nie. To nie ja zaproponowałem zakład o twojego konia, Casey. Prawdę mówiąc, jeśli pamiętasz, nie byłem zbyt zadowolony z zabawy, którą rozpoczęłeś w saloonie, i nawet ci to powiedziałem.

Damian próbował zapanować nad swoim gniewem, ale nic było to takie łatwe, zwłaszcza że pod jego adresem popłynęło tyle bezpodstawnych, pełnych złości oskarżeń. Odnosił wrażenie, że Stary Sam stanowił dla dzieciaka nie tylko zwykły środek lokomocji. W przeciwnym razie chłopak nie byłby taki zdenerwowany.

Jednak to, że nowojorczyk panował nad swoim gniewem, wyraźnie jedynie potęgowało złość Casey,

ponieważ zlekceważyła rozsądną odpowiedź Damiana i krzyknęła:

- Nie doszłoby do tego, gdyby mnie tu nie było, a nie byłoby mnie tutaj, gdyby...
- Nie musiałeś zgadzać się na tę robotę - przypomniał, przerywając jej, Damian.
- To dobrze, ponieważ właśnie z niej rezygnuję!

Tego Damian się nie spodziewał. Myślał, że dzieciak będzie miał dość honoru, by nie odstąpić od umowy ze względu na jedną czy dwie komplikacje.

Potrząsnął głową i powiedział z niesmakiem:

Widziałem w życiu kilka napadów złości, brzdącu, ale ty chyba zdobyłbyś w tej konkurencji pierwszą nagrodę.

- Jak śmiesz...!

- Och, zamknij się, Casey. Gdybyś natychmiast po moim wejściu nie skoczył mi do oczu.

dowiedziałbyś się, że udało mi się odzyskać twojego konia.

Zaskoczenie widoczne na twarzy Casey było niemal komiczne.

- Naprawdę?

Po chwili jednak zbladła, gdyż dotarło do niej to, co właśnie powiedziała. Cofnęła się o krok.

W tym momencie znalazła się niebezpiecznie blisko okna, jakby coś odrzuciło ją do tyłu.

Potem żałośnie załkała.

- O Boże, przepraszam -jęknęła.

- Za późno...

- Nie. naprawdę przepraszam, Damianie. Pozwól mi wyjaśnić... W rzeczywistości byłem wściekły na siebie, nie na ciebie.. Nie toleruję głupoty, tymczasem to, co zrobiłem w saloonie, było wręcz idiotyczne.

Damian musiał przyznać rację.

- Zgadzam się. Absolutnie nie powinieneś się zakładać...

- Nie chodziło mi o to - przerwała mu Casey. - Zakład był dobry.

Damian zmarszczył czoło.

- W takim razie o czym ty. do diabła, mówisz?

- O mierzeniu w brzeg monety. Była na to za mała. A kiedy przyszło co do czego, nie chciałem ryzykować, że osmałę ci palce.

Damian zamrugał.

- Mówisz, że celowo nie trafiłeś w monetę?

- Nie. - Casey potrząsnęła głową. - Po prostu nie celowałem tam, gdzie powinienem.

Poprawka rzędu pół centymetra to odrobinę za mało.

Słyszając to, Damian niemal się roześmiał. Dzieciak uznał, że starając się nie zranić Damiana, postąpił głupio, i teraz właśnie za to przeproszał? Gdyby jednak nie próbował, nie straciłby konia, a przecież i tak istniała szansa, że Damianowi nic się nie stanie. Uznał więc, że tak czy inaczej wina leży po jego stronie.

- Tak naprawdę wcale nie myślałem poważnie, mówiąc, że rezygnuję z tej roboty - dodała Casey zmieszana i ponownie się zarumieniła. - Powiedziałbym ci to, gdybym tylko... no cóż, gdybym tylko zaczął rozsądnie myśleć, co niewątpliwie kilka minut temu było jeszcze całkiem niemożliwe. Postaram się doprowadzić sprawę do końca, niezależnie od tego, ile trzeba będzie włożyć wysiłku... jeśli wciąż jeszcze mnie chcesz.

Damian rozmyślnie nie odpowiadał przez dobrą chwilę, dopiero potem przytaknął.

- Sądzę, że obaj najlepiej zrobimy, jeśli zapomnimy o tej drobnej... wymianie zdań.

Casey uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

- To dobry pomysł. Została jeszcze jedna sprawa. Zapomniałeś powiedzieć, w jaki sposób udało ci się odzyskać Starego Sama.

- Oczywiście, wykorzystałem w tym celu pieniądze. Czasami się przydają. Tak było również w przypadku łaciatego.

- To znaczy, że kupiłeś również i tego drugiego konia, prawda? - domyśliła się Casey. - No cóż, cholera jasna, Damianie, jesteś całkiem niezłym handlarzem.

- Owszem - przyznał Damian. - Po prostu wygląda na to, że facet w najbliższym czasie nigdzie się nie wybiera. Zaleca się do córki piekarza. Niestety, lubi grać, a ponieważ ostatnio prześladował go pech, wyczerpały mu się fundusze. To jednak wcale nie znaczy, że był

rozsądny, wyznaczając ceną za oba konie. Prawdę mówiąc, zadowalała go jedynie cała kwota, jaką miałem przy sobie.

- Czyli?

- Nie wszystko. - Damian uśmiechnął się. Po prostu to. co miałem w kieszeniach, czyli mniej więcej trzysta dolarów. Myślał, że więcej nie mam.

Casey zachichotała.

- Właściwie kupiłeś je cholernie tanio.

- Żartujesz? Mówisz, że konie kosztują tu więcej?

- Nie, jedynie te wyższej klasy, takie jak mój Stary Sam. Poza tym nie uwierzyłbyś, jak wygórowane bywają ceny. gdy istnieje na coś duże zapotrzebowanie lub brakuje jakiegoś towaru. Ta prawda udowodniona została tu, na zachodzie kraju, zwłaszcza w dawnych czasach, kiedy Indianie zatrzymywali pociągi z zaopatrzeniem i nie pozwalali im dotrzeć do celu. lub niemal w ciągu jednej nocy powstawało kilka nowych kopalni. To wciąż się zdarza, zwłaszcza w małych miasteczkach, do których z takich czy innych powodów nie docierają pociągi, i w osadach takich jak ta, nie będących jeszcze prawdziwymi miastami.

Dla człowieka zajmującego się tym, czym zajmował się Damian, te słowa brzmiały jak muzyka. Import i eksport, podaż i popyt. Zastanawiał się, czy ojciec kiedykolwiek brał pod uwagę tę część kraju jako teren dalszej ekspansji. Może warto się nad tym zastanowić - pod warunkiem, że ten interes nie będzie wymagał stałego nadzoru. Po zakończeniu podróży na zachód Damian nawet nie chciał myśleć o powrocie w te strony.

- No cóż, skoro już wszystko zostało załatwione i jutro możemy wyruszyć w dalszą podróż, to czy przed pójściem spać wybrałbyś się ze mną na kolację? - zaproponował Damian.

- Jeśli pozwolisz, zrezygnuję z kolacji. Tu, w hotelu, nic podają niczego do jedzenia, a nie przywykłem do robienia z siebie tak kompletnego idioty, dlatego wolałbym uniknąć ponownej wizyty w saloonie. Poza tym, jeśli chcemy wyruszyć jutro w drogą o przyzwoitej wczesnej porze, jeszcze przed zamknięciem sklepu należałoby kupić parę rzeczy. Zajmę się tym, a potem pójdę do łóżka.

Damian nie miał zamiaru kłócić się z dzieciakiem, który ponownie wyglądał na zażenowanego.

- Rób, jak uważasz. Ale pójdę z tobą do sklepu, żeby zapłacić rachunek.

- Mam dość pieniędzy, Damianie...

- Powiedziałem, że pokrywam wszystkie koszty podróży, pamiętasz? Poza tym nie zaszkodzi, jeżeli się dowiem, co uważasz za konieczne na szlaku.

- Wybór należy do ciebie - powiedziała Casey. - A tak przy okazji: czy razem z koniem kupiłeś może siodło?

Damian lekko się zarumienił. W ogóle nie pomyślał o siodle. Tymczasem jeśli go dzisiaj nie dostaną, nie uda im się wcześniej wyjechać, gdyż będą musieli czekać na otwarcie sklepu.

- Prawdę mówiąc, ten człowiek zatrzymał siodło dla siebie.

- Tak właśnie przypuszczałem. Więcej czasu zajmuje przyzwyczajenie się do nowego siodła niż do nowego konia. No cóż, miejmy nadzieję, że dostaniemy je w sklepie. Nie jest to jednak pewne, skoro nie ma tu na sprzedaż żadnych koni. Z drugiej jednak strony powinno być trochę wszystkiego, jak w większości tego typu sklepów.

Casey nie wyglądała na zbyt zmartwioną, mimo to Damian spytał:

- A jeśli nie?

Casey uśmiechnęła się.

- Nie martw się na zapas, Damianie. Najpierw sprawdźmy, a potem będziesz mógł zacząć myśleć.

Rozdział 15

Damian nie miał nic przeciwko spaniu we dwóch w jednym łóżku. Casey upierała się, że woli podłogę. To jednak nie pomogło.

Nie mogła pogodzić się z myślą, że znajduje się za zamkniętymi drzwiami, w tym samym pomieszczeniu co Damian, w sypialni zbyt małej dla jednej osoby, a tym bardziej dla dwóch.

W końcu zmusiła się do leżenia w bezruchu. Zaczekała, aż nowojorczyk pograży się we śnie, po czym wyszła z pokoju, by ułożyć się do snu w przybudówce, w której trzymano konie hotelowych gości. Wcisnęła się w kąt, za Starego Sama, i zasnęła.

Gdy pomyślała o tym następnego ranka, ogarnęła ją ogromna złość. Nie chodziło wcale o to, że nigdy wcześniej nie spała blisko mężczyzny. Na szlaku było jednak zupełnie inaczej. Tam dzieliło ich ognisko, poza tym trzeba było zająć się wieloma innymi sprawami, łącznie z zachowaniem pełnej gotowości, by nie dać się zaskoczyć. Pokój hotelowy zapewniał

całkowite bezpieczeństwo, dlatego Casey, nie mając innych spraw na głowie, myślała tylko o Damianie. A niektóre z owych myśli były bardzo żenujące, zwłaszcza gdy przypominała sobie o nich w świetle dziennym.

Prawdę mówiąc, zastanawiała się, jak by to było, gdyby Damian ją pocałował. Była ciekawa, czy jego włosy są naprawdę takie miękkie, na jakie wyglądają, i co by czuła, gdyby mogła dotknąć palcami szerokich barków Damiana. Wyobrażała sobie nawet, że znajduje się w jego objęciach. Patrząc na ten podsunięty przez wyobraźnię obrazek, oblewała się potem.

Jeszcze większe zakłopotanie odczuła, gdy tego ranka zobaczyła Damiana i jak zwykle odniosła wrażenie, że jego przenikliwe oczy widzą dosłownie wszystko. Nie przeżyłaby, gdyby znał jej myśli.

On jednak nawet na nią nie spojrział, gdy przyłączył się do niej na tyłach hotelu. Miała zresztą już gotowe wytłumaczenie że chciała przypilnować koni, ponieważ nie można było zostawić ich na noc w porządnej stajni: na szczęście okazało się to zbędne. Damian chyba nawet nie zauważył, że Casey nie spędziła tej nocy w pokoju hotelowym. Widocznie założył, iż wstała i zeszła na dół jakiś czas przed nim.

Nie wyruszyli na szlak tak wcześnie, jak chciała. Spodziewała się, że będzie musiała nauczyć Damiana dosiadania łaciatego, nie zdawała sobie jednak sprawy, że będzie to takie trudne.

Żółtodziób nie potrafił się rozluźnić. Poza tym brakowało mu zdecydowania, które umożliwiłoby mu zapanowanie nad zwierzęciem. Łaciaty to czuł i perfidnie wykorzystywał.

Uznał, że ma do czynienia z istotą, którą można na tyle wystraszyć, by trzymała się z dala od jego grzbietu, dołożył przeto wszelkich starań, by tak właśnie się stało.

Szkoda, że między Casey a Damianem była taka duża różnica wagi. Mogliby przecież oszukać łaciatego. Najpierw Casey postanowiła sprawdzić, jak nowy koń zareaguje na jej siodło, ponieważ nic udało im się dostać drugiego. Damian pod żadnym pozorem nie mógł

jechać na oklep, dlatego na razie musiał korzystać z jej ekwipunku.

To i tak nie zmieniało faktu, że Casey musiała przetestować łaciatego. Niektóre wierzchowce zrzucają z grzbietu wszystko, do czego nie są przyzwyczajone. Do tej grupy należą również nowe siodła. Na szczęście Casey poradziła sobie z upartym koniem. Jednak czując ciężar Damiana, łaciaty robił uniki i brykał, jakby nigdy wcześniej nikt go nie dosiadał.

Damianowi należały się wszakże słowa uznania. Nie zrażał się, mimo że czterokrotnie wylądował na ziemi. Może tracił zbyt dużo czasu, by za każdym razem dokładnie otrzepać się z kurzu, lecz Casey z tego powodu jedynie zgrzytała zębami, powstrzymując się od komentarza, że nim skończą, na pewno zdąży jeszcze niejedną raz się ubrudzić.

Z pewnością ten człowiek nie był stworzony do jazdy konnej. Sprawiał wrażenie, że nienawidzi każdej, nawet najdrobniejszej cząstki pyłu, jaka siądzie na jego ubraniu. Będzie musiał do tego przywyknąć. Poprzedniego dnia Casey próbowała namówić Damiana, by kupił

sobie odpowiednią odzież, a przynajmniej dobre nakrycie głowy, on jednak uparł się, że jego elegancki nowojorski bubel mu wystarczy. Owszem, wystarczy, pod warunkiem, że Damian nie będzie miał nic przeciwko oparzeniom słonecznym, rzepom i drobnym gałązkom, jakie jego wełniana odzież zbierze z każdego, nawet najmniejszego krzaka, obok którego zbyt blisko przejadą. Casey przewidywała, że jej towarzysz będzie miał wiele kłopotów, i to poważnych. Nie chciała nawet myśleć, co się stanie, jeśli Damian się spoci. Właściwie to może być nawet dość zabawne.

Kiedy łaciaty uznał, że nie wygra tej bitwy, mogli w końcu wyruszyć w drogę. Był to jednak bardzo długi dzień na szlaku, a może jedynie wydawał się Casey dłuższy niż w rzeczywistości, ponieważ poprzedniej nocy bardzo mało spała. Musiała zwalniać tempo, by Damian mógł utrzymać się w siodle. Sama miała pewne trudności z jazdą na oklep, chociaż w dzieciństwie robiła to wielokrotnie. Tylko wtedy pokonywała w ten sposób krótkie odcinki.

Długa jazda, taka jak ta, powodowała zbyt duże napięcie mięśni.

Ze względu na Damiana zatrzymali się wczesnym popołudniem. Ponieważ przed opuszczeniem położonej przy stacji kolejowej osady kupili trochę pieczywa, mogli jechać dalej, jedząc w siodle,

Casey doszła jednak do wniosku, że jej towarzyszowi przyda się przerwa. Prawdę mówiąc, jęknął, gdy powiedziała mu, że pora ponownie ruszać w drogę.

Wieczorem jednak ją zaskoczył, proponując, że upoluje coś na kolację, oczywiście, o ile w tej okolicy można bezpiecznie strzelać. Miała cholerną ochotę powiedzieć, że nie można. Potem uznała, że chętnie zjadłaby jakieś mięso. Poza tym była święcie przekonana, że Damian i tak niczego nie przyniesie, jeśli to on wybierze się na polowanie. Wziąwszy pod uwagę, jak podły był dla niego miniony dzień, nie miała serca mu przypominać, że jest żółtodziobem, który nie ma bladego pojęcia o polowaniu, i że właściwie powinien zostawić to komuś, kto się na tym zna.

Postanowiła, że zje fasolkę i biszkopty. Zaczęła je nawet przygotowywać. Była naprawdę zaskoczona, gdy pół godziny później Damian wrócił z dzikim indykiem tak dużym, że mógł

wystarczyć na kilka dni. Przedtem Casey pozwoliła sobie na milczącą drwinę, toteż uznała, że Damianowi musiało dopisać szczęście, zwłaszcza że słyszała tylko jeden strzał.

Wzięła ptaka i zaczęła go przygotowywać.

- Musiało ci dopisać szczęście - zauważyła.

- Prawdę mówiąc, w tym przypadku nie mówiłbym o szczęściu - odparł nonszalancko.

Casey uniosła czarne brwi.

- Wyszedł prosto na ciebie i po prostu nie mogłeś chy-bić?

- Nie, był tak daleko, że nie miałem całkowitej pewności, do czego strzelam.

Casey przypomniały się duby smalone opowiadane zazwyczaj w szałasie, powiedziała więc tylko:

- Jasne.

Trudno było nie zauważyć jej sceptycyzmu, pewnie więc dlatego Damian zasugerował:

- Może powinienem zademonstrować swoje umiejętności?

Casey nie miała nic przeciwko temu, by się zblamował.

- Oczywiście. - przyznała i wskazała ewentualny cel, znajdujący się jakieś dwanaście metrów od nich.

Damian wycelował, wypalił i trafił. Casey zamrugła, potem pokazała następny cel. Ten również został trafiony. Po trzecim razie dała za wygraną.

- W porządku. Jestem pod wrażeniem.

Tym razem to Damian unióśł brwi. Tylko pod wrażeniem?

- Pod cholernym wrażeniem - poprawiła się. Zachichotał i usiadł obok niej przy ognisku.

- Nie masz pojęcia, Casey, jak bardzo cenne jest dla mnie twoje uznanie, może jednak powinienem wyjaśnić, że podczas studiów byłem mistrzem w strzelaniu. Kiedyś polowałem również z ojcem.

- Gdzie? Na własnym podwórku? Aż do dzisiaj nie siedziałeś na koniu.

- Jechaliśmy pociągiem na północ, do domku myśliwskiego, i polowaliśmy pieszo.

Casey była tak rozczarowana, że więcej się nie odezwała. Jej opinia na temat Damiana uległa gwałtownej i drastycznej zmianie. Teraz musiała dopuścić do siebie myśl, że w najbardziej niebezpiecznych sytuacjach Damian prawdopodobnie poradziłby sobie. W końcu całkiem nieźle pomógł jej uporać się z tymi niewydarzonymi rabusiami napadającymi na dyliżanse.

Zaczęła się też zastanawiać, z iloma ranami odjechali młodzieńcy, którzy napadli na pociąg.

Przy tak dobrym oku bez wątpienia mógł ich pozabijać, nigdzie wszakże nie leżały ciała.

Widocznie słowa „zasłużyli na śmierć” powiedziane zostały jedynie w przyływie złości, a nic dlatego, że Damian naprawdę tak myślał.

Był jednak zbyt zdecydowanym mieszczuchem, by pasować do tego świata. To niczego nie zmieniło. Wciąż wyglądał na żółtodzioba. Casey natomiast przypuszczała, że może przestać się martwić o szanse Damiana na przetrwanie. Mając konia i strzelbę, poradziłby sobie sam.

Przygotowywała posiłek, dokładając wszelkich starań, by zignorować swojego towarzysza.

Mimo to czuła, że Damian bacznie jej się przygląda. Jeśli liczył na to, że nadal będzie chwaliła jego świeżo ujawnione umiejętności strzeleckie, mógł bardzo długo czekać. Okazało się jednak, że myślał o czymś innym.

- Nie chciałbym tego mówić, Casey, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że wyglądasz jak dziewczyna? Próbowaleś zapuścić brodę lub wąsy?

Casey w myślach jęknęła, po czym powiedziała:

- To byłoby bardzo trudne.

- Dlaczego?

- Ponieważ jestem dziewczyną.

Pochyliła głowę, niezmiernie zażenowana jego przerażonym spojrzeniem. Nie musiała się przyznawać. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. A wskazujące na ogromny szok milczenie sprawiło, że poczuła się nieswojo. W końcu nie mogła już dłużej tego znieść i spojrzała na Damiana. Wpatrywał się w jej klatkę piersiową. Robił to z takim natężeniem, jakby chciał przebić wzrokiem jej poncho.

- Nie są może zbyt duże, ale są - wydukała bez rumienienia się, po czym roztropnie dodała: -

Tylko nie próbuj prosić o pokazanie dowodu. Po prostu musisz mi uwierzyć.

Wzrok Damiana powoli przesunął się z powrotem na jej twarz, uważnie studiując każdy fragment, jakby nigdy wcześniej nie widział Casey. Prawdę mówiąc, tak było naprawdę.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zdenerwowanego, potem jednak uczucia wzięły górę nad zaskoczeniem. Casey nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia.

Damian był zły. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Rozdział 16

- Jak śmiesz być dziewczyną?

Idiotyczność tego pytania doskonale ukazywała, jak wściekły był Damian. Casey spodziewała się pewnego zaskoczenia, ale nie potwornej złości, którą jej towarzysz wyrażał dosłownie całym ciałem.

- W tym względzie raczej nie miałam zbyt wielkiego wyboru - przypomniała mu o tym, co było całkiem oczywiste.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi! Celowo mnie oszukałaś - warknął oskarżycielsko.

- To nieprawda. Po prostu nie korygowałam wyciągniętych przez ciebie wniosków. A sam nigdy o nic nie pytałeś. Nie musisz jednak mieć do siebie pretensji. Większość ludzi, patrząc na mnie, również bierze mnie za chłopca.

- Nie jestem większością ludzi. Jestem mężczyzną, który z tobą podróżuje. Nawet nie chcę myśleć, jak bardzo łamię w ten sposób wszelkie konwenanse. Co gorsza, spaliśmy razem w tym samym pokoju!

- Prawdę mówiąc... tę noc spędziłam na tyłach hotelu. z końmi - przyznała Casey.

Żałowała, że nie powiedziała o tym rano, ponieważ odparł z sarkazmem:

- Jasne.

Zmarszczyła czoło, próbując dojść do tego, dlaczego właściwie Damian jest taki wściekły.

Chwyciła się tego, że wspomniał coś o „łamaniu konwenansów”. Czy z tym głównie ma kłopot? Czy Damian myśli, że Casey ma krewnych, którzy pojawią się ze strzelbami w rękach i zmuszą go, by poszedł z nią do ołtarza tylko dlatego, że przez chwilę przebywali razem w tej samej sypialni? Właściwie coś takiego naprawdę mogło się zdarzyć, ale się nie zdarzy, i może powinna mu o tym powiedzieć.

- Chyba nie wyciągnęłaś fałszywego wniosku, że skoro nie mam przyzwoitki, będziemy musieli

zrobić coś śmiesznego, na przykład wziąć ślub? Zbliża się koniec wieku, Damianie.

Takie normy...

- Wciąż obowiązują, i dobrze o tym wiesz! - krzyknął tak głośno, że aż się skuliła.

- No cóż, nie w tej części kraju, a przynajmniej nie wtedy, gdy o wszystkim wiedzą tylko dwie zainteresowane osoby. Jeżeli chociaż na chwilę przestaniesz się złościć i zastanowisz nad tą sprawą, uzmysłowisz sobie, że nikt nie wie, iż podróżujesz z kobietą.

- Kobieta? Wcale bym cię tak nie nazwał, dzieciaku - warknął szyderczo.

To zabolalo, ponieważ Casey od trzech lat uważała się za kobietę. Uwaga Damiana przypomniała jej kłótnię z ojcem, co niemal doprowadziło do wybuchu. Nie chcąc do tego dopuścić, podjęła jeszcze jedną próbę przekonania swojego towarzysza.

- Usiłuję cię przekonać. Damianie, że nie robimy niczego złego, więc wcale nie musisz tak bardzo się niepokoić. To, że jestem... kobietą... niczego nie zmienia. Nadal pozostajesz moim pracodawcą, a ja pracownikiem.

- Do diabła, to wszystko zmienia. Uniosła pytająco brwi.

- Tak? Jak to możliwe, skoro nadal mam te same umiejętności, taki sam pozostał również powód, dla którego mnie zatrudniłeś? Dzięki nauce odebranej od ojca wciąż jestem najlepszym tropicielem w tych stronach.

- Ojca? No proszę, okazuje się, że jakimś cudem masz nawet rodziców! Podejrzewam, że mogłabyś podać mi swoje prawdziwe imię, chociaż do tej pory twierdziłaś, że go nie znasz.

W głębi duszy była niezadowolona, że poruszył tę sprawę, wyjaśniła jednak:

- Fakt, mijałam się z prawdą, mówiąc, że nie mam imienia. Ale nie postępowałam tak dlatego, żeby cię okłamywać.

- Słucham? Na to samo wychodzi, nie widzę więc powodu...

- Nikomu nie podaję swojego prawdziwego imienia, Damianie, gdyż prawdopodobnie szuka mnie mój ojciec. Nie pytaj, dlaczego. To sprawa osobista. Natomiast najprostszym sposobem zachowania w tajemnicy mojego miejsca pobytu jest dołożenie wszelkich starań, by ludzie, których spotykam, nie wiedzieli, kim jestem. Poza tym nie używam fałszywego imienia, jedynie utrzymuję, że go nie znam.

- I udajesz chłopca.

- To nieprawda. Moje krótkie włosy, wzrost i szczupła sylwetka rzeczywiście stwarzają pewne pozory. To nie moja wina, że ludzie wyciągają taki wniosek.

- Nie zapominaj o swoim stroju.

- To, co mam na sobie, jest niezbędne, jeżeli podróżuje się na końskim grzbiecie - wyjaśniła.
- Nigdy jednak nic mówiłam, że jestem chłopcem. Gdyby tak było, nie przyznałabym się teraz do tego, że jestem dziewczyną, prawda?
- Czemu, do diabła, to zrobiłaś?
- Bo w tej sprawie nie kłamię.
- Powinnaś, Casey.
- Dlaczego? To przecież niczego nie zmieni w moim stosunku do ciebie. Nie powinno również mieć wpływu na sposób, w jaki mnie traktujesz. Dlaczego więc robisz z tego taką sprawę?
- Bo jesteś dziewczyną.
- I co z tego?

Sfrustrowany, przeczesał palcami włosy, a potem wyjaśnił:

- Jeśli sądzisz, że to nie sianowi ogromnej różnicy, nie jesteś najmądrzejszą z kobiet.

Zesztywniała.

- Mam nadzieję, że naprawdę wcale tak nie myślisz, na wszelki wypadek muszę cię jednak ostrzec, że nie oszczędzam mężczyzn, którzy próbują stroić sobie ze mnie żarty.
- To nie rozwiązuje problemu.
- Jakiego problemu? Przecież wcale ci się nie podobam.
- Jesteś tego pewna?

Podarowała się na równe nogi, wyciągnęła rewolwer i wycelowała prosto w klatkę piersiową Damiana.

-- W takim razie przestań myśleć o mojej urodzie, Damianie.

- Przecież mnie nie zastrzelisz
- Ale wcale nie jesteś tego taki pewien, prawda? Wpatrywał się w nią z napięciem.

Wytrzymała jego spojrzenie bez zmrużenia oka, nie drgnęła również jej broń. W końcu zerknął na rewolwer i zaproponował:

- Odłóż go. Będę się trzymał swojej strony ogniska - na razie.

Ta deklaracja nie całkiem ją uspokoiła, ponieważ jednak nie chciała go zastrzelić, zrobiła to, co

zapropował, i usiadła. Ale przez cały czas miała nieprzenikniony wyraz twarzy i nie odrywała wzroku od Damiana.

Minęła trudna do wytrzymania minuta milczenia, podczas której oboje tylko na siebie patrzyli. W końcu powiedział:

- Ptak się pali.

- To zrób z nim coś. Gdzie jest napisane, że to ja przez cały czas mam przygotowywać posiłki?

- Może w książce, w której ktoś raczył wspomnieć, że nic umiem gotować?

Zamrugnęła. Potem się uspokoiła. Jeżeli zdobył się na taki żart, to znaczy, że najprawdopodobniej ich kłótnia dobiegła końca - przynajmniej na razie.

Pragnąc się jednak upewnić, oznajmiła:

- Zaraz po zjedzeniu chciałabym się położyć. Ty powinieneś zrobić to samo. Jeśli do następnego miasta mamy dotrzeć jutro przed nastaniem nocy, musimy wcześniej wyruszyć i nieco szybciej posuwać się do przodu. Jak sądzisz, możesz zwiększyć tempo?

- Zrobię to, co będę musiał. Zawsze to robię.

Te słowa były stosunkowo miłe, chociaż w głosie Damiana wciąż pobrzmiwało rozczarowanie. Casey nie miała jednak zamiaru igrać z losem, wdając się w dalszą dyskusję.

Liczyła na to, że po przespanej nocy jej towarzysz inaczej spojrzy na całą sprawę. Wątpiła wszakże, czy sama zapomni o tym, że podoba się Damianowi. Nie miała zamiaru spać.

Musiała wszystko przemyśleć.

Rozdział 17

Damian tej nocy nawet nie próbował zasnąć. Znalazł gałęzie, by podtrzymać ogień, a potem usiadł przy nim, czekał na wschód słońca... i obserwował Casey. To wcale nic było przykre zadanie. Promieniowała jakąś łagodnością, której dotychczas nie dostrzegł. Dzięki owej łagodności wyraźniej było widać jej płeć.

Poprzednio, na szczęście, nie widział śpiącej Casey. Mógł myśleć, że jest za ładna jak na chłopca, ale wówczas wydawało mu się, że naprawdę ma do czynienia z przedstawicielem tej samej płci co on. Gdyby jednak zauważył tę łagodność, dzięki której Casey wyglądała wręcz zmysłowo, byłby zbulwersowany, że ta dziewczyna... ten chłopak tak go pociąga. Na tę myśl niemal jęknął.

Wciąż nie mógł się z tym pogodzić. Powinien sam domyślić się prawdy, nie czekać, aż dziewczyna wszystko mu powie. Zawsze coś go w niej intrygowało. Pozwolił jednak, by jej umiejętności przysłoniły resztę. Żadna kobieta nie potrafiła robić tego, co Casey... a mimo to ona sama poprzedniego wieczoru zbiła ten argument.

Kobieta... nie, dziewczyna. Próbował o tym pamiętać, chociaż nie całkiem mu się to udawało.

Prawdopodobnie dlatego, że leżąc przy ognisku, nie wyglądała na dziewczynę. Sprawiała wrażenie dojrzałej kobiety, na tyle dorosłej, by można było nawiązać z nią bardziej intymny związek.

Nie zdawał sobie sprawy, jak idealną skórę ma Casey, nie zauważył również, że zmysłowa dolna warga aż sama się prosi, by ją wessać. Widział jej czyste włosy, wiedział już, że potrafią miękko spływać na ramiona i wcale nie muszą sterczeć na wszystkie strony, chociaż najczęściej tak było. Natomiast odrzucone tak jak teraz do tyłu, nie ukrywały delikatnych rysów twarzy, rysów, dzięki którym Casey była naprawdę śliczna... i ponętna.

Jako chłopiec Casey była interesująca. Jako dziewczyna - fascynująca. Damian miał ochotę zadać jej sto pytań, wiedział jednak, że nie usłyszy na nie odpowiedzi. Doskonale opanowała sztukę ukrywania swoich tajemnic i uczuć, a to, że ujawniła największy sekret, wcale nie oznaczało, że zdradzi następne.

Nawet kiedy tak cholernie go zaszokowała, wciąż miała ten nieprzenikniony, nic nie mówiący wyraz twarzy. Damian przypominał sobie, jak często ta jej mina wywoływała u niego niepokój, który pociągał za sobą złość. Kobieta wywoływała u niego niepokój.

Opanował się i pogodził z tym, ponieważ prawdopodobnie nic robiła tego celowo, lub przynajmniej nie chciała nikogo niepokoić. Nie mógł jednak przejść do porządku dziennego nad faktem, że Casey go pociąga.

Mówiąc wprost, nie miał pojęcia, jak zdoła podczas dalszej wspólnej podróży trzymać ręce przy sobie. Zresztą, jeśli o to chodzi, wcale nie był pewien, dlaczego właściwie miałby się pilnować, skoro Casey z pewnością nie przestrzegała konwenansów, dzięki którym mężczyźni w obecności kobiet nie mieli prawa zachowywać się jak barbarzyńcy. Przebywając z nim tu sam na sam, złamała wszystkie możliwe reguły, które mu w dzieciństwie wpojono, jakimi więc zasadami miał się kierować?

Damian nie zapominał jednak, z jakiego powodu znalazł się na zachodzie kraju. Dlatego nim wszystkie znajdujące się w pobliżu ptaki zaczęły witać zbliżający się świt, a Casey się poruszyła, chęć znalezienia mordercy ojca wzięła górę nad pożądaniem. Nowojorczyk doszedł do wniosku, że głupotą byłoby komplikowanie układu z Casey i że najlepiej zrobi, jeśli będzie trzymał się od niej z daleka. Natomiast dziewczyna powinna po prostu wykonać zadanie, które jej zlecił.

Damian miał nadzieję, że wytrwa przy swej decyzji. By tego dopiąć, musiał nieco uspokoić Casey, powiedzieć jej jakieś kłamstewko lub dwa, dzięki którym będzie mogła z powrotem nie zwracać na niego uwagi - przynajmniej do pewnego stopnia — a wówczas i jemu łatwiej będzie o niej nie myśleć. Zaczął, gdy tylko usiadła.

- Chciałbym cię przeprosić.

Casey dopiero po chwili spojrzała w jego stronę, a nawet wtedy jeszcze ziewała i mrugała oczami. W końcu zauważyła zachrypniętym ze snu głosem:

- Ledwo zdążyłam otworzyć oczy, Damianie. Jeśli masz zamiar powiedzieć mi coś, co twoim zdaniem powinnam zapamiętać, pozwól mi najpierw wypić kawę.

Uśmiechnął się do niej. Nie zauważyła tego, ponieważ grzebała w ognisku. Przyniosła wszystko, co było potrzebne na kawę, przeciągnęła się - cholera jasna, wolałby, żeby tego nie robiła - a potem skierowała się prosto w krzaki. Była to następna rzecz, na którą poprzednio nie zwrócił uwagi. On sam postępował zupełnie inaczej... dlatego gdy dziewczyna wróciła, na twarzy Damiana widniały resztki rumieńca. Na szczęście było jeszcze na tyle ciemno, że nie mogła zauważyć zażenowania swojego towarzysza.

Spojrzała na niego dopiero wtedy, gdy skończyła rutynowe poranne czynności i przykucnęła po drugiej stronie ogniska z parującym kubkiem kawy w ręce. Jej twarz była nieprzenikniona.

Dlaczego tak bardzo go to zaskoczyło?

- W porządku, wspomniałeś coś o przeprosinach.

Mimo woli zauważył, jak szeroko rozchylają się jej kolana przy kucaniu. Chociaż między nimi wisiało poncho, Damian z ogromnym trudem oderwał wzrok od jej długich nóg.

Musiał odchrząknąć.

- Wczoraj wieczorem tak się zdenerwowałem, że w kilku sprawach rozminąłem się z prawdą.

- To znaczy?

- Powiedziałem na przykład, że mi się podobasz... jako kobieta.

Odniósł wrażenie, że zeszywniała, ale nie był tego wcale pewien.

- To znaczy, że jest inaczej?

- Oczywiście - skłamał bez zmrużenia oka. - Byłem wtedy po prostu... bardzo zaniepokojony.

Powiedziałbym wszystko, żeby i ciebie wytrącić z równowagi. To podłe z mojej strony i dlatego dziś rano zrobiło mi się wyjątkowo przykro.

Powoli kiwnęła głową i odwróciła wzrok, spoglądając na wschód słońca, który mienił się feerią barw. Padający z nieba złocisty blask sprawił, że trudno było oderwać oczy od oblicza Casey, dlatego Damian miał bardzo poważne problemy ze skupieniem się na jej słowach.

- Jestem znana z tego, że w porywie złości również mówić rzeczy, których naprawdę nie myślę - wyznała, marszcząc brwi, jakby wracała pamięcią do jakiejś konkretnej chwili. -

Sądzę, że też powinnam cię przeprosić.

- Nie musisz...

- Ale to i tak się przyda, tylko bowiem w ten sposób możemy oczyścić atmosferę. Sama wczoraj wieczorem wyciągnęłam kilka pochopnych wniosków, zakładając, że obawiasz się przymusowego ślubu. To głupie z mojej strony, zwłaszcza że przecież możesz być żonaty.

Żonaty? Damian zmarszczył brwi, ponieważ nagle przypomniał sobie ostatnie spotkanie z ojcem Winnifred. Miało ono miejsce podczas pogrzebu.

„Wiem, że to nieodpowiednia pora na taką rozmowę -wymamrotał - ale mam nadzieję, że żałoba nie opóźni ślubu, prawda?”

Nieodpowiednia pora? Damian nie mógł uwierzyć, że ten człowiek jest aż tak niewrażliwy. A ponieważ wiedział, że jabłko pada niedaleko od jabłoni, nie widział się więcej ani z ojcem, ani z córką i miał zamiar nadal tak postępować.

- Nie mam żony - powiedział spokojnie.

- To nie było pytanie, jedynie przeprosiny za przyjęcie założenia, do jakiego nie miałam prawa. Nie bardzo mnie obchodzi, czy jesteś żonaty, czy nie.

Damian uznał, że dziewczyna podkreśliła to w dość zabawny sposób, zupełnie jakby obawiała się, że tym razem on wyciągnie nieodpowiednie wnioski i uzna, iż ona widzi w nim kandydata na męża. Wyraźnie jej nie interesował. Nawet wyglądała na zażenowaną z tego powodu.

- Tak przypuszczałem - zapewnił szybko. Przytaknęła, widocznie pragnąc zamknąć dyskusję na ten temat. Na zakończenie zauważyła:

- To zdumiewające, że po porządnie przespanej nocy człowiek zupełnie inaczej patrzy na pewne sprawy.

Damian jeszcze tego nie wiedział. Na razie nie odczuwał żadnych skutków bezsennej nocy, nie wątpił jednak, że nim dzień dobiegnie końca, zmęczenie da o sobie znać. Rzeczywiście, gdy wieczorem dotarli do następnego miasta, był bardzo wyczerpany i marudny.

Zapowiedział nawet Casey, że jeśli nazajutrz się nie pojawi, nie powinna go szukać, bo może będzie spał cały dzień. Tak też się stało.

Rozdział 18

Casey myślała, że Damian żartował, mówiąc o spaniu przez cały dzień. Była poirytowana, gdy doszła do wniosku, że powiedział prawdę. Tego dnia sześciokrotnie podchodziła pod drzwi jego pokoju; niestety, przez cały czas na klamce wisiała kartka: „Nie przeszkadzać”, a ze środka nie dochodziły odgłosy nawet najłżejszego ruchu.

Późnym popołudniem w końcu zapukała. Jeśli następnego dnia mieli wyruszyć w dalszą podróż, przed zamknięciem sklepów Damian musiał kupić sobie siodło. Sama by to załatwiła, ale znajdowali się w tak dużym mieście, że było w czym wybierać, a wybór siodła zależy od osobistych upodobań. Co prawda trudno przypuszczać, by nowojorczyk miał w tym względzie jakieś upodobania, tym

bardziej że jazda konna była dla niego nowością.

Dziewczyna wolała jednak, by jej towarzysz sam dokonał wyboru.

Wstał z łóżka, przez cały czas narzekając. Dopiero wtedy Casey przyszło do głowy, że po jej wyznaniu Damian musiał bardzo niewiele spać, jeśli w ogóle udało mu się zmrzyć oko. Nie wiedziała, czy powinna się martwić faktem, że żółtodziób miał więcej problemów z zaakceptowaniem jej prawdziwej tożsamości, niż początkowo myślała.

Kiedy dał jej do zrozumienia, że mu się podoba jako kobieta, była wzruszona i trochę zmieszana. Nie spodziewała się tego. Znacznie gorzej się poczuła, gdy oświadczył, że ją okłamał. Do jasnej cholery, to, co powinno ją uspokoić, jedynie bardziej ją zdeprymowało.

Damian podejmował jednak wszelkie starania, by nadal było tak jak dotychczas, bez zważania na jej płęć. Mogła więc jedynie pójść w jego ślady.

W końcu udało się jej wyciągnąć go z hotelu i po krótkiej wyprawie do banku doprowadzić do jednego ze sklepów z siodłami. Casey nie była wcale zaskoczona, gdy wybrał najdroższe i najbardziej wyszukane. Teraz jego uparty łaciaty w promieniach słońca będzie błyszczał jak choinka, kłując w oczy nawet z odległości półtora kilometra.

Casey powstrzymała się od pogardliwego komentarza na ten temat. To były stracone pieniądze, na szczęście częściowo wydane na użyteczny przedmiot. Ponownie wspomniała, że Damian powinien sobie kupić jakiś strój odpowiedni do jazdy konnej.

Nie była pewna, czy nowojorczyk przez przypadek nie robi jej na przekór, gdyż w głębi duszy z pewnością musiał przyznać jej rację, jednak nadal utrzymywał, że to, co ma na sobie, w zupełności mu wystarczy. Zwrócił również uwagę, iż w najbliższym mieście z powrotem wsiądą do pociągu, więc nie będzie już potrzebował innej odzieży. Dzięki temu każdy od razu widział, że Damian jest całkowitym żółtodziobem. Casey zaczynała wręcz żałować, że mimo wszystko nie zostawiła jego torby.

Jeszcze bardziej była zła, gdy się okazało, że jej przewidywania tak szybko się sprawdziły, i to w dramatycznych okolicznościach. Szli do stajni, w której stały konie, by zostawić tam siodło. Po drodze musieli przejść obok saloonu, w którym, sądząc po odgłosach, było mnóstwo klientów.

Przytłoczony przez niesiony na ramieniu ciężar, Damian został nieco w tyle, a idąca wydłużonym krokiem Casey wysunęła się do przodu, dlatego wcale nie wyglądało na to, że są razem. Czterej pijani mieszkańcy miasta, którzy chwiejnym krokiem wyszli z saloonu, zauważyli tylko Damiana.

Casey nawet nie zdawała sobie sprawy, że ktoś zatrzymał jej towarzysza, dopóki nie usłyszała za plecami strzałów. Gdy się odwróciła, zobaczyła wycelowane w Damiana cztery rewolwery. Widywała takie wydarzenia w innych miastach. Było w żółtodziobach coś, co potrafiło zmienić spokojnych obywateli w potwornych tyranów.

Casey przypuszczała, że była to zwyczajna próba sił. Ci ludzie po prostu wyszli z założenia, że nie

mający broń żółtodziób łatwo da się zastraszyć. A ponieważ zdążyli już trochę wypić, alkohol dodał im animuszu i sprawił, że byli lekkomyślni, co jedynie pogarszało sytuację.

Casey widziała nawet człowieka ze wschodu, którego postrzelono w stopę, ponieważ odmówił tańczenia w rytm wystrzałów z rewolweru dręczyciela. Damian jednak nie wyglądał

na kogoś, kto pójdzie na ustępstwo, byle tylko rozładować sytuację.

Nie zrobił tego. Odstawił siodło i po prostu stał, patrząc na padające coraz bliżej jego stóp kule. Jego przeciwnicy byli coraz bardziej poirytowani. Nic chciał dostarczyć im rozrywki.

Mógł wyjątkowo dobrze obchodzić się ze strzelbą, ale takiej broni nie nosi się ze sobą przez cały czas, zwłaszcza gdy idzie się po zakupy i człowiekowi wydaje się, iż nie będzie miał po drodze żadnych kłopotów. Tymczasem bez broni Damian nic nie mógł zrobić.

On sam widocznie wcale tak nie uważał. Gdy jego prośba, by dali mu święty spokój, nie poskutkowała, podszedł do jednego z mężczyzn, pragnąc siłą położyć kres strzelaninie.

Doprowadził jedynie do tego, że teraz jedna lufa wycelowana była w jego klatkę piersiową, a nie w stopy. Casey wyjęła rewolwer i oddała strzał ostrzegawczy, obawiając się, że Damian zignoruje prawdziwe zagrożenie i spróbuje wykluczyć swego adwersarza z gry, a przy okazji sam da się zabić.

Jednemu z nich roztrzaskała obcas buta, drugiemu przestrzeliła kapelusz. To wystarczyło, by odciągnąć ich uwagę od Damiana. Zrobiłaby więcej, ale nie było potrzeby. Znajdujący się między nimi Damian natychmiast przystąpił do działania. Chwycił dwóch napastników za włosy, zderzył ich głowami, a potem rozrzucił na boki. Trzeciego mężczyźno walnął tak mocno, że poszybował nad ulicą. Czwarty pod wpływem ciosu w brzuch złożył się wpół, zastanawiając się pewnie, czy jeszcze kiedykolwiek uda mu się nabrać powietrza w płuca.

Potem, jakby nic się nie stało. Damian otrzepał dłonie z kurzu, poprawił marynarkę, podniósł

siodło i ruszył w dalszą drogę. Casey nie spuszczała z oczu ostatniego przytomnego z czwórki, pragnąc się upewnić, czy nie będzie zbyt głupi i nie spróbuje jeszcze jakiejś sztuczki. Na szczęście wykazał się mądrością. Z trudem łapiąc oddech, chwiejnym krokiem wrócił do saloonu.

Casey schowała rewolwer i odwróciła się do Damiana, który w tym czasie zdążył się z nią zrównać.

- Nic ci się nie stało?

- To miłe, przyjazne miasto - odpowiedział.

- Prawdopodobnie tak - przyznała Casey, nie zwracając uwagi na jego ironiczny ton. -

Wolałabym o tym nie mówić, ale chyba muszę - dodała z uśmiechem. - Nie doszłoby do tego, gdybyś nieco inaczej wyglądał. Przypominasz Damiana, turystę, który właśnie wysiadł z pociągu jadącego prosto ze wschodu. Mieszkańcy tych okolic lubią płatać psikusy i zabawiać się kosztem turystów, którzy nie znają tutejszych zwyczajów.

- W takim razie zapoznaj mnie z nimi. Zamrugęła.

- Co takiego?

- Naucz mnie, jak można tu przetrwać.

Próbowała zrozumieć, co się za tym kryje, jednak potrzebowała trochę więcej czasu, dlatego powiedziała:

- No cóż, na razie wróćmy do sklepu, nim go zamkną. Pora, żebyś zaczął wyglądać jak ktoś, kto tu mieszka, a nie jedynie przejeżdża przez te okolice.

Zacisnął zęby. Po cichutku westchnęła, spodziewając się ponownej odmowy. Zastanawiała się, co takiego mają w sobie eleganckie szmatki, że Damian nie chce się z nimi rozstać. A może po prostu nie zamierza wyglądać jak wszyscy? Czy chodzi tylko o to?

Zaskoczył ją, ponieważ przytaknął i powiedział szorstko:

- Prowadź.

Zrobiła to, chociaż później żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat. W eleganckim garniturze Damian wyglądał bardzo dobrze, ale w dopasowanych dżinsach, niebieskiej batystowej koszuli z czarną bandaną i kamizelką, w kapeluszu z szerokim rondem bił

wszystkich na głowę i mógł uchodzić za człowieka stąd. Casey musiała spojrzeć na niego z innej perspektywy. Teraz wydawał się... bardziej przystępny.

Rozdział 19

Następnego dnia, znalazłszy niewielki stawek, Casey rozbiła obozowisko nieco wcześniej, by skorzystać z wody. Damian ponownie zaproponował, że coś upoluje. Podczas jego nieobecności szybko się wykąpała. Umyła nawet włosy, chociaż wcale tego nie wymagały.

Starła się nie zastanawiać, dlaczego uznała kąpiel za konieczną. Tłumaczyła sobie jedynie, że nie musi już dłużej wyglądać na brudasę.

Wciąż suszyła włosy, gdy pojawiła się Luella Miller. Na jej widok Casey niemal rozdziawiła usta. I to wcale nie dlatego, że była zaszokowana, widząc w tej okolicy jakąkolwiek żywą duszę. Dziewczyna wpatrywała się w gościa, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nigdy zresztą wcześniej nie widziała tak oszałamiająco pięknej kobiety.

Jasnozłociste włosy ukryte pod modnym kapelusikiem. Duże, niebieskie oczy otoczone gęstymi rzęsami. Skóra tak podobna w kolorze do kości słoniowej, że wyglądała niemal na przezroczystą. Duże piersi. Wąska talia. Niewielki wzrost. Duże piersi. Mnóstwo koronek, od parasola po wkładki do filigranowych bucików. Duże piersi. Czyżby się powtarzała? Nic nie mogła na to poradzić. To były naprawdę duże piersi jak na tak drobnutką kobietę. Aż dziw, że się nie garbiła pod ich ciężarem. Trzeba jednak przyznać, że miała sylwetkę wyjątkowo prostą, jedynie gdzieniegdzie coś

jej sterczało.

- Dzięki Bogu - brzmiały pierwsze słowa wypowiedziane przez Zjawę z lekką zadyszka, chociaż wcale nie biegła. - Nie zdaje pan sobie sprawy, jak się cieszą, że pana widzę. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym musiała spędzić tę noc sama.

Casey nie miała pojęcia, co ta uwaga ma wspólnego z czymkolwiek, chciała jednak być uprzejma, dlatego powiedziała:

- Z pewnością znajdzie się tu dla pani miejsce przy ognisku i coś do zjedzenia.

- To bardzo miło z pana strony - rzekła kobieta, po czym podeszła i wyciągnęła rękę. -

Jestem Luella Miller z Chicago. A pan jak się nazywa?

Casey spojrzała na delikatne palce i niewiarygodnie wy-manicuirowane paznokcie. Potem szybko odwróciła wzrok, obawiając się, że Luella spodziewa się czegoś więcej niż zwykłego uścisku dłoni, na przykład chce, by pocałować ją w rękę, a tego Casey wcale nie miała zamiaru robić.

- Casey - powiedziała, celowo ignorując wyciągniętą dłoń.

- Mogę usiąść na tym? - spytała Luella z uśmiechem, wskazując na stojące obok ogniska siodło Starego Sama.

Usiadła na nim, nie czekając, co powie Casey, pewna, że otrzyma pozytywną odpowiedź.

Ciężko westchnęła, po czym dodała:

- Mam za sobą koszmarną podróż. A zapewniano mnie, że dotarcie do Fort Worth w Teksasie będzie całkiem proste.

Patrzyła na Casey wyczekująco.

- To tam właśnie pani zmierza? - spytała dziewczyna uprzejmie.

- Tak, jadę na pogrzeb mojego stryjecznego dziadka. Ale w St. Louis uciekła ode mnie pokojówka. Jest pan w stanie to sobie wyobrazić? Potem pociąg się spóźnił. Mówiono coś o konieczności naprawienia torów kolejowych, nim pojedziemy dalej na południe. Miałam nadzieję, że dotrę do Fort Worth przed pogrzebem, ale naprawdę muszę tam być, nim zostanie odczytany testament, ponieważ pewnie zostałam w nim wymieniona. Gdyby nie to, mogłabym zaczekać na pociąg.

- W związku z tym zdecydowała się pani... hm... dotrzeć do Fort Worth na piechotę?

Luella zamrugała, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Jakie to rozkosznie zabawne! Nie, oczywiście, że nie.

Spotkałam miłego duchownego i jego żonę. Oboje jechali wozem na południe i byli na tyle uprzejmi, że zabrali mnie ze sobą - przynajmniej myślałam, że to sympatyczny gest, póki mnie nie zostawili. Casey uniosła brwi.

- Zostawili?

Tak, po prostu zostawili. Prawdę mówiąc, nie mogłam w to uwierzyć. Zatrzymaliśmy się dzisiaj na lunch. Oddaliłam się, żeby... no cóż, spędzić kilka minut na osobności, a kiedy wróciłam, wóz oddalał się z dużą prędkością i wkrótce zniknął mi z oczu. Czekałam kilka godzin, myśląc - właściwie mając nadzieję - że po mnie wrócą, ale ani oni, ani nikt inny się nie pojawił. Ruszyłam więc na południe; niestety, po jakimś czasie droga zniknęła.

Przypuszczalnie jest tak rzadko uczęszczana, że jej nie widać, zwłaszcza teraz, kiedy istnieje taki wygodny środek lokomocji jak pociągi - przynajmniej póki jeżdżą. Dlatego szybko zabłądziłam.

Jak na kogoś, kto błąkał się po okolicy przez cały dzień, wyglądała wyjątkowo schludnie i czysto. Z drugiej jednak strony pewni ludzie nie dopuszczają do siebie ani odrobinki kurzu.

Dlatego Luella wykorzystała siodło Starego Sama jako siedzenie, zamiast po prostu usiąść na ziemi.

- I pewnie zabrali ze sobą pani rzeczy? - domyśliła się Casey.

- No cóż, teraz przypominałam sobie, że rzeczywiście miałam w walizce kilka kosztownych klejnotów, a w portmonetce pieniądze. - Ponownie westchnęła. - Myśli pan, że od początku chcieli mnie okraść i to był jedyny powód, dla którego zaproponowali, że zabiorą mnie ze sobą na południe?

Wygląda na to, że tak.

- Ale ludzie nie robią mi takich rzeczy.

Casey z trudem powstrzymała się od prychnięcia. Ta dama widocznie była święcie przekonana, że z powodu jej niezwykłej urody wszyscy ludzie oferujący jej pomoc robią to ze szczerego serca.

- Większość złodziei nie zwraca uwagi na to, kogo okrada, panno Miller.

- No cóż, ten duchowny, jeśli naprawdę nim był, widocznie musiał być ślepy. - Luella obstawała przy swoim.

- Może jedynie udawał duchownego, by zdobyć pani zaufanie. Ale na razie niewiele może pani zrobić, przynajmniej póki nie zamelduje pani o tym władzom.

Następne westchnienie.

- Tak, wiem. To jednak nie zmienia faktu, że w ciągu tygodnia muszę dotrzeć do Fort Worth.

Nic jedzie pan przypadkiem na południe?

Casey naprawdę bardzo chciała powiedzieć „nie”, nie wiedziała jednak, w jaki sposób ominąć prawdę i nie wspomnieć, że ona również zdążyła do Fort Worth.

- Zatrzymamy się w najbliższym mieście na południe stąd.

- My? To znaczy, że zabierze mnie pan ze sobą?

- Moje słowa dotyczyły mnie i mojego przyjaciela. Poszedł upolować coś na kolację. Ale owszem, podwieziemy panią do najbliższego miasta.

Potem kontynuowały rozmowę, przynajmniej Luella to robiła, niemal przez cały czas opowiadając o życiu w Chicago. Z tego, co wywnioskowała Casey, Luella miała dwadzieścia dwa lata, wywodziła się z wyższych sfer, była panną i mieszkała z pobłażliwym bratem.

Osiem razy się zaręczała, niestety, za każdym razem w ostatniej chwili odwoływała ślub, ponieważ nie miała pewności, czyjej narzeczeni naprawdę ją kochają, czy jedynie pragną się z nią ożenić ze względu na jej oszałamiającą urodę. Casey uznała, że osiem razy to trochę za dużo, ale nie powiedziała tego na głos.

Wkrótce wrócił Damian i dziewczyna musiała patrzeć, jak jej partner robi z siebie kompletnego durnia, z niedowierzaniem przyglądając się ich pięknemu gościowi.

Prawdopodobnie nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła Casey, która próbowała wyjaśnić, kim jest Luella i co robi w ich obozowisku. Nie pomyślał nawet o tym, by zsiąść z konia, jedynie z jego grzbietu przyglądał się damie.

Luella natychmiast zauważyła, jaki Damian jest przystojny. Casey nigdy wcześniej nie widziała, by jakaś kobieta tyle trzepotała rzęsami i głupio się uśmiechała. To było po prostu obrzydliwe, niemniej Damian chyba miał na ten temat inne zdanie.

- Panna Luella wyciągnęła ze mnie obietnicę, że zawieziemy ją do najbliższego miasta -

dodała Casey, kończąc swoje wyjaśnienia.

Tak, oczywiście. Może jechać ze mną na moim koniu.

Jak szybko to powiedział! I może nawet by mu się to udało. W końcu teraz Damian i łaciaty żyli już ze sobą w znacznie lepszej komitywie. Ale ten pomysł wcale nic spodobał się Casey.

Dlatego zwróciła uwagę:

- Pod wpływem dodatkowego ciężaru twój łaciaty może ponownie zacząć brykać. Lepiej będzie, jeśli pani pojedzie ze mną.

Przytaknął. Nawet nie próbował się kłócić. Luella wyglądała na zawiedzioną.

Damian w końcu zsiadł z konia i bez oglądania się rzucił swój łup niemal na kolana Casey.

Nie mógł oderwać wzroku od Luelli. Przedstawiając się jej, dopełnił wszelkich formalności.

Casey wywróciła oczami, kiedy zrobił to, na co ona nie miała ochoty - pocałował damę w rękę.

Przez pozostałą część wieczoru Damian i Luella bez przerwy rozmawiali. Okazało się, że mają ze sobą bardzo dużo wspólnego, tym bardziej że oboje wywodzili się z tej samej sfery.

Niemal przez cały czas ignorowali Casey, chociaż w którymś momencie Luella próbowała uprzejmie wciągnąć ją do rozmowy.

- Mam nadzieję, że pana nie nudzimy.

Jeśli było to naprawdę uprzejme.

- Ona nie jest panem.

Bezmyślność Damiana potwornie zdenerwowała Casey. Nie mogła uwierzyć, że w ogóle powiedział coś takiego. Nic nie pomogło, że Luella ze śmiechem odparła:

- Niech pan nie będzie taki głupi. Jeszcze potrafię rozpoznać mężczyznę.

Kiedy jednak nikt nie przyłączył się do jej śmiechu, była wyraźnie zaszokowana. Baczniej przyjrzała się Casey i zaczęła się wstydić swojej zupełnie zbędnej uwagi.

Casey nie patrzyła jednak na Luellę. Przeszyła Damiana ostrym spojrzeniem, które mówiło:

„Zaraz cię zastrzelę”, po czym wstała i oznajmiła:

- Pragnę zamienić z tobą słówko... na osobności. - Po czym odmaszerowała w ciemność.

Ruszył za nią - dzięki Bogu, gdyż wcale nie była tego taka pewna. Po kilku krokach zawołał:

- Zaczekaj! Nie mam takich oczu jak ty. Nie widzę w ciemności.

Zatrzymała się, lecz tylko dlatego, że znajdowali się wystarczająco daleko od obozowiska i Luella nie mogła ich już ani widzieć, ani słyszeć.

- Ja również nie widzę w ciemności. Po prostu przed zapadnięciem zmroku zapamiętuję ukształtowanie terenu. Ty też byś mógł.

- Dobrze, że mi to mówisz.

Zignorowała drażliwość tej odpowiedzi. Dotarł do niej, więc dość mocno szturchnęła go w klatkę piersiową.

- Dlaczego, do diabła, powiedziałeś jej o mnie? Czy sądzisz, że zależy mi na tym, by wszyscy się dowiedzieli? Guzik ją obchodzi, kim naprawdę jestem. Gdybym chciała, żeby Luella знаła prawdę,

sama bym to jej powiedziała, nie sądzisz?

- Jesteś na mnie zła, Casey?

Wyczuła w jego tonie rozbawienie, jakby był przekonany, że Casey naprawdę nic ma powodu do niepokoju. To była ostatnia kropla. Warknęła i rzuciła się na niego. Nie wiedziała, jakim cudem Damian zauważył jej pięść i zdołał uniknąć ciosu. W chwilę potem trzymał ją mocno, by uniemożliwić jej jakikolwiek ruch. Prawdopodobnie chciał ją tylko unieruchomić, nic więcej, mimo to Casey całkiem znieruchomiała, zaszokowana faktem, że Damian przycisnął

ją do siebie. Z kolei jej bezruch musiał wywołać jakąś dziwną reakcję, gdyż nagle Damian odgiął do tyłu głowę dziewczyny i zaczął ją całować.

Rozdział 20

Wypadek. Tak Damian określił pocałunek, który do głębi zaszokował Casey. Poznając jej smak, sprawił, że gdzieś w środku zaczęła dziwnie topnieć, a serce biło jak szalone. Potem Damian delikatnie musnął jej policzek i odsunął ją od siebie.

- To był... wypadek. Nigdy więcej tego nie zrobię obiecał i odszedł.

Zostawił ją oszołomioną i... Właściwie nie umiała nawet określić, co czuje. Tymczasem Damian wrócił do ogniska, usiadł i podjął rozmowę z Luellą, zupełnie jakby nic wydarzyło się nic nadzwyczajnego - przynajmniej nic na miarę trzęsienia ziemi. Casey oddaliła się, pragnąc znaleźć jakiś głąz, na którym mogłaby usiąść i ze zdenerwowania wyrwać z głowy kilka włosów.

Musiała stawić czoło kilku faktom. Odczuwała do Damiana pociąg, z którym nie potrafiła sobie poradzić. Pragnęła jego pocałunków. Może chciała nawet czegoś więcej.

wolała jednak się nie zastanawiać, do czego te pocałunki mogły prowadzić.

To jednak nie miało żadnego znaczenia, ponieważ nie wyobrażała sobie Damiana w swoim przyszłym życiu. Był przybyszem, pragnącym jak najszybciej wrócić do swojego świata.

Wiedziała, że on nigdy nie przyzwyczai się do tutejszej rzeczywistości, tak samo jak ona źle by się czuła na wschodzie. Niestety, mimo tej świadomości dziewczyna wcale nie przestawała pragnąć wszystkiego, co rozbudził w niej Damian.

Będzie musiała zdecydować o tym, czy chce dokładniej poznać świeżo odkryte uczucie, mimo że doskonale zdawała sobie sprawę, że nie będzie ono trwało wiecznie. A może powinna zachować w stosunku do tego człowieka dystans, żywiąc nadzieję, że wkrótce każde z nich pójdzie w swoją stronę, i to naprawdę bardzo szybko. Damian rzeczywiście nie jest nią zainteresowany, niemniej mogą zdarzyć się następne „wypadki” - zwłaszcza jeżeli będą przebywać w towarzystwie Luelli Miller, która wyraźnie przypadła nowojorkykowskiemu do gustu.

Z jednej strony Casey powinna być zadowolona z pojawienia się Luelli, ponieważ ta kobieta tak bardzo absorbowwała Damiana, że niemal nie zwracał uwagi na trzecią osobę należącą do ich

niewielkiej gromadki. Ale dziewczynie bardzo przeszkadzało, że jej towarzysz niemal pożera wzrokiem piękną damę.

Wyglądało zresztą na to, że nie uda im się tak szybko pozbyć Luelli, jak Casey by chciała.

Następnego dnia zobaczyli jadący na południe pociąg. Minał ich z daleka, a potem czekał w mieście, do którego po godzinie dotarli. Był to ten sam skład, którym dotychczas podróżowali, z wytwornym wagonem Damiana.

Oczywiście, ponieważ wszyscy troje podążali w tym samym kierunku, Damian musiał

zaprosić Luellę do swojej salonki. Casey nie mogła się sprzeciwić, gdyż inaczej musiałaby się przyznać, że jest zazdrosna.

Po kilku dniach pociąg dotarł do Fort Worth, ale już wcześniej wszystko wskazywało na to, że Luella jest na najlepszej drodze do usidlenia dziewiątego narzeczonego.

W ciągu kilkudniowej wspólnej podróży był tylko jeden moment, kiedy Damian zezłościł się na pannę Miller. Stało się to wtedy, kiedy wspomniała, że zna jego matkę, która widocznie mieszkała w Chicago i należała do tych samych kręgów towarzyskich co Luella.

Jasne było, przynajmniej dla Casey, że nowojorczyk nie ma zamiaru rozmawiać o swojej matce, wręcz w ogóle nie chce o niej słyszeć. Niestety, Luella tego nie zauważyła i bez przerwy opowiadała o tej kobiecie, nie kryjąc, że wic o jej poprzednim małżeństwie. Kilka lat temu matka Damiana pochowała drugiego męża i teraz żyła w odosobnieniu. Mieszkała sama w ogromnym domu. Damian powinien przyjechać do niej w odwiedziny.

W końcu wstał i wyszedł na otwartą platformę na tyłach wagonu. Casey, rozparta w pluszowym fotelu przy przejściu, szepnęła, że niektórzy ludzie nie wiedzą, kiedy należy się zamknąć.

Luella, jak zwykle, nie słuchała, dlatego zerknęła w jej stronę i powiedziała:

- Co mu się stało?

Casey wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i odparła.

- Może było mu tu za duszno.

Luella wyduła wargi i machnęła wachlarzem.

- Tak sędzę. W tym wagonie jest dość ciepło, nieprawdaż? Z drugiej jednak strony on też mnie rozgrzewa, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Casey nie wiedziała. I nie chciała wiedzieć. Luella, jak na tępą osobę przystało, zignorowała zmarszczone czoło Swej rozmówczynie i dodała:

- Sędzę jednak, że ja działam na niego tak samo, z czego się cieszę. Stanowimy bardzo dobrą parę,

prawda?

Czy ta kobieta naprawdę chce usłyszeć odpowiedź na to pytanie? Owszem, coś sobą reprezentowała. Casey musiała przyznać, że Luella bardzo przyciągała wzrok, choć prawdę mówiąc, była trochę za ładna. Trudno jednak uwierzyć, by jakikolwiek mężczyzna przez dłuższy czas tolerował kogoś tak zadufanego w sobie jak panna Miller. Damian powinien mieć więcej zdrowego rozsądku, choć nie da się wyjaśnić, dlaczego pewni ludzie mają taki, a nie inny gust.

Na domiar złego Luella miała drugą naturę, którą starannie ukrywała przed Damianem.

Natomiast bez żadnych skrupułów okazywała swoją złośliwość Casey, chociaż trudno powiedzieć, czy robiła to celowo, czy nie.

Na ostatniej stacji, kiedy pociąg zatrzymał się na lunch, panna Miller odciągnęła dziewczynę na bok i oznajmiła jej

- Podejrzewam, że jesteś o mnie zazdrosna, chociaż Damian zapewnił mnie, że nie jesteś nim zainteresowana. To właściwie i tak nie ma większego znaczenia. Sama musisz przyznać, że nie byłabyś dla niego odpowiednią żoną. Poza tym, gdy czegoś pragnę, nie dopuszczam, by coś stało mi na przeszkodzie, więc postaraj się o tym pamiętać, kochanie.

Casey nie mogła zrozumieć, dlaczego Luella uznała, że musi to wszystko powiedzieć, może nie czuła się zbyt pewnie. Dziewczyna była tak zaszokowana, że zabrakło jej słów. Potem nie mogła już zareagować, gdyż Luella oddaliła się szybkim krokiem, by zjeść z Damianem posiłek, a sama Casey nie miała zamiaru urządzać sceny.

To działo się poprzedniego dnia. Gdy nazajutrz dotarli do Fort Worth, dużego miasta wciąż noszącego nazwę wojskowego posterunku, od którego wzięło swój początek, Casey postanowiła zrobić wszystko, by więcej nie widzieć panny Miller.

Luella nakłoniła Damiana, by odprowadził ją do domu wuja. Casey pożegnała się z nią na stacji i poszła do koni. Potem wynajęła pokój w tanim hotelu, ponieważ nie wiedziała, ile czasu jej zajmie zdobycie w tak dużym mieście jakichś informacji na temat Henry'ego Curruthersa.

Gdy Damian znalazł ją wieczorem w małej hotelowej restauracyjce, gdzie samotnie jadła kolację, już miała dla niego dobre wieści, które chciała przekazać mu następnego ranka. Nie spodziewała się, iż zobaczy go jeszcze tego wieczoru. Zakładała, że jej towarzysz zje kolację ze swą dys-tyngowaną damą serca.

- Dlaczego zatrzymałaś się tutaj? -brzmiało jego pierw-sze pytanie, gdy tylko podszedł do stolika.

- Bo tu jest tanio. Potrząsnął głową.

- Czy muszę ci przypominać, że to ja pokrywam koszty podróży?

- Wszystkie łóżka są takie same, Damianie - zauważy-ła - Będzie mi tu dobrze.

Kawałek dalej, przy tej samej ulicy, jest doskonały ho-tel, w którym już opłaciłem ci pokój.

- W takim razie zażądaj zwrotu pieniędzy - odparła natychmiast, nie przerywając posiłku. -

Poza tym co ty tu właściwie robisz? Czyżby Luella nie zaproponowała ci kolacji? Westchnął i usiadł przy Casey.

- Zaproponowała, ale odmówiłem. Mówiąc szczerze, nie zniósłbym następnego wieczoru jej nieustannej paplaniny.

Casey niemal zakrztusiła się kawałkiem steku. Damian uderzył ją w kark, by jej pomóc. Z czerwoną twarzą burknęła:

- Połamiesz mi kości.

- Przepraszam - powiedział. Wyglądał na rozczarowanego, może dlatego, że nie była mu zbyt wdzięczna za pomoc. Potem spytał: - Czy mają tu dobre jedzenie?

- Nie, ale jest tanie.

Przez chwilę na nią patrzył, po czym wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego dla ciebie wszystko musi być tanie? Mając takie niebezpieczne zajęcie, musisz dobrze zarabiać.

- Jasne, ale jeśli wszędzie będę szastać pieniędzmi, po skończeniu pracy nie zostanie mi zbyt wiele, prawda?

Przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

- Mówisz, jakbyś wkrótce chciała zrezygnować z tego zajęcia.

- Owszem.

- A co potem?

- Wrócę do domu.

- Pewnie wyjdiesz za mąż i będziesz wychowywać małych kowbojów.

Zlekceważyła jego ironiczny ton.

- Nie, będę prowadziła ranczo, które dostałam w spadku.

- Gdzie jest to ranczo?

- To nic ma znaczenia, Damianie.

- W takim razie możesz mi powiedzieć.

- Nie.

Znacząco zmarszczył brwi. Wcale nie podobała mu się odmowa, dlatego nie zamierzał zmieniać tematu.

- Twój człowiek. Curruthers. wyjechał stąd na południe -oznajmiła Casey nonszalancko.

Wspomniał o San Antonio, ale nie jako o ostatecznym celu.

- Jakim cudem udało ci się tak szybko tego dowiedzieć? - zapytał z niedowierzaniem.

- Odwiedziłam wszystkie stajnie w mieście.

- Dlaczego?

- Twoi detektywi twierdzili, że nie wyjechał z miasta pociągiem, musiał więc kupić sobie konia. Na szczęście wygląd Curruthersa jest tak charakterystyczny, że łatwo go zapamiętać. I tak właśnie się stało.

- Nic sądzisz, że detektywi również powinni trafić na ten ślad? - narzekał Damian.

- Po prostu mieli pecha. Facet, który sprzedał Curruther-sowi konia, następnego dnia wyjechał w odwiedziny do matki, mieszkającej w Nowym Meksyku. Nic było go przez ponad miesiąc, dlatego twoi detektywi go nie znaleźli. Damian potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- A ja myślałem, że będziemy tu przynajmniej przez tydzień.

Casey wzruszyła ramionami.

- Ja też. Szkoda. Teraz będziesz musiał skrócić swoje zaloty... chyba że pozwolisz mi samodzielnie doprowadzić tę sprawę do końca.

- Nic z tego — sprzeciwił się Damian, najwyraźniej niezbyt zmartwiony faktem, że będzie musiał opuścić damę swego serca. - Mówiłem ci już, że muszę przy tym być i dopilnować, żebyś go znalazła. Chcę stanąć z tym człowiekiem twarzą w twarz. A teraz powiedz mi, czy dowiedziałaś się czegoś więcej.

- No cóż, kupił srokatego, którego tak łatwo zapamiętać jak jego samego - dodała uszczypliwie.

Postanowił zignorować ten komentarz.

- Mówisz o koniu?

Tak. Pytał również o wszystkie nowe miasta, które powstają na tamtym terenie. Kiedy pan Melton

handlarz końmi, spytał, dlaczego go to interesuje, Curruthers wybuchnął śmiechem i wyznał, że chciałby mieć swoje miasto. Melton uznał ten pomysł za bardzo ambitny jak na takiego cherlaka - to jego określenie - mimo to skierował go na południe, gdzie wzdłuż trasy Southern Pacific Railroad i jej odgałęzień miasta rosną jak grzyby po deszczu.

- Jaki masz plan?

- Pojedziemy do San Antonio i tam zaczniemy poszukiwania. Na wschód od tego miasta teren jest dość gęsto zaludniony, przypuszczam więc, że jeżeli nasz ptaszek rzeczywiście szuka jakiegoś nowego miasta, musiał skierować się na zachód. Może jednak uda nam się znaleźć w San Antonio kogoś, kto potwierdzi te przypuszczenia.

- Czy do San Antonio można dojechać pociągiem?

Tak... niestety. Uśmiechnął się, słysząc jej niezadowolenie.

- Przyznaj, Casey, że wagon pulmanowski jest bardzo wygodny.

Nie zamierzała tego potwierdzać.

- Pociąg nie traci czasu, musi trzymać się rozkładu jazdy. Wyjeżdża jutro wczesnym rankiem, więc jeśli chcesz się pożegnać, nie zostało ci zbyt dużo czasu.

- Prawdę mówiąc, jestem głodny - oznajmił Damian i zawołał kelnerkę. - Proszę mi przynieść to, co je ta... -Przerwał składanie zamówienia, by się poprawić: - To, co je ten pan.

Casey przesłała mu piorunujące spojrzenie i napomniała go:

- Powiadomienie Luelli, że wyjeżdżasz z miasta, nie zajmie ci dużo czasu.

Pochylił się i poklepał ją protekcjonalnie po ramieniu.

- Jesteś kiepska w roli swatki, Casey, pozwól zatem, że sam zajmę się swoimi sprawami sercowymi.

Swatka? Gdyby starała się coś powiedzieć, musiałaby prychnąć, dlatego nawet nie próbowała tego robić. Przesłała mu jednak spojrzenie, pod wpływem którego powinna zostać z niego garstka popiołu.

Rozdział 21

Nazajutrz rano w drodze na stację Casey przeżyła chwile grozy. Środkiem ulicy jechał na koniu jej ojciec. Był pokryty kurzem i zarośnięty. Wyglądał, jakby właśnie przybył do miasta.

Casey nie miała zamiaru go o to pytać.

Ani słowem nie wyjaśniając niczego Damianowi, który prowadził konia tuż obok niej, szybko skręciła w najbliższą przecznicą i tam przykleiła się do ściany, w głębi duszy wznosząc modły, by

Chandos jej nie dostrzegł lub, co gorsza, by nie zauważył Starego Sama. którego przecież z łatwością by poznał. Oczywiście, Damian poszedł za nią.

- Co robisz? - spytał, unosząc brew.

- A jak ci się wydaje? - odparła niezadowolona.

- Że się ukrywasz, chociaż nie wiem. dlaczego. Zerknęła mu przez ramię. Chandos niespiesznie jechał ulicą. Jeszcze nie minął ich przecznicy. Ściągnęła w dół głowę Starego Sama, by ukryć go na tyle, na ile tylko było to możliwe. Damian westchnął, wciąż czekając na jej odpowiedź.

- Nie ucieknie nam pociąg?

- Jeszcze zdążymy.

Sam zerknął w głąb ulicy, lecz nic zauważył niczego niezwykłego, żadnej twarzy znanej mu z listów gończych. Ze zniecierpliwieniem odwrócił głowę w stronę Casey.

- Wy tłumacz mi. o co chodzi.

- Właśnie wjechał do miasta mój ojciec... tylko się nie oglądaj. Zwrócisz na siebie jego uwagę.

Nic nic mogło powstrzymać Damiana od ponownego obejrzenia się za siebie. Ulicą jechało paru mężczyzn. Jeden wyglądał na biznesmena. Drugi przypominał typka spod ciemnej gwiazdy, człowieka, który wolałby uniknąć spotkania z wszelkimi przedstawicielami prawa.

Następny miał skórzane nakładki na spodniach i prowadził dwa woły. Sądząc po wieku, tylko dwóch z nich mogło mieć córkę taką jak Casey, w związku z czym Damian baczniej przyjrzał

się biznesmenowi.

- Moim zdaniem nic wygląda na zbyt groźnego, a już z pewnością nic nie tłumaczy, dlaczego przed nim uciekasz - zauważył Damian. Prychnęła, zadał więc następne pytanie: - Dlaczego nie chcesz, Casey, by cię znalazł?

- Ponieważ zaciągnąłby mnie siłą do domu, nie czekając aż skończę to, co zaczęłam. I spróbuj mi uwierzyć, Damianie, mój ojciec naprawdę potrafi budzić w ludziach grozę. Na pewno nie chciałbyś mieć z nim do czynienia.

Damian ponownie przyjrzał się biznesmenowi i zmarszczył czoło. Po chwili przeniósł wzrok na typka spod ciemnej gwiazdy. Tym razem zauważył czarne włosy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i inne cechy nieco zbliżone do Casey. Zrobił okrągłe oczy.

- Do diabła! To jest twój ojciec? Ten człowiek, który wygląda jak przestępca?

- Wcale tak nie wygląda - burknęła. - Ale owszem, to on. I przestań się gapić! Potrafi wyczuć, że ktoś się na niego patrzy.

- W jaki sposób?

- Do diabła, sama chciałabym to wiedzieć, ale naprawdę to umie.

- Jak sądzisz, wie, że tu jesteś?

- To niemożliwe. Musiałby się domyślić, że podróżuję tym pociągiem, i przyjechać tu za mną. Ale to mało prawdopodobne. W końcu to ty kupowałeś bilety. Również ty załatwiałeś formalności w hotelach, w których zatrzymywaliśmy się na noc, nie zostawiłam więc śladów, po których mógłby podążać.

- Może powinienem powiedzieć ci o tym wcześniej, ale twoje pokoje wynajmowałem na ciebie, Casey.

- Co takiego?! Zadrżał.

- Nie podawałem twojego imienia, lecz inicjały.

- Nie mogłeś czegoś wymyślić?

- Dlaczego? Powiedziałaś, że sama ich używasz.

- Tylko wtedy, kiedy muszę, to znaczy przy oddawaniu władzom poszukiwanych przestępców. Mało prawdopodobne, by mój ojciec wstępował po drodze do biura każdego szeryfa, natomiast z pewnością zajrzy do wszystkich hoteli i pensjonatów.

- To znaczy, że są to twoje prawdziwe inicjały.

- Nie.

- W takim razie czyje?

- Zadajesz za dużo pytań, Damianie. Poza tym mój ojciec już przejechał. Pędzę do pociągu.

Jak sądzisz, uda ci się załadować konie tak, żeby nikt nie zwrócił specjalnej uwagi na Starego Sama.

- Rozpoznałby również twojego konia? - Oczywiście. To on mi go dał.

Casey ruszyła na dworzec kolejowy o wiele szybszym krokiem niż poprzednio. Nie liczyła na to, że zdoła wyjechać z Fort Worth bez spotkania z ojcem, niemniej jej się to udało. Pociąg odjechał punktualnie, a Chandos nie pojawił się w luksusowym wagonie. Dzięki temu obeszło się bez niemiłej sceny.

A tak niewiele brakowało, ale był to tylko czysty przypadek, nic więcej - przynajmniej to sobie wmawiała Casey przez całą drogę do San Antonio.

Chcąc jednak na przyszłość zapobiec takim sytuacjom, wysłała do matki telegram: „Jeśli możesz,

odwołaj polowanie. Wkrótce wracam do domu".

Jeżeli chodzi o wykonywane zadanie i szybkie doprowadzenie sprawy do końca, w San Antonio nie było łatwo natrafić na jakąkolwiek wskazówkę. Prawdę mówiąc, ślad się tu urywał. Być może Curruthers wyjechał stąd pociągiem, ale kasjerzy go nie pamiętali. Casey jednak gotowa była się założyć o to, że tropiony przez nich człowiek skierował się na zachód, wzdłuż Southern Pacific... jeśli rzeczywiście szukał nowego miasta i chciał się w nim osiedlić. By to sprawdzić, musieli podążać tą samą drogą.

Oczywiście, Damian postarał się, by jego luksusowy wagon dołączono do nowego składu.

Prawdę mówiąc, Casey zaczynała przyzwyczajać się do komfortu i teraz skarżyła się już tylko dla zasady. A ponieważ połowa postojów przypadała na stacje, na których zapewniano pasażerom tylko wyżywienie, oboje zaczęli sypiać w wagonie - przynajmniej do czasu, kiedy dziewczyna obudziła się w nocy i zobaczyła pochylonego nad nią Damiana.

Rozdział 22

Casey spała w salonce na jednej z grubo wyściełanych ławek. Była wąska, lecz bardziej miękka niż część łóżek, w których dziewczyna ostatnio spędzała noce. Śnił jej się Damian, może więc dlatego wcale nie zależało jej na tym, by się obudzić.

To był miły sen. Wszystko rozgrywało się w K.C. Tańczyli ze sobą. Casey nie zastanawiała się, co Damian robi w jej domu - jego obecność wydawała się czymś całkiem naturalnym.

Nawet rodzice traktowali go, jakby byli przyzwyczajeni do jego widoku. Nagle ją pocałował, nie zważając na kilkanaście wirujących wokół par, ale nikt tego nic zauważył. Było tak samo jak poprzednio, tylko ten pocałunek nie miał końca.

Wszystkie uczucia, które w niej wówczas obudził, tym razem dały o sobie znać ze zdwojoną siłą, ponieważ Casey była całkowicie rozluźniona. A sam pocałunek był dłuższy i bardziej namiętny. Damian językiem penetrował wewnątrz jej ust i bez końca ssał jej dolną wargę. Na dodatek Casey czuła, że jest pieszczona, i to wcale nie po plecach. To dziwne.

Nie była pewna, dlaczego w końcu się obudziła. Sen, a właściwie sam pocałunek, okazał się prawdziwy. Może z drzemki wyrwał ją szok spowodowany faktem, że Damian delikatnie pieścił jej piersi. Było to zdecydowanie miłe uczucie, zbyt miłe, by Casey mogła dalej spokojnie spać.

Potem napięła wszystkie mięśnie, ponieważ zdała sobie sprawę, że Damian nie tylko klęczy obok niej, lecz również całuje ją i jej dotyka. Próbowwała znaleźć jakieś uzasadnienie takiego stanu rzeczy, ale miała kłopoty z logicznym myśleniem. Tylko jedno przyszło jej do głowy.

- Co robisz, Damianie?

Musiała trzykrotnie powtórzyć to pytanie, nim w końcu uniósł nieco głowę i spojrzał na nią.

W przyćmionym świetle rzucanym przez jedyną płonącą lampę ścienną Casey zauważyła, że Damian

wygląda na nieco zakłopotanego.

Jednak nie miało to żadnego porównania z jej zażenowaniem, kiedy odpowiedział pytaniem:

- Co robisz w moim łóżku?

- Jakim łóżku? Tutaj nie ma łóżek, tylko ławki szerokie na jedną osobę - wyjaśniła stanowczo. - Poza tym jesteś w mojej części wagonu, Damianie.

Rozejrzał się dookoła i z przykrością stwierdził, że powiedziała prawdę.

- No cóż - wydukał. - Cholera jasna, widocznie to tylko mi się śniło.

Casey zamrugła. Sama przed chwilą miała bardzo miły sen z udziałem Damiana, musiała więc uznać, że jemu również zdarzyło się coś podobnego. Jakkolwiek nie z nią w roli głównej. Bardziej prawdopodobne było, że przyśniła mu się Luella.

Casey przymrużyła oczy.

- Czy zawsze fizycznie angażujesz się w swoje sny?

- Nawet jeśli tak, nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy... przynajmniej dotychczas. Czy...

to znaczy, czy winien ci jestem przeprosiny?

Przeprosiny za to, że sprawił jej prawdziwą przyjemność? Z drugiej jednak strony Damian przecież nie wiedział, co czuła, no bo skąd? Nie wydawała żadnych dźwięków, nawet się nie poruszyła, nic więc nie mogło wskazywać na to, że odpowiadało jej wszystko, co Damian robi.

Prawdą mówiąc, nie wiedziała, w jakim stopniu uczestniczyła w jego poczynaniach, ponieważ była zbyt zajęta... swoimi odczuciami, by zwracać uwagę na resztę. Na szczęście on też robił to we śnie, więc nawet gdyby się zdradziła, jak bardzo jej odpowiadają jego pocałunki. Damian by tego nie zauważył.

- Nie przeszkadza mi, Damianie, że we śnie spacerujesz i robisz różne rzeczy. Chciałabym jednak, żebyś ograniczył pole działania do swojej części wagonu.

- Oczywiście - odparł. A po długiej pauzie dodał: -Chociaż czułem, że to było miłe.

Zarumieniła się aż po czubki palców. Liczyła jednak na to, że przy słabym świetle Damian nie dostrzegł jej zażenowania. Niestety, wciąż musiał myśleć o tym, co uznał za „miłe”.

Potwierdziła to jego następna uwaga:

- Może chciałabyś się dowiedzieć, o czym mówię?

Wiedziała, co sugeruje. Miał ochotę wrócić do pocałunku, jednak zostawił jej w tej sprawie

ostateczną decyzję. Niech to diabli, to była niewiarygodna pokusa. Poza tym teraz nie śniłby, że całuje Luellę. Dokładnie by wiedział, czyje usta czuje pod swoimi wargami.

Casey nie śmiała powiedzieć „tak”. Gdyby Damian ponownie pocałował ją bez pytania, prawdopodobnie nie miałyby nic przeciwko temu. Niestety, zdając się na nią, zmusił ją do przyznania się, że tego pragnie. Gdyby to zrobiła, nie mogłaby nadal utrzymywać, że Damian w ogóle jej nie interesuje. Tymczasem bardzo zależało jej na stwarzaniu takich pozorów.

Wręcz musiała je zachować.

Czemu, do diabła, zapytał? Choć może to i dobrze. Czas rozstania był coraz bliższy. Już wkrótce każde z nich pójdzie w swoją stronę. Bardzo trudno będzie po raz drugi się z nim pożegnać. Bliższa zażyłość jeszcze bardziej by to utrudniła.

Nie czekając więc, aż zmieni zdanie, powiedziała:

- Chciałabym się przespać, Damianie. Proponuję, żebyś zrobił to samo... A tak przy okazji: postaraj się zachować swoje sny dla siebie.

Czyżby usłyszała westchnienie? Może nie.

Kiwnął głową i wstał. Potem przez chwilę się wahał, nim odwrócił się plecami. Casey zamarła w oczekiwaniu. Po chwili powędrował jednak do fotela, w którym zazwyczaj sypiał -

ławki były dla niego odrobinę za krótkie - i odegrał całe przedstawienie, pokazując, że wygodnie układa się do snu. W końcu naprawdę westchnął.

Casey odwróciła się twarzą do ściany, wątpiąc, czy uda jej się ponownie zasnąć.

Rozdział 23

Casey wypytywała ludzi na każdej stacji, na jakiej się zatrzymywali, sprawdzając, czy ktoś nie pamięta przejeżdżającego tędy Curruthersa. Niestety, chwilami wyglądało to na beznadziejne zadanie, i Damian powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że podążając koleją na zachód przez południowe krańce Teksasu, jedynie tracą czas. I właśnie wtedy przypuszczenia Casey się potwierdziły.

Do odjazdu pociągu zostały dwie godziny, a Damian nie miał co robić, towarzyszył więc Casey, która rozmawiała z ludźmi. Kiedy weszła do fryzjera, Damian uznał, że dziewczyna chwyta się ostatniej deski ratunku. A tymczasem człowiek ten pamiętał Henry'ego.

Gdy Damian chwilę się zastanowił, przypomniał sobie, że Henry zawsze bardzo dbał o swój wygląd i był wyjątkowo schludny. To, że teraz ucieka, wcale nie znaczy, iż stał się niechlujny, w związku z tym miał prawo skorzystać z usług fryzjera.

Golibroda należał do ludzi, którzy podczas pracy przez cały czas prowadzą z klientami rozmowę, dzięki czemu udało mu się skłonić Henry'ego do wynurzeń. Zapamiętał na przykład, że Curruthers

spytał go, kiedy w mieście odbędą się następne wybory i czy ludzie są zadowoleni z obecnego burmistrza.

Właściwie to pytanie mogło być wynikiem zwykłej ciekawości lub próbą podtrzymania rozmowy. Kiedy jednak uwzględniło się odkryty wcześniej fakt, że Henry „chciałby mieć swoje miasto”, sprawa zaczynała wyglądać inaczej.

Burmistrz ma na swoim terenie niemal nieograniczoną władzę. Czyżby Henry zmienił zdanie, jeśli chodzi o sposób zdobycia wymarzonej władzy, czy też od początku myślał o polityce?

Miasta, które miały burmistrzów, zazwyczaj cieszyły się bardzo dobrą sławą. Oznaczało to, że teraz będą musieli przeszukać znacznie więcej miejsc.

Casey była z tego powodu bardzo rozczarowana.

- Wiemy, że dotarł aż tutaj, jednak od tego miejsca będziemy musieli posprawdzać również boczne odgałęzienia linii kolejowej - zauważyła.

To była prawda, chociaż to pewnie oznaczało wydłużenie czasu poszukiwania Curruthersa.

Wydłużenie czasu wiązało się również z tym, że Damian nadal będzie dotrzymywał Casey towarzystwa. Nie był wcale z tego powodu tak bardzo zawiedziony, jak powinien.

Z jednej strony chciał znaleźć mordercę i wrócić do domu, do życia, do którego przywykł. Z

drugiej strony jednak musiał przyznać, że myśl o prowadzeniu Rutledge Imports bez ojca była raczej dość przygnębiająca. Wiedział, że któregoś dnia tak się stanie - był na to przygotowany

- ale nigdy nie sądził, że tak szybko ten obowiązek spadnie na jego barki.

Poza tym była jeszcze Casey.

Wiedział, że trudno mu będzie trzymać się od niej z daleka, nie liczył się jednak z tym, że przez cały czas będzie jej pragnął. Luella Miller pomogła mu przez jakiś czas nie myśleć o tym fakcie, niestety na krótko. Panna z Chicago była wyjątkowo piękna, ale jej nieustanna, czcza paplanina bardzo szybko stała się potwornie irytująca. W końcu Damian miał ochotę jej powiedzieć tylko jedno: „Zamknij się”.

Natomiast jeśli chodzi o cichą i tajemniczą Casey, za nic w świecie nie potrafił nakłonić jej do mówienia, zwłaszcza o sobie. To jednak nie zmieniało faktu, że bez przerwy o niej myślał, zastanawiał się, dlaczego robi to, co robi, skąd pochodzi, czemu ukrywa się przed rodziną, jeśli w ogóle ma jakąś rodzinę oprócz niebezpiecznie wyglądającego ojca.

Najgorsze jednak było dręczące go ciągle pożądanie. Tamtej nocy w pociągu po prostu mu uległ - nie potrafił dłużej trzymać się z daleka od Casey.

Nie udało mu się zasnąć, poza tym uwielbiał patrzeć na nią śpiącą. Obserwując jej łagodną i pełną

kęsknoty twarz, doznał tak wielkiej pokusy, że tym razem nie zdołał jej się oprzeć.

Potem dziewczyna się obudziła. Nie umiał kłamać, zrobił to jednak dla świętego spokoju, ponieważ jej słowa zabrzmiały wyjątkowo oskarżycielsko.

Udał, że robił to przez sen. Ilekroć myślał o tej żalostnej wymówce, niemal prychnął ze złości.

Ale w przyływie namiętności nie było go stać na logiczne myślenie. Jakimś cudem Casey mu uwierzyła. Wciąż żałował, że się obudziła, ponieważ jej reakcja dawała mu nadzieję na...

przynajmniej póki dziewczyna spała.

Następnego wieczoru pociąg zatrzymał się na noc w niewielkim miasteczku Langtry, dzięki czemu pasażerowie mogli skorzystać z miejscowego hotelu. Damian załatwił pokoje i wcześniej poszedł spać. Casey postanowiła przeprowadzić swoje dochodzenie wieczorem, ponieważ nazajutrz wczesnym rankiem mieli wyruszyć w dalszą drogę.

Damian od razu zasnął.

Rano nie znalazł swej towarzyszki w pokoju. Nic było jej na stacji ani przy koniach, jakby zapadła się pod ziemię. Dopiero ktoś zasugerował, by Damian poszukał jej w więzieniu. T

rzeczywiście - siedziała za solidnie wyglądającymi kratkami i jak zwykle miała kamienną twarz. Gdy jednak Damian uważnie jej się przyjrzał, zauważył, że złociste oczy Casey miotają pełne wściekłości błyskawice.

- Czy to coś poważnego? - spytał, gdy pozwolono mu się do niej zbliżyć.

Raczej śmiesznego - warknęła.

- Nie zastrzeliłaś nikogo, prawda? - zabrzmiało pierwsze pytanie.

- Nawet nie wyjęłam rewolweru z kabury.

- W takim razie co tu robisz?

- Do diabła, sama chciałabym wiedzieć - usłyszał pełną złości odpowiedź. - Wczoraj wieczorem piłam whisky w saloonie Jersey Lilly, stojąc przy barze i do niczego się nie wtrącając, kiedy zaczęła się bijatyka. Gdy awantura dobiegła końca, wciąż stałam przy barze i do niczego się nie wtrącałam, chociaż połowa klientów leżała na ziemi, ocierając zakrwawione nosy.

- W takim razie, jeśli nic nie zrobiłaś...

- Właśnie do tego zmierzam - przerwała mu. - Był tam pijany jak bela stary sędzia Bean.

Zaczął się wściekać, że zniszczono mu salę rozpraw.

- Chcesz powiedzieć, że tutejszy saloon jest jednocześnie salą rozpraw?

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, Damianie. Wiele małych miasteczek, w których nie ma sądów ani sędziego, podczas sesji wyjazdowych korzysta z saloonu, gdyż jest to jedno z największych ogólnie dostępnych pomieszczeń. Na szczęście większość przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości nie spędza całych dni i nocy w sądzie, niezależnie od tego, czy trwa właśnie sesja, czy nie,

- Mam jakieś dziwne wrażenie, że znasz osobiście sędziego Beana.

- Nie znam go. ale wiele dowiedziałam się o Royu Bea-nie od faceta, z którym wczoraj wieczorem przez kilka godzin dzieliłam celę. Potem przyszła po niego żona i zabrała go do domu. Ponoć sędzia Bean niewłaściwie stosuje obowiązujące w Teksasie prawo - gdy tylko zabraknie mu pieniędzy na alkohol, po prostu wymierza ludziom grzywny. Chociaż trzeba przyznać, że bez zmrżenia oka skazuje na powieszenie złodziei koni i morderców -

przynajmniej dopóty, dopóki nie są to jego kumple od kieliszka.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że nagina prawo do swoich potrzeb i uchodzi mu to na sucho. Jeżeli któryś z jego koleśków kogoś zastrzeli. Bean znajduje sposób, by go uniewinnić. W jednej ze swoich najbardziej sławetnych spraw oświadczył, iż ofiara nic powinna stawać przed rewolwerem, z którego strzelał jego przyjaciel.

Damian potrząsnął głową.

- Śmiem twierdzić, że twój więzienny towarzysz naopowiadał ci głupot.

- Chciałabym też tak sądzić, ale nie mogę.

- Dlaczego?

- Ponieważ jak przez mgłę przypominam sobie, że już kiedyś słyszałam o sędzi Beanie.

Opowiadał o nim młody kowboj, który kilka lat temu przejeżdżał przez Langtry. Był tu w chwili, kiedy pewien mężczyzna padł martwy tuż przed saloonem. Sędzia w tym czasie rozpiekał się na werandzie. Natychmiast stoczył się na dół...

- Stoczył się?

- Wcześniej zdążył już tyle wypić, że nie bardzo mógł utrzymać się na nogach - wyjaśniła. -

Jak mówiłam, stoczył się, by najpierw wypełnić obowiązki koronera. Potem przeszukał

kieszenie nieboszczyka. Znalazłszy w nich jakieś pieniądze i rewolwer, ponownie skorzystał

ze swej sędziowskiej władzy i pośmiertnie nałożył na nieszczęśnika grzywną za noszenie ukrytej

broni. Oczywiście, opłata była równa sumie znalezionych pieniędzy.

- I uszło mu to na sucho?

- Dlaczego by nie, skoro jest w tej okolicy jedynym przedstawicielem prawa? Jak już mówiłam, poprzedniego wieczoru dostał szału, ponieważ zdemolowano mu salę rozpraw, w związku z czym zaaresztował wszystkich obecnych w saloonie. Polem ktoś zwrócił mu uwagę, że więzienie jest za małe, by pomieścić tyle osób. Wówczas zmienił decyzję i aresztował tylko mnie.

Damian zmarszczył czoło.

- Dlaczego?

- Uwierz mi, zadałam to samo pytanie. Usłyszałam, że zna wszystkich pozostałych uczestników bójki i wie, gdzie ich szukać, gdy będzie chciał zebrać grzywnę. Do diabła, połowa z nich to jego cholerni kumple od kieliszka, więc prawdopodobnie na nich nie nałoży żadnej kary. Ale mnie nie znał, musiałam więc spędzić noc w celi więziennej. Dzięki temu zyskał pewność, że nie zniknę, póki nie zwoła rano rozprawy.

Damian westchnął.

- A więc chodzi o to, żebyś przed wyjściem na wolność zapłaciła za część zniszczeń, chociaż nie brałaś udziału w bijatyce?

- Tak.

- Wiem, że czasem wolisz przemilczeć pewne sprawy. Ale czy nie próbowałaś mu wyjaśnić, że jedynie spokojnie stałaś przy barze?

Casey obdarzyła go piorunującym spojrzeniem.

- Myślisz, że lubię spędzać noc za kratkami? To chyba oczywiste, że mu o tym wspomniałam. On jednak wygłosił „oficjalne” orzeczenie, iż za naprawę mają zapłacić wszyscy bez wyjątku.

- Łącznie z nim samym?

Casey prychnęła.

- Ponieważ to on będzie zbierał wszystkie grzywny, a potem osobiście zapłaci za remont, uważa pewnie, że to wystarczający wkład z jego strony.

- Podejrzewam, że z tego powodu spóźnimy się na pociąg - zauważył Damian.

- Może nie. Ktoś poszedł już obudzić sędziego. Powiedziano mi, że to nie potrwa długo.

- No cóż, niezależnie od tego, co zrobisz, Casey, spróbuj nie drażnić tego człowieka, bo inaczej sama będziesz sobie winna, jeśli tu wrócisz.

- Już do tego doszłam - zgodziła się niechętnie. - Ale wcale mi się nie podoba, że mam płacić za coś, czego nie zrobiłam.

- Nie przejmuj się. Zapłacę za ciebie.

- Nie o to chodzi. Uśmiechnął się.

- Nie, ale dzięki temu będziemy mogli wyruszyć w dalszą drogę.

Jak się okazało, Damian powinien trzymać się z daleka od saloonu pełniącego funkcję sali sądowej. Nie wiedział jednak, że tego ranka sędzia Bean będzie w jednym ze swoich najpodlejszych nastrojów.

Rozdział 24

Jersey Lilly, gdzie sędzia Roy Bean sprawował swą władzę, niezależnie od tego, czy odbywała się właśnie sesja, czy nie, był typowym saloonem, z jednym wszakże wyjątkiem -

miał wbudowaną ławę przysięgłych. Natomiast sam Bean nie wyglądał na typowego sędziego. Był taki gruby,

że z trudem sięgał do najwyższego guzika swojej kamizel-ki, nie wspominając już o pozostałych.

Sędzia zbliżał się do siedemdziesiątki, a jego przekrwione oczy świadczyły o zamiłowaniu do rumu. Widoczne na szyi blizny po sznurze przypominały, że niegdyś tłum chciał go zlinczować. To możliwe, ponieważ krążyły pogłoski, że brał udział w licznych niezbyt honorowych pojedynkach, po których on sam wciąż trzymał się na nogach, podczas gdy jego przeciwnik potrzebował już tylko sosnowej skrzyni. Jednak to wszystko działo się, nim został

mianowany sędzią pokoju.

Poprzedniego wieczoru Casey była bardzo zdenerwowana faktem, że ją aresztowano. Nic więc dziwnego, że nie zauważyła, iż w saloonie nie poczyniono tak wielkich szkód, a już na pewno nie usprawiedliwiały one wściekłości Bea-na. Z drugiej jednak strony wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby udał złość tylko w celu pobrania dodatkowych opłat.

W całym pomieszczeniu tylko jednemu stołowi brakowało nogi. Jakies krzesło roztrzaskano na czyichś plecach. Ale to wszystko, jeśli nie liczyć porozbijanych butelek. Casey nie mogła sobie przypomnieć, by poprzedniego wieczoru widziała jakies inne zniszczenia, które mogłyby zostać usunięte podczas sprzątanía. Chociaż, prawdę mówiąc, nic nic wskazywało na to, by ktoś starał się uporządkować to miejsce.

Nawet o tak wczesnej porze kilku kumpli sędziego opierało się o bar i sączyło pierwsze drinki, czekając, kiedy Bean pozłatwia swoje sprawy i się do nich przyłączy. Z tego, co Casey słyszała, do picia zachęcano nawet podczas rozpraw i przy pełnej ławie przysięgłych.

Sam Bean postawił sobie wysoką szklaneczkę z rumem na stole, tuż obok sędziowskiego młotka. Z

tego miejsca ferował wyroki. Nie miał specjalnego podwyższenia. Przypuszczalnie uznał, że ława przysięgłych wystarczy, by jego saloon nabrał cech przybytku sprawiedliwości, i że wszystko inne byłoby jedynie niepotrzebnym wydatkiem. W jego sędzie do tego stopnia nic przestrzegano żadnych zasad, że nawet woźny sądowy siedział przy tym samym stole, sącząc kawę, zamiast stać na baczność i pilnować porządku. Casey została wprowadzona do tej urągającej wszystkiemu sali rozpraw przez jednego z zastępców szeryfa.

Damian szedł tuż za nią. Prawdę powiedziawszy, stanął nawet wraz z Casey przed stołem Beana, czym natychmiast zwrócił na siebie uwagę sędziego.

- Proszę usiąść, młody człowieku. Zajmę się panem, gdy tylko skończę z tą młodą damą.

Casey zeszywniała, zastanawiając się, jakim cudem, do diabła, ten stary głupiec się zorientował, że jest kobietą, chociaż wszyscy inni, patrząc na nią, w ogóle tego nie dostrzegali. Zauważywszy jej reakcję, zarechotał zadowolony, że zdołał ją zaskoczyć.

- Mam dobre oczy, panienko - pochwalił się. - Zawsze zauważałem i zawsze zauważę ładną damę, niezależnie od tego jakie łachy na siebie włoży. Chociaż muszę przyznać, iż nie sądziłem dotychczas zbyt wielu - dodał, z dezaprobatą marszcząc czoło, co niemal wywołało u Casey rumieniec.

Sędzia uniósł krzaczastą, siwą brew i spojrzał na Damiana.

- Dlaczego wciąż tu stoisz, synu? Słabo słyszysz?

- Jestem z... nią - wyjaśnił Damian. - Chcę zapłacić grzywnę, żebyśmy mogli wyruszyć w dalszą drogę.

- No cóż, od razu trzeba było tak powiedzieć - odparł sędzia z chciwym błyskiem w oku. - Za udział w zniszczeniu prywatnego mienia, a także za zakłócenie spokoju... sto dolarów. Płatne u woźnego sądowego.

- Sto dolarów? - wychrypiała Casey.

- Nie odpowiada ci to, panienko? - spytał Roy Bean, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie.

Do diabła, jasne, że jej to nie odpowiadało, ale szturchaniec Damiana przypomniał jej, iż lepiej będzie, jeżeli sąd na ten temat zachowa dla siebie. W pliku banknotów, które wyjął

Damian, było na szczęście tylko sto sześćdziesiąt dolarów, gdyż inaczej Bean na pewno coś by wymyślił, by pobrać od nich dodatkową opłatę. A tak Damian wręczył pieniądze woźnemu, który natychmiast przekazał jej sędziemu. Ten ostatni bez cienia wstydu wsunął je do swojej kieszeni.

- Czy to znaczy, że ona jest już wolna? - upewniał się Damian.

- Tak, tak - odparł Bean niecierpliwie.

Teraz, kiedy miał kieszeń pełną pieniędzy, pragnął jak najszybciej skończyć odgrywanie roli

sędziego.

- Tylko dlaczego właściwie płacisz za nią grzywnę? Jesteś jej mężem?

- Nie.

- Adwokatem?

- Nie.

- Ale podróżujecie razem?

Sądząc po minie Damiana, zaczynały go martwić te zbyt osobiste pytania, dlatego Casey szybko udzieliła sędziemu odpowiedzi.

- Szukamy mężczyzny, który na wschodzie popełnił morderstwo. Chcemy oddać go w ręce sprawiedliwości.

- To godne pochwały. - Bean przytaknął. - Będę zadowolony, jeżeli po znalezieniu tego człowieka przyprowadzicie go przed moje oblicze. Z prawdziwą przyjemnością szybko i bez ceregieli skazę go na powieszenie. Ale to nie zmienia faktu, że podróżujecie razem, co o czymś świadczy, prawda, panienko? - spytał sędzia, marszcząc czoło.

Casey zrobiła to samo i spojrzała na niego.

- O czymś świadczy? Nie rozumiem. Co Wysoki Sąd sugeruje?

- To całkiem jasne, że podróżując razem, baraszkuje na osobności. Naprawdę nie mogę tego tolerować. Nie, sir.

Nigdy tego nie tolerowałem i nigdy nie będę tolerował. Jednak z prawdziwą przyjemnością pragnę wam oznajmić, że jest to łatwe do naprawienia. Dlatego zgodnie z przysługującym mi prawem ogłaszam was mężem i żoną. Niech Bóg zlituje się nad waszymi duszami. Stuknął

młotkiem, po czym dodał: - Należy się pięć dodatkowych dolarów. Płatne u wóźnego sądowego.

Casey zaniemówiła.

Damian podszedł bliżej.

- Niech pan chwileczkę zaczeka...

Roy Bean przymrużył jedno z zaczerwienionych oczu i spojrzał na nowojorkczyka.

- Chyba nie ma pan zamiaru spierać się o zaistniałe okoliczności i moralny obowiązek, prawda, młody człowieku? - spytał sędzia groźnie.

W tym momencie Casey sięgnęła do swojej kieszeni, by rzucić woźnemu pięć dolarów, chwyciła Damiana za ramię i siłą wyciągnęła go na zewnątrz, nie chcąc, by oboje skończyli za kratkami.

Na werandzie zabrakło jej siły, ponieważ Damian przez cały czas się opierał. Poza tym wciąż była zbyt oszołomiona tym, co się stało, by przypomnieć mu, że powinni szybko biec do pociągu.

Co to było? - spytał ją Damian.

- Jeśli zastanawiasz się, czy Bean naprawdę połączył nas węzłem małżeńskim, odpowiedź brzmi: „tak”.

- W porządku. Powiedz mi przynajmniej, że to nie było zgodne z prawem.

- Przykro mi. Chciałabym cię uspokoić. Ale on jest prawdziwym sędzią, legalnie nominowanym na to stanowisko.

- Casey, takie rzeczy po prostu się nie zdarzają— zapewnił ją, zdenerwowany. - Zazwyczaj panna młoda i pan młody muszą powiedzieć kilka słów... na przykład, że się zgadzają.

Przemawiał przez niego sarkazm, ale Casey nie mogła mieć do niego o to ani cienia żalu.

- Nie we wszystkich przypadkach - musiała przyznać.

I nie wtedy, kiedy mają do czynienia z tak samowolnym sędzią jak Bean. Ten stary głupiec chciał być złośliwy i nic nie możemy na to poradzić... przynajmniej tutaj.

- Dlaczego się zawahałaś?

- Ponieważ przyszło mi na myśl, że właściwie niepotrzebnie się denerwujemy.

- Nie wiem, czy denerwowanie się z powodu nagłego małżeństwa rzeczywiście jest takie „niepotrzebne”.

- No cóż, oczywiście masz rację, ale prawdą jest też, że równie łatwo możemy przesiać być małżeństwem. Właściwie wystarczy, jeśli pójdziemy do następnego sędziego pokoju i wyjaśnimy mu, co zrobił Bean. Poza tym na pewno łatwiej będzie znaleźć sędziego niż Curruthersa, więc, do diabła, wynośmy się z Langtry, nim spotka nas tu jakaś następna niemiła przygoda, dobrze?

Zgodził się bez protestu. Udało im się przyprowadzić konie i wsiąść do pociągu w chwili, gdy gwizdał na odjazd. W ostatnim momencie dopadł ich jeszcze woźny sądowy. Zwrócił Casey jej rewolwer - była zdumiona, że chodziła bez niego jak ktoś niemal nagi i nawet tego nie zauważyła. Woźny miał także do podpisania kilka potrzebnych do kartoteki sądowej dokumentów dotyczących ich małżeństwa.

- A jeśli nie podpiszę? - upierała się Casey.

- Wtedy z powrotem będę musiał doprowadzić was przed oblicze sędziego - wyjaśnił woźny.

Właśnie przed chwilą odzyskała broń i schowała ją do kabury. Tylko do niej należała decyzja, czy zastosować się do poleceń woźnego, czy po prostu wyrzucić go z wagonu.

Już skłaniała się ku temu drugiemu rozwiązaniu, kiedy Damian powiedział:

- Przecież znaleźliśmy na to sposób, więc podpisz ten cholerny świstek, Casey.

Uznała, że Damian ma rację. Ponieważ powiedział już jej imię- podpisała się „Casey Smith”.

Widząc to, Damian wpisał "Damian Jones".

Przynajmniej mieli się z czego śmiać, gdy pociąg w końcu wyjechał z tej diabelnej dziury.

Rozdział 25

Chociaż Casey zdawała sobie sprawę, z tymczasowego charakteru ich małżeństwa, to fakt ten nie dawał jej spokoju. Wydawało jej się to całkiem przyjemne. Z kolei Damian bardzo się denerwował i natychmiast po dojechaniu do każdego miasta pytał, czy jest w nim jakiś sędzia albo gdzie można znaleźć najbliższego.

Casey była zła, że coś, co powinno być naprawdę wyjątkowym wydarzeniem, trwało zaledwie kilka sekund, nie było poprzedzone zalotami, oświadczeniami... ani że nie nastąpiła noc poślubna. Na dodatek z jakiegoś głupiego powodu jej myśli bez przerwy krążyły wokół nocy poślubnej.

Jednak samo małżeństwo było faktem i co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Teraz mogła bez żadnych wyrzutów pójść z Damianem do łóżka. Nie prosiła, by tak się stało.

Wszystkiego dokonał przesiąknięty rumem sędzia. Ale tak wyglądała prawda. Na domiar złego bardzo trudno było dzień po dniu żyć z tą świadomością, ponieważ mając, jak to się mówi, „pozwolenie”, jeszcze bardziej niż dotychczas chciała kochać się z Damianem.

W mieście Sanderson przeżyła następne chwile grozy, co na jakiś czas oderwało jej myśli od

„małżeństwa”. Gotowa była przysiąc, że zauważyła ojca wchodzącego do jednego z pensjonatów. Nie widziała jednak jego twarzy. Z drugiej strony nikt nie nosił takiego stroju jak Chandos. Nie wierzyła, by w tak krótkim czasie udało mu się pokonać konno ogromną odległość dzielącą tę miejscowość od Fort Worth chyba że jechał tym samym pociągiem co ona. Ale to było wykluczone. W wagonie dla zwierząt oprócz wierzchowców Casey i Damiana kilkakrotnie jechały jakieś inne konie, żaden z nich jednak nie należał do Chandosa.

Natychmiast by go poznała.

Później tego samego dnia zdobyli kolejne informacje. Przy starym szlaku handlowym, dwa dni jazdy od torów Southern Pacific, nie dalej jak rok temu powstało nowe miasto. Kolej nie zbudowała jeszcze bocznej linii w tym kierunku, ale planowała to zrobić w najbliższej przyszłości, ponieważ

Culthers szybko się rozrastało. Miało już szkołę, trzy kościoły, radę miejską i burmistrza.

Na wspomnienie o burmistrzu Casey i Damian postanowili się tam wybrać, chociaż to oznaczało powrót na szlak. Również nazwa miasta, tak podobna do nazwiska Curru-thersa, mogła przyciągnąć w te strony tropioną przez nich zwierzynę. Casey, wciąż pełna obaw, że ojciec jest w Sanderson, nie chciała ryzykować, dlatego, obudzwszy się przed świtem, zakradła się do pokoju Damiana i wyciągnęła go z łóżka. Można powiedzieć, że właściwie uciekli z miasta.

Damian niespodziewanie zaczął się skarżyć:

- Wiesz, nasze małżeństwo nie przyniosło mi żadnych korzyści, za to ty sporo na nim zyskałaś.

Casey zlekceważyła go. Ponieważ posuwała się do przodu bardzo ostrożnie, czekając, aż wszędzie słońce, bez trudu usłyszała ponowną skargę swojego towarzysza:

- Nie, bez wątpienia ani trochę nie skorzystałem na naszym tymczasowym małżeństwie.

W jego głosie było słyhać tyle goryczy, że Casey musiała zaprotestować:

- A co ja z niego mam?

- Nie wpadłaś jeszcze na to, że ponieważ jesteś mężatką, twój ojciec nie może zaciągnąć cię do domu ani nigdzie indziej... przynajmniej nie może tego zrobić bez mojej zgody? Prawo męża jest ważniejsze od praw rodzicielskich.

Casey promiennie się uśmiechnęła.

- Wspaniale. Co prawda wcale nie marzę o takim rozwiązaniu mojego sporu z ojcem, zwłaszcza że nie jest to prawdziwe małżeństwo... ale on o tym by nie wiedział, prawda?

- Nie, chyba że sama byś mu powiedziała.

- Tak, no cóż, wolałabym nie uciekać się do takich sposobów, jeśli ci to nie przeszkadza. Ale może przestałbyś skarżyć się tylko dlatego, że straciłeś kilka godzin snu? Jeżeli chcesz, możemy dzisiaj wcześniej rozbić obóz.

Nie przestał narzekać. Prawdę mówiąc, wcale na to nie liczyła. Przypuszczała, że tego dnia Damian po prostu ma taki nastrój. Niemniej zatrzymali się nieco wcześniej. Na szczęście w pobliżu był strumień, który zapewniał świeżą wodę.

Casey miała zamiar zaproponować, by ze względów bezpieczeństwa na tę noc nie rozpalali ogniska. Zrobiła zapasy, które nie wymagały podgrzewania, i było stosunkowo ciepło.

Damian jednak zachowywał się tak nieprzyjemnie, że nawet o tym nie wspomniała. Potem zauważyła w strumieniu rybę. Smażona ryba stanowiła zbyt dużą pokusę, by z niej zrezygnować.

Casey zostawiła Damiana, by zajął się końmi, a sama oddaliła się, by wystrugać sobie odpowiedni

sprzęt. Stała po kolana w wodzie i zdążyła złapać tylko jedną rybę, kiedy pojawił

się Damian.

- Istnieje łatwiejszy i spokojniejszy sposób prowadzący do tego samego celu.

Dziewczyna nie zadała sobie nawet trudu, by podnieść głowę, ponieważ z ogromnym natężeniem wpatrywała się w rybę, która bez przerwy jej uciekała.

- Nie widzą tu żadnego sznurka... chyba że cię korci, by spruć jedną ze swoich eleganckich koszul.

Korci mnie, by zmyć z siebie kurz. Nie będziesz patrzeć, prawda? Casey zamrugała.

- Patrzeć? - Błyskawicznie podniosła oczy i zobaczyła, że Damian zdejmuje kamizelkę. -

Chwileczką! Nie możesz po prostu poczekać z tym myciem, aż złapię dla nas kolację?

- Jestem zbyt zakurzony, by czekać.

- Wypłoszysz mi wszystkie ryby! - krzyknęła.

- Nawet nie spowodują zmarszczek na wodzie - odparł i zaczął rozpinać koszulę.

- Jesteś szalony.

- Jestem brudny.

Nigdy nie miała do czynienia z kimś równie głupim i upartym, chociaż ją też stać było na wyjątkowy upór.

- W takim razie rób, co chcesz - burknęła - ale to ty nie będziesz jadł dziś wieczorem ryby, jeżeli nie uda mi się nic więcej złapać. Dla siebie już mam.

Nie zamierzała wychodzić ze strumienia tylko dlatego, że jakiś głupiec postanowił rozebrać się do naga. Doszła do wniosku, że nie będzie się tym przejmować. Po prostu obróci się do niego plecami i będzie robić swoje. Łatwiej jednak było podjąć taką decyzję niż wprowadzić ją w życie.

Kilka sekund później Damian zanurzył się w strumieniu. Świadomość, że znajduje się zaledwie kilka metrów od niej, na dodatek całkiem nagi, zaczynała doprowadzać Casey do szału. Słyszała, jak jej towarzysz ochlapuje się wodą. Rzeczywiście, nawet nie spowodował

zmarszczek na wodzie. To zresztą i tak nie miało znaczenia, gdyż nawet gdyby w tym momencie obok przepływała ryba, Casey by jej nie zobaczyła. Jej myśli, tak samo jak całe ciało, skoncentrowane były na Damianie i tym, co on robi.

Próbowała niepostrzeżenie przesunąć się dalej w górę strumienia, by przynajmniej nie słyszeć Damiana. Woda była tu zmniejsza, chociaż nie lodowata, i głębsza, ponieważ odłamki skalne

utworzyły niewielką tamę. Dziewczyna ledwo dostrzegła zmianę temperatury, gdyż jej ciało trawił ogień. Po chwili usłyszała tuż za sobą:

- Uciekasz ode mnie, Cascy?

Zaskoczona odwróciła się. Cholera jasna, to był potworny błąd. Na dodatek nie dało się go już naprawić.

Damian po cichu zaszedł ją od tyłu. Był zanurzony, potem jednak powoli wstał. Woda spływała mu po klatce piersiowej i ramionach, odbijając ostatnie promienie zachodzącego słońca. W końcu wynurzył cały tors. Widok męskiego ciała i mięśni niemal zahipnotyzował

Casey. Damian był lepiej zbudowany, niż przypuszczała. Miał potężne ramiona, szeroką, porośniętą włoskami klatkę piersiową i naprężoną, wąską talię.

Casey mu nie odpowiedziała, nie pamiętała nawet, że padło jakieś pytanie. Damian jednak zadał następne:

- A może sama również postanowiłaś się wykapać, tylko chciałaś to zrobić w nieco głębszej wodzie?

W dalszym ciągu nie słyszała jego słów, ale na pewno doskonale go widziała. Poza tym poczuła, jak pieszczotliwie musnął palcem jej policzek. Z jego ręki na szyję Casey kapnęła kropla wody. Dziewczyna zadrżała i w tym momencie nieco ochłonęła, chociaż dalej nic mogła logicznie myśleć.

Usłyszała tylko:

- Wygląda na to, że potrzebujesz pomocy.

Potem Damian zdjął z niej poncho. Casey kątem oka zobaczyła, że jej nakrycie fruwa w powietrzu i ląduje na brzegu. Następnie przysła kolej na rewolwer, który upadł na poncho.

Na widok broni, znajdującej się poza zasięgiem jej ręki, błyskawicznie się otrząsnęła.

- Co ty...?

Nie udało jej się dokończyć tego pytania.

To znaczy może dokończyła, ale już pod wodą, gdyż Damian wciągnął ją w głębinę.

Casey wypłynęła, prychając z niedowierzania. Gdy przez zasłonę z mokrych włosów zerknęła na niego wilkiem, zobaczyła uśmiech, którego nawet nie próbował ukryć. Ochlapała go.

Sapnął, gdy zimna fala zalała jego szeroką klatkę piersiową, po czym zmarszczył czoło i zanurkował.

Dziewczyna krzyknęła i rzuciła się w bok, lecz ogromna fontanna dokładnie ją zamoczyła.

Potem ktoś podciął jej nogi.

Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy Casey baraszkowała z braćmi w sadzawce, mimo to nie zapomniała, co zrobić, by „wyrównać porachunki”. Mniej więcej dwadzieścia minut później Damian zaproponował zawieszenie broni. Casey już brakowało tchu, przede wszystkim ze śmiechu. Kto by pomyślał, że tak dobrze można się zabrać z człowiekiem ze wschodu! Z

pewnością nigdy nie przypuszczała, że to możliwe.

Wyczołgała się na brzeg, zostawiając Damiana siedzącego w wodzie i obserwującego ją.

Wciąż uśmiechała się pod nosem. On również. Aż w końcu zrozumiała, dlaczego. Miała przyklejone do skóry ubranie. Równie dobrze mogłaby być naga jak on.

Natychmiast się zarumieniła, ale to nie trwało długo, ponieważ zauważyła oczy Damiana.

Zazwyczaj były jasnoszare, blade. Teraz pociemniały, nabrały bardziej burzowego koloru, co wskazywało na silne wzruszenie. Chyba nie zamierzał wyjść na brzeg na jej oczach. Chyba nie... A jednak zrobił to, nim rozsądek podpowiedział jej, by się odwrócić.

Ten widok pewnie zapamięta do grobowej deski, tak mocno wrył się jej w pamięć. Damian przypominał idealną rzeźbę, której twórca był zbyt dumny, by zostawić jakąś skazę na tak wspaniałym dziele. Na ten widok zadrżała z podniecenia.

Bardziej poczuła, niż usłyszała, że Damian klęka na brzegu obok niej. Nie miała zamiaru ponownie na niego patrzeć, jedynie wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Powinna wstać i odejść, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła zmusić nóg do współpracy. Potem nowojorczyk ujął w dłonie jej policzki, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

Jego oczy skojarzyły się Casey z płomieniem, który wyrwał się spod kontroli. Zachodzące słońce spowijało ich złocistym blaskiem, wciąż jednak było dość jasno, by Casey dostrzegła pełne napięcia spojrzenie.

- To już nie działa. Casey — zaczął zachrypniętym głosem.

Czyżby spodziewał się że usłyszy od niezdolnej do myślenia dziewczyny jakąś odpowiedź?

- Co... nie działa?

- Wmawianie sobie, że nasze małżeństwo nie jest prawdziwe.

- Przecież nie jest.

- W tym momencie jest dla mnie najprawdziwsze pod słońcem.

Najwidoczniej nie oczekiwał od niej żadnego komentarza, ponieważ jego usta całkowicie jej to uniemożliwiły. Szalejący płomień? Nie, jego pocałunek bardziej przypominał wybuch wulkanu. A po paru sekundach Casey zapalała taką samą namiętnością.

O tym właśnie myślała, odkąd głupi sędzia dał jej ślub z Damianem, dlatego z całego serca zgadzała się ze swym partnerem. Teraz ich małżeństwo było prawdziwe, Casey czuła się zbyt zmęczona, by walczyć z tym, co ofiarował jej mąż.

Nawet gdyby chciała, nie mogła zignorować własnych odczuć, choć wcale jej na tym nie zależało. Owładnęła nią burza zmysłów. Dziewczyna uniosła się nieco, by znaleźć się bliżej Damiana, zarzuciła mu ręce na szyję i namiętnie oddała pocałunek. Damian przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie, dzięki czemu każdą cząstką swego ciała nieprawdopodobnie ją podniecał. Potem przywarł wargami do jej ust, wciągając Casey w coraz bardziej namiętny pocałunek.

Była tym tak pochłonięta, że w chwilę później nawet nie zauważyła, iż Damian rozluźnił

uścisk, by zdjąć z niej koszulę. Jedwabny stanik, na który się natknął, i koronkowe reformy bardzo go zaskoczyły, ale tylko dlatego, że były wyjątkowo kobiece w porównaniu z resztą stroju. Casey prawie nie zauważyła, że Damian rozciągnął poncho na ziemi ani że przeniósł ją na ten prowizoryczny koc. Dostrzegła jednak, że sam położył się obok niej, po czym zaczął ją przyzwyczajając do swojego dotyku.

Nie wykazywał ani odrobiny niepewności. Jego dłoń przesunęła się w górę po ramionach i szyi dziewczyny, a potem bardzo długo zaznajamiała się z kształtem i wrażliwością jej piersi.

Po jakimś czasie przesunęła się w dół, na brzuch, a wszystko to robiła z zaborczą śmiałością, której Casey się nie spodziewała, ale z której była bardzo zadowolona.

Potem Damian rozpałił jej zmysły znacznie bardziej, niż znała to z ograniczonego doświadczenia. Pochylił się, by polizać jedną z jej nabrzmiąłych brodawek. Z ust Casey wyrwał się jęk. Próbowwała przyciągnąć Damiana bliżej do siebie, ale nie ustępował.

Zamierzał torturować jej piersi tak długo, jak będzie mu się podobało, nie przejmując się tym, że już bardzo mocno reagują na każdy bodziec, a jego partnerka jest bliska szaleństwa. Kiedy w końcu dotknął jej brodawek ustami, dziewczyna myślała, że lada chwila stanie w płomieniach.

To właśnie wtedy ręka Damiana, spoczywająca dotychczas na brzuchu Casey, poruszyła się, przesunęła w dół, aż w końcu męskie palce wślizgnęły się w wilgotne zagłębienie między nogami. Casey zareagowała natychmiast - ogarnęła ją niewiarygodna, niewyobrażalna fala rozkoszy. Pulsująca ekstaza, wszechogarniająca ociężałość, całkowite rozluźnienie.

Gdy poczuła ciężar ciała mężczyzny, przypominała sobie, że nie jest sama. Otworzyła oczy, by ujrzeć jego łagodny uśmiech. Nie mogła oprzeć się pokusie i odpowiedziała tym samym.

Czuła, że są sobie bliscy, chociaż nie miało to nic wspólnego z bliskością ich ciał. Miłe uczucie, prawdę mówiąc: zbyt miłe, ale teraz niczym się nie przejmowała.

Damian ponownie ją pocałował, a w tym czasie inna część jego ciała torowała sobie drogę między jej nogami. Ten nowy intruz był znacznie grubszy i cieplejszy. Casey w pewnym momencie odniosła wrażenie, że coś w jej wnętrzu pękło, w związku z czym otworzyła oczy.

Damian tak jak poprzednio przyglądał się jej z ogromnym natężeniem. Natychmiast powróciło napięcie. Poczowała pulsowanie.

Casey zapomniała o oddychaniu, tak cudowne i zdumiewające były odczucia spowodowane przez zespolenie ciał; potem z kolei oddychała zbyt szybko, ponieważ Damian zaczął się w niej poruszać, narzucając rytm, który mogła jedynie podjąć. To stało się ponownie, ale już się tego spodziewała. Ścisnęła mocno mięśnie, sapnęła, pozwalając, by ogarniająca ją fala rozkoszy doprowadziła do spełnienia.

Potem, kiedy Damian trzymał Casey przy piersi, całując jej czoło i jedną ręką czule pieścąc ją po plecach, poczuła niewiarygodne zadowolenie. Mogłaby leżeć tak bez końca, gdyby nagle nie usłyszała, że Damianowi burczy w brzuchu. Uśmiechnęła się... Skończyło się na tym, że mimo wszystko podzieliła się z nim jedyną złapaną rybą.

Rozdział 26

Początkowo Damiana bawiło, że legendarne opanowanie Casey prysnęło. Ilekroć następnego dnia spojrzała na niego, na jej policzkach pojawiał się wyraźny rumieniec. Dopiero po jakimś czasie nowojorczyk zaczął się zastanawiać, dlaczego go to tak martwi.

Oczywiście, prawdopodobnie miała mieszane uczucia związane z tym, co właśnie zrobili.

Sam miał podobne. Liczył jednak na to, że Casey niczego nie żałuje. On powinien, ale ani myślał.

Dotychczas jego obyczaje związane z kobietami były całkiem proste. Spędzał kilka godzin z tą czy inną damą, a potem szedł do domu do swojego kawalerskiego łóżka. Spotykał się z nią ponownie lub nie. Ale tak naprawdę nie miało to zbyt wielkiego znaczenia. Casey była pierwszą kobietą, z jaką spędził całą noc, a potem rano wypił kawę. Było to dla niego coś zupełnie nowego. Na dodatek nie wiedział, jak postępować, by nie zwiększać już i tak dużego zażenowania dziewczyny.

Powinien rano ponownie się z nią pokochać, by zmniejszyć napięcie seksualne, które jego zdaniem oboje odczuwali. Bardzo chciał to zrobić, ale Casey zachowywała się tak oficjalnie -

bez przerwy mówiła o „powrocie na szlak” - że nawet nie próbował. Poza tym była dziewicą.

Chociaż Damian niewiele wiedział o dziewicach, pamiętał jednak, że podobno po pierwszym razie przez kilka dni są trochę obolałe. Wcale nie zależało mu na tym, by sprawiać Casey dodatkowy ból, zwłaszcza że jakimś cudownym zrzędzeniem losu poprzedniego wieczoru prawie go nie zaznała.

Z wielu powodów miał jednak do siebie pretensje. Przede wszystkim był zły, że uległ

pokusie. Wbrew wszystkiemu liczył na to, iż szybko znajdą sędziego. Tymczasowe małżeństwo doprowadzało go do szału, ponieważ w pewnym stopniu usprawiedliwiało kochanie się z Casey i bynajmniej nie skłaniało do szlachetności ani wyrzeczeń.

Z pewnością poprzedniego wieczoru nie w głowie mu była szlachetność, wręcz przeciwnie.

Znajdował jedno usprawiedliwienie za drugim, by uzasadnić swoją głupotę. Wmówił sobie, że bardzo cierpi, chociaż wcale nie musi. Wiedział, że nadal powinien trzymać się od Casey z daleka.

A jednak niczego nie żałował. Dziewczyna dostarczyła mu tak wiele rozkoszy i była taka namiętna. To go naprawdę zaskoczyło, zwłaszcza że doskonale potrafiła ukrywać swoje uczucia.

Po południu dotarli do Culthers, ale po drodze prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Miasto, zgodnie z zapowiedziami, było małe, jednak szybko się rozrastało. Miało dwie dzielnice, a następne nabierały już wyraźnych kształtów. Ogromne możliwości przyciągały w te okolice mnóstwo osadników. Samo miasteczko sprawiało wrażenie spokojniejszego od wielu podobnych ludzkich siedlisk, przez które przejeżdżali. Na ulicach baraszkowały dzieci i zwierzęta domowe, co świadczyło o tym, że panujący tu spokój rzadko zakłóca uliczna strzelanina. Obok kilku saloonów działało parę kościołów.

Gdy dotarli na miejsce, Casey spytała o pensjonat. Damian odczuł to jak policzek. Wiedziała przecież o jego przyzwyczajeniu do najlepszych hoteli, a był tu hotel, choć mały.

Nowojorczyk zdał sobie sprawę, że dziewczyna właśnie mu powiedziała, by trzymał się swojej części miasta, a ona pozostanie w swojej. Innymi słowy, nie chciała utrzymywać z nim bliskich stosunków.

Nie dałaby mu tego wyraźniej do zrozumienia, nawet gdyby powiedziała wprost. To jednak ani na jotę nie zmieniało odczuć Damiana. Wcale nie był zadowolony z takiego stanu rzeczy i gdyby miał coś do powiedzenia, po prostu zameldowałby ich oboje w tym samym pokoju.

Musiał jednak uszanować życzenie Casey. Najwyraźniej wszystkiego żałowała i nie chciała mieć dodatkowych wyrzutów sumienia.

Po odprowadzeniu koni do stajni rozeszli się w różne strony. Umówili się jednak na kolację w restauracji, którą po drodze dostrzegli. Chcieli opracować taktykę na wypadek, gdyby ich poszukiwany był w Culthers.

Idąc do swojego hotelu, Damian dostrzegł wyłożoną na stoisku gazetę i zamarł w bezruchu.

Na pierwszej stronie widniała twarz Curruthersa. Startował on w wyborach na stanowisko tutejszego burmistrza. Głosowanie miało się odbyć za kilka tygodni.

Czytając pobieżnie artykuł. Damian zauważył, że kampania wyborcza polega przede wszystkim na zniesławianiu jednego z kandydatów przez drugiego. Rzucającym oskarżenia był Curruthers. Ściśle polityczny w swej wymowie tekst nie podawał właściwie żadnych informacji na temat jego prywatnego życia, na przykład: od jak dawna mieszka w Culthers ani gdzie poprzednio przebywał. Nie wymieniono nawet jego imienia, ale w tak małym miasteczku ludzie prawdopodobnie wiedzieli o nim wszystko.

Damian miał dwie możliwości do wyboru: natychmiast znaleźć Henry'ego i się z nim rozprawić albo najpierw poszukać Casey, by mogła być świadkiem długo oczekiwanej konfrontacji. Chociaż

Damianowi zależało na tym, by jak najszybciej załatwić tę sprawę, musiał się odwdziżyć Casey za czas i wysiłek włożony w znalezienie Curruthersa.

Zasłużyła na swoje wynagrodzenie.

Odszukał pensjonat, do którego ją skierowano. Tym razem był czysty, na dodatek sprawiał

wrażenie bardzo przytulnego i swojskiego. Jak się okazało, jego właścicielką była nauczycielka z miejscowej szkoły. Ta bardzo konserwatywna młoda dama prawdopodobnie pod żadnym pozorem nie pozwoliłaby Damianowi wejść na piętro - gdyby wiedziała, że Casey jest kobietą. Ponieważ jednak nie zdawała sobie z tego sprawy, pokazała mu drugie drzwi na lewo od schodów. Były otwarte, ale w pokoju nikogo nie było.

Słyszając plusk wody, Damian podszedł do innych, tym razem zamkniętych drzwi. Zapukał niecierpliwie.

- Jesteś tam, Casey?

- Co ty tu robisz?! - zawołała natychmiast.

Nie lubił rozmawiać przez drzwi, więc nie udzielając odpowiedzi, spytał:

- Masz na sobie odpowiedni strój?

- Raczej nie. Właśnie miałam wejść do wanny. Wyobrażenie o Casey w parującej wannie skierowało myśli Damiana w inną stronę. Zaczął się zastanawiać, czy drzwi są zamknięte na klucz. Właśnie miał to sprawdzić, gdy usłyszał:

- Jesteś tam jeszcze?

- Tak. - Przypomniał sobie, po co tu przyszedł, i westchnął.

- Nie powiedziałaś, co cię tu sprowadza.

- Henry jest tutaj.

- Wiem.

Usłyszawszy tę odpowiedź, Damian zmarszczył czoło.

- Co znaczy „wiem”?

- Prawdopodobnie widziałam tę samą gazetę co ty. Na pierwszej stronie jest jego zdjęcie.

Jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- I postanowiłaś się wykapać zamiast przyjść do mnie i o wszystkim mi powiedzieć?

- Ten człowiek nigdzie się nie wybiera, Damianie. Gdy wyjdę z wanny, on wciąż tu będzie.

- Nie mam zamiaru czekać.

Usłyszał niskie, pełne irytacji burknięcie, potem drzwi się otworzyły. Był zawiedziony, zauważywszy, że Casey jest ubrana, jedynie nie ma na sobie poncha i pasa od rewolweru.

- Po co taki pośpiech? - spytała.

- Wiesz, że od bardzo dawna szukam Henry'ego, chyba wice nie powinnaś o to pytać.

Jej wojowniczość prysnęła jak bańka mydlana. Casey westchnęła.

- Rzeczywiście, chyba nie powinnam.

Odwróciła się, sięgnęła po pas, zerknęła w dół, by go zapiąć, po czym dodała:

- Czy zdążyłeś spytać kogoś, gdzie o tej porze dnia można znaleźć Curruthersa?

- W saloonie Barneta. Wygląda na to, że jest to stała siedziba jego sztabu wyborczego.

- Mówisz tak, jakby to budziło w tobie wstręt. - Casey uśmiechnęła się. - Saloony to doskonałe miejsce do prowadzenia różnych interesów, nie tylko do picia, grania w karty i... -

Przerwała, by odkaszląć. - No cóż, wiesz, o co mi chodzi.

Wiedział, ale zaprzeczył.

- I...?

Absolutnie nie chciała użyć żadnego słowa, które wiązałoby się z seksem.

- I, ujmując to bardzo ogólnie, dobrej zabawy - zaimprovizowała, marszcząc czoło.

Damian pochylił się i ukradł jej szybkiego całusa, a gdy zaskoczona zaniemówiła, uściślił:

- Tego rodzaju dobrej zabawy?

Casey prychnęła i złapała swoje poncho, ale ponownie się zarumieniła i nie chciała spojrzeć w pełne rozbawienia oczy Damiana. Z żalem zerknęła na parującą wodę, którą musiała zostawić, po czym ruszyła w stronę drzwi.

- No cóż - powiedziała szorstko - w takim razie chodźmy. Miejmy to już za sobą.

Rozdział 27

Po wejściu do saloonu Barneta Casey przede wszystkim zauważyła czystość całego pomieszczenia. Po chwili uznała, że lokal ten nic przypomina żadnego z saloonów, jakie dotychczas widywała. Stoły zostały pokryte czerwoną skórą, krzesła miały tapicerkę. Bar, dzięki wielu rzeźbieniom i marmurowemu blatowi, stanowił istne dzieło sztuki. Ściany wyklejono tapetą. Na podłodze leżał cienki dywan. Nie było spluwaczek. Znikąd nie dochodziły głośnie krzyki. Gdyby nie sam bar, pomieszczenie to bardziej by wyglądało na główny hol eleganckiego hotelu lub ekskluzywny klub dla panów.

Casey była pod wrażeniem. Nawet cofnęła się i wyszła na zewnątrz sprawdzić szyld, by się upewnić, czy znaleźli się w odpowiednim miejscu. Rzeczywiście był to saloon Barneta, wyglądał jednak dziwnie, jakby został zaprojektowany przez kogoś z Europy... lub ze wschodniej części kraju. To przywiodło jej na myśl Henry'ego Curruthersa.

Był tam. niezwykle łatwy do rozpoznania w tych swoich grubych szklach i z charakterystycznym pieprzykiem na policzku - wyglądał tak, jak opisał go Damian. Siedział

przy stoliku w towarzystwie trzech mężczyzn. Dwóch innych stało obok, przysłuchując się rozmowie. Cała szóstka miała na sobie garnitury, choć wszyscy oprócz Henry'ego sprawiali wrażenie, że źle się czują w tym stroju. Wyglądali jak przestępcy w kryjówce planujący następną kradzież, a nie ludzie siedzący w eleganckim saloonie i omawiający strategię wyborczą.

Casey odsunęła tę myśl na bok. Była zbyt podejrzliwa. To, że pięciu towarzyszących Henry'emu mężczyzn swoim wyglądem dziwnie przypominało rewolwerowców, wcale nie oznaczało, że naprawdę nimi są.

Damian wyraźnie nie zwrócił uwagi na wystrój wnętrza, całą uwagę skupił na Henrym.

Czekał, kiedy nowojorski księgowy go zauważy. Casey też czekała na potwierdzenie tożsamości tego człowieka. Chociaż właściwie to wcale nie było potrzebne. Henry na pewno rozpozna Damiana, a

ewentualne zaskoczenie będzie jedynie stanowiło dowód winy.

Niestety, stało się inaczej. Kiedy Henry w końcu zerknął w stronę drzwi i zobaczył w przejściu dwie osoby, okazał jedynie lekkie zaskoczenie. Poza tym do diaska, trudno wykluczyć, że w tym lokalu obowiązują pewne zasady i wstęp mają tu tylko ludzie w garniturach. Tymczasem ona i Damian właśnie przyjechali ze szlaku i mieli na sobie strój bardziej odpowiedni podczas wędrówki. Gdyby jednak rzeczywiście chodziło o garnitury, zaskoczenie okazaliby wszyscy, nie tylko Henry.

Tak też się stało. Cała grupa spoglądała na nich z czymś, co raczej nie było zainteresowaniem, ale oburzeniem.

Jeden facet płaczącym głosem zwrócił im uwagę:

- To prywatny saloon, tylko dla członków klubu. Jeżeli chcecie się napić, idźcie do „Orlego Gniazda” po drugiej stronie ulicy.

Oczywiście, nie ustąpili. Casey doszła do wniosku, że być może, by poprzeć ich stanowisko, będzie musiała odwołać się do pomocy kolta, przynajmniej póki nie załatwią sprawy, w jakiej tu przyszli. Nie było to jednak konieczne.

- Aresztuję cię. Henry - oznajmił Damian. - Pójdiesz z nami dobrowolnie czy sprawisz mi tę przyjemność i pozwolisz, żebym wyciągnął cię stąd siłą?

Casey podziwiała bezceremonialność Damiana, nawet jeśli nie miał prawa nikogo aresztować. Mężczyźni uznali jednak jego stwierdzenie za komiczne i niemal wszyscy, łącznie z Henrym, zaczęli się śmiać.

- Co zrobiłeś, Jack? Znowu kopnąłeś psa pani Arwick? -zadrwił jeden z nich.

- Nie, zaczekaj - wtrącił drugi ze śmiechem. - To pewnie ośmieszony w gazecie stary Henning kazał aresztować Jacka, zupełnie jakby każde napisane tam słowo nie było prawdą.

Henning był drugim kandydatem ubiegającym się o urząd burmistrza. To właśnie jego Henry zniesławił w lokalnej, dwustronicowej gazecie. Kim jednak był Jack. o którym mówili?

Niepokój poczuł jeszcze ktoś, jego jednak zdumiało coś innego.

- Słyszałem, że różnie się do pana zwracano, panie Cur-ruihers, ale nikt nie używał imienia Henry.

Curruthers odparł z uśmiechem:

- Właściwie kiedyś mówiono na mnie w taki sposób, ale minęło ponad dwadzieścia lat.

odkąd po raz ostatni ktoś popełnił ten błąd i pomylił mnie z moim bratem bliźniakiem. Potem zerknął wymownie na Damiana i spytał drwiąco: - Czy pan również wziął mnie za mojego brata, Henry"ego? A tak swoją drogą: kim pan jest?

Damian zmarszczył czoło. Widocznie nie odpowiadało mu to, co wynikało z tego pytania.

- Damian Rurledge... Pozwól, że coś wyjaśnię. Mówisz, że ty i Henry jesteście niemal identyczni?

- Niestety, tak.

- Niestety?

Curruthers wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie mam nic przeciwko swojemu bratu, chociaż zawsze uważałem go za strasznego przeciętniaka, jeśli wic pan, co mam na myśli. Nigdy jednak nie lubiłem mieć blisko siebie kogoś, kto udawał, że jest mną, i wszystko uchodziło mu na sucho tylko dlatego, że miał identyczną twarz. Właśnie z tego powodu, gdy tylko dorosłem, wyjechałem z Nowego Jorku i całkowicie uniezależniłem się od rodziny. Nigdy więcej tam nie wróciłem i ani razu nie żałowałem, że wyjechałem. Pozostawałem w kontakcie i dość często dostawałem od Henry'ego listy, wolałbym jednak nigdy więcej nie widzieć brata na oczy.

- Kiedy miał pan od niego ostatnią wiadomość?

- Prawdę mówiąc, w tym roku przysłał mi kilka listów. Byłem piekielnie zaskoczony, gdy na wiosnę napisał, że chciałby mnie odwiedzić. Nigdy nie przypuszczałem, że Henry zdecyduje się na opuszczenie Nowego Jorku i porzucenie dobrej pracy. Wic pan, mój brat jest tam księgowym.

- Owszem, wiem.

Jest jednak taki nieśmiały, jeśli wie pan, co mam na myśli, a te okolice, no cóż, nie są dla ludzi nieśmiałych. -Przy tej uwadze kilku jego kumpli zachichotało. Potem Curruthers dodał:

- Musiał zmienić decyzję, ponieważ kilka miesięcy temu napisał z San Antonio - tam udało mu się dotrzeć - ale tutaj się nie pojawił.

- To znaczy, że nic spodziewa się go pan tutaj?

Po tak długim czasie? By dotrzeć tu z San Antonio, potrzeba najwyżej trzech miesięcy.

Przypuszczam, że Henry się przestraszył. Komuś, kto od dziecka mieszkał w wielkim mieście w rodzaju Nowego Jorku, Teksas może wydawać się prymitywny. Osiedlić się tu może tylko pewien typ ludzi, a Henry do nich nie należy, jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Za to pan, tak?

- No cóż, mieszkam w Teksasie od piętnastu lat. Przypuszczam, że to o czymś świadczy.

- Ale miasto nie jest takie stare - zauważył Damian.

- Powiedziałem, że mieszkam w Teksasie, nie w tym mieście - podkreślił Jack, tym razem nieco

protekcjonalnym tonem. - Do Culthers przyjechałem mniej więcej osiem miesięcy temu, prawda, chłopcy?

Taak... rzeczywiście pojawiłeś się tu. Jack, jakieś osiem miesięcy temu - potwierdził człowiek stojący na prawo od Curruthersa.

- Pamiętam, że to było jakoś na początku roku — przypomniał sobie drugi.

Jack przytaknął, po czym z uśmiechem wyższości odwrócił się z powrotem do Damiana.

- A tak przy okazji: co Henry zrobił takiego, że chce go pan aresztować?

- Popełnił morderstwo.

- Henry? - Curruthers zaczął się śmiać. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się opanować. -

Musiał się pan pomylić... po raz drugi. Jedynym sposobem, w jaki Henry mógłby kogoś zabić, byłoby modlenie się, by to się stało. On sam nie miałby tyle odwagi.

- Ale ty byś miał... Jack?

Mały człowiek zeszywniał, może dlatego, że pauza zrobiona przed jego imieniem wskazywała na to, iż Damian nie wierzy we wszystko, co usłyszał. Nic dziwnego, skoro Casey też miała pewne wątpliwości. Jack jednak odpowiedział na to pytanie:

- Niewątpliwie potrafiłbym zabić w obronie własnej. Z drugiej jednak strony wcale nie mówiłem, że jestem podobny do brata. Właściwie różnimy się od siebie jak dzień i noc. Nic toleruję słabeuszy, a jest to jedyna kategoria, w której mieści się Henry, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Casey odniosła takie wrażenie już w chwili, kiedy Jack wymówił pierwsze słowa. Tego niewysokiego mężczyznę niewątpliwie cechowała arogancja, która nie pasowała do tego, co Damian opowiadał o Henrym. Nikt nie musiał mówić Casey, że jeden z braci ma w sobie coś z tchórza, a drugi jest bufonem. Teraz interesowało ją tylko, czy Jack robi to na pokaz, czy też ma na tyle oleju w głowie, by wszystko udowodnić.

Nie wtrącała się jednak do przesłuchania, ponieważ Damian bardzo dobrze sobie radził.

Prawdę mówiąc, dziwiło ją, że jej partner tak skutecznie panuje nad złością, gdyż wiedziała, jaki jest wściekły z powodu tak niespodziewanego obrotu sprawy. To miał być koniec jego poszukiwań. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że zabrnęli w ślepy zaułek.

Milczenie Damiana, a może sceptyczny wyraz jego twarzy sprawiły, że Jack przestał udawać obrażonego, ponieważ nagle westchnął i powiedział:

- Niech pan posłucha, panie Rutledge. Jeżeli mi pan nie wierzy, a na to wygląda - co jest nawet zrozumiałe, ponieważ nigdy wcześniej pan o mnie nic słyszał - proponuję, by wysłał

pan telegram do mojej ciotki do Nowego Jorku. Ponoć wciąż jeszcze żyje. Ona może potwierdzić, że Henry i ja jesteśmy bliźniakami.

- Gdzie tu jest telegraf? Jack ponuro się uśmiechnął.

- Nie mamy w Culthers telegrafu. Spodziewamy się, że jeszcze przed końcem roku nam go założą, ale na razie najbliższy znajduje się w Sanderson, dwa dni drogi stąd. Oczywiście, liczę na to, że pan wróci i mnie przeprosi. Nic mogę dopuścić do tego, by podczas wyborów na moim dobrym imieniu pojawiła się choćby najmniejsza skaza, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Niewysoki człowieczek był bardzo pewny siebie, a to działało na nerwy.

Rozdział 28

- Dwaj bracia, na dodatek obaj zamierzali zostać burmistrzami? Wierysz w to, Casey?

Damian celowo aż do tej chwili powstrzymywał się od rozmowy na temat spotkania z Jackiem Curruthersem. On i Casey już od dobrej chwili jedli niemal surowe steki, które chyba smakowały tylko dziewczynie. Początkowo Damian czuł się zawiedziony i zły, że człowiek, którego spotkał w saloonie, nie był Henrym. Butelka czerwonego wina i niemal połowa drugiej pomogły mu uspokoić się tak, że teraz mógł już o tym mówić.

Casey dokładnie pogryzła frytki, a potem zauważyła:

- Może Henry postanowił pójść w ślady brata. No wiesz, tak jak synowie idą w ślady ojców -

dodała znacząco, ponieważ Damian należał do tej grupy. - Równie dobrze Henry mógł

wszędzie zadawać pytania, które miały na celu doprowadzenie go do brata. Może zapomniał, jak nazywa się to miasto, pamiętał jedynie, że jest nowe? Wtedy też wypytywałby o niedawno założone osady, prawda?

- Raczej mało prawdopodobne, Casey.

- Może, ale niewykluczone. Spróbuj to sobie wyobrazić. Henry musiał znaleźć jakąś kryjówkę. Doszedł do wniosku, że brat może mu pomóc. Pokonał połowę drogi, ale w niewłaściwym miejscu schował list, w którym brat wymienił nazwę nowego miasta w Teksasie, gdzie niedawno się osiedlił. Henry za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć tej nazwy, dlatego zaczął wypytywać o nowe miasta. Albo dwie osady w tym stanie mają taką samą nazwę, a Henry dojechał do złej. Tak czy inaczej wiedział również, że Jack ma zamiar ubiegać się o urząd burmistrza, zawęził więc swoje poszukiwania do małych miast mających burmistrza. W końcu doszedł do wniosku, że w ten sposób nie uda mu się znaleźć brata, i z rezygnacją wrócił na wschód.

No cóż, mam nadzieję, że się mylisz, ponieważ gdybyśmy mieli dalej podążać tak niepewnym tropem...

- Nie nazwałabym tego jeszcze ślepą uliczką, Damianie - wyznała zagadkowo.

- Myślisz, że Henry może tu być, a Jack robi wszystko, by go ukryć?

- Sądzę, że istnieje taka możliwość. Tylko dlaczego w takim razie Jack by się przyznawał, że Henry miał zamiar go odwiedzić?

- Ponieważ dotarliśmy tu po jego śladach. Casey powoli przytaknęła.

- Możliwe. Zastanówmy się nad braciszkiem Jackiem. Sprawia wrażenie człowieka twardego, ale każdy tchórz może udawać odważnego, mając przy sobie pięciu wysokich, groźnych rewolwerowców, potwierdzających każde jego słowo. Pewnie płaci za to, by mógł okazywać arogancję... jeśli wiesz, co mam na myśli.

Damian uśmiechnął się, ponieważ użyła ulubionego zwrotu Jacka, i przyznał:

- Też tak myślę. Równie dobrze to może być Henry, którego znam, a nie jego arogancki bral.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zostali ulepieni z tej samej gliny i wcale nie różnią się od siebie tak bardzo, jak chciałby nam to wmówić Jack.

Och, nie wiem. Sama mam dwóch braci, którzy stanowią całkowite przeciwieństwo. Jeden niechętnie wychyla nos z księżek i nienawidzi gospodarowania na ranczu. Zresztą już wkrótce zostanie prawnikiem. Drugi jest potwornie głupi, ale trudno wygonić go z pastwiska i...

- Masz braci?

Usłyszawszy to pytanie, błyskawicznie się zarumieniła. Najwyraźniej wcale nie zamierzała o tym mówić i to porównanie jedynie jej się wyrwało. Wypiła sporo wina, a chociaż alkohol działa pobudzająco, często rozluźnia również język, dlatego zapomniała, iż pewne sprawy miały pozostać tajemnicą.

- No cóż, tak - przyznała chłodno.

- Kogo jeszcze masz?

Osuszyła następny kieliszek, dopiero potem odparła rozdrażniona:

- Co możesz mi powiedzieć na temat swojej matki? Przecież ona żyje, prawda?

Celowo wspomniała jego matkę, ponieważ wiedziała, że Damian nie chce o niej rozmawiać.

W ten sposób próbowała mu powiedzieć, żeby nie zadawał zbyt osobistych pytań.

Prawdopodobnie w innych okolicznościach przyniosłoby to oczekiwany skutek, niestety Damianowi bardzo zależało na dowiedzeniu się na jej temat wszystkiego, co tylko możliwe.

- Masz siostry? Wujków? Ciotki?

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek i zadała następny cios:

- Dlaczego nie lubisz swojej matki, Damianie? Chciał, by Casey nie stosowała nieczystych chwytów. Sama myśl o matce potwornie go złościła.

- Czy jeżeli odpowiem na to pytanie, ty również wyjaśnisz mi kilka rzeczy?

Fakt, że nie ignorował jej pytań, tak jak ona to robiła, trochę ją zaskoczył, dlatego wzruszyła ramionami.

- Może.

Nic była to zbyt satysfakcjonująca odpowiedź, nie mógł jednak liczyć na lepszą.

- Dobrze. Na początek powinienem wspomnieć, że jak każde normalne dziecko kochałem oboje rodziców. Jednak moja matka nie odwzajemniała tej miłości - lub przynajmniej ważniejsze dla niej było uczucie do innego mężczyzny. Wiele lat temu rozwiodła się z moim ojcem, sprawiając mu niewystawiony ból i ośmieszając go w oczach znajomych. Równie dobrze mogła się rozwieść ze mną, ponieważ od chwili, kiedy wyjechała z Nowego Jorku, by wyjść za mąż za swojego kochanka, nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

- Ani razu? To była twoja decyzja czy jej?

- Słucham?

- Chodzi mi o to, czy kiedykolwiek wróciła do Nowego Jorku, by się z tobą zobaczyć. A jeśli nie, czy próbowałaś ją znaleźć i dowiedzieć się, dlaczego tego nie zrobiła?

- Odpowiedź na oba pytania brzmi „nie”. Ale po co miałbym podejmować jakiegokolwiek starania, skoro z góry znałem odpowiedź? Po prostu niewiele dla niej znaczyłem. Chciała odejść i ułożyć sobie nowe życie, nie oglądając się za siebie.

W jego głosie pobrzmiwało wyraźne rozgoryczenie. Dlaczego, do diabła, mimo upływu lat ta sprawa wciąż sprawia taki ból?

- Nie wiem pochwyliła Casey, spoglądając na niego ze współczuciem, które bardzo go zaniepokoiło.
- Na twoim miejscu znalazłabym ją i zadała kilka pytań. A gdyby jej odpowiedzi nie przypadły mi do gustu, przynajmniej kazałabym jej gorzko żałować, że tak bezdusznie mnie opuściła. Oczywiście, ludzie bezduszni zazwyczaj nie odczuwają żadnych wyrzutów sumienia. Dlatego właśnie są bezduszni. Ale i tak dołożyłabym wszelkich starań.

Czyżby próbowała skłonić go do śmiechu?

- Użyłabyś w tym celu słów... czy rewolweru, który nosisz przy sobie?

Zmierzyła go baczny spojrzeniem. Widocznie mówiła całkiem poważnie.

- Przez wszystkie te lata, Damianie, żyłeś w niepewności. Czy to cię nie martwi? Na twoim miejscu szukałabym takiego czy innego potwierdzenia.

- Nie było jej przy mnie, gdy jej potrzebowałem. Teraz już jej nie potrzebuję. Więc jaki by to miało sens?

- Może powinieneś to zrobić dla własnego spokoju. Może dlatego, że jest jedyną bliską ci osobą. Może dlatego, że ostatnio dowiedziała się, iż owdowiała i jest samotna. Ale to ja tak bym do tego podeszła. Oczywiście, moi rodzice zawsze byli blisko mnie, więc skąd mogę wiedzieć, co czujesz?

Jednym tchem zbeształa go i wyraziła skruchę. Zdumiewające, że była do tego zdolna. Może jednak miała rację. Może dawno już powinien porozmawiać z matką i wysłuchać, co miała mu do powiedzenia. To przecież nie mogło pogorszyć jego samopoczucia. Już i tak wierzył

w najgorsze.

- Zastanowię się nad tym - burknął niezadowolony, dając za wygraną.

W odpowiedzi Casey uśmiechnęła się i zmieniła temat.

- A wracając do Jacka Curruthersa...

- Nie tak szybko - przerwał jej. - Zapomniałaś o swoim „może”. Postaraj się być w porządku, Casey. Powiedz coś o swojej rodzinie.

Casey ciężko westchnęła i sięgnęła po butelkę wina, by napełnić kieliszek.

- No cóż, już wiesz, że moi rodzice żyją.

- Nic są rozwiedzeni?

- Nie. Łączy ich głęboka i trwała miłość. Czasami to wręcz żenujące, zwłaszcza że bez przerwy się do siebie kleją.

Kiedy to mówiła, udało jej się nie zarumienić. Niemniej Damian nie powinien pytać o wszystko. Większość małżeństw mających dzieci nie rozwodzi się, tym bardziej że taki sposób rozstania wywołuje spory skandal, przynajmniej w wyższych sferach.

- Nie mam siostry, jedynie dwóch braci - ciągnęła. - Tyler jest starszy ode mnie o niecały rok. To on będzie prawnikiem. Z kolei Dillon jest istnym diabłem, chociaż ma dopiero czternaście lat. Ostatnio straciłam dziadka. Był to wyjątkowo gderliwy starszy pan, którego szczerze kochałam. Został mi jeszcze drugi. Przez całe życie był lekarzem. Wciąż prowadzi prywatną praktykę, ale przyjmuje tylko swoich stałych pacjentów. Nie mam innych krewnych, ponieważ ani ojciec, ani matka nic mieli rodzeństwa.

- Dlaczego opuściłaś dom?

Zmarszczyła czoło. Po niemal minucie milczenia w końcu wyjaśniła:

- Po prostu wdałam się z ojcem w niewielką sprzeczkę.
- To nie mogła być niewielka sprzeczka, Casey, skoro po niej uciekłaś z domu i sama zarabiasz na swoje utrzymanie.
- No cóż, to była dla mnie bardzo ważna sprawa. Koniec, kropka. Ojciec uważał, że sobie z czymś nic poradzę, ponieważ jestem kobietą. W tej jednej sprawie był uparty jak osioł.
- No i postanowiłaś mu udowodnić, że się myli. Dlatego zostałaś łowcą nagród - bo to jest coś, o czym większość kobiet nigdy by nie pomyślała?
- Coś w rym rodzaju - mruknęła.
- Biorąc pod uwagę, jak niebezpieczne wybrałaś sobie zajęcie, zastanawiam się, kto tak naprawdę jest tu uparty.
- Nic prosiłam cię. Damianie, żebyś zaaprobował to, co robię - przypomniła.
- Prawda. I możesz przestać piorunować mnie wzrokiem. Wiem, zmusiłem cię do wyjawienia pewnych tajemnic. Ale nie będę przepraszał. Jesteś fascynującą kobietą, Casey.

Nic nie poradzę na to, że chciałbym wiedzieć na twój temat dosłownie wszystko.

Teraz się zarumieniła, po czym ze złością zaatakowała ostatni kawałek steku.

Pewnie nie powinien tego mówić. Wyraźnie nie chciała, by w tej rozmowie poruszane były jakiegokolwiek sprawy osobiste. Z drugiej strony po tak długim siedzeniu naprzeciwko Casey i przyglądaniu się jej, ile dusza zapragnie, co umożliwiała mu prowadzona rozmowa, zaczął mieć kłopoty z samym sobą.

Nie powinien tego robić, wiedział, jaką otrzyma odpowiedź, niemniej i tak zapytał:

- Przyjdzie pani dziś w nocy do mojego pokoju, pani Rutledge?

Skrzywiła się i spojrzała na niego.

- Czyżbyś jeszcze nie sprawdził, czy mają w tym mieście sędziego?

- Nie mają. Zrobiła kwaśną minę.

- Wiedziałam, że już o to pytałeś. - Wstała naburmuszona. - Dziękuję, mam własny pokój. I

powinnam z niego skorzystać, jeśli chcemy wyjechać jutro wcześniej rano.

- Casey...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Zaczynaj myśleć o tym, co jest naprawdę ważne, i przestań się zachowywać tak, jakbym była jedyną kobietą w okolicy. Na pewno nie brak tu innych pań i możesz z tego skorzystać, nim wrócimy na szlak.

Wyszła wzburzona. No cóż. spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi, zwłaszcza że Casey przez cały dzień tak się zachowywała. Ale to, że w niezbyt zawoalowany sposób zaproponowała mu, by znalazł sobie prostytutkę, było śmieszne. Nie chodziło mu przecież o byle jaką kobietę, pragnął tej jednej, z którą łączył go węzeł małżeński.

Rozdział 29

Nazajutrz rano Casey nie była w szczytowej formie. Poprzedniego wieczoru po wyjściu z restauracji wstąpiła do saloonu. by kupić następną butelkę wina i zabrać ją ze sobą do łóżka.

Nie było to zbyt mądre posunięcie, ale w głowie czuła potworny zamęt. Inaczej w ogóle by nie zasnęła.

Dzień wcześniej miała niemal całkowitą pewność, że Henry jest w Culthers, liczyła więc na to, że jeszcze przed nastaniem wieczoru na dobre pożegna się z Damianem. Nadal czuła przez skórę, że Henry tu jest - albo się ukrywa, albo odwała kawał dobrej roboty, udając swojego brata. Jacka. Jednak polowanie wciąż trwało, a Casey przeżywała nie mające końca katusze.

Nie powinna kochać się z Damianem. Jak mogła dopuścić do tego, by górę wziął pociąg fizyczny, mimo że doskonale wiedziała, iż nie wolno jej tego robić? Zaspokajając ciekawość, osiągnęła tylko jedno - teraz wiedziała już, co straci, gdy rozstanie się z Damianem. Będzie za nim tęsknić. Ale na tym nie koniec. Jakimś cudem przywiązała się do niego w sposób, który nie miał nic wspólnego z ich tymczasowym małżeństwem. Źle, że do tego dopuściła...

choć właściwie wbrew swej woli.

Już odczuwała swoją stratę. To było dziwne. Damia jeszcze nie odszedł, a Casey wiedziała, że wkrótce będzie musiała się z nim rozstać, i już była nieszczęśliwa. Wcale jej się ta myśl nie podobała. Nie powinna jednak się na nim odgrywać, a przecież to właśnie robiła poprzedniego dnia. To nie jego wina, że do siebie nie pasują. Każde z nich wychowywało się w całkiem innym świecie, w innej kulturze. Casey źle by się czuła w Nowym Jorku, a on na zachodzie. Była to sytuacja bez wyjścia. Poza tym poprzedniego dnia kiepsko się spisała, naszczęście tego ranka naprawiła swoje niedopatrzenie, wstępując na pogawędkę do panny Larissy, miejscowej nauczycielki i właścicielki pensjonatu. Casey porozmawiała też z kilkoma osobami, na które natknęła się po drodze do stajni. Wszyscy mieli coś do powiedzenia na temat Curruthersa, o czym poinformowała Damiana, gdy tylko spotkali się w stajni.

- Jack Curruthers nie jest tu od tak dawna, jak twierdzi. To było zwyczajne kłamstwo, poparte przez jego kumpli.

- Czy są to tylko twoje przypuszczenia, czy ktoś je potwierdził? - spytał Damian.

- Owszem, początkowo tylko to podejrzewałam, doszłam jednak do wniosku, iż Curruthers nie może mieć w kieszeni wszystkich mieszkańców miasteczka, dzięki czemu łatwo było poznać prawdę. Nauczycielka powiedziała, że Jack pojawił się tu mniej więcej w tym samym czasie co ona, czyli niecałe pięć miesięcy temu. Potwierdziły to dwie inne osoby.

- A czy widziano Henry'ego?

- Nikt nie przypomina sobie bliźniaczego brata, niektórzy byli wręcz zaskoczeni, słysząc tę wiadomość. Natomiast jeden facet wyjawiał mi, że ktoś z komitetu wyborczego Jacka

„doradził” mu, by głosował na odpowiednią osobę.

Damian uniósł brew.

- Czyżby miał na myśli użycie siły?

- Przez tych wynajętych opryszków? Powiedziałabym, że było w tym coś więcej niż obietnica.

- To znaczy, że za wszelką cenę chce objąć urząd burmistrza?

- Nie byłby wyjątkiem.

- W wielkim mieście wcale by mnie to nic dziwiło, tutaj jednak, moim zdaniem, powinno być inaczej, ponieważ ludzie od nowa układają sobie życie.

- Och, ale Curruthers nie jest stąd - przybył z wielkiego miasta. Poza tym, Damianie, tu na każdym kroku człowiek natyka się na korupcję. Może nie jest to takie powszechne w miejscowościach, gdzie każdy zna każdego. w przeciwieństwie do większości zachodnich miast. Wracając jednak do Jacka, rodzi się pytanie, dlaczego kłamał, jeśli rzeczywiście jest bliźniaczym bratem Henry"ego, a nie na przykład Henrym udającym Jacka.

- Myślisz, że po prostu pozbył się nas, by mieć czas na ponowną ucieczkę?

- Nie, nie sędzę, by chciał zrezygnować z tego, co może tu zdobyć. Moim zdaniem stanowimy dla niego problem, którego będzie chciał się pozbyć.

- Czyżbyś spodziewała się kłopotów?

- Jestem nawet gotowa się założyć. - W obecnym stanie ducha Casey nie mogła się już tego doczekać.

- W takim razie po co mamy wracać do Sanderson i wysyłać telegram?

Ponieważ, nim ponownie staniesz przed Jackiem, musisz zgromadzić wszystkie fakty, jakie uda ci się zdobyć. A skoro już o tym mowa... zakładam, że znasz imię i nazwisko ciotki z Nowego Jorku, ponieważ wczoraj o nie nie pytałeś.

- Tak. Kiedy Henry zniknął, trzeba było ją przesłuchać. Przysięgała, że jest niewinny i że

„nie potrafiłby popełnić tak nikczemnego czynu” - to jej słowa. Nie zapominaj, że Curruthers niemal przez całe życie ją utrzymywał. Byłbym zdziwiony, gdyby go nie broniła.

- Ani słowem nie wspomniała, że Henry ma brata bliźniaka?

- Nie, ale w ogóle była bardzo niechętna do współpracy, jak łatwo sobie wyobrazić.

Odpowiadała na zadawane pytania, z własnej woli nie ujawniając niczego, co pomogłoby nam go znaleźć.

Casey przytaknęła.

- No cóż, ruszajmy w drogę. Tm wcześniej wyślesz telegram, tym szybciej będziemy mogli tu wrócić i dokończyć dzieła.

- Twoim zdaniem Jack jest Henrym?

- Prawdę mówiąc, nie. Sądzę jednak, że Jack wie, gdzie jest Henry. Czy tu, czy w jakimś innym miejscu, ale Jack to wie. Zmuszenie go do tego, żeby nam to zdradził, może być bardzo ciekawe.

Damian zmarszczył czoło.

- Czyżbyś sugerowała, że powinienem w tym celu użyć siły?

Casey uśmiechnęła się.

- Tylko w ostateczności.

Rozdział 30

Casey spodziewała się kłopotów, toteż nie spała zbyt dużo podczas noclegu w drodze powrotnej do Sanderson. Damian również czuwał, więc przez całą noc na zmianę trzymali wartę. Nikt jednak się nie pojawił i nie próbował skłonić ich do opuszczenia tej części kraju ani zostawienia w spokoju przyszłego burmistrza Curruthersa.

Damian wysłał telegram i zameldował się w hotelu, ponieważ i tak musiał zaczekać na odpowiedź. Chciał też nadrobić zaległości w spaniu. Casey wciąż była zbyt zdenerwowana, by pójść do łóżka. Weszła do głośniejszego z dwóch saloonów na głównej ulicy, wypła drinka przy barze, a potem spytała, czy może przyłączyć się do mężczyzn siedzących przy jednym z trzech stolików, przy których grano w pokera.

Wybrała graczy, którzy sprawiali wrażenie, jakby bardziej się bawili, niż uprawiali hazard.

Byli to trzej spokojni faceci, którzy dużo żartowali i rozmawiali podczas grania, a o to właśnie jej chodziło. Dobrze ją przyjęli, jakby znali dziewczynę od lat. nawet drażnili się z nią z powodu jej

młodego wieku. Nie wierzyli, że umiała grać.

Dopiero po trzydziestu minutach, podczas których sporo przegrała, od niechcienia zadała pierwsze pytanie:

- Czy któryś z was, chłopcy, słyszał o Jacku Curruther-sie, człowieku, który startuje w wyborach na burmistrza Culthers?

- Nie za wiele. A czemu pytasz? - odparł John Wescot. John przedstawił się jako jedyny dentysta w mieście i gwarantował, że bezboleśnie obsłuży Casey, gdyby przypadkiem musiała skorzystać z jego usług. Odmawiając, zdołała powstrzymać się od prychnięcia.

- Słyszałem, że to krzywonogi kogut próbujący wyskoczyć wyżej, niż potrafi - wyznał Bucky Alcott.

Bucky od wielu lat był kucharzem na jednym z pobliskich rancz. Póki o tym nie wspomniał, Casey nie przyszło do głowy, że właśnie jest sobotni wieczór. To dlatego sa-loony były takie pełne - po prostu do miasta zjechali pracownicy z sąsiednich rancz, pragnąc spędzić pełen przygód weekend.

- Właśnie tam byłem - przyznała się Casey, od niechcienia przyglądając się trzymanym w ręce kartom.
- Słyszałem, i to niejednym razem, że jego ludzie skłaniają obywateli, by na niego głosowali.

- Wcale mnie to nie dziwi oznajmił Pete Drummond, potrząsając głową.

Pete był w pewnym sensie żółtodziobem, ponieważ przyjechał na zachód zaledwie dwa lata temu. Całkiem nieźle się jednak zaadaptował, przyjął nawet tutejszy sposób wyrażania się. to znaczy kaleczenia języka, którym niewątpliwie umiał mówić poprawnie. Sprzedał broń palną, by mieć na życie, i otworzył w Sanderson sklep.

- To znaczy, że znasz Jacka? - spytała Casey.

- Nie. ale widziałem go, gdy przejeżdżał tędy w drodze do Culthers. Ten mały człowieczek zachowywał się tak. jakby należało do niego całe miasto... ba, wręcz cały stan. Nigdy nie spotkałem nikogo tak aroganckiego.

- Czy wiecie, kim są ludzie, którzy dla niego pracują w Culthers?

- To może być Jed Paisley i jego paczka - zdradził den tysta, z zamyśleniem marszcząc czoło.

- Przez jakiś czas pracowali na ranczu Hastings, mniej więcej pół drogi stąd do Culthers, słyszałem jednak, że skarżyli się na panujący tam spokój, aż w końcu zniknęli.

- Prawdopodobnie masz rację, Johnie. Kilka tygodni temu moja siostra była w Culthers.

Wspomniała mi, że widziała Jeda i jednego z jego chłopców. Wyobrażasz sobie tego faceta w garniturze? - spytał Pete.

- Powiedz mi, Pete. kim właściwie jest Jed - poprosiła Casey.

- No cóż. wszystko to plotki, rozumiesz, niczego nigdy nie udowodniono, ludzie jednak powiadają, że był w Meksyku w gangu Ortegi, terroryzował wieśniaków i zabijał dla zabawy.

- Pete wyraźnie się rozgrzewał. - To trwało kilka lat. Potem zaczął się rozglądać za jakąś pracą, przy której nie musiałby zadzierać z prawem. Przez jakiś czas pomagał właścicielom okolicznych rancz. W zeszłym roku w tym saloonie zabił faceta. Moim zdaniem głupio się tłumaczył, ale i tak morderstwo uszło mu na sucho.

Casey była zbyt ciekawa, by zignorować tę sprawę.

- A jaki był powód?

- Z tego, co słyszałem, ofiara Jeda próbowała wyświadczyć mu przysługę i oszczędzić wstydu, dlatego szepnęła mu na ucho, że po wyjściu z klozetu zapomniał zapiąć guzik. Jed poczuł się urażony, że ten człowiek to zauważył. i go zastrzelił.

Casey potrząsnęła głową.

- Trochę przewrażliwiony.

- Cholernie przewrażliwiony. Jed wcale nie jest miłym facetem. Odkąd przestał tu zaglądać, nikt z nas za nim nie tęskni. - Pete podkreślił swoje słowa kiwnięciem głowy.

- Pewnego razu musiałem wyrwać mu ząb - wtrącił John. - Chyba nigdy tak bardzo się nie spociłem. Przez cały czas trzymał w dłoni rewolwer.

- Podejrzewam, że jego chłopcy zostali ulepieni z tej samej gliny - upewniała się Casey.

- O tak - wyrwał się Pete. - Razem jest ich pięciu. Nie ma sprawy, jeżeli człowiek spotka jednego czy dwóch z nich, ponieważ właściwie nie należą do ludzi szukających guza. choć jeśli już trafi się okazja, to jej nie przepuszczą. Natomiast gdy są w piątkę, a jeszcze piją, no cóż, wtedy za-zwyczaj dzieje się coś złego. A cholerny szeryf za bardzo się ich boi, by zrobić porządek.

Czy to znaczy, że wszyscy szybko strzelają? próbowała uściślić Casey. John wzruszył ramionami.

- Nie mam pewności. Powiedziałbym raczej, że są "precyzyjni".

- Mason jest szybki - wyznał Bucky. - Kiedyś widziałem, jak demonstrował swoje umiejętności. Próbował wtedy wywrzeć wrażenie na pannie Annie, do której się zalecał. Ale, jak powiedział John, Jed jest w stanie trafić we wszystko, co przyjdzie mu na myśl. Pewnej niedzieli dzieciaki poruszyły gniazdo os. W pobliżu przechodził Jed i. niech to diabli, powystrzelał biedne osy, zamiast je obejść. Nawet doładowywał rewolwer, żeby dobić resztę.

Kilka osób zauważyło, iż dzieci miały szczęście, bo mógł wystrzelać je zamiast nieszczęsnych owadów, i większość ludzi była skłonna się z tym zgodzić. Rzeczywiście, gdyby maluchy nie uciekły

co sił w nogach, naprawdę mógł to zrobić.

- Czy wiecie coś o pozostałej trójce? — spytała Casey.

- Najmłodszy jest Jethro, młodszy brat Jeda. Przybył tutaj kilka lat temu, by przyłączyć się do Jeda. To mały byczek, który wykorzystuje reputacją brata, ale sam niczego sobą nie reprezentuje.

- Z kolei Elroy Bencher - ponownie włączył się John -lubi demonstrować swoją siłą, nie uciekając się do użycia rewolweru. Uważa się za niepokonanego w walce na pięści. Zawsze próbował namówić kogoś na próbną rundkę lub dwie, ale w tych okolicach nie ma ludzi głupich. Jedyne człowiek, który dał się nakłonić, wyszedł z walki ze złamanym kręgosłupem i od odtąd nie chodzi.

Casey się skrzywiła.

- A ostatni z nich? Pete potrząsnął głową.

Nikt nie wie zbyt dużo o Candymanie, dlatego, moim zdaniem, jest najbardziej niebezpieczny z nich. To cichy, aż za cichy facet, który zawsze wszystko bacznie obserwuje.

- Zabawne imię - zauważyła Casey.

- On sam tak o sobie mówi. Kumple wołają na niego „Candy”, a gdy wszyscy będą razem, na pewno zobaczysz, jak któryś z nich rzuca w niego cukierkiem. Ilekroć go widziałem, zawsze ssał coś słodkiego.

- Chciałbym go posadzić na moim fotelu - zachichotał John. - Pod warunkiem, że zostawiłby rewolwer za drzwiami gabinetu.

Wszyscy zareagowali na ten żart śmiechem. W końcu Pete zapytał:

- Czemu zadajesz tyle pytań, Kid?

Casey podała najprostsze wyjaśnienie, które nie wymagało szczegółów.

- Podczas pobytu w Culthers miałem drobne starcie z Curruthersem i jego bandą. A ponieważ tak się składa, że muszę tam wrócić, chciałem po prostu wiedzieć, czy mam powód do zmartwienia.

- Na twoim miejscu trzymałbym się od nich z daleka -zasugerował John.

- Ja nawet nie wracałbym do Culthers dodał Bucky.

- Przede wszystkim ciesz się, że zdołałeś uciec cały i zdrowy, Kid. Nie kuś losu po raz drugi

- brzmiał komentarz Pete'a.

Była to mądra, dana w dobrej wierze rada od miłych, przyjaźnie nastawionych osób, więc Casey podziękowała, po czym opuściła ich towarzystwo. Niestety, nie mogła skorzystać z tej sugestii. Z

drugiej strony wcale tak bardzo się nie bała wynajętych przez Jacka rewolwerowców, chociaż trochę ją martwili. W końcu nawet nie mieli przy sobie broni wszakże to mogłoby zaszkodzić politycznemu wizerunkowi Jacka. Bardziej dręczyło ją pytanie, jak niebezpieczny jest sam Jack.

Rozdział 31

Na zasadzkę natknęli się nazajutrz rano, mniej więcej godzinę drogi od Sanderson. Pierwszy strzał padł z lewej strony, z kępki drzew rosnących na skraju stromego wąwozu. Drugi oddano ze znajdującego się przed nimi wąskiego przesmyku utworzonego przez głązy, przy których prowadził trakt. Nie była to jedyna droga do Culthers, ale najszybsza... niestety, w tym momencie zablokowana.

Nikt ich jednak nie poprosił, by odwrócili się na pięcie i znaleźli sobie inną drogę. Ktoś, kto strzelał, wcale nie żartował, w związku z tym Casey szybko poszukała sobie kryjóWKi i krzyknęła do Damiana, żeby zrobił to samo. Niestety, wybrali przeciwne strony ścieżki.

Casey dała nura za jeden z największych kamieni z prawej strony, podczas gdy Damian skierował się między rosnące na lewo drzewa.

To uniemożliwiło jakąkolwiek dyskusję na temat ewentualnej strategii, ale Damian nie potrzebował rady. Już odpowiadał ogniem. Casey przypuszczała, że strzały będą padały z pięciu różnych miejsc, ale dostrzegła tylko dwa - co niewiele znaczyło, ponieważ nie widziała zbyt dokładnie całego obszaru.

Niemniej nie spodziewała się zasadzki w biały dzień. Nocny napad, owszem, ale strzelanina w biały dzień, kiedy łatwo zobaczyć, kto atakuje? To, oczywiście, nie miało żadnego znaczenia, jeżeli strzelający nie zamierzali zostawiać świadków.

Chociaż właściwie, na podstawie usłyszanych poprzedniego wieczoru wiadomości na temat Jeda Paisleya i jego kumpli, powinna się tego spodziewać. Ponieważ jednak taka zasadzka mogła się zdarzyć, nim dotarli do Sanderson -napastnicy mieli mnóstwo czasu i możliwości -

Jed wyraźnie czekał z podjęciem jakichkolwiek działań. Być może liczył na to, że Casey i Damian ruszą w dalszą drogę i nie będą już wracać do Culthers. Jack musiał wydać rozkaz powstrzymania ich dopiero w drodze powrotnej.

Wystrzeliła kilka razy między drzewa, w pobliżu których ukrywał się Damian. To tam znajdował się najbliższy strzelec i on najbardziej ją martwił. Oczywiście, gdyby nie przejmowała się tym, że ktoś podkrada się w tamtą stronę, być może przyszłoby jej na myśl, że równie dobrze ktoś może podkradać się do niej...

- Cześć, Kid. Powinieneś wziąć sobie naszą radę do serca i wrócić tam, skąd przybywasz.

Natychmiast rozpoznała dochodzący zza jej pleców głos. Należał do Johna Wescotta.

dentysty z Sanderson. Nie mogła zrozumieć, dlaczego on tu jest, a na domiar złego celuje ze strzelby prosto w jej plecy - przed chwilą bowiem usłyszała charakterystyczny dźwięk odwodzonego kurka.

Zaczęła się odwracać, by sprawdzić, czy to rzeczywiście on. ponieważ w głębi duszy nie mogła pogodzić się z tą myślą.

- Nie ruszaj się - usłyszała - chyba że chcesz powolutku odłożyć strzelbę.

Zrobiła to. Długa broń i tak była nieporęczna, uniemożliwiała wykonanie jakiegokolwiek szybkiego ruchu, a John nie wspominał o tym. by oddała rewolwer, może więc nic dostrzegł

go pod ponchem. Na razie. Nie każdy nosi rewolwer przymocowany do uda, przynajmniej nie lak młodzi chłopcy, jak sądził John.

- Masz szczęście, że to my, a nie stary Jed - ciągnął nonszalancko. - On jest znacznie gorszy niż my. Lubi torturować swoje ofiary, nim wyprawi je na tamten świat. Bawi go to. Jeśli o mnie chodzi, zapłacono mi za to. żebym cię zabił, więc po prostu wykonam swoje zadanie szybko i czysto. Nie zależy mi na zadawaniu dodatkowych cierpień. W końcu to tylko praca.

A więc gdzie wolisz dostać, w głowę czy w serce? Z mojego doświadczenia wynika, że strzały w oba te miejsca powodują szybką śmierć, więc nie powinno zbytnio boleć.

Casey nie wierzyła własnym uszom. Mówił o śmierci, jakby to była drobnostka. Poza tym skąd on, do diabła, mógł wiedzieć, czy to boli, czy nie?

- Mógłbyś odpowiedzieć mi na jedno pytanie? - poprosiła, zdobywając się na tak samo obojętny ton jak jego. - Czy do tej roboty zostałeś wynajęty, zanim wczoraj wieczorem przysiadłem się do waszego stolika, czy potem?

- Jak już odszedłeś. Prawdę mówiąc, twoje towarzystwo, Kid, sprawiło nam ogromną przyjemność. Rzadko się zdarza, żebyśmy mogli pochwalić się swoimi przyjaciółmi - przyznał

z chichotem. - To było całkiem zabawne. Może trochę cię pocieszy, że Bucky nie był zbyt zadowolony, przyjmując to zlecenie. Mówił, że cię znamy i że jesteś taki młody. Ale robota to robota. Rozumiesz, osobiście nic przeciw tobie nie mam.

Och, doskonale to rozumiała. Płatni mordercy często przyjmowali taką postawę, pozwalając im bowiem na uwolnienie się od poczucia winy i ewentualnych późniejszych wyrzutów sumienia. Co prawda większość ich w ogóle nic ma sumienia, więc nic nie dręczy ich ptasich mózdków.

Zadała następne pytanie, bardziej, by zyskać na czasie, niż z prawdziwej ciekawości.

- W rzeczywistości wcale nie jesteś dentystą, prawda?

- Do diabła, nie prychnął. - Po co mi taka głupia robota, skoro ta o wiele bardziej się opłaca?

A teraz ty odpowiedz na moje pytanie, ponieważ tylko tracimy czas. Gdzie chcesz dostać?

- Najchętniej między oczy... pod warunkiem, że będziesz miał odwagę wcześniej mi w nie spojrzeć.

- To trochę zuchwałe słowa jak na takiego młodego chłopaka, nie sądzisz? W porządku.

Odwróć się, ale zrób to naprawdę powoli, Kid. Nie chcę mieć żadnych dodatkowych kłopotów.

Kłopotów? Z czyjej strony? Oczywiście jej. Albo miał nerwy ze stali, albo naprawdę nie spodziewał się z jej strony żadnego podstępu; pewnie to drugie. Przed nią rzeczywiście stał

John Wescolt. Wciąż nie mogła uwierzyć w swoją łatwowierność. Ci ludzie bez najmniejszego trudu zdołali ją przekonać, że są niegroźnymi mieszkańcami miasteczka, zabawiającymi się w sobotni wieczór.

- Zadowolony? - spytał John i dokładnie w nią wymierzył. - A teraz pora...

Casey rzuciła się na ziemię, jednocześnie wyjmując broń. Chociaż dziewczyna była wyjątkowo szybka, nie udało jej się wyprzedzić przygotowanej do użycia strzelby. Jedynie utrudniła Johnowi staranne wycelowanie. Wypaliła, ale w tym samym momencie poczuła dojmujący ból w głowic, dlatego nie zauważyła, że zabiera swojego oprawcę ze sobą do grobu.

Rozdział 32

Damian nic wiedział, co dzieje się za głazem, który Casey obrała sobie za kryjówkę, widział natomiast, co działo się przed nim. Kiedy usłyszał dwa niemal jednoczesne strzały i dostrzegł dwa obłoczki dymu, serce zamarło mu w piersiach.

Od tego miejsca dzieliło go mniej więcej dwanaście metrów otwartej przestrzeni i sam głaz, ale to nie powstrzymało go od rzucenia się w tamtą stronę. Kule padały u jego stóp i ze świstem przelatowały koło głowy, nie zważał jednak na nie i w ogóle nie przejmował się faktem, iż stanowi taki duży cel. Również nie z powodu tych strzałów biegł tak szybko jak nigdy dotąd.

Gdy dotarł za głaz, ujrzał dwa ciała - jedno rozciągnięte na ziemi, a drugie oparte o skałę, pochylone pod niewielkim kątem - martwe. Wszędzie pełno było krwi.

Na ziemi leżała Casey. Damian nie mógł tego znieść. Wyglądała na martwą, tak samo jak ten drugi człowiek. Leżała z rozrzuconymi na boki rękoma, ale w jednej z nich wciąż trzymała rewolwer. Damian nie wiedział, czy jego partnerka oddycha. Zlana była krwią, dlatego trudno było od razu się zorientować, jakie odniosła obrażenia.

Byłby spokojniejszy, gdyby zauważył, że większość krwi należy do mężczyzny, którego z bardzo bliska postrzeliła prosto w klatkę piersiową. Damian jednak się nad tym nie zastanawiał, jedynie klęknął obok Casey i wziął ją w ramiona.

W tym momencie napastnicy bez trudu mogli go zastrzelić, ponieważ całkowicie skupił się na trzymanej w ramionach dziewczynie i cierpiał potworne katusze. Ponieważ jednak pozostali rewolwerowcy nie widzieli, co dzieje się za głazem, wciąż strzelali w tym kierunku, odłupując kawałki twardej skały. Niektóre z kul były niebezpieczne i padały blisko Damiana.

Ale napastnicy nie podeszli bliżej.

To wszystko moja wina - pomyślał Damian. To on ją tu ściągnął. Skusił większymi pieniędzmi, niż dotychczas udało jej się dostać za pojedynczą robotę. Gdyby był rozsądny przy przedstawianiu swojej oferty, z łatwością by mu odmówiła i powędrowała w swoją stronę. Nie chciał tego ryzykować, dlatego nie zachował rozsądku. A teraz...

Powinien zauważyć, że Casey jeszcze żyje, ponieważ jej ciało było ciepłe, ale rozpacz nie pozwalała mu na logiczne myślenie. Pogrążył się w poczuciu winy i wyrzutach sumienia, i dlatego miał ściśnięte gardło i z trudem nabierał powietrza w płuca. Ogarnięty rozpaczą, nie widział, że Casey wciąż oddycha.

Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy dość głośno jęknęła. Powodem tego jęku nie były jednak obrażenia, lecz fakt, że Damian zbyt mocno ją ścisnął. Krzyknął z radości, po czym ostrożnie położył dziewczynę z powrotem na plecach. Przez krótką chwilę mrugała powiekami, ale nie otworzyła oczu. Na szczęście żyła... żyła i mogła się wykrwawić na śmierć.

Pod wpływem tej myśli Damian ponownie wpadł w panikę. Musi znaleźć ranę i natychmiast zatamować krew. Gdy oglądał Casey, w ogóle się nie ruszyła, kiedy jednak dotknął jej głowy, ponownie jęknęła i otworzyła oczy... tylko po to, by zastrzelić mężczyznę podkradającego się od tyłu do Damiana.

Odwróciwszy się, Damian zobaczył upadającego na twarz człowieka. Kiedy ponownie spojrzał na Casey, znów była nieprzytomna, lecz tym razem dymiący jeszcze rewolwer wypadł jej z omdlałej dłoni. Damian wetknął go za swój pasek, po czym wrócił do oględzin głowy Casey.

Na jej prawej skroni widniało mniej więcej siedmiocentymetrowe otarcie po kuli. Na tej linii brakowało włosów, jakby ktoś częściowo oskalpował Casey. Miała też osmalony czubek ucha.

Rana wciąż lekko krwawiła. Jednak większym powodem do zmartwienia był fakt, że Casey nadal nie odzyskiwała przytomności. Ludzie bardzo różnie reagują na uraz czaszki. On sam miał szczęście, że jego ostatnie takie obrażenie powodowało jedynie bóle głowy.

Musi zabrać ją do lekarza. Musi dopilnować, by po drodze nikł jej nic zastrzelił. To oznaczało, że najpierw powinien pozbyć się pozostałych napastników... albo jednego z nich, ponieważ teraz słychać już było tylko strzały oddawane z jednego rewolweru. To, oczywiście, o niczym nie świadczyło. Mogli być i inni. Dowie się, ilu ich jest, jeśli znajdzie miejsce, w którym napastnicy zostawili konie. Postanowił to zrobić, wcześniej jednak obwiązał głowę Casey bandaną.

Wyczołgał się i po ominięciu wielkiego głazu, szurając brzuchem po ziemi, zaczął przesuwać się na północ, w stronę przesmyku. Doszedł do wniosku, że tam właśnie powinny być konie, kiedy jednak dotarł na miejsce, nie znalazł ani wierzchowców, ani żadnego znaku świadczącego o tym, że tam były, w związku z czym zawrócił.

Przez jakiś czas kule leciały w miejsce, gdzie po raz ostatni widać było Damiana. Kiedy dotarł do przesmyku, strzelanina całkowicie ustała. To również nie miało żadnego istotnego znaczenia, gdyż

mogło oznaczać niemal wszystko, spiesznie wrócił więc do Casey. Okazało się jednak, że... zniknęła.

Pozostałe dwa ciała wciąż tam leżały. Nie było Casey ani broni opryszków, przepadł też jej koń. Damian wiedział, że nie mogła tak po prostu go zostawić. Nie miała ku temu powodu, chyba że uznała, iż Damian nie żyje. Nie, wcześniej sprawdziłaby, czy zginął, czy nie... chyba że w ogóle zapomniała o jego istnieniu. Tak wyglądał jeden z tych szczególnych efektów urazu głowy.

Damian słyszał o ranach, z powodu których ludzie nie poznawali przyjaciół, a nawet krewnych, z którymi mieszkali od dziecka. Czy mógł myśleć inaczej, skoro Casey odzyskała przytomność i zniknęła? W tym momencie pewnie w ogóle o nim nie pamiętała.

Rozdział 33

Gdy Casey odzyskała przytomność, leżała na brzuchu na końskim grzbiecie. Koń stukał

kopytami o ziemię, powodując przeszywający ból w skroniach. Początkowo przyszło jej na myśl, że Damian mógłby przynajmniej przytrzymać ją na siedząco na swoich kolanach, a nie kazać podróżować w lak uwłaczającej pozycji. Właśnie chciała mu to powiezieć, kiedy zauważyła nogę, która wcale nie należała do Damiana... przynajmniej nie do niego należał

wysoki but.

Zastrzeliła Johna Wescolta. Nie miała pewności, jednak wydawało jej się, że wyprawiła na tamten świat również Pete'a Drummonda. Czy to znaczy, że wiezie ją ostatni z trójki. Bucky?

Ale dlaczego? Jeżeli ją znalazł, dlaczego po prostu nie dokończył roboty, za którą dostał pieniądze?

Może trochę cię pocieszy, że Bucky nie był zbyt zadowolony, przyjmując to zlecenie. Mówił, że cię znamy i że jesteś taki miody.

Kiedy przypominała sobie słowa Johna, nabrała nieco otuchy. Bucky nie chciał jej zabić.

Zabierał ją, żeby tego nie robić... o ile to Bucky, a nie Jed Paisley lub któryś z jego chłopców.

Co jednak Bucky może z nią zrobić? Puścić ją wolno? Wątpiła w to. Przyjął zlecenie, chociaż wcale mu się nie podobało. Nie miała pojęcia, co Bucky może z nią zrobić. W takim razie jak powinna go potraktować? Udawać oburzoną? Narzekać, że Bucky próbuje ją zabić? Odwołać się do jego sumienia? To mogłoby odnieść odwrotny skutek.

Ponownie poczuła przeszywający ból głowy, co jej przypomniało, jak poważna jest sytuacja.

Casey bardzo chciała dotknąć rany i sprawdzić, czy to coś poważnego, powstrzymała się jednak. Nie chciała, by Bucky wiedział, że odzyskała przytomność. Choć z drugiej strony nie może być tak źle, skoro potrafi myśleć o swojej...

To jest to! Może zrobić z siebie idiotkę i udawać, że z powodu tego urazu straciła pamięć.

Bucky będzie mógł ją puścić, jeżeli przekona się, że jego ofiara nie pamięta ani je-go, ani Culthersa, ani niczego innego. Takim oto sposobem Casey rozwiąże ten problem za niego. To znaczy, jeśli Bucky okaże się wystarczająco mądry, by samodzielnie dojść do takiego wniosku. Miała nadzieję, że mu się to uda. ponieważ jako człowiek, który nie pamięta, dlaczego został postrzelony, nie będzie mogła mu w tym pomóc.

Na razie jednak dobrze by było, gdyby Bucky dotarł do celu swej podróży, nim Casey wyrzuci mu na buty zawartość swojego żołądka...

Z odwróconej pozycji wyglądało na to, że kierują się na jakąś opuszczoną farmę, która prawdopodobnie za niewielkie pieniądze odkupiona została od właściciela, który zrezygnował

z jej prowadzenia i wyjechał daleko stąd. Miłe miejsce dla kogoś takiego jak Bucky. Mógł nazywać je domem. Kto wic, czy jej prześladowca nie był ścigany przez prawo.

Prawdopodobnie mieszkał tu razem ze swoimi dwoma nieżyjącymi kumplami. Sam dom był dość duży, by pomieścić trzy osoby.

Nie sprawdzając, czy Casey jest przytomna, mężczyzna zsiadł z konia i przerwuciwszy dziewczynę przez ramię, wniósł ją do domu. Powstrzymała się od burknięcia, gdy poczuła, jak kościste ramię wbija jej się w brzuch. Potem dosłownie została rzucona na podłogę. Może miała złudną nadzieję? Nic przejmował się zbytnio jej stanem, ale to dało jej pretekst do rzekomego odzyskania przytomności i... jęknięcia.

Po otworzeniu oczu zobaczyła, że to rzeczywiście Bucky Alcott, Klęknał obok niej i zerknął na krew wciąż sączącą się przez bandanę.

- Kim pan jest?

- Nie nabieraj mnie. Poznaliśmy się wczoraj wieczorem.

- Jest pan w błędzie. Z całą pewnością pana nie znam.

- Posłuchaj, chłopcze, nie jestem głu...

- Chłopcze? - przerwała mu urażonym tonem. - Dlaczego mówi pan do mnie "chłopcze"? Nie ma pan oczu? Jestem kobietą.

Przymrużył oczy i bacznie się jej przyjrzał, potem poderwał się na równe nogi i krzyknął:

- Niech to szlag trafi i piekło pochłonie! Kobieta! W takim razie, do cholery, dlaczego masz na sobie ubranie, w którym wyglądasz na piętnastoletniego wyrostka z farmy?

Spojrzała na siebie, ale zobaczyła tylko krew. Była naprawdę zaskoczona, na chwilę nawet zapomniała o odgrywanej roli.

- Umieram, prawda? Przy tej ilości krwi... Urwał jej prychnięciem:

- Nie myśl, że ta krew w całości należy do ciebie.

Na szczęście przypomniała sobie, że ma udawać idiotkę.

- W takim razie do kogo?

- Nie mam pojęcia - skłamał. - Tak wyglądałaś, gdy cię znalazłem.

Czy on żartuje? Uznała, że nie, wróciła zatem do tego, co miała na sobie.

- Jeśli chodzi o te wyglądające na męskie łachy - wydukała, marszcząc czoło - prawdę mówiąc, nic bardzo wiem, czemu mam je na sobie. Chyba musiałam dużo jeździć konno. Na ranczu normalnie noszę dżinsy, przynajmniej tak mi się wydaje.

- Mówisz, jakbyś wcale nie była tego pewna. Jeszcze bardziej zmarszczyła czoło.

- No cóż, prawdę mówiąc, nie jestem. Chyba mam kłopoty z przypomnieniem sobie pewnych rzeczy. Czy brałam jakieś leki? Czy to dlatego pamięć płata mi figle? Poza tym dlaczego czuję, że płonie mi głowa?

Odkasznął.

- Hm... chyba... sędzę, panienko, że została panienka postrzelona w głowę.

- Co takiego?! Kto śmiał?!

- Nie wściekaj się. Faktem jest, że nie powinnaś żyć. Faktem jest również i to, że miałem cię zabić. Ale ponieważ John i Pete...

W głębi duszy była bardzo zawiedziona, że się jej do tego przyznał. Widocznie nic wpadł jeszcze na to, że może skorzystać na jej zaniku pamięci. Mimo to nadal udawała głupią.

- To pan mnie postrzelił?

- Nie - wyznał z cichym westchnieniem niezadowolenia. - Ale, jak powiedziałem, powinienem to zrobić.

- Dlaczego? Czym mogłam sobie zasłużyć na coś tak oburzającego jak...

- To nie panienki wina. Po prostu dobrze nam za to zapłacono. Rozumie panienka, nic osobistego.

No proszę, do jakiego stopnia przyjaciele potrafią wyznawać taką samą filozofię, byle uciszyć swoje

sumienie.

- To znaczy, że nadal ma pan zamiar mnie zabić? Czy to właśnie próbuje mi pan powiedzieć?

- Gdybym tak uważał, już by panienka nie żyła. Przywiozłem cię tutaj, ponieważ chciałem ci powiedzieć, żebyś trzymała się z dala od Culthers. Wtedy nie będę musiał cię zabijać.

- Kto to jest Culthers?

- Kto? To... nieważne. Jeżeli nie wiesz, tym lepiej dla ciebie.

W końcu zrozumiał. Zaczęła się zastanawiać...

- Wie pan, kim jestem? - spytała. - Nawet nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie mieszkam.

Cholera, głupie uczucie!

Nie sprawiał wrażenia, że jej współczuje, raczej słuchał tego z prawdziwą przyjemnością.

- Zauważyłem, że twój koń nosi znak K.C. To ranczo we wschodnim Teksasie. Może powinnaś tam spytać, czy ktoś cię nie zna?

Była zdumiona, że tak daleko na zachód ktoś słyszał o K.C. Widocznie Bucky musiał bawić się w detektywa, skoro pomyślał o znaku na koniu. A wspominał o tym, ponieważ ma zamiar puścić ją wolno.

- To wspaniały pomysł. Nigdy bym na to nie wpadła. Ale... gdzie jest to ranczo?

- Wydaje mi się, że gdzieś w pobliżu Waco. Nigdy tam nie byłem, tylko słyszałem, ponieważ to duża posiadłość. Najłatwiej byłoby ci pojechać pociągiem na wschód.

- Biegnie tam gdzieś w pobliżu linia kolejowa?

- O, tak, i z prawdziwą przyjemnością wyprawię cię w tamtą stronę - zapewnił ją.

- Jak to miło z pana strony! - odparła. - Tylko czy wcześniej mojej głowy nie powinien obejrzeć lekarz?

- No cóż, nie wiem. Pozwól, że sam się tym zajmę. Nie czekając na jej zgodę, ściągnął

bandanę i odsunął włosy, które do tego czasu zdążyły się przykleić do rany. Pod wpływem świeżego bólu poczuła, że do oczu napływają jej łzy, zacisnęła jednak zęby i pozwoliła, by Bucky przez chwilę oglądał skaleczenie.

- Sadzę, że przydałby się szew lub dwa - orzekł. - Chcesz, żebym przyniósł igłę?

- Naprawdę rana jest taka głęboka?

- No cóż, nie, ale przecież szycie nie boli. Nie boli!

- Przeżyję, dzięki. Ale może przydałaby się woda, żeby to przemyć? I moje sakwy...

powinnam mieć tam jakieś ubranie na zmianę, nie sądzi pan?

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, Bucky był bardzo chętny do pomocy. Naprawdę zawiózł ją do Sander-son, prosto na dworzec kolejowy, gdzie osobiście kupił jej bilet. Liczyła na to, że będą musieli zaczekać na pociąg, miałyby wtedy chwilę, by się zastanowić, co powinna zrobić. Niestety, szczęście jej nie dopisało. Przyjechali na czas i Bucky odprowadził

ją prosto do pociągu. Dlaczego czuła się jak ktoś, kogo wyrzuca się z miasta?

Bucky na pożegnanie udzielił jej jeszcze rady: - Jeśli odzyskasz pamięć, panienko, wyświadczyć nam obojgu przysługę i zapomnij, po co przyjechałaś do tej części stanu. Byłoby mi przykro, gdybym musiał cię zabić.

A Casey byłoby przykro, gdyby musiała zabić Bu-cky'ego. W pewnym sensie uratował jej życie - postanawiając, że jej nie zabije. Casey wiedziała jednak, że tu wróci. Jeszcze nie doprowadziła swoich spraw do końca. Po prostu będzie musiała unikać Bucky'ego.

Rozdział 34

Damian od kilku dni nic nie widział Casey. Czuł więc, że zamordowałyby każdego, kto by krzywo na niego spojrział. Cierpiał potworne katusze, ponieważ w żaden sposób nie mógł dojść do tego, co przytrafiło się Casey. Po całodziennych skrupulatnych poszukiwaniach prowadzonych w Sanderson w końcu zdał sobie sprawę, że właściwie nie mogła wstać i odejść o własnych siłach. Musiał ją znaleźć i zabrać ostatni z opryszków.

Pierwszej bezsennej nocy w głowie dźwięczało mu tylko jedno bolesne pytanie: „Dlaczego?”

Czyżby odeszła? Zobaczyła, że jeden z rewolwerowców się oddala i ruszyła za nim? A może to on podążył jej śladem? Odjechali oboje, ponieważ Damian znalazł w pobliżu tylko swojego konia.

Szybko dojechał do Sanderson i jeszcze tego samego dnia po południu wrócił na miejsce zasadzki z szeryfem. Nie dało się jednak iść za końmi. Ich ślady przecinały się z tyłoma innymi, że pościg był całkiem niemożliwy.

Szeryf twierdził, że nie zna żadnego z zastrzelonych mężczyzn i nie ma pojęcia, kim może być trzeci z przestępców.

Damian nie bardzo wiedział, czy wierzyć mu, czy nie, tak czy inaczej kręcący coś przedstawiciel prawa nie budził zaufania. Nie mając jednak żadnego dowodu, Damian był

całkiem bezradny.

Takim oto sposobem została mu tylko jedna możliwość -zdobycie informacji od człowieka, który

wynajął owych bandytów. Damian nie wątpił, że rewolwerowcy zostali opłaceni przez Curruthersa.

Dotarcie do Culthers zajęło mu półtora dnia. ponieważ nie zatrzymywał się na noc. Jego organizm nie był mu za to zbyt wdzięczny, łaciaty również, ale Damian za bardzo martwił się o Casey, by myśleć o wygodzie.

Przyjechał w środku nocy i udał się prosto do pensjonatu, w którym nocowała Casey - nie dlatego, by przypuszczał, że ją tam znajdzie, sądził jedynie, iż nauczycielka prawdopodobnie nie należy do osób opłacanych przez Curruthersa. Hotelarz, z którym sam miał do czynienia, był mniej godny zaufania.

Niestety, właścicielka pensjonatu wcale nie miała ochoty wstawać z łóżka ani wpuszczać Damiana o takiej porze. Musiał pokrótce jej wyjaśnić, co wydarzyło się w ciągu kilku minionych dni, nim w końcu zgodziła się dać mu pokój. Na szczęście nienawidziła Jacka Curruthersa.

Chociaż Damian bardzo chciał od razu wyruszyć na poszukiwanie Curruthersa lub któregoś z jego ludzi, był śmiertelnie znużony i po prostu musiał się trochę przespać. Kazał się jednak obudzić o świcie, a właścicielka pensjonatu zrobiła, o co prosił. Podała mu również imiona i nazwiska ludzi, którzy jej zdaniem pracowali dla Jacka. Znała nawet jeden adres. Damian zaczął właśnie od niego.

O tak wczesnej porze Elroy Bencher był jeszcze w łóżku, pogrążony w głębokim śnie, co znacznie ułatwiło Damianowi dostanie się do domu rewolwerowca. Prawdę mówiąc, drzwi nie zostały na noc zamknięte na klucz, a większość okien była otwarta. Okazało się, że opryszek spał sam. Damian nie chciał przestraszyć żadnej kobiety, zwłaszcza że miał

paskudne zamiary - chciał stłuc tego człowieka na kwaśne jabłko, chyba że wcześniej dowie się tego, na czym mu zależy.

Właścicielka pensjonatu nic wspomniała, jak wysoki jest Elroy, a Damian poprzednim razem tego nie zauważył, ponieważ całkowicie skupił się wówczas na Jacku. Dostrzegł to teraz, kiedy przytknął zimną lufę strzelby do policzka El-roya, a obudzony szturchnięciem typek spod ciemnej gwiazdy usiadł z nagą piersią i coś warknął.

- Nic ruszaj się, Elroy - ostrzegł Damian - bo inaczej twoja głowa może pofrunąć na drugi koniec pokoju bez ciebie.

Elroy przyjrzał mu się spod przymrużonych powiek. Słońce dopiero zaczęło wychylać się zza horyzontu, dlatego usytuowana w zachodniej części domu sypialnia tonęła w mroku, stąd jego pytanie było całkiem zrozumiałe.

- Kim, do diabła, jesteś?

- Czy mówi ci coś nazwisko Damian Rutledge? Próbowałem aresztować twojego szefa, pamiętasz?

- Och, to ty - burknął Elroy. - Nie przypuszczałem, że będziesz na tyle głupi, by tu wracać.

- A ja nie przypuszczałem, że ty i twoi przyjaciele będziecie na tyle głupi, by próbować mnie przed tym powstrzymać. To brzmi jak przyznanie się do winy, prawda?

- Nie wiem. o czym mówisz - warknął Elroy wojowniczo.

- Na pewno wiesz - nie zgodził się z nim Damian. - Ale jeśli będę musiał wszystko ci przeliterować, chętnie to zrobię. Mam na myśli trzech mężczyzn, którym kazaliście napaść na mnie i dzieciaka w drodze powrotnej do Culthers. A tak nawiasem mówiąc, dwaj z nich nie żyją.

Słyszac tę uwagę, Elroy napiął mięśnie. Zdaniem Damiana było to wystarczające potwierdzenie winy. Elroy postanowił jednak udawać głupiego.

- Chyba zwariowałeś. Napadli na was jacyś zwyczajni włóczykije, a ty obwiniasz o to pana Curruthersa? Zupełnie jakby interesowało go, dokąd jedziecie i co robicie. Jack nic ma się czego obawiać z twojej strony, Rutledge. To nic jest człowiek, którego szukasz.

- Nie? No cóż, to znaczy, że w tej sprawie się nie zgadzamy. Ale chodzi mi o coś innego, Elroy. Zależy mi na nazwiskach tych ludzi i informacji, gdzie mieszkają. Chcę dostać w swoje ręce tego, który jeszcze żyje.

Elroy prychnął.

- Nie mogę ci pomóc i nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. Ale ty popełniłeś błąd, włamując się do mojego domu. Widzisz, w tym mieście przestrzega się prawa.

- Tak? Czy szeryf również siedzi w kieszeni Jacka?

- Do diabła, wynoś się stąd, zanim się wkurzę - ostrzegł Elroy. - Nic wyciągniesz ode mnie żadnych informacji.

- Jestem innego zdania - odparł Damian spokojnie. - W taki czy inny sposób powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

- Tak? - Teraz to Elroy uśmiechał się z wyższością. - Jak masz zamiar to zrobić? Jeśli wypalisz z tej strzelby, natychmiast pojawi się tu szeryf, by cię zaaresztować, niezależnie od tego, czy jesteś przedstawicielem prawa, czy nie. Jak więc masz zamiar zmusić mnie do mówienia, karle?

Damian wiedział, że Elroy celowo się z nim drażni. Osilek miał po prostu ochotę na bójkę, widać to było w jego oczach. Wiele lat minęło, odkąd Damian po raz ostatni z przyjemnością stoczył dobrą walkę na pięści, taką, podczas której nie musiał się obawiać, że złamie komuś nos. tym razem jednak istniała możliwość, iż nic uda mu się wygrać. Ale co tam, do diabła!

Bardzo chętnie wyładuje na kimś złość, a Elroy Bencher mógł być dobrym przeciwnikiem.

Na pewno nie padnie po pierwszym ciosie.

Damian oparł strzelbę o stojący obok łóżka stół i powiedział:

- No cóż, zacznijmy od tego, dobrze?

To zdumiewające, że jego pięść zawsze trafiała do celu, a nos Elroya był tak samo wrażliwy jak nosy innych ludzi i złamał się przy pierwszym uderzeniu. Wielkolud zawył, a na jego nagi tors zaczęła kapać krew. W następnej chwili rzucił się na Damiana, pragnąc zwalić go z nóg.

Nie było to zbyt mądre posunięcie, ponieważ startował z pozycji siedzącej. Wystarczyło, że przeciwnik zrobił kilka kroków do tyłu, a ogromne cielsko Elroya samo wylądowało u jego stóp.

Damian powinien kopnąć leżącego, był jednak uczciwy, niemniej dopuszczenie do tego, by bandzior poderwał się na nogi, należało do największych życiowych błędów Damiana. Pięści rewolwerowca przypominały twarde stalowe młoty, a każdy cios zadawany był z nieprawdopodobną wręcz siłą. Na domiar złego padało ich za dużo.

Damian zdołał utrzymać się na nogach tylko dzięki sile woli, na przekór otrzymywanym razom. Na szczęście wciąż od czasu do czasu udawało mu się zadać jakiś cios, chociaż wyraźnie nie wyrządzały one Elroyowi żadnej krzywdy. Długa walka? Damian zaczął

podejrzewać, że nigdy się nie skończy. Rychło jednak dopisało mu szczęście.

Jednym z ciosów złamał przeciwnikowi chyba ze dwa żebra z prawej strony. Elroy sapnął z bólu. Od tego momentu prawą ręką osłaniał bok i albo naprawdę bardzo go bolało, albo miał

znacznie słabszą lewą rękę.

Po kilku następnych minutach Elroy z powrotem leżał na podłodze i tym razem Damian bez wahania kilka razy go kopnął, nie zważając na żadne zasady.

- Jeżeli nie chcesz oberwać po tych dwóch złamanych żebrach, podaj mi nazwisko, o które cię pytałem.

Tym razem Elroy ustąpił.

Rozdział 35

Nazajutrz wczesnym popołudniem Damian dotarł na położoną pod Sanderson farmę Bucky'ego Alcotta. By pokonać taki szmat drogi, nowojorczyk prawie w ogóle nie spał. Dom usytuowany był mniej więcej półtora kilometra od miasta, dokładnie tak, jak powiedział

Bencher.

Damian liczył się z tym, że mimo posiniaczonej twarzy i opuchniętego oka Alcott od razu go rozpozna, ale to nic miało żadnego znaczenia.

Wydobywający się z komina dym świadczył o tym, że opryszek jest w domu, więc Damian po prostu podjechał pod wąską frontową werandę, zsiadł z konia i ostro zapukał do drzwi.

Jeżeli Bucky go widział i zdążył wyciągnąć rewolwer, przypuszczalnie czeka ich strzelanina.

Damian wolałby nie zabijać tego człowieka, póki nie wyciągnie od niego informacji.

Drzwi się otworzyły. Stojący w nich mężczyzna nie miał broni. Był niezbyt wysokim, za to wyjątkowo chudym człowiekiem w średnim wieku. Brązowe, siwiejące włosy i brązowe oczy doskonale pasowały do zniszczonej twarzy. Miał osobliwie kabłąkowate nogi, czasami zdarzające się ludziom, którzy zbyt dużą część życia spędzili na końskim grzbiecie.

Nie rozpoznał Damiana, a przynajmniej nie od razu. Musiał właśnie gotować, ponieważ miał na sobie długi, zaplamiony kucharski fartuch, a na policzkach widać było ślady mąki. Białe od mąki ręce wycierał w dolny brzeg fartucha.

Bucky rozpoznał jednak wymierzoną w siebie strzelbę. Zmarszczył czoło i powiedział:

- Tylko ludzie niewychowani, proszę pana, pukają do drzwi z bronią w ręce. To raczej robi złe wrażenie.

- Nie w tym przypadku - odparł Damian, po czym dla pewności spytał: - Bucky Alcott?

Bucky przytaknął, jeszcze bardziej zmarszczył czoło i odpowiedział pytaniem:

- Czy ja pana znam?

- Kilka dni temu próbował mnie pan zabić, sądzę więc, że odpowiedź powinna brzmieć:

„tak”. Teraz proszę mi powiedzieć, co stało się z dzieciakiem, bo jak nie, to...

- Hola! - krzyknął Bucky. - Ktoś podał panu zły adres. Nie mam pojęcia...

Damian uderzył go na odlew. Bucky poleciał w bok i potknął się na stojącej przy drzwiach skrzyni na śmieci. Damian wszedł w głąb domu i stanął nad Buckym. Nie miał zamiaru słuchać zaprzeczeń, chciał usłyszeć prawdę.

- Mam obolale pięści, ponieważ musiałem ich użyć, by wydusić twoje nazwisko i adres z Elroya Benchera - przyznał, rozmasowując palce. - Naprawdę nie chciałbym ko-rzystać z nich także w twoim przypadku... ale jeśli bardzo będziesz tego chciał, nie ma sprawy.

- Niech pan zaczeka! - zawołał Bucky, w obronnym geście unosząc ręce. - Nie znam Elroya Benchera. Niezależnie od tego, kto to jest, wygląda na to, że pana okłamał. Po prostu powiedział panu to, co pan chciał usłyszeć, byle dał mu pan święty spokój. Niech się pan nad tym zastanowi. Dlaczego ten człowiek miałby cokolwiek panu mówić, a rym bardziej prawdę? Tylko dlatego, że trochę mu pan dołożył?

To brzmiało logicznie, zbyt logicznie, i, niech to cholera, aż nazbyt szczerze. Damiana zaczęły ogarniać poważne wątpliwości. Jak to możliwe, by płatnym mordercą był ten niegroźnie wyglądający mężczyzna w średnim wieku? By płatnym mordercą był mężczyzna z namaszczeniem oddający się gotowaniu?

Ten człowiek jest farmerem i to widać. Podjeżdżając, Damian spostrzegł stodołę, obok niej klatkę na kurczaki i zagrodę dla świń, chociaż w pobliżu nie zauważył roślin uprawnych.

Niemniej była to farma. A Bencher, ten rwący się do walki niedźwiedź, mógł na końcu skłamać, mówiąc cokolwiek, byle Damian sobie poszedł i dał spokój jego połamanym żebrom. Nowojorczyk cofnął się. Jeżeli wywiedziono go w pole, a na to wyglądało, zdecydowanie przekroczył pewne granice, oskarżając kogoś, kto prawdopodobnie jest całkiem niewinnym człowiekiem. Miał zamiar wylewnie przeprosić gospodarza, gdy przez przypadek zerknął w dół, na stojącą obok Bucky'ego starą skrzynią ze śmieciami. Na jej brzegu wisiały zaplamione krwią niebieskie dzinsy.

Dzinsy Casey...

Natychmiast podniósł strzelbę i wymierzył w głowę Bucky'ego. Z trudem powstrzymał się od pociągnięcia za spust. Był wściekły, że tak łatwo dał się wystrychnąć na dudka.

- W tej skrzyni, na którą wpadłeś, jest jej ubranie - pokazał kulącemu się mężczyźnie. - Masz pięć sekund na wyjaśnienie mi, dlaczego, do diabła, ją rozebrałeś. Potem powiesz mi dokładnie, gdzie ona jest. Jeżeli ponownie spróbujesz mnie okłamać, będziesz martwy. Raz...

- Chwileczkę! Chwileczką! W porządku, panie, poddaję się. Nie pierwszy raz nie wykonałem zlecanej mi roboty. Biorąc jednak pod uwagę, że straciłem przy niej dwóch przyjaciół, nie czuję się zobowiązany do zwracania pieniędzy.

- Dwa...

- Wcale jej nie rozbierałem. Niech to diabli, za kogo mnie pan uważa?

- Trzy...

- Przestanie pan liczyć? Powiem wszystko, co wiem. Słowo daję, pomogłem jej. Nie chciałem zabijać takiego młokosa, nawet wtedy, gdy jeszcze myślałem, że to chłopak. A już z całą pewnością nie zabijam kobiet.

Damian nie opuścił strzelby.

- W jaki sposób odkryłeś, że to kobieta? - spytał z powątpiewaniem. - Casey raczej nie lubi się tym chwalić.

- Nie wierzę. Sama mi to powiedziała, w dodatku była bardzo oburzona, że nazwałem ją chłopcem. Wyraźnie ją to ubodło.

- Znowu kłamiesz...

- Nie, słowo daję! To było tak. Została postrzelona w głowę. Rana nie wyglądała wcale na taką głęboką, ale dziewczyna z tego powodu straciła pamięć. Nie mogła sobie przypomnieć niczego na swój temat. Sądzę, że dlatego także nie rozumiała, czemu udaje chłopca.

Damian w tym momencie westchnął, gdyż potwierdziły się jego. własne podejrzenia. Opuścił strzelbę, a potem powiedział:

- Naprawdę straciła pamięć? Bucky przytaknął i dodał:

- Ona sama też była tym trochę zaniepokojona. To zrozumiałe. Podejrzewam, że dostałbym szau, gdybym nie mógł sobie przypomnieć swojego imienia.

- Wspomniałeś, że jej pomogłeś. Jak? Postanowiłem ją namówić, żeby stąd wyjechała.

Dlatego ją tu przywiozłem. Kiedy okazało się, że nie wie, z jakiego powodu została postrzelona, dostarczyłem jej ubranie, pomogłem zmyć z głowy krew i wsadziłem ją do pociągu jadącego na wschód.

- Co takiego?! - krzyknął Damian z niedowierzaniem. -Dlaczego, do diabła, to zrobiłeś?

- Ponieważ tutaj grozi jej ogromne niebezpieczeństwo. Poza tym chciała się dowiedzieć, kim jest.

Damian ponownie miał ochotę zastrzelić tego człowieka, tym razem za jego głupotę.

- Jak ona niby ma się dowiedzieć, kim jest, skoro znajduje się w cholernym pociągu i nie wie, dokąd zmierza ani kogo ma pytać?

- Spokojnie, panie. Nie wysłałem jej bez celu - zapewnił oburzony Bucky. - Postanowiła dotrzeć do Waco, na ranczo K..C. Stamtąd pochodzi jej koń, a przynajmniej tam został

oznakowany. Uznałem, że ktoś z tego rancza może będzie ją pamiętał, albo przynajmniej przypomni sobie jej konia. To naprawdę piękne zwierzę. Może w ten sposób dziewczyna dowie się, kim jest.

Dobrze. To znaczy, że ten człowiek nie jest kompletnym idiotą. Ale...

- Nie przyszło ci do głowy, że ja to mogę zrobić? W końcu podróżowaliśmy razem.

- Biorąc pod uwagę, jacy ludzie polują na pańską głowę, nie przypuszczałem, że pożyje pan tak długo, by udzielić komukolwiek pomocy. Poza tym nie chciałem, by ta młoda dama wpadła w gniazdo szerszeni, które pan poruszył. Więc wysłałem ją tam, gdzie ma szansę dowiedzieć się czegoś na swój temat i gdzie nikt nie czyha na jej życie. Mam nadzieję, że gdy odzyska pamięć, będzie na tyle mądra, by tu nie wracać.

Damian westchnął. Nie miał powodu, by nadal besztać człowieka, który jedynie próbował

pomóc Casey. Bucky nie mógł wiedzieć, że dziewczyna dostała konia od ojca. Ona sama też tego nie pamiętała. Trudno powiedzieć, od kogo jej ojciec kupił to zwierzę lub ilu miało wcześniej właścicieli. Casey wyruszyła w świat, by szukać igły w stogu siana.

Damian mógł jedynie podążyć za nią...

Miał okropny dylemat - czy natychmiast wyruszyć w pościg za Casey, czy najpierw doprowadzić do końca sprawę Curruthersa. Curruthers był zaledwie o dzień drogi i należało po prostu jeszcze raz z nim pogadać. A Casey... Damian nie wiedział, ile czasu będzie potrzebował, by ją dogonić.

Poza tym gdzie podzieje się Casey, gdy dotrze do Waco i nie znajdzie tam pomocy? Czy pomyśli o tym, by wrócić do Sanderson i tu poszukać odpowiedzi na dręczące ją pytania? A może wraz z pamięcią straciła swoją zdumiewającą umiejętność dedukcji?

Sprawę rozstrzygnął za Damiana rozkład jazdy. Najbliższy pociąg na wschód wyjeżdżał z Sanderson dopiero za cztery dni. Do tego czasu Damian był w stanie doprowadzić swoje sprawy do końca. Mógł nawet przed wyruszeniem na północ, do Culthers, nadrobić zaległości w spaniu, co też uczynił.

Powinien jednak zrezygnować ze snu. Jak się okazało, czas był ważniejszy, niż Damian przypuszczał. Gdyby wrócił do Culthers kilka godzin wcześniej, mógłby zapobiec pojedynekowi, na który natknął się zaraz po przyjeździe... i późniejszej ogólnej strzelaninie...

Wejście do saloonu Barneta w Culthers w takim stroju. w jakim była Casey, nie wchodziło w rachubę. Odczekała więc. aż Jack wraz ze swoim „sztabem wyborczym” udał się na lunch do znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy restauracji.

Kilka minut później dziewczyna pojawiła się w drzwiach tego samego lokalu i zajęła sąsiedni stolik. Tylko dwóch ludzi Jacka zerknęło w jej stronę, gdy weszła. Jeden ją zlekceważył, drugi okazał czysto męskie zainteresowanie. Byli za bardzo zajęci żartowaniem i kpieniem z największego członka swojej grupy, faceta, który miał złamany nos i wyraźnie był w zbyt kiepskim stanie, by w ogóle zwrócić na nią uwagę. Wydawało jej się. że to Elroy Bencher, ten, który lubi się bić. Łatwo więc było zrozumieć docinki. Wyglądał, jakby dostał się pod końskie kopyta, ściślej rzecz biorąc: pod kopyta całego stada koni. Casey nie mogła sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł wyrządzić mu taką krzywdę, ponieważ Bencher był

wyjątkowo potężnie zbudowanym mężczyzną. Chociaż jedna z jego pełnych rozczarowania uwag kazała dziewczynie zmienić zdanie.

- Odwdziczyłem mu się najlepiej, jak mogłem. Ten facet teraz też nie wygląda zbyt ładnie.

Gdybym się nie potknął i nie połamał żeber, bez trudu bym sobie z nim poradził.

W tym momencie Casey zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, by mówił o Damianie...

Ku rozgoryczeniu maszynisty zatrzymała pociąg, do którego wsadził ją Bucky, i wróciła prosto tutaj, mając nadzieję, że w to samo miejsce skierował się Damian. Ze słów nauczycielki Larissy wynikało, że rzeczywiście tu był. Dzięki Bogu. Nie sprawdziły się jej najgorsze obawy - nie zginął w zasadzce. Jednak wyjechał już z Culthers w poszukiwaniu Casey. Pewnie rozminęli się zaledwie o kilka godzin.

Była jednak pewna, że Damian wróci. W tym czasie postanowiła sprawdzić, czego jeszcze uda jej się dowiedzieć o Jacku Curruthersie. Zgodnie z ułożonym naprędce i niezbyt przemyślanym planem miała zamiar poznać kandydata na burmistrza prywatnie, a najszybszy sposób wprowadzenia tego w życie wymagał przeistoczenia się w kobietę.

Za ubranie, które miała na sobie, winna była wdzięczność Larissie. Casey odkupiła od nauczycielki ostatni nie przerobiony ciuch, który podobno okazał się zbyt wyszukany jak na tę część kraju. Casey nigdy nie lubiła zbyt dużej ilości koronek i kokardek, ale dzięki nim w niczym nie przypominała "dzieciaka".

Po kilku następnych minutach udało jej się przyciągnąć wzrok Jacka i uśmiechnąć do niego.

To wystarczyło, by w całości skupić na sobie jego uwagę. Niewątpliwie ze względu na niski wzrost i niepozorny wygląd nie należał do ulubieńców kobiet, poza tym był dwa razy starszy od Casey, trudno się więc dziwić, że wystarczył nieśmiały uśmiech, by się jej przedstawił.

- Jest pani nowa w naszym pięknym mieście - zagaił. Nie czekając na zaproszenie, przysunął się do niej wraz z krzesłem. - Odwiedziny?

Przytaknęła, świadoma, że jego ludzie również bacznie się jej przyglądają, co nie było zgodne z jej zamierzeniem. Wpatrywało się w nią zbyt wiele par oczu. Któraś z nich mogła zauważyć podobieństwo do młodocianego towarzysza Damiana.

- Kogoś mi pani przypomina - zauważył Jack z zamyśleniem, w skrytości ducha ciężko wzdychając. Nie miał już tak dobrych oczu jak dawniej. - Spotkaliśmy się gdzieś?

- No cóż, dużo podróżuję, przynajmniej tu. po Teksasie. A pan?

- Tak samo.

- Ostatnio przez dłuższy czas byłam w San Antonio i Fort Worth - wyznała.

Usłyszawszy te dwie nazwy, zmarszczył czoło. Wiedziała, że ryzykuje, wymieniając miasta, przez które przejeżdżał Henry... lub sam Jack.

- I w Waco - dodała szybko. - To śliczne miasto.

- No cóż, to nieistotne, czy widziałem panią już, czy nie, ponieważ jestem pewien, że się nie znamy. Na pewno bym panią zapamiętał. Jak się pani nazywa, madame?

- Jane. - Było to pierwsze imię, jakie przyszło jej do głowy. Nazwisko wzięła z przyprawy, która stała przed nią na stole. - Peppers.

- A kto ma przyjemność dotrzymywać pani towarzystwa podczas pobytu tutaj?

- Słucham?

- Kogo, konkretnie, pani odwiedza?

- Och. Larisę Amery. Musi ją pan znać, ponieważ to jedyna nauczycielka w Culthers.

Chodziłyśmy razem do szkoły. Nie widziałyśmy się od bardzo dawna, uznałam więc, że porają odwiedzić.

- To znaczy, że tak samo jak ona jest pani ze wschodu? Ponownie zmarszczył czoło. - To dziwne, ale ma pani typowo zachodni akcent, ściślej rzecz biorąc: teksański.

- No cóż, mam nadzieję, że tak jest. Pochodzę stąd i tu się wychowałam. Na wschodzie jedynie kończyłam szkoły. Ale skoro pan już o tym wspomniał, pan z kolei mówi jak typowy mieszkaniec wschodu. Nie pochodzi pan z Teksasu?

- Nie rozmawiajmy o mnie, panno Peppers. Dużo ciekawsza jest pani.

Powiedział to, pragnąc się jej przypocholebić, Casey jednak zakłęła w głębi duszy. Koniec końców okazało się, że to był zły pomysł. Jack nie należał do ludzi głupich. Nie miał zamiaru z niczym się zdradzać, zwłaszcza przed nieznaną. Tymczasem dwóch jego ludzi siedzących przy sąsiednim stoliku obserwowało ją niczym jastrzębie. Casey zastanawiała się, jakiej wymówki użyć, by wstać i wyjść. W tym właśnie momencie Jed podniósł się z krzesła i szepnął Jackowi coś na ucho.

Mały człowieczek natychmiast poderwał się na równe nogi i zaczął potwornie kłąć. Casey nie musiała zgadywać, dlaczego. Dostrzegła oburzenie, z jakim się jej przyjrzał. Wstała i automatycznie sięgnęła po rewolwer... ale go nie znalazła.

Oczywiście, miała broń, ale ukrytą w dużej damskiej torebce. Kupiła ten rewolwer, gdy tylko dotarła do miasta, ponieważ jej kabura była pusta od dnia, kiedy Bucky wsadził ją do pociągu. Pas także spoczywał w torebce. Kłopot polegał na tym, że nie wiedziała, w jaki sposób dostać się do broni.

Na szczęście żaden z sześciu mężczyzn również nie miał przy sobie rewolweru. Poza tym znajdowali się w miejscu publicznym. W restauracji byli inni klienci, pracownicy...

świadkowie. Ubiegający się o urząd publiczny Jack nie mógł sobie pozwolić na głupi błąd, jakim byłoby zabicie jej w takim miejscu. Curruthers należał raczej do ludzi wysyłających swoich sługusów, by usunęli niewygodne osoby, i to niekoniecznie w honorowy sposób. Tak właśnie Henry pozbył się ojca Damiana.

Casey próbowała uniknąć konfrontacji. W końcu Jack niczego jej nie wyjawiał. Właściwie nic się nie stało. To, że sześciu mężczyzn spoglądało na nią, jakby chcieli udusić ją gołymi rękami, wcale nie oznaczało, że naprawdę jest się czym martwić.

- Chyba straciłam apetyt - oznajmiła, sięgając po torebkę. Czyjaś dłoń opadła na jej ramię, uniemożliwiając jej wyjęcie broni.

- Musiała się pani zdenerwować - zauważył Jack.

To była jego dłoń. Wcale nic miał zamiaru puścić Casey.

- Czyżby? - odparła. - Po prostu wydawało mi się, że jestem głodna, a tu chyba dają dobre jedzenie. Czy w tym mieście spożywanie lunchu jest przestępstwem, tylko ja o tym nie wiedziałam?

- Co za zuchwałość...!

- To śmieszne...

Jack jednym syknięciem uciął komentarze swoich ludzi.

- Wiem dokładnie, co próbowałaś zrobić, panienko. Dla mnie to jest przestępstwo.

Potem zerknął na Jeda. Casey wcale nie musiała długo myśleć, by odczytać to spojrzenie jako: „Zajmij się nią, tylko tym razem dopilnuj tego osobiście”. Kiedy poczuła, że ucisk na jej ramieniu nieco się zmienił, zupełnie jakby postanowiono wywlec ją stąd na siłę, doszła do wniosku, że chyba powinna się bać... albo zmienić taktykę.

- W porządku! - wybuchnęła. ~ Który z was chce się ze mną zmierzyć?

Zmierzyć się z tobą? - To pytanie zadał Jed. spoglądając na nią bez wyrazu.

- W uczciwym pojedynku - uściśliła Casey,

Elroy uśmiechnął się z wyższością.

- Ja to zrobię.

- W pojedynku rewolwerowym - wyraziła się jeszcze dokładniej. - A może wszyscy jesteście na to zbyt wielkimi tchórzami?

Rozległ się chichot, a potem ktoś powiedział:

- Ona chyba nic wie, z kim ma do czynienia.

- Och, wiem - odparła Casey pogardliwie. - Wolicie raczej organizować na ludzi zasadzki.

Po leją uwadze na kilku twarzach pojawiły się rumieńce. Potem facet z cukierkiem w ustach szepnął:

- Ja się z nią zmierzę.

- Nie, ja chcę to zrobić! - zawołał zapalczywie najmłodszy z nich. - Pozwól mi, Jed. Nie mam nic przeciwko zabiciu kobiety, jeśli to kobieta - zadrwił, omiatając ją wzrokiem. Potem dodał

ze śmiechem: - Podejrzewam, że gdy będzie już po wszystkim, przedsiębiorca pogrzebowy chętnie to sprawdzi, prawda?

- Zrób to na ulicy - zaproponował Jack ze zwykłą sobie skrupulatnością. - Dym ze strzelaniny długo unosi się w powietrzu, a ja nie lubię go czuć podczas jazdy.

Rozdział 37

Wprowadzili ją do saloonu, gdzie barman bez słowa sięgnął pod kontuar i zaczął układać na ladzie broń. Ich broń. To znaczy, że nigdy nie byli całkiem bezbroni, jedynie -być może z powodów politycznych - nie nosili rewolwerów przy sobie.

Postanowiono, że zmierzy się z nią Mason. Młodszy brat Jeda nadał wargi, obrażony, że go pominięto, i niemal oberwał po głowie za uskarżanie się. Jed jednak nie chciał ryzykować.

Dlatego wystawił swojego najlepszego strzelca.

Wszyscy wzięli kolty, w związku z czym Casey zaczęła się zastanawiać, czy będzie to uczciwy pojedynek. Nawet zaproponowali jej rewolwer. Nie zdziwiłaby się, gdyby nie było w nim ani jednej kuli. Oczywiście, odmówiła i wyjęła własną broń.

Chętnie poprosiłaby o trochę czasu, by się przebrać, nic sądziła jednak, by jej życzenie spotkało się z należytą reakcją. Po prostu czuła się... nieco dziwnie, mając rewolwer zawieszony na eleganckiej sukni. Rozumiała nawet parsknięcia, którymi ją obdarzono.

Wszyscy ci mężczyźni byli przekonani, że mają do czynienia z osobą, która niewiele wie o broni. Stawiali na szybką śmierć... jej śmierć.

Gdy ponownie wyszli na zewnątrz, Casey stanęła na środku ulicy. Mason opuścił saloon jako ostatni. Był wysokim, smukłym mężczyzną o bardzo starannie przystrzyżonej brodzie. Czarne włosy fruwały wokół jego wąskich ramion. Mimo październikowego chłodu zdjął marynarkę.

Pod spodem miał haftowaną jedwabną kamizelkę, odpowiednio dobraną do służbowego garnituru. Z zapiętym pasem z podwójną kaburą wyglądał równie egzotycznie jak Cascy.

Zupełnie jakby jednocześnie był człowiekiem cywilizowanym i prymitywem.

Ulica natychmiast opustoszała, widocznie mieszkańcy miasta wiedzieli, czego się spodziewać. Wystarczyło, że banda Jacka wyszła z saloonu z bronią. Casey zastanawiała się, ile krwi popłynęło przed knajpą Barneta od chwili, kiedy Jack przyjechał do Culthers.

Ojciec wygarbowałby jej skórę, gdyby kiedykolwiek się o rym dowiedział. Ujmowanie przestępców to jedna sprawa. Dawno temu Chandos nauczył ją, jak ważny jest element zaskoczenia, a Cascy bardzo dobrze potrafiła go wykorzystać w swojej karierze łowcy nagród. Nie dawała przestępcom szans na sięgnięcie po broń, a nawet jeśli to uczynili, jej rewolwer był już na wierzchu, gotów do przejęcia kontroli nad sytuacją. Tym razem było zupełnie inaczej. Stała naprzeciwko rewolwerowca, który mógł do niej strzelić. Była bardzo szybka w posługiwaniu się bronią. Wyjątkowo celnie strzelała. W tym jednak przypadku największe znaczenie będzie miało wyczucie czasu. Świadomość tego potwornie ją rozpraszała. Poza tym Bucky i jego przyjaciele powiedzieli, że Mason jest szybki...

Prawdę mówiąc, zaczynały się jej pocić dłonie. Głupio postąpiła, proponując takie rozwiązanie. Powinna wymyślić jakiś inny sposób, który pozwoliłby jej cało i zdrowo opuścić restaurację... tylko nie było na to czasu. Mogła zacząć krzyczeć, odegrać kobietę, której grozi niebezpieczeństwo. Może ktoś przyszedłby jej z pomocą... i sam też dał się zabić. Nie... tylko, do jasnej cholery, czuła, że zginie.

Mason sprawiał wrażenie tak spokojnego, jak to tylko możliwe. Był przyzwyczajony do takich pojedynków. Casey również wyglądała na opanowaną, czerpała jednak z wewnętrznych zasobów energii, by nie pokazać, co czuje. W rzeczywistości była zdenerwowana jak nigdy w życiu.

Obserwowała zimne, bezduszne oczy Masona. Nie miał nic przeciwko zabijaniu, nie miał również nic przeciwko temu, by zabić także i ją. Takie podejście do życia cechowało tylko pewien szczególny typ ludzi, ludzi, z którymi Casey w ogóle nie chciała mieć do czynienia.

Potem nagle wszystko się zaczęło i dziewczyna nie miała czasu na myślenie, mogła jedynie reagować tak, jak ją nauczono.

Musiała przyznać, że odebrała bardzo dobrą naukę. Dzięki temu wciąż stała. Mason upadał.

Była tym tak zdumiona, że nie zauważyła, jak Jethro mierzy w nią ze swojego rewolweru. Z

lewej strony ktoś wypalił ze strzelby. Kula trafiła w prawą rękę Jethra. Chłopak zaczął krzyczeć. Natychmiast odezwały się rewolwery.

Casey rzuciła się na ziemię i przekoziółkowała, po czym ponownie strzeliła. W powietrzu świstały kule nie tylko ze strzelby. Pociski padały na ulicę i przed wejściem do sa-loonu, zmuszając wszystkich do ukrycia się, omijały jednak miejsce, gdzie leżała Casey. Nie wiedziała, skąd wylatują. Widocznie któremuś z mieszkańców miasta nie podobało się, że Jed i jego chłopcy strzelają do kobiety.

Nie miała zamiaru leżeć na otwartej przestrzeni w swojej podwiniętej do góry falbaniastej sukni i prosić się o kulę. Na szczęście strzelba dobrze ją osłaniała. Dzięki temu Casey mogła wstać i zejść z linii ognia. Pobieгла w stronę restauracji. Kiedy wpadła do środka i zatrzymała się tuż za drzwiami, odwzajemniła się komuś, wyświadczając mu tę samą przysługę. Po chwili stanęła oko w oko z Damianem, patrzącym na nią wilkiem.

- Nie teraz - mruknęła, widząc, że jej partner ma zamiar się na nią rzucić. Wyglądał na wściekłego.

Pogodzili się, gdy najbliższa szyba rozpadła się na kawałki. Damian podszedł do okna i ponownie uniósł strzelbę do ramienia. Casey mogła teraz wyrzeć na zewnątrz. Zobaczyła, że Elroy Bencher pewnie z powodu połamanych żeber nie zdążył się na czas ukryć. Kula trafiła go w kolano. Związał się teraz na werandzie saloonu, jęcząc i miotając potworne przekleństwa.

Candiman leżał rozciągnięty na schodach. Wyglądał na martwego. Mason wciąż znajdował

się na ulicy i w ogóle się nie ruszał. Może nie żył, ale Casey w tym momencie nie miała zamiaru zbyt się tym przejmować. Pozostała trójka zdołała schować się w saloonie i przynajmniej jeden z nich strzelał zza drzwi.

- Wygląda na to, że odzyskałaś pamięć zauważył Damian między jednym strzałem a drugim.

- Nigdy jej nie straciłam. Prychnął.

- Co ty tam właściwie robiłaś?

Czy to znaczy, że nie miał zamiaru czekać?

- Wcale nie szukałam zaczepki, jeśli ci o to chodzi. Po prostu doszłam do wniosku, że czekając na ciebie, dla zabicia czasu spróbuję, rozszyfrować Jacka. Wiadomo, że mężczyźni w obecności kobiet lubią się przechwalać, a w tym stroju wyglądam trochę inaczej niż poprzednio.

- Naprawdę liczyłaś na to, że cię nie poznają? - Zerknął na nią z niedowierzaniem.

Powstrzymała się od wzruszenia ramion. No cóż, tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkałeś się z Jackiem, nie zwracali na mnie uwagi. Próbowaleś zaaresztować ich pracodawcę, więc przez cały czas wszystkie oczy w saloonie wpatrywały się w ciebie. Ja byłam po prostu nie mającym żadnego znaczenia dzieciakiem, który przez przypadek znalazł

się u twego boku. Dlatego, owszem, założyłam, że mnie nic poznają. I nie poznali...

przynajmniej początkowo. Resztę możesz sobie wyobrazić. Jack zdał sobie sprawę, że próbuję coś z niego wyciągnąć, i poczuł się urażony.

Damian nie powiedział nic więcej na ten temat - na razie. Ale po oddaniu przez okno kilku następnych strzałów ponownie zerknął na Casey.

- A tak przy okazji... hmmm... bardzo ładnie wyglądają twoje okrągłości w tej sukni -

zauważył.

Tym razem to Casey prychnęła.

- Okrągłości! To znaczy, że podobają ci się głupie o-krągłości.

- Słucham? Powiedziałem ci komplement, a ty chcesz mi urwać głowę.

- Nie, chcę ci urwać głowę, bo czuję się jak kompletna idiotka. Nie masz przypadkiem dodatkowych naboju? - spytała, ładując ostatnie ze swojego pasa.

Z tyłu restauracji po podłodze przesunęło się w jej stronę pudełko naboju. Były to wyrazy uznania od potwornie przestraszonego kucharza. Z kolei Damian podsunął Casey jej własny rewolwer. No cóż, do diabła, przy tak dużej sile rażenia może warto by było doprowadzić całą sprawę do końca?

- Może któreś z nas powinno spróbować dostać się do saloonu od tyłu? - zasugerowała Damianowi, wsadzając pośpiesznie dodatkowy rewolwer i naboje do swojej torebki, przewieszanej przez ramię. Chciała mieć go pod ręką, chodziło jej jednak o to, by nic przeszkadzał. - Nim nas nie zostawią.

- Któreś z nas, to znaczy ty? Zapomnij o tym. Nie mam zamiaru spuszczać cię z oka, więc niczego nie kombinuj. Gdzie, do diabła, podziewa się szeryf, gdy jest potrzebny?

- Prawdopodobnie poszedł na ryby. Ale ludzie Jacka bez żadnych skrupułów zaczęli nieuczciwą strzelaninę, sądzę więc, że gdyby był, stanąłby po ich stronie. To nawet dobrze, że się nie pojawił.

- Spierałbym się z tobą.

- Dlaczego?

- Ponieważ widziałem, jak jeden z nich mignął w uliczce obok saloonu. Zdaje się, że jednak uciekają.

Casey ponownie zerknęła na ulicę. Strzeliła jeszcze raz, chwilę odczekała, ale nikt nie odpowiedział.

- Tylko jeden? - Zmarszczyła czoło.

Dostrzegłem tylko jednego. Pozostali dwaj mogli wymknąć się wcześniej. Casey przytaknęła.

- Nie mam zamiaru wychodzić, by to sprawdzać. Co byś powiedział na to, żebyśmy również wyszli tyłem i zobaczyli, czy uda nam się przeciąć im drogę do stajni?

- Na to mogę się zgodzić. Chodźmy.

Stajnia znajdowała się mniej więcej o półtorej przecznicy dalej. By dostać się do niej od zaplecza, należało pokonać kilka płotów, ponieważ nie było tu równoległej, biegnącej tyłami ulicy. Damian przeskakiwał wszelkie przeszkody, jakie stawały im na drodze, Casey była nad nimi przenoszona. Po pierwszej nieproszonej pomocy nawet nie próbowała się skarżyć.

Powiedział jej, że skoro włożyła sukienkę, to, do jasnej cholery, powinna pozwolić, by traktowano ją jak kobietą.

To było nic, jak na potwornie wściekłego mężczyznę, który po przyjeździe do miasta zastał

swoją partnerkę w samym środku ulicznej strzelaniny. Casey nie była na tyle głupia, by się z nim kłócić - przynajmniej na razie. Później na pewno mu powie, że sukienka niczego nie zmienia. Czyż Casey nie opuściła domu, by tego dowieść?

Na szczęście stajnia znajdowała się po ich stronie ulicy. Od tyłu ogradał ją płot, ale nadal był

to najłatwiejszy sposób, by dostać się do środka i nie dać się po drodze zastrzelić. To znaczy, jeśli Jack i dwaj bracia Paisleyowie zdołali już tam dotrzeć.,, o ile w ogóle tam zmierzali.

Wyglądało jednak na to, że nie. Właściciel stajni powoli wrzucał siano do najbliższej przegrody.

Kiedy jednak Casey i Damian baczniej mu się przyjrzeni, zauważyli, że człowiek ten wygląda na trochę zdenerwowanego. Nie byłby taki niespokojny, gdyby nie wiedział, po co tu przyszli.

Co prawda trzymali w rękach gotową do strzału broń, ale nie była wycelowana w niego...

Casey próbowała chwycić Damiana za ramię, by go zatrzymać, jednak wysunął się był zbyt daleko do przodu. Zamiast go ostrzec rzuciła się na niego i powaliła go na ziemię. Był to szybszy sposób. W tym momencie padł strzał.

Właściciel stajni z krzykiem wybiegł przez szeroko otwartą frontową bramę. Damian przekoziółkował w lewo, a potem wystrzelił, chociaż nie widział żadnego celu. Niestety, Casey przetoczyła się w odwrotną stronę i wpadła wprost na Jacka Curruthersa.

Poczuła na szyi lufę i usłyszała syk:

- Rzuć to!

Rzucenie rewolweru było całkowicie sprzeczne z jej instynktem, ale nie wymyśliła żadnego sposobu na to, by go zatrzymać i nadal żyć. Gdy pozbyła się kolta, ktoś niezbyt delikatnie postawił ją na nogi. Jack miał więcej siły, niż można się było spodziewać po tak niskim człowieku.

- Wycofaj się, Rutledge, bo inaczej ta młoda dama dostanie kulkę w łeb - ostrzegł Damiana. -

Zabierzemy ją ze sobą jako zakładniczkę. Pojedziesz za nami, ona zginie - to proste.

Damian patrzył na nich, być może próbując wymyślić, jak zastrzelić Jacka, nie raniąc przy okazji Casey. Jednak dziewczyna była nieco wyższa niż ewentualny cel, a Jack dobrze się za nią ukrył, zatem wszelkie próby nie miały sensu. Casey chciała ponownie rzucić się na ziemię, by umożliwić Damianowi oddanie strzału, lecz w tym momencie na otwartą przestrzeń wyszli bracia Paisleyowie. Jed skierował broń w stronę Damiana, nie mogła więc ryzykować.

Damian nic mógł nic zrobić, jeśli chciał ocalić jej życie, o czym wszyscy doskonale wiedzieli.

Nawet nie kazali mu oddać broni, tak byli pewni, że tym razem nowojorczyk im nie przeszkodzi. I nie przeszkodził.

Casey odjechała na koniu Jacka. Siedziała przed Curru-thersem i przez cały czas czuła lufę rewolweru. W tym momencie sytuacja nie wyglądała dobrze, przynajmniej dla niej. Prawdę mówiąc, zastanawiała się, ile czasu minie, nim Jack dojdzie do wniosku, że nie potrzebuje już zakładniczki, i naciśnie spust.

Rozdział 38

Mała chata musiała od dawna służyć jako kryjówka, ponieważ skierowali się prosto do niej.

To była pierwsza myśl Casey. kiedy wprowadzono ją do środka i rzucono w kąt. Nie wyglądało, by ktoś tu mieszkał, wszystko pokryte było grubą warstwą kurzu. Szybko jednak Casey zauważyła, że

miejsce to jest bardzo dobrze zaopatrzone. W skrytce pod poluzowaną deską podłogową były konserwy. Znalazły się tam też koce i mała skrzynka z zapasową bronią oraz amunicją.

Była to chata wcześniej przygotowana na to, by się w niej zaszyć. Czyżby miała stanowić ostatni bastion? Mógł z niej korzystać Jed, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, czym się zajmował, ale Jack?

Casey siedziała w kącie i na razie się nie odzywała, ale nie była już tak bardzo przygnębiona jak poprzednio. Droga do chaty trwała mniej więcej cztery godziny, a kiedy dziewczyna przypomniała sobie, że wciąż ma przy sobie pożyczoną torebkę, zaczęła spoglądać na wszystko z zupełnie innej perspektywy.

Panowie ani trochę nie przejmowali się tym typowo damskim przedmiotem, nawet nie zadali sobie trudu, by odebrać go Casey. Przeszukali tę torebkę w saloonie i znaleźli tylko jedną sztukę broni... którą na rozkaz Jacka zostawiono w stajni. Nic wiedzieli, że między saloonem a stajnią Casey dostała drugi rewolwer i wciąż miała go przy sobie.

Musiała tylko zaczekać na właściwy moment, aż przestaną zwracać na nią uwagę. To powinno nastąpić wkrótce, ponieważ zbliżała się pora kolacji.

Dlatego nie była zadowolona, gdy usłyszała, jak Jed wydaje bratu polecenie:

- Nie spuszczaaj jej z oczu.

Jethro był zajęty ciągłym owijaniem wciąż jeszcze krwawiącej ręki tą samą zaplamioną szmatą, dlatego łatwo zrozumieć, czemu obdarzył brata kwaśnym spojrzeniem.

- Wciąż nie wiem, czemu po prostu nie zabiłeś tego zastępcy szeryfa. Przecież miałeś okazję.

Wtedy nie musiałbyś się martwić, że będzie nas śledził, ani trzymać jej przy sobie na wypadek, gdyby Rutledge się tu pojawił.

- Idioto, nie można zabijać zastępcy szeryfa, a przynajmniej nie na oczach wszystkich mieszkańców miasta, chyba że komuś chodzi o to. by ściagało go trzydziestu następnych przedstawicieli prawa - brzmiała ostra odpowiedź Je-da. Śmierć jednego z nich traktują jak osobistą obrazę. Równie dobrze można od razu uznać się za martwego.

- Nic jestem pewien, czy on rzeczywiście ma odznakę -wtrącił Jack zmęczonym głosem.

Niewysoki człowieczek nie był przyzwyczajony do forsownej jazdy konnej, jaką właśnie mieli za sobą. — Wywodzi się z najznamienitszych kręgów towarzyskich Nowego Jorku i jest bogaty jak Krezus. To śmieszne, by ktoś taki był zastępcą szeryfa.

- Już rozmawialiśmy na ten temat, Jack. Mógł po prostu zdobyć gwiazdę tylko po to, by cię złapać. Więc niezależnie od tego. czy jest to jedynie wygodne kłamstwo, czy prawda, nie mam zamiaru ryzykować. Jeśli chcesz, żeby zginął, zrób to. gdy nie będziesz miał świadków.

Mam nadzieję, że Rutledge się tu pojawi, wtedy z nim skończymy.

Casey była zadowolona, że nie uznano jej za ewentualnego świadka. To, oczywiście, oznaczało po prostu, że kiedy wykorzystają ją jako tarczę ochronną przed Damianem, będzie martwa tak samo jak on. Jednak dziewczyna wcale nie miała zamiaru dopuścić do tego, by sprawy zaszły tak daleko. Zabawne wydało jej się, że drobne kłamstewko Damiana, który utrzymywał, że jest zastępcą szeryfa, uchroniło go przed śmiercią w stajni. Nie miała wszakże zamiaru mówić opryszkom, że jej towarzyszy ich oszukał.

Nie uszły jej uwagi słowa Jacka. Fakt, że tak dokładnie określił pochodzenie Damiana, świadczył tylko o jednym: albo Jack jest Henrym i znał Damiana osobiście, albo Henry całkiem niedawno powiedział o wszystkim swojemu bratu. Casey gotowa była postawić wszystko na tę pierwszą możliwość, nie zgadzała jej się tylko jedno - Jack naprawdę nie pasował do opisu Henry'ego. Przypuszczała, że ludzie potrafią się zmienić, ale tak bardzo?

Postanowiła dowiedzieć się prawdy. W końcu Jack nie miał już powodu, by nadal kurczowo trzymać się swojej pierwotnej wersji. Ponownie uciekał. Musiałby wymyślić jakieś mało prawdopodobne usprawiedliwienie, by wyjaśnić wydarzenia na ulicy, a to oznaczało, że mógł

się pożegnać ze stanowiskiem burmistrza Culthers. Ponieważ zakładał, że wkrótce Casey rozstanie się z tym światem, nic miał powodu, by w dalszym ciągu zachowywać wszystko w tajemnicy.

Dlatego nie tracąc czasu na żadne wstępy, spytała go wprost:

- Jak to jest, Curruthers? Jesteś Jackiem... czy Henrym? Spojrzał na nią swoimi sowimi oczami i odparł szyderczo:

- Uważam, młoda damo, że powinnaś być zbyt przestraszona, by w ogóle się odzywać. A tak swoją drogą: co ktoś taki jak ty robi u boku tego nowojorczyka?

- Z przyjemnością odpowiem na twoje pytanie, gdy ty odpowiesz na moje.

Prychnął, a potem wzruszył ramionami.

- Chcesz zaspokoić swoją chorobliwą ciekawość? Bardzo dobrze. Henry nie żyje. Zmarł mniej więcej rok temu.

Nie to Casey spodziewała się usłyszeć, z drugiej strony nie była pewna, czy słowa Jacka należy traktować dosłownie, czy w przenośni. Nim poprosiła o bliższe wyjaśnienia, przyszło jej do głowy coś innego, coś, co jeszcze ściślej dotyczyło całej sprawy.

- Ty go zabiłeś, prawda? Następane wzruszenie ramion.

- W pewnym sensie tak. Wybrałem się w odwiedziny do domu. Minęło tyle lat, doszedłem więc do wniosku, że przysła na to pora. Wywiązała się między nami bójka. Henry potknął

się i uderzył o coś głową, To był wypadek, chociaż wcale mnie nie zmartwił.

- Nikomu o tym nie powiedziałaś, prawda?

- Po co? Żeby winę zrzucono na mnie? To byłaby bzdura. Poza tym nikomu nie brakowało starego Henry'ego - dodał Jack z uśmiechem wyższości.

Widząc jego zadowolenie, Casey domyśliła się prawdy.

- Udawałaś, że jesteś Henrym, nawet w pracy.

Jack zachichotał.

- A czemu nie? Nie wiem zbyt dużo o rachunkach, potrafię jednak sprawić, by pieniądze same płynęły mi do kieszeni. W końcu już tam byłem- Mogłem z łatwością wyciągnąć z tej wyprawy korzyści materialne. Poza tym uznałem, że firma bez trudu poradzi sobie, mimo pewnych strat. Stary Rutledge dorobił się fortuny. Ten głupiec nie powinien jednak wtykać nosa w księgi rachunkowe. Właśnie miałem zamiar opuścić miasto, kiedy zaczął węszyć i żądać wyjaśnień.

- W takim razie czemu po prostu nie wyjechałaś, skoro takie miałeś plany? Dlaczego go zabiłaś?

- Ponieważ niektóre z zadawanych przez niego pytań były zbyt osobiste. Łatwo jest udawać słabeusza takiego jak mój brat, trudniej w odwrotną stronę. Nie byłem w tym taki dobry -

skonkludował z uśmiechem.

- To znaczy?

- To znaczy, że Rutledge traktował moje zachowanie z dużą podejrzliwością, może dlatego, że nie kłaniałem mu się dość nisko, tak jak mój brat - odparł Jack szyderczo. -Ponieważ żywił

w stosunku do mnie pewne wątpliwości, mógł bez trudu wypytać moją ciotkę. Wówczas dowiedziałaby się, że ostatnio przyjechał do Nowego Jorku bliźniaczy brat Henry'ego.

- Każdy mógł to zrobić - zauważyła.

- Tak, ale tylko starszy pan podejrzewał, że z Henrym dzieje się coś złego. Dlaczego ktokolwiek miałby pytać o bliźniaka? Nie mieli powodu, prawda? Nie. planowałem, że cała wina spadnie na Henry'ego i że to jego będą ścigać. nie mnie. Dlatego staruszek musiał

umrzeć. Tylko w ten sposób można było utrzymać taką wersję. I tak by zostało, gdyby syn Rutledge'a nie był tak cholernie mściwy.

- Mściwy? — spytała. — A co ze zwyczajną sprawiedliwością? Zabiłaś mu ojca. Może pewni ludzie wzruszyliby tylko ramionami i uznali, że nic mogą nic zrobić, zdarzają się jednak i tacy, którzy postępują inaczej.

- Wszystko zostało zrobione tak, by ta śmierć wyglądała na samobójstwo! - poskarżył się żarliwie Jack. - Do jasnej cholery, to powinno wystarczyć!

- Chyba że ktoś dobrze znał ofiarę i wiedział, że nie targnęłaby się na swoje życie.

Podejrzewam jednak, że nie wzięłaś pod uwagę takiej możliwości, prawda? A tak przy okazji: dlaczego nie zabiłaś go sam, zamiast płacić za to morderstwo innym? Tylko dlatego, że Henry by tak nie postąpił'?

- No cóż, właściwie tak - przyznał Jack, ponownie wzruszając ramionami. - Ale nic bez znaczenia pozostawało również to, że stary Rutledge był sukinsynem, takim jak jego syn.

Żeby wszystko wyglądało na samobójstwo, musiałbym włożyć w to zadanie bardzo dużo siły.

Nie poradziłbym sobie sam. Teraz kolej na ciebie. Co robisz u boku Rutledge'a, oprócz grzania mu łóżka?

Złościło ją, że wielu mężczyzn błyskawicznie wysuwa takie wnioski, nie chcąc przyznać, iż niektóre kobiety umieją nie tylko gotować, wychowywać dzieci i grzać łóżko, iż niektóre kobiety potrafią robić to, co mężczyźni, i że robią to tak samo dobrze, a nawet lepiej.

Mężczyźni nie są w stanie czegoś takiego zaakceptować, a tym bardziej pozwolić, by kobiety tego dowiodły.

Urażona Casey przypomniała:

- Pokonałam waszego najszybszego strzelca. Czy to nic daje ci do myślenia? To ja cię wytropiłam. Jack. Zaproponowano mi całe dziesięć tysięcy. To samo mógł zrobić ktoś mający połowę tych umiejętności tropicielskich co ja. Niezbyt dobrze zacierałaś za sobą ślady. Jack.

Udało jej się osiągnąć cel, to znaczy pozbawić Jacka pewności siebie, nic więc dziwnego, że obrzucił ją pełnym złości spojrzeniem.

- Może mimo wszystko cię nie zabiję, młoda damo. Może zatrzymam cię na jakiś czas przy sobie i wykorzystam do tego, do czego naprawdę się nadajesz.

- Tylko spróbuj się do mnie zbliżyć, a pokażę ci, w jaki sposób Komańcze radzą sobie z szumowinami - odpała. - Oczywiście, nie masz zbyt wielu włosów, więc to może trochę boleć.

Jack oblał się pąsem i ponuro się skrzywił. Chociaż w jakimś stopniu zezłościł go pewnie Jed, który wybuchnął śmiechem.

- O czym ona, do diabła, mówi? spytał swojego sługusa.

- Z jej słów wynika. Jack, że paru rzeczy nauczyła się od Indian. To oni zawsze byli tu najlepszymi tropicielami. Więc prawdopodobnie nic żartuje, mówiąc o skalpowaniu. - Jed ponownie zachichotał. - Nie byłbym zdziwiony, gdyby umiała zdjąć skórę szybciej, niż zajmuje splunięcie.

- Potrzebny mi doktor, Jed - przerwał im Jethro słabym głosem. - Ta ręka nic przestaje krwawić i zaczyna mi się kręcić w głowie. - Połóż się, Jeth, i odpocznij - poradził mu brat, nie przejmując się

nim zbyttnio. - Obudzę cię na trzecią zmianę.

- Zapalcie ogień, a ja zatamuję mu krew - zaproponowała Casey.

Jethro zbladł, ale Jed ponownie wybuchnął śmiechem.

- Tak, zdecydowanie przeszła indiańską szkołę. Obojętnie wzruszyła ramionami. Złożyła propozycję tylko dlatego, że przyżeganie rany bardzo by bolało, a chłopak nie wyglądał na zbyt wytrzymałego na ból. Mógł zemdleć, a wówczas ubyłaby jedna para oczu śledzących każdy jej ruch. Tego właśnie potrzebowała, jeśli miała zamiar opuścić chatę żywa.

Rozdział 39

Naprawdę szybko, za szybko robiło się ciemno. Jethro zgodnie z poleceniem położył się na jednym z gołych materaców znajdujących się w pomieszczeniu - kilka następnych przystawionych było do ścian. Wątpliwe jednak było, by boląca ręka pozwoliła mu zasnąć, chociaż próbował to zrobić.

Jack siedział przy jedynym stole w jednoizbowej chacie i pilnował Casey, natomiast Jed zajął się rozniecaniem ognia i otwieraniem puszek, ale ich nie podgrzewał. Jedną z nich podsunął

Jackowi, lecz ten jej nie tknął.

Casey nie zaproponowano niczego, z drugiej jednak stro-ny była zbyt spięta, by coś jeść, więc prawie nie zwróciła uwagi na ten poważny afront. W końcu po co tracić zapasy, karmiąc kogoś, kogo i tak ma się zamiar zabić?

Wciąż czekała na właściwy moment, chociaż nie zostało jej już dużo czasu. Zastanawiała się nad zdjęciem pustego pasa i odłożeniem go. To mogłoby uzasadnić otworenie torebki i wyjęcie znajdującego się w niej rewolweru. Kłopot polegał na tym, że powinna wówczas działać błyskawicznie. Innymi słowy - musiałyby wyjąć rewolwer i natychmiast zacząć strzelać.

Wiedzieli, a przynajmniej myśleli, że torebka Casey jest pusta, w związku z czym dziewczyna nie miała po co do niej sięgać. Naprawdę potrzebowała kilku sekund, by sprawdzić, ile ma w magazynku kul, czego, głupia, nie zrobiła przed odłożeniem rewolweru, a nie pamiętała, ile jej zostało po ostatnim użyciu.

Gdyby magazynek był pusty, zginęłaby niemal natychmiast, niezależnie od tego, co próbowałyby robić. Jeśli została w nim jedna lub dwie kule. Casey musiałyby zrobić wszystko, by nie używać amunicji. Jedynym sposobem było wymyślenie jakiejś poważnej groźby i dołożenie wszelkich starań, by mężczyźni jej uwierzyli. Jeżeli zostały trzy naboje, na co liczyła, nie miałyby problemu, nawet gdyby nie chcieli się poddać i zaczęli strzelać. Casey była przygotowana na każdą z tych możliwości.

Musiała jednak dość szybko działać, ponieważ obawiała się, że lada chwila pojawi się Damian, na co zresztą liczyli jej wrogowie. Gdy tylko zaczną podejrzewać, że Rut-ledge znajduje się w pobliżu, będą chcieli ją wykorzystać, by zmusić go do wyjścia na otwartą przestrzeń, gdzie będą mogli go zabić. Tymczasem Damian powinien już tu być.

Nawet jeżeli nie widział, w jakim kierunku ruszyli po opuszczeniu miasta, to mając tę ograniczoną wiedzę, jaką na temat tropienia zdążyła przekazać mu Casey, przed nastaniem nocy powinien znaleźć chatę. Jeśli już jest w pobliżu, mądrze czeka na zapadnięcie mroku, co nastąpi za kilka minut.

Casey najbardziej martwiła się myślą, co Damian robi, gdy zdecyduje się na działanie. Nie miał zbyt wielkiego wyboru, a próba prowadzenia z tymi facetami negocjacji byłaby najgorszym wyjściem.

Chata miała okna, ale do znacznej wysokości zostały zabite deskami. Z kolei drzwi zabezpieczał jeden z tych sta-rych drewnianych skobli. Trzeba by podjąć przynajmniej kilka prób, by go wyłamać. Do chaty nie było łatwo się dostać, nie dało się również wcześniej do niej zajrzeć. W związku z tym Casey uznała, że to ona musi dołożyć wszelkich starań, by wydostać się na zewnątrz.

Tak naprawdę poważne zagrożenie stanowił tylko Jed. Jack miał rewolwer, ale trudno powiedzieć, czy umiał strzelać. Młody Jethro przez jakiś czas nie mógł używać prawej ręki.

Istniało bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, by z jaką taką precyzją umiał korzystać z lewej, więc nim nie należało w ogóle się przejmować.

Prawdę mówiąc, teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że potrzebna jej tylko jedna kula. Jeżeli zastrzeli Jeda, bez trudu poradzi sobie z pozostałymi dwoma mężczyznami, a potem odzyska załadowany przed chwilą rewolwer Jeda. Poza tym wcale nie chciała zabijać Jacka. Jeżeli tylko się uda, Damian powinien mieć tę satysfakcję i oddać mordercę swojego ojca w ręce sprawiedliwości.

W rewolwerze musiała być przynajmniej jedna kula. Damian nie rzuciłby jej nie załadowanej broni, kiedy prosiła o naboje, prawda? A zatem nie było powodu, by dłużej czekać.

Jack nawet trochę jej pomógł przynajmniej w pewnym sensie. Patrzył prosto na nią, ale chyba niczego nie widział. Był pogrążony we własnych myślach. Niewątpliwie tak samo jak ona martwił się swoim obecnym kłopotliwym położeniem, istniała więc spora szansa, iż nie zauważy, co Casey robi, póki nie będzie za późno.

Casey postanowiła działać, odrzuciła jednak swój wcześniejszy plan polegający na odłożeniu pasa. Torebka z długim paskiem leżała na podłodze przy prawym biodrze Casey. Wystarczyło unieść kolano, by sukienka częściowo zasłoniła widok. Korzystając z parawanu w postaci fałd materiału, dziewczyna przesunęła w tamtą stronę palce. W chwilę później chwyciła rewolwer do ręki i poderwała się na równe nogi.

Wycelowała prosto w Jeda. Ten zerknął w jej stronę i burknął:

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

Niestety, nie zważając na wymierzoną w niego broń, sięgnął po swój rewolwer. Tym razem Casey rac miała czasu do stracenia. Jed chciał ją zabić. Starannie wymierzyła, pociągnęła za spust... i poczuła, jak serce zamiera jej w piersiach, ponieważ usłyszała suche stuknięcie. Jej magazynek był

pusty.

Śmierć. Casey ponownie patrzyła śmierci w oczy. Usłyszała głośny huk... ale to nie był

rewolwer Jeda. Krew odpłynęła z twarzy dziewczyny. Ktoś wyłamał drzwi i wcale nie przymierzał się do tego kilka razy, jak przypuszczała Casey. Niech Bóg ma go w swojej opiece! Ponownie zapomniała o wysokim wzroście i ogromnej sile Damiana. Wszedł ze strzelbą w ręce i palcem na cynglu.

Jed jedynie zdążył się odwrócić w stronę Damiana. W tym momencie padł strzał, i to z niewielkiej odległości. Jego siła zbiła opryszka z nóg i rzuciła nim o ścianę. Jeth-ro usiadł

przerażony i wściekły na widok osuwającego się po ścianie martwego ciała brata. Jednak chłopak nie miał pod ręką broni nie był na tyle sprytny, by wziąć ją ze sobą do łóżka. Miała ją za to stojąca w pobliżu Casey. Co prawda jej rewolwer nie był załadowany, ale i tak mogła go wykorzystać. Walnęła Jethra w tył głowy.

Jack zaczął grzebać po kieszeni, szukając swojej broni. Nie miał wielkiego wyboru — więzienie albo zastrzelenie Damiana.

Casey nie była pewna, jaki wybór Jacka bardziej odpowiadałby Damianowi, on jednak przystawił lufę do głowy niedoszłego burmistrza.

- Kula wystrzelona z takiej odległości bardzo szpeci twarz - wyjaśnił. Oczywiście, po wszystkim będzie ci to już całkiem obojętne...

Jack doszedł do wniosku, że woli więzienie. Zamarł w całkowitym bezruchu. Casey podeszła i wyjęła z kieszeni jego marynarki mały pistolet dużego kalibru.

Udało im się tego dokonać. Właściwie dokonał tego Damian - wyciągnął siebie i Casey z opałów, na dodatek bez rozlewu krwi, przynajmniej ich krwi. W pierwszym odruchu Casey chciała rzucić się Damianowi na szyję i siarczyście go wycalować. To jednak, niestety, nie wchodziło w rachubę. Przede wszystkim Damian wciąż musiał pilnować Jacka i Jethra.

Zrobiła zatem to, co instynkt podpowiedział jej w następnej kolejności.

- Dlaczego to tak długo trwało? - spytała tak niezadowolonym tonem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć.

Obdarzył ją krótkim, pełnym zdumienia spojrzeniem, po czym odparł niemal tak samo sarkastycznym i opryskliwym tonem:

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Kid. Czy znajdzie się tu jakiś sznur, którym można by było związać tę parę?

- Prawdopodobnie nie. ale pod spódnicą mam mnóstwo bezużytecznych halek. To powinno

wystarczyć.

Te powiedziane uszczypliwie słowa wywarły na Damianie odwrotne wrażenie. Uśmiechnął się. Pewnie wiedział, że wolałaby mieć na sobie dzinsy niż tę krępującą ruchy suknię.

Casey nie poczuła się wcale urażona z powodu jego dobrego humoru... no cóż, prawdę mówiąc, była zła, ale nie pokazała tego po sobie. Zajął się szukaniem jakiegoś sznura. Nie znalazła niczego, mimo że na tyłach chaty odkryła niewielką szopę z różnościami. Pocięła więc nożem halkę. Mocna bawełna z powodzeniem zastąpiła sznur.

Od zapadnięcia zmroku minęło już kilka godzin, Casey nie chciała jednak spędzać pozostałej części nocy w chacie, nie była też ani trochę zmęczona. Prawdę mówiąc, w jej żyłach wciąż jeszcze krążyła adrenalina, chociaż dziewczyna nie bardzo rozumiała, dlaczego poczuła to dopiero teraz, gdy byli już bezpieczni. Dlatego zaproponowała, by jak najszybciej wrócili do Culthers. Damian się zgodził.

Ciało Jeda zawinęli w koc i przymocowali do grzbietu jego konia. Pozostali dwaj przestępcy znajdowali się na zewnątrz dokładnie skrupowani i zakneblowani, by nie mogli wspólnie opracowywać żadnych planów, nawet gdyby zostali sami. A rzeczywiście zostali sami, gdyż Damian po raz ostatni wszedł do chaty, by podłożyć w niej ogień.

Casey nie była pewna, czemu za nim poszła, niemniej to zrobiła. W końcu zrozumiała, dlaczego krew tak bardzo szumi jej w żyłach.

- Myślałem, że dzisiaj zginiesz - wyznał Damian, kiedy się odwrócił i zobaczył ją za sobą.

- Ja też - szepnęła Casey.

Potem przyciągnął ją do siebie i zaczął całować w sposób, w jaki nieco wcześniej ona chciała całować jego. A więc on czuje to samo? Pragnie potwierdzenia, że żyje, chociaż w ciągu dnia przynajmniej kilkakrotnie myślał, że żadne z nich nie ujrzy następnego wschodu słońca.

Niech to diabli, bardzo mocno pragnie. Nie przeszkadzało im, że na podłodze jest krew. że na gołym materacu, na który opadli, nie ma prześcieradła ani że Jack i Jethro leżą na zewnątrz.

Dla Casey liczyło się tylko to, że dotyka kogoś, kto dużo dla niej znaczy, i czuje płonące pożądanie, które w ułamku sekundy obudziło ją do życia i odsunęło na bok wszelkie inne myśli.

Nie rozbierał jej. Za bardzo się śpieszył. Po prostu uniósł spódnicę i rozerwał reformy. Może zresztą przez przypadek - cienki materiał nie wytrzymał mocnego szarpnięcia. Ale Casey zauważyła to dopiero później. Wtedy czuła tylko na wargach jego usta i dreszcz rozkoszy, gdy się w nią wsunął.

Zawładnęło nią przekonanie, że przez cały czas czegoś jej brakowało i że dopiero teraz ma wszystko, czego jej potrzeba. Namiętność płonęła coraz jaśniej. Mimo to szybko było po wszystkim. Przeżyła niemal błyskawiczne wznoszenie się na szczyt, a potem gwałtowny wybuch ekstazy. Rozkosz była silniejsza niż poprzednio, a jednocześnie w jakiś dziwny sposób bardziej szalona i satysfakcjonująca. Potem Casey ogarnął niespotykany spokój.

Było to coś, czego wyraźnie potrzebowała i to bardzo. Dręczyły ją jednak poważne obawy, że takich doznań może dostarczyć jej tylko Damian. Czyżby powoli zaczynała się przyznawać, że polubiła nowojorczyka? Niech to wszyscy diabli - polubiła go aż za bardzo.

Rozdział 40

Jasny księżyc umożliwił szybki powrót do Culthers. Na miejsce dotarli w środku nocy.

Miasto pogrążone było w ciszy, zaledwie kilka psów szczekaniem obwieściło ich przyjazd.

Casey czuła się wyczerpana, zaproponowała więc, by skierowali się do pensjonatu i zamknęli więźniów do rana. kiedy oboje zadecydują, co z nimi zrobić. Damian się zgodził, zaznaczył

jednak:

- Wystarczy podjąć tylko jedną decyzję - co zrobić z młodym Paisleyem. Jack wróci ze mną do Nowego Jorku, by tam stanąć przed sądem.

Tego się spodziewała, chociaż nie rozmawiali od opuszczenia chaty, ponieważ skoncentrowali się na kierowaniu końmi, nie chcąc, by któryś z nich okulał. Nie dyskutowali również o tym, co stało się w chacie, chociaż właściwie co można było powiedzieć na ten temat? Że to nie powinno się zdarzyć? Na pewno. Że było zbawienne? Jasne. Że nigdy więcej się nic zdarzy? Oczywiście. Tylko że każdy z tych tematów był dla obojga zbyt żenujący.

Bezpiecznie natomiast mogli mówić o wszystkim innym. Casey czekała, aż wsadzą Jacka i Paisleya do zamykanego na klucz magazynku Larissy. Musieli obiecać nauczycielce, iż rano złożą jej pełne sprawozdanie. Dopiero wtedy zgodziła się wrócić do łóżka.

Po drodze na piętro, do osobnych pokoi, Casey w końcu wyznała Damianowi:

- Nie zdążyłam ci jeszcze powiedzieć, że Jack nie jest Henrym.

Usłyszawszy te słowa, Damian zamarł w bezruchu.

- Mówisz, że to jeszcze nie koniec?

- Przepraszam, nie o to mi chodziło. Masz właściwego człowieka, tylko od samego początku to nie był Henry. Z tego, co powiedział mi Jack. Henry zginął, gdy obaj się pobili. Zginął

przez przypadek, ale Jack nie miał z tego powodu zbyt dużych wyrzutów sumienia. Wybrał się do Nowego Jorku, by odwiedzić rodzinę, a kiedy Henry zmarł, jego bliźniak postanowił

wyciągnąć z tej podróży korzyści i przejął postać oraz pracę Henry'ego na czas potrzebny do tego, by ukraść z waszej firmy pieniądze.

- To znaczy, że jest tylko złodziejem. Dlaczego więc zabił mojego ojca?

- Sądzę, że starszy pan znał Henry'ego lepiej niż większość ludzi. Zwrócił uwagę na to, że księgowy dość dziwnie się zachowuje. Przypuszczam, że Jack wcale nie był taki dobry w odgrywaniu swojego brata. Twój ojciec zaczął zadawać pytania. Jego podejrzliwość zaniepokoiła Jacka. Reszty na pewno sam się domyślasz,

- A zatem, gdyby mój ojciec nie zauważył w zachowaniu Jacka niczego dziwnego, mógłby wciąż żyć?

- Tak mi się wydaje. Jack chciał, by cała wina za kradzież spadła na Henry'ego, a Henry'ego, oczywiście, nigdy by nie znaleziono, ponieważ już nie żył. Jeśli się nad tym zastanowić, był

to niegodziwy, ale logiczny plan. Pod koniec Jack zaczął się jednak martwić, że pan Rutledge z powodu swoich podejrzeń może przepytac ciotkę. Wówczas dowiedziałby się, że Henry ma brata bliźniaka, a na dodatek - że ten ostatnio był w Nowym Jorku. To by wystarczyło, by wskazać palcem prawdziwego sprawcę.

Damian westchnął.

- Wypada mi żałować, że mój ojciec był taki przenikliwy.

- Możesz rozpaczać z tego powodu, ale to i tak niczego nie zmieni, prawda? Ta sprawa należy do przeszłości, masz natomiast w rękach człowieka, który jest za wszystko odpowiedzialny. Sprawiedliwości stanie się zadość.

- Tak, to niewielkie pocieszenie, ale lepsze niż nic - odparł Damian.

Casey przytaknęła i dalej szła po schodach. Kiedy znalazła się przy swoich drzwiach, postanowiła poruszyć jeszcze jeden temat.

- A tak przy okazji - dorzuciła z pewnym rozczarowaniem - gdy następnym razem będziesz mi rzucał rewolwer z pustym magazynkiem, powiedz mi po prostu, że nie ma w nim naboju.

Do śmierci brakowało mi zaledwie kilku sekund, a wszystko dlatego, że wypaliłam do Jeda, nie mając w kolcie kuli.

- Przepraszam - powiedział, oblewając się pąsem. - Wiesz, że rewolwery nie są moją mocną stroną. Nawet nic przyszło mi na myśl, by sprawdzić magazynek. Prosiłaś o naboje. Dostałaś je, całe pudełko. Pomyślałem, że może przyda ci się też dodatkowy rewolwer, to wszystko.

Zarumieniła się po tym wyjaśnieniu, zdając sobie sprawę, iż wina leżała po jej stronie. Mogła w restauracji poświęcić trochę czasu i załadować tę cholerną zabawkę.

- To teraz nie ma znaczenia. - Potem przyznała: - Natomiast doskonale wybrałaś czas.

Pewnie zresztą zauważyłeś. Tam, w tej chacie, uratowałeś mi życie. Dziękuję, Damianie.

- To ostatnia rzecz, za jaką powinnaś mi dziękować odparł z półuśmiechem.

Potem nagle przeszył ją wzrokiem, sprawiając, że Casey poważnie się zaniepokoiła. Może powinna mu wspomnieć, że... darzy go... uczuciem, na wypadek gdyby jeszcze się tego nie domyślił. Nie wiedziała jednak, czy to coś zmieni. On i tak nic zechce się z nią ożenić. Nadal nie będzie chciał żony takiej jak ona. A ona chyba zwariuje, jeśli bez przerwy będzie o tym myśleć.

- Dobranoc - powiedziała szybko, po czym weszła do pokoju i zamknęła drzwi.

Potykając się w ciemności, dotarła do łóżka i rzuciła się na pościel. Po policzkach dziewczyny potoczyły się łzy.

Niewiele zostało jej już do końca roboty, do której została wynajęta. Prawdę mówiąc, Casey zrobiła, co do niej należało. Gdy tylko dostanie pieniądze, nie będzie miała powodu, by dłużej zwlekać z powiedzeniem Damianowi „do widzenia”. Na tę myśl czuła potworny ból.

Damian stał na korytarzu i przez długą chwilę patrzył na zamknięte drzwi, zastanawiając się, czy zapukać i wyciągnąć Casey z pokoju. Nawet uniósł rękę do połowy wysokości, potem jednak powoli ją opuścił.

Znowu postępowała, jakby się ze sobą nie kochali, jakby nic ich nie łączyło. Starła się nie patrzeć mu w oczy. Czy tak się wstydziła tego, co zrobili? A może większym powodem do wstydu był dla niej fakt, że kochała się właśnie z nim?

Taka możliwość nie przyszła mu wcześniej na myśl, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że jej zdaniem brakowało mu tych wszystkich cech, które wyraźnie podziwiała u mężczyzny.

Nazywała go żółtodziobem, i to w najbardziej uwłaczającym znaczeniu tego słowa. Ale Casey mieszkała w krainie, która wciąż żyła przeszłością. Współczesne miasta zachodu tylko nieznacznie różniły się od tych, które budowano tu pięćdziesiąt lat wcześniej. Tymczasem wschodnie metropolie rozrastały się w niesamowitym tempie, co było całkiem zrozumiałe, jako że zbliżało się następne stulecie. Czy miał zlekceważyć postęp i wszelkie udogodnienia tylko dlatego, że Casey to robiła?

Dlaczego on się w ogóle nad tym zastanawia? Wkrótce się rozstaną. Jego partnerka nie może się doczekać powrotu do domu, gdzie pragnie dowieść ojcu swoich racji. Na różne sposoby pokazała, że bliższe stosunki między nimi są błędem. Ani razu nie zachęciła go, by kontynuował swoje starania. Damian westchnął i wrócił do swojego pokoju. Przypuszczał, że to nawet dobrze. Nic mógł sobie wyobrazić Casey wydającej z nim uroczystą kolację - co w końcu jego żona powinna robić bez kładzenia na stole sześciostrażłowca. Nic przypuszczał, by poradziła sobie z prowadzeniem raczej dość dużego domu. Z pewnością widział ją w swoim łóżku, tylko gdzie należałoby umieścić ów mebel? W jakiejś mało znanej zachodniej miejscinie? Mając tak niezależny charakter, prawdopodobnie chciałaby go utrzymywać.

Nie, dobrze, że się rozstają. Tylko chciałby nie odczuwać z tego powodu takiego cholernego żalu.

Kiedy następnego ranka zawieźli Jeda do przedsiębiorcy pogrzebowego, wokół nich zebrał

się niemały tłum, ale tego można się było spodziewać, biorąc pod uwagę fakt, że Jack i Jethro powiązani byli jak koguty gotowe do walki. Ludzie, którzy wyglądają na więźniów, niezmiennie zwracają na siebie uwagę. Prawdę mówiąc, tak było zawsze i zazwyczaj okazywało się zbawienne. Tak samo stało się i tym razem.

Szeryf wyszedł na werandę, by się z nimi spotkać, zdając sobie sprawę, że tłum podchodził

coraz bliżej. To, czy człowiek noszący odznakę siedział Jackowi w kieszeni, czy nie, w tej chwili nie miało żadnego znaczenia. Jeśli chciał zachować pracę, musiał przestrzegać prawa, przynajmniej w tej konkretnej sytuacji. Musiał w jakiś sposób zareagować na padające z tłumu oskarżenia ludzi, którzy korzystali z faktu upadku Jacka. Dotychczas za bardzo bali się.

by się skarżyć na groźby związane z głosowaniem. Teraz czuli się znacznie pewniej.

Damian ułatwił szeryfowi przejście do przeciwnego obozu, już na samym początku powiadamiając go, że zabiera Jacka do Nowego Jorku, gdzie czeka go proces za morderstwo.

Tylko Jethro został oddany w ręce miejscowego przedstawiciela prawa. Elroya wciąż należało aresztować, ale łatwo było go znaleźć, gdyż odniesione rany przykuły go do łóżka.

Damian wyjął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył, by szeryf mógł ją przeczytać. Casey z trudem ukryła zaskoczenie, gdy zerknęła swojemu partnerowi przez ramię i zobaczyła, co to jest - dokument mianujący go na stanowisko zastępcy szeryfa. No cóż, do diabła, mógł jej przynajmniej powiedzieć, że to prawda. Wtedy chociaż nie musiałyby wyciągać pochopnych wniosków. Oczywiście, nie wiedział, że mu nie uwierzyła.

Była to dla niej prawdziwa niespodzianka, jakkolwiek nuda. Casey musiała też przyznać, że Damian w tradycyjnym stroju, to znaczy w swoim eleganckim garniturze, wyglądał na przystojnego zastępcę szeryfa, nawet jeśli wykonywał to zajęcie chwilowo i miał tylko jeden cel - odnalezienie i aresztowanie Curruthersa.

Wyjechali z Culthers późnym rankiem, wioząc ze sobą związanego Jacka. W Sanderson przez jakiś czas czekali na odjazd zmierzającego na wschód pociągu, ale już wkrótce podróżowali w komfortowych warunkach - wagon Damiana wciąż na nich czekał.

Pozostało jeszcze znalezienie banku, który mógłby przelać odpowiednie fundusze potrzebne do zapłacenia Casey, dlatego wciąż jechała z nim, przynajmniej na razie. Chciałaby, by było inaczej, ponieważ im dłużej przebywała w jego towarzystwie, tym bardziej żałowała, że nie będzie mogła cieszyć się nim na stałe. Obrwała więc drugie możliwe rozwiązanie, to znaczy na tyle, na ile było to możliwe, starała się ignorować Damiana. A jeśli udało mu się przechwycić jej spojrzenie, no cóż, po prostu udawała, że jest pogrążona w zadumie i nawet jeśli jej oczy na coś się zatrzymują, to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Musieli ponownie przejechać przez Langtry, ale tym razem był to zaledwie kilkugodzinny postój,

dlatego oboje uznali, że najchętniej zrobią, jeśli po prostu zostaną w wagonie. Z

wiadomych względów żadne z nich nie chciało ryzykować ponownego spotkania z nieprzewidywalnym sędzią Beanem.

Niestety, wagon pulmanowski został w mieście zapamiętany, a sędziemu musiało brakować pieniędzy na whisky, ponieważ mniej więcej dwadzieścia minut po przyjeździe pociągu do drzwi salonki zapukał woźny sądowy. Casey poważnie brała pod uwagę odrzucenie ponownego „zaproszenia” przed ławę przysięgłych. Mogła wyprowadzić Starego Sama z pociągu i uciec, nim woźny sądowy zdołałby zwołać pościg i tym sposobem próbować zmusić ją do posłuszeństwa. Ale postępując w taki właśnie sposób, musiałaby zostawić Damiana, który już sprzedał swojego konia, pozbył się również wierzchowca Jacka. Z

pewnością nic mogli we trójkę jechać na grzbiecie Starego Sama.

Nie mając zatem zbyt wielkiego wyboru, razem z Damianem stanęła przed obliczem Roya Beana. W saloonie byli leż sędziowscy kumple od kieliszka. Sam Bean obdarzył Casey i Damiana promiennym uśmiechem, który jedynie zwiększył nieufność dziewczyny.

Woźny, który ich przyprowadził, przez chwilę szeptał cos sędziemu na ucho. Bean wyglądał

na zaskoczonego. Niezależnie od tego, z jakiego powodu kazał ich tu przyprowadzić, teraz trafił mu się jeszcze inny kasek.

Nie trzymał ich długo w niepewności. - Woźny sądowy powiada, że w swoim eleganckim wagonie macie więźnia. To ten facet, którego szukaliście?

- Tak - odparł Damian.

- No cóż, niech to diabli - mruknął Bean, a potem z uśmiechem zerknął w stronę swoich kumpli, którzy stali rzędkiem przy barze, stanowiąc niemal stały element wystroju tego wnętrza. - Wygląda na to, chłopcy, że będziemy kogoś wieszać.

Damian potrząsnął głową i rzucił na stół swoją nominację na stanowisko zastępcy szeryfa.

- Obawiam się, że nie. Jestem przedstawicielem prawa. Mam dowieźć tego człowieka do Nowego Jorku i postawić przed tamtejszym sądem, ponieważ to właśnie tam popełnione zostało przestępstwo.

Bean był zdecydowanie zawiedziony, nawet ciężko westchnął, nim przyznał:

- A więc to tak. Szkoda. Chyba bym go powiesił. Damian schował swoją nominację i powiedział:

- Dziękuję. Wysoki Sądzie. Jeżeli to wszystko...

- Zaraz, zaraz - przerwał mu sędzia. - Prawdę mówiąc, to nie wszystko. Wciąż jesteście małżeństwem?

Casey mimo woli przypomniała sobie, jak gorliwie Damian szukał sędziego, który zmieniliby ten stan rzeczy, odparta więc opryskliwie:

- Tylko dlatego, że po drodze do Sanderson nie znaleźliśmy żadnego sędziego... Wysoki Sądzie.

Bean ponownie się uśmiechnął.

- Nie bez powodu powiadają, że jestem jedynym przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości na zachód od Pecos, panienko. Teraz muszę wam powiedzieć, że po waszym wyjeździe z miasta przyszło mi na myśl, iż w stosunku do was dopuściłem się pewnego niedbalstwa.

Dopełniłem swojego obowiązku - tak przynajmniej mi się wydawało -ponieważ wszystko wskazywało na to, że podróżujecie w grzechu. Zapomniałem jednak wspomnieć o tym, co normalnie mówię ludziom, którym udzielam ślubu. Że jeśli małżeństwo im nie odpowiada, w każdej chwili za następne pięć dolarów mogą dać im rozwód. A ponieważ właśnie przyznałaś, że szukacie możliwości rozwiązania tego węzła, sądzę, iż równie dobrze mogą zrobić to ja.

Tak więc, na mocy posiadanego prawa, udzielam wam rozwodu. - Jego młotek stuknął o stół.

- Pięć dolarów. Płatne u woźnego sądowego.

W następnym mieście pociąg zatrzymał się na całą noc. Był tu również większy, mający szersze kontakty bank, mo-gący dokonać przelewu znacznej ilości pieniędzy. Na dodatek przyjechali tak wcześnie, że Damian zdążył wystawić na Casey przelew, który wręczył jej tego wieczoru podczas kolacji w małej restauracji nieopodal hotelu.

A zatem stało się. Otrzymała zapłatą i nie byli już małżeństwem. Wciąż zmierzali w tym samym kierunku, ale nie musieli podróżować razem. Casey równie dobrze mogła zaczekać na następny pociąg albo pojechać dalej konno. Nie miała zamiaru przedłużać swoich cierpień, zwłaszcza że teraz wcale już nie musiała. A były to prawdziwe cierpienia.

Patrzyła na Damiana siedzącego w małej restauracji po przeciwnej stronie stolika i miała wrażenie, że serce jej pęka. Tymczasem Damian przeglądał menu, nie zdając sobie sprawy z jej rozpacz. Od „rozvodu” był bardzo kapryśny, ale Casey go rozumiała. Pragnął tego, jednak sposób rozwiązania sprawy klócił się z wyznawanymi przez niego zasadami, ponieważ tak samo jak w przypadku małżeństwa również jego unieważnienie przeprowadzone zostało bez pytania o zgodę.

Głupi sędziowie w rodzaju Beana bawią się ludzkim losem, zresztą tylko po to, by zaspokoić swoje potrzeby finansowe. Należałoby ich wyjąć spod prawa, choć, być może, jest to już wymierający gatunek. Jednak ludzie, których kosztem się zabawili, na razie nie mają wyjścia... mogą jedynie dalej iść przez życie.

Casey miała zamiar tak właśnie postąpić. Nie chciała jednak mówić „do widzenia”. Nie mogła dopuścić do tego, by na oczach Damiana wybuchnąć płaczem, a niestety, prawdopodobnie tak by się stało, gdyby musiała się z nim pożegnać na zawsze. Damian spodziewał się, że następnego ranka ujrzy ją w pociągu. Postanowiła zatem, że rozstaną się jeszcze tego wieczoru.

Zatrzymali się w tym samym hotelu - tym razem nawet nie zadała sobie trudu, by poszukać jakiegoś pensjonatu. Ale powrót z restauracji był dla niej jednym koszmarem. Damian mówił

o przyziemnych sprawach. Casey w ogóle się nie odzywała - miała zbyt ściśnięte gardło, by zdobyć się na słowa.

Jednak po otwarciu drzwi do swojego pokoju odwróciła się, pragnąc po raz ostatni zerknąć na Damiana, odnotować drobiazgi, by później mieć co wspominać - delikatny zarost na policzkach, zdecydowane wargi, które czasami potrafią być niewiarygodnie delikatne, włosy dłuższe niż zazwyczaj i wpatrujące się w nią z natężeniem jasnoszare oczy.

To była zbyt wielka pokusa, by się jej oprzeć. Tylko ostatni dotyk. Chciała na pożegnanie jeszcze raz go pocałować, nic więcej. Wyszło jednak zupełnie inaczej.

Kiedy stanęła na palcach, Damian musiał zrozumieć, że chodzi jej o coś więcej, i potraktował to jako wstęp. Chwycił ją w objęcia i nie puścił. Temu również nie zdołała się oprzeć. Zresztą co komu może szkodzić, jeśli pożegnają się w taki sposób? A wszystko było dla niej o wiele ważniejsze, ponieważ wiedziała, że to ostatni raz.

Musiał czuć to samo. Chociaż spodziewał się, że jeszcze ją zobaczy, widocznie zdawał sobie sprawę, iż kochają się po raz ostatni. Dlatego był ostrożniejszy i czulszy.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Potem powolutku ją rozbierał, zbyt zajęty całowaniem każdego odsłoniętego przez siebie kawałka skóry. Szczególną uwagę poświęcił jej ramionom, szyi, a nawet palcom. W jego pocałunkach i pieszczocie nie było pospiechu, jedynie wzruszająca czułość.

Casey również bez wahania go pieściła. Odgłosy, jakie przy tej okazji wydawał Damian, jeszcze bardziej zachęcały ją do dalszych poszukiwań. Czowała mięśnie prężące się pod skórą.

Znalazła jego wrażliwe miejsca. Podziwiała to, co było takie twarde. Ośmielona, podjęła dalsze kroki, nie pominęła żadnej części jego ciała. Nawet ten zdecydowany męski przymiot pod czubkami jej palców nabierał większej śmiałości, a przy mocniejszym uścisku - siły.

Kontrasty, tak oczywiste, a jednocześnie zdumiewające, powierzchnie o różnej fakturze, oddzielające je przestrzeże. Tak czy inaczej to, co sprawiało przyjemność jej, cieszyło i jego.

Pod tym względem nic było żadnej różnicy, jedynie zdumienie, że tak właśnie jest.

Ciało Damiana było niezwykle fascynujące. Nawet jego zapach upajał jej zmysły. A ten smak

- nie szczędziła mu pocałunków. Ustaliwszy tempo leniwych, zmysłowych poszukiwań, dał

jej czas na zrobienie wszystkiego, o czym dotychczas tylko marzyła.

Jednak taka przyjemność nie mogła trwać wiecznie. Po jakimś czasie krążąca w ich żyłach krew zaczęła kipieć. Skóra, rozkoszująca się delikatną pieszczotą, wkrótce stała się zbyt wrażliwa, by

przyjąć więcej. Krótkie dreszcze zamieniły się w stały niepokój. Każdy nerw żywo pulsował. Kiedy Casey doszła do wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma, Damian w końcu przyciągnął ją do siebie i wsunął się w nią.

Przez cały czas wpatrywał się w Casey, a jego spojrzenie było niemal tak samo zmysłowe jak znajdujący się w niej członek. Potem zaczął się poruszać - powoli się wycofywał i energicznie sunął do przodu, w przerwie obdarzając Casey namiętym pocałunkiem. Potem cały cykl zaczynał się od nowa. Jego kochanie było cudowne, porywające.

Wkrótce nadeszła fala czystej rozkoszy i uniosła Casey do królestwa ekstazy, pobudzając zmysły i nasycając dziewczynę. Fakt, że oboje osiągnęli to najwspanialsze uczucie jednocześnie, nappełnił jej serce radością.

Przytuliła go mocno do siebie. Cudem udało jej się opanować łzy. Przez tę krótką chwilę Damian należał tylko do niej. Mogą się rozstać, ale ona nigdy nie zapomni żółtodzioba i nigdy nie przestanie go kochać. Spróbuje jednak odsunąć na bok okropny ból. Miała nadzieję, że pewnego dnia bez żalu cofnie się pamięcią wstecz i po prostu przypomni sobie tę piękną chwilę życia.

Rozdział 43

Courtney była na zachodnim skraju rancza. kiedy zobaczyła zbliżającego się do niej Chandosa. Natychmiast szturchnęła piętami swojego wierzchowca i ruszyła pędem w stronę męża. modląc się, by tym razem został już w domu na dobre.

Od siedmiu miesięcy było jej bardzo ciężko nie tylko dlatego. że Casey uciekła. Nie chodziło również o to, że podczas nieobecności Chandosa głównie na nią spadła odpowiedzialność za prowadzenie K.C. Przede wszystkim nie lubiła tak długich rozstań z mężem.

Dotarła do niego i wydusiła:

- No cóż, do diabła, chyba już najwyższy czas.

Szybko zeskoczyła z konia i rzuciła się w otwarte ramiona Chandosa.

Usłyszała jego chichot, ale w chwilę później znalazł jej usta i złożył na nich płomienny, pełen tęsknoty pocałunek. Kiedy odsunęła się od niego, by nacieszyć nim swoje oczy. brakowało jej tchu. Dostrzegła przede wszystkim, że Chan-dos się uśmiecha. Nie zwróciła uwagi na jego zaniedbany zarost i długie włosy, które musiał zapleść w warkocz. Widziała tylko ten uśmiech... i pełne ognia błyski w jasno-błękitnych oczach.

Zmienił się bardziej przypominał dawnego Chandosa. Zauważyła to, gdy w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy kilkakrotnie pojawił się w domu, teraz jednak było to widać o wiele wyraźniej. Zniknęła złość. W jego oczach ponownie zapłonął płomień. Chociaż była bardzo zła, nie mając przy sobie męża i córki, chętnie podziękowałaby Casey za zmianę, jaka nastąpiła w jej ojcu.

To był dla Chandosa dobry, uzdrawiający okres, ponieważ robił coś, co uważał za użyteczne, coś, w czym był dobry i dzięki czemu nie był skazany na monotonną pracę, za jaką uważał

prowadzenie rancza, zwłaszcza po śmierci Fletchera. Póki żył ojciec, Chandos starał się przejść samego siebie, jeśli chodzi o zajmowanie się własną posiadłością, gdyż koniecznie chciał udowodnić starszemu panu, że robi to lepiej niż on. Niestety, ta motywacja zmarła wraz z Fletcherem.

- Czy mogę mieć nadzieję, że to nie następna krótka wizyta w domu? - spytała Courtney.

Chandos nie potrzebował dużo czasu, by znaleźć Casey po jej ucieczce z domu. Courtney myślała, że będzie to koniec sprawy i że Chandos przywiezie córkę prosto do domu. On jednak wcale tego nie zrobił. Ponieważ miał wyrzuty sumienia, że dziewczyna uciekła przez niego, postanowił pozwolić jej dowieść swoich racji. Jedynie „obserwował” poczynania Casey.

- Jest już po wszystkim, Cateyes - wyjaśnił z krótkim westchnieniem. - Nasza córka wraca dzisiaj popołudniowym pociągiem. Pozostaje pytaniem, czy przed zmrokiem dotrze na ranczo. Wlecze się, jakby szła na ścięcie.

- To zrozumiałe. Prawdopodobnie boi się spotkania z tobą. Potrząsnął głową.

- Moim zdaniem nie o to chodzi. Gdyby tak było, z niecierpliwością oczekiwałaby chwili, kiedy będzie mogła pochwalić się tym, co osiągnęła. Odkąd jednak ruszyła w drogę powrotną, widziałem ją kilka razy. Odniosłem wrażenie... sam nie wiem... że jest bardzo smutna.

- Czy ostatnio stało się coś, o czym nie wspomniałeś w swoich telegramach i listach?

- Tak, dużo rzeczy, ale nie wiem, co wywołało u niej taki smutek. Doprowadziła do końca tę ostatnią robotę, której się podjęła, rozstała się z żółtodziobem, który ją zatrudnił... chyba że spoglądając śmierci w oczy, zdała sobie sprawę, iż wzięła na swoje barki więcej, niż była w stanie unieść.

- Spoglądała śmierci w oczy? Spoglądała śmierci w oczy! Kiedy, do diabła, to się stało?

Miałeś pilnować, żeby nigdy nie groziło jej nic poważnego!

Uśmiechnął się do żony z lekką drwiną.

Nie mogłem być przy niej za każdym razem, kiedy strzeliło jej do głowy, by wyciągnąć rewolwer z kabury. Kilka razy zdołała mnie zgubić. Musiałem ją wtedy ścigać.

Kiedy otarła się o śmierć? - spytała Courtney. - T jak don tego doszło?

- Jej ostatnia robota okazała się bardziej niebezpieczna, niż przypuszczałem. Człowiek ze wschodu wynajął ją, by znalazła kogoś o nazwisku Curruthers. Tyle udało mi się dowiedzieć podczas przepytывania ludzi, u których ona wcześniej próbowała zasięgnąć informacji.

Curruthers również pochodził ze wschodniej części kraju, co wprowadziło mnie w błąd.

- Był bardziej niebezpieczny, niż myślałeś?

- Nie, prawdę mówiąc, on sam okazał się nieszkodliwy, ale otoczył się znacznie groźniejszymi od siebie, wynajętymi rewolwerowcami. Casey zostawiła mnie w Sanderson, skąd wyjechała w środku nocy, znikając bez śladu. Gdy ją ponownie znalazłem, właśnie brała udział w pojedynku,

- Co takiego?

- Uspokój się, Cateyes. Bez trudu wygrała i teraz wydaje mi się, że to było cholernie śmieszne. Wtedy jednak, gdy widziałem, jak wokół niej świszczą kule. wcale nie było mi do śmiechu. Prawdę mówiąc, uznałem, że pora z tym skończyć. Miałem zamiar zabrać ją do domu, gdy tylko opadnie kurz.

- Powiedz mi, do jasnej cholery, co może być zabawnego w tym, że nasza córka się pojedynkowała - rzuciła z napięciem, pomimo sugestii męża nie mogąc się uspokoić.

- No cóż, wyobraź sobie, co wówczas zobaczyłem. Casey stała na środku ulicy z pozoru spokojnego miasteczka, ubrana w jedną z najelegantszych sukienek, jakie kiedykolwiek miała na sobie, z pasem od rewolweru na biodrach, na wszystkich tych koronkach...

- Uważasz to za śmieszne?

- Ty też tak pomyślisz, jeśli tylko przestaniesz patrzeć na mnie z taką złością... Nie zapominaj tylko, że Casey jest cała i zdrowa. I wraca do domu.

Courtney prychnęła oburzona, ale nie była już taka zła.

- No dobrze, może kiedyś uznam to za zabawne... na przykład, gdy będę miała sto dziesięć lat. A teraz powiedz mi dlaczego nie ściągnąłeś jej wtedy do domu.

Zmarszczył czoło, gdy sobie przypomniał.

- Ponieważ mój głupi koń okulał.

- Ale byłeś w tym samym mieście co Casey - przypomniała mu Courtney, również marszcząc czoło. - Więc co ma z tym wspólnego twój koń?

- Te dranie, z którymi walczyła, wcale nic mieli zamiaru poprzestać na uczciwej walce. W

tym momencie włączyłem się do rozgrywki, osłoniłem ją ogniem, by mogła uciec ze środka ulicy, co też zrobiła. Po chwili pojawił się również żółtodziób... widocznie jakimś cudem rozdzielili się po wyjeździe z Sanderson. Tak czy inaczej strzały padały z obu stron ulicy, ale kiedy ustały, zbyt późno zorientowałem się, że i jedni, i drudzy wycofali się, korzystając z tylnych wyjść. Spotkali się ponownie w miejskiej stajni i niezależnie od tego, co tam się stało, wyjechali z miasta, zabierając ze sobą związaną Casey.

Courtney westchnęła.

- W porządku, teraz rozumiem, że okulawiony koń mógł ci wówczas przeszkodzić w położeniu kresu całej sprawie.

- Było jeszcze gorzej - wyznał, ponownie marszcząc czoło. - Natychmiast wyruszyłem za nią.

Rutledge również, na dodatek był przede mną.

Ten człowiek ze wschodu? Chandos przytaknął.

- Ślad prowadził na południe, drogą do Sanderson, ale w ten sposób jedynie chcieli zmylić ewentualny pościg. Znalazłem miejsce, gdzie zjechali z drogi i skierowali się na zachód.

Nawet w końcu ich zobaczyłem. Rutledge jeszcze tego nie odkrył i kluczył gdzieś za mną.

- A potem okulał ci koń? Przytaknął i westchnął.

- Miałem zamiar zatrzymać Rutledge'a i zabrać mu wierzchowca. Nie sądziłem, by żółtodziób mógł się Casey na coś przydać, nawet gdyby ich dogonił. Ale ten cholerny facet tylko przemknął koło mnie. Był za daleko, żeby go zatrzymać. Przypuszczalnie w ogóle mnie nie zauważył, tak zależało mu na złapaniu Curruthersa. Znajdowałem się wtedy dobre osiem kilometrów od miasta. Nim zdobyłem następnego konia, już wracali do Sanderson ze związanymi więźniami.

- On ją uratował?

- Wątpię - odparł z niechęcią Chandos. - Prawdopodobnie sama sobie poradziła, nim ją znalazł, chociaż bardzo chciałbym wiedzieć, jak jej się to udało. Jeden z tych bandytów nie żył, a pozostali dwaj byli powiązani jak indyki gotowe do pieca.

Więc zapytaj ją, gdy wróci do domu zasugerowała Courtney. - Chyba że wciąż chcesz, by Casey myślała, iż nie udało ci się jej znaleźć? Chandos wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Zaczekajmy i najpierw zobaczymy, co będzie miała nam do powiedzenia. Ale jest już po wszystkim, Cate-yes. Tego jestem pewien. Może tobie uda się dowiedzieć, czemu nasza córka nie jest szczęśliwa, chociaż wraca do domu?

Rozdział 44

Casey zatrzymała się na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na Bar M, i z perspektywy czasu zaczęła się zastanawiać, czy to ranczo było tego warte. Obawiała się, że zbyt wiele cech odziedziczyła po ojcu i dziadku. Była uparła, nieustępliwa i pewna, że tylko ona wie, co najlepsze. Koniec końców nie miała wcale pewności, czego właściwie dowiodła.

Chciała uratować przed ruiną dziedzictwo po Fletcherze. Był to szczytny cel. tak przynajmniej wówczas sobie wmawiała. Tylko czy to ranczo rzeczywiście przestałoby istnieć, gdyby ona nigdy więcej nic postawiła na nim stopy? Czy Chandos naprawdę by do tego dopuścił? Prawdopodobnie nie. Po prostu była zbyt przekonana o swojej słuszności, uważając, że tylko ona jedna może uratować gospodarstwo dziadka. W głębi duszy obruszyła się. Nie było jej od siedmiu miesięcy, tymczasem

ranczo nadal jakoś prosperowało.

Teraz będzie musiała wyjaśnić swoje rozumowanie rodzicom, chociaż sama przestała wierzyć w jego słusność. Postąpiła głupio i musiała się do tego przyznać.

Casey odwróciła Starego Sama i szturchnęła piętą zadek konia, zmuszając go do pokonania ostatniego odcinka dzielącego ich od domu. Przyjechała w porze kolacji, była więc szansa, że zastanie oboje rodziców w jadalni. Tak też się stało. Stała w drzwiach eleganckiego pokoju i poczuła, że w swoim zakurzonym ponchu w ogóle nie pasuje do tego świata. Nic więc dziwnego, że nie potrafiła wydusić z siebie ani jednego z zaplanowanych wcześniej słów. Tak dobrze było wrócić do domu. Tęskniła za matką i ojcem, naprawdę bardzo za nimi tęskniła, ale z jakiegoś powodu czuła, że to nie jest już jej miejsce, a ta świadomość bolała bardziej niż wszystko inne.

Miała nadzieję, że to jedynie przemijający smutek. W końcu tu był jej dom. Wiedziała, że zawsze będzie w nim mile widziana. Zawsze jednak myślała, że pewnego dnia, gdy znajdzie odpowiedniego mężczyznę, wyjedzie stąd na dobre...

- Musiałaś obciąć swoje piękne włosy, Casey? - spytała Courtney pełnym dezaprobaty tonem.

Z pewnością nie takich słów Casey się spodziewała po siedmiomiesięcznej nieobecności, dlatego spojrzała na matkę z niedowierzaniem. Czy na tym koniec besztania? Nie śmiała nawet zerknąć w stronę ojca, bojąc się, że ujrzy złość na jego twarzy. Na razie nic krzyczał...

ale to zrobi. - Odrosną - odparła bez przekonania.

Courtney uśmiechnęła się i wstała, by wyciągnąć ramiona.

- To prawda. A teraz chodź tutaj.

Casey na to czekała, na to liczyła, dlatego bez wahania padła matce w objęcia... i natychmiast wybuchnęła płaczem. Przez szloch słyszała uspokajający głos matki, jednak łzy nie przestały płynąć, wręcz pojawiło się ich jeszcze więcej.

Casey w tylu sprawach potrzebowała przebaczenia. Tak bardzo się niepokoiła, że już nigdy nie będzie dobrze. Rodzice zazwyczaj potrafią przeciwstawić się wszystkiemu, co w życiu dziecka przybrało zły obrót, ale Casey była już w takim wieku, że jej kłopotom nic mogli łatwo zaradzić.

Udało jej się wymyślić tylko jedno.

- Przepraszam! - wyłkała. - Teraz już wiem, że nie powinnam uciekać z domu.

- Casey. kochanie, ciii... - szeptała Courtney. - Liczy się tylko to, że wróciłaś cała i zdrowa.

Wszystko inne jakoś się ułoży.

To nieprawda, ale Casey nie miała zamiaru sprzeczać się z matką. Otrzymała ułaskawienie.

Nikt nawet nie poprosił o wyjaśnienie...

- Może przynajmniej powiesz nam, dlaczego wtedy postanowiłaś opuścić dom?

Casey niemal się zakrztusiła. Otarła łzy z policzków i cofnęła się, by obdarzyć matkę półuśmiechem. Tego przynajmniej się spodziewała.

- No cóż, chyba nie muszę tłumaczyć, czemu wykradłam się chyłkiem w środku nocy. To było jasne. Gdybym powiedziała wam, co zamierzam, prawdopodobnie zamknęlibyście mnie, a klucz wrzucili do najbliższej studni.

- Bardzo możliwe odparła Courtney z uśmiechem. -A dlaczego uciekłaś?

Casey w końcu zerknęła na ojca, który wciąż siedział w tym samym miejscu i patrzył na nią...

z nieprzeniknioną miną. Wcale nie żałowała, że na razie na nią nie nakrzyczał, ale przynajmniej mógłby wyglądać na złego.

- To był głupi powód. Żałuję, że w ogóle przyszedł mi do głowy. Po prostu chciałam udowodnić, że poradzę sobie z Bar M. Tatusz uważał, że tylko mężczyzna da sobie radę z prowadzeniem tego rancza. Postanowiłam zająć się czymś, co jest zarezerwowane tylko dla mężczyzn, i zarobiłam więcej niż niektórzy z nich przez całe życie.

- Czy musiałaś wybrać tak niebezpieczne zajęcie? - spytał Chandos cicho.

Casey skuliła się.

- To znaczy, że byłeś blisko, prawda? Na tyle blisko, by dowiedzieć się, co robię?

- Znacznie bliżej, dziecinko.

Casey zamarła w bezruchu, choć wcale nie dlatego, że nazwał ją dziecinką. Po chwili wahania spytała:

- To znaczy?

- Czy naprawdę sądzisz, że mogłaś mnie zwodzić przez te wszystkie miesiące?

Casey w głębi duszy westchnęła. Nigdy tak nie myślała. Prawdę mówiąc, od pierwszego dnia spodziewała się, że lada chwila zobaczy ojca. Trochę ją martwiło, że się nie pokazał.

- Kiedy mnie znalazłeś?

- Kilka tygodni po twojej ucieczce z domu. Zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem. Dlaczego mi się nie pokazałeś?

- Może dlatego, że to z mojej winy opuściłaś dom, a ja nie chciałem popełniać następnego błędu. Uznałem, że gdy osiągniesz swój cel. będzie po wszystkim, a ja przynajmniej uwolnię się od cholernych wyrzutów sumienia. Po prostu wolałbym, żeby to nie trwało tak długo... i nie było takie niebezpieczne.

- Ale to nic było wcale takie niebezpieczne... przynajmniej przez większość czasu. Kiedy ścigałam przestępców, wykorzystywałam element zaskoczenia.

- Wiem. To słowo naprawdę ją zmartwiło.

- Wiesz? Tylko mi nie mów, że po znalezieniu mnie przez cały czas trzymałeś się w pobliżu.

- Potem Casey sama sobie wszystko wyjaśniła: - Jasne, że tam byłeś. Czekaleś, aż wpakuję się w jakieś tarapaty, prawda? Spodziewałeś się tego!

- Nie. Daj spokój, niepotrzebnie się wściekasz, dziecinko. Do jasnej cholery, wiedziałem, że doskonale się nadajesz do tego. co robisz. Ale jesteś moją córką. Jeśli sądzisz, że mogłem cię tak po prostu zostawić, wiedząc, z jakimi ludźmi masz do czynienia, to grubo się mylisz.

Musiałem być w pobliżu... na wszelki wypadek. Nie mogłem inaczej postąpić, Casey. Miałem do wyboru: albo cię obserwować, albo wrócić z tobą do domu, Casey przytaknęła. Nie bardzo wiedziała, dlaczego jest zaskoczona. Ojciec zawsze ją chronił.

Czemu myślała, że tym razem będzie inaczej?

Potem coś zaświtało jej w głowie i niemal zbladła. Chan-dos przez cały czas szedł za nią krok w krok. Był nieopodal, obserwował ją. Czy był również świadkiem tego, jak ona i Damian kochali się nad strumieniem?

Musiała zapytać:

- Zawsze byłeś blisko mnie? Przez cały czas? Potrząsnął głową.

- Kilka razy udało ci się mnie zgubić. Najdłuższą przerwę miałem, gdy skierowałaś się w stronę Coffeyville. Po-trzebowałem ponad tygodnia, by cię złapać. Fort Worth opuściłaś w chwili, kiedy właśnie tam dotarłem. Musiałem pędzić jak szalony, by znaleźć się na następnym przystanku przed odjazdem pociągu. Kiedy w środku nocy wymknęłaś się z Sanderson, znalazłem cię dopiero po kilku dniach. W trakcie twojego pojedynku w Culthers.

Casey w głębi duszy westchnęła, po czym się skuliła. Ojciec nie widział, jak kochała się z Damianem, ale ta cholerna strzelanina...

- To była z mojej strony potworna głupota przyznała.

- Tak, masz rację.

- Muszę ci powiedzieć, że byłam nieprawdopodobnie przerażona. Nie wiem, jakim cudem udało mi

się wyciągnąć rewolwer, a tym bardziej trafić w tego faceta. To ty kryłeś mnie i Damiana, żebyśmy mogli uciec z ulicy, prawda?

- Tak.

- Tego wieczoru, kiedy trzymali mnie w chacie, na pewno lepiej bym się czuła, wiedząc, że jesteś gdzieś w pobliżu. Zwłaszcza że czekali na pojawienie się Damiana, ponieważ bardzo chcieli go zabić.

- Nie było mnie tam. Mój koń okulał. Zakładam jednak, że jakoś sobie sama poradziłaś.

Przynajmniej na to wyglądało. Gdy w końcu cię dogoniłem, wracałaś do miasta z więźniami.

Casey miała ochotę roześmiać się na wspomnienie swoich kłopotów.

- Sama? Nie, doprowadziłam jedynie do tego, że stanęłam oko w oko ze śmiercią, ponieważ chciałam strzelać do tych facetów z rewolweru z pustym magazynkiem. To Damian wyciągnął nas z tej opresji. W najbardziej odpowiednim momencie wyważył drzwi. Uratował

mi życie.

- Ten żółtodziób?

- Nie bądź taki sceptyczny. Nowojorczyk nigdy nie miał w ręce rewolweru, za to wspaniale posługuje się strzelbą. Poza tym bardzo szybko dostosowywał się do naszych warunków, nim ruszył z powrotem na wschód.

- Dlaczego się do niego przyłączyłaś? Od początku nie mogłem tego zrozumieć.

Casey wyjęła z kieszeni przelew bankowy i rzuciła go na stół, by ojciec mógł nań zerknąć.

- Ponieważ zaproponował mi o wiele więcej, niż warte było jego zlecenie - zbyt dużo, żebym mogła odmówić, zwłaszcza że robota ta sprawiała wrażenie łatwej i najwyżej na kilka tygodni. Wiedziałam, że potem będę mogła wrócić do domu. Uznałam, że trochę ponad dwadzieścia tysięcy dolarów wystarczy, by dowieść, że nie potrzebują męża... przynajmniej póki nie będę gotowa do zmiany stanu cywilnego.

Courtney zasłoniła ręką usta, by ukryć uśmiech, którego nie udało jej się opanować. Twarz Chandosa ponownie stała się nieprzenikniona, w związku z czym trudno było przewidzieć, co za chwilę powie. Jego słowa zaskoczyły Casey.

- Tak, to w wystarczającym stopniu dowodzi twojej racji. Poza tym, gdyby którykolwiek z pracowników Bar M zobaczył cię w akcji w ciągu tych minionych miesięcy, wiedziałby, że i tutaj bez trudu byś sobie poradziła. Wciąż jednak uważam, Casey, że będzie ci trudno zmusić bandę starych i młodych kowbojów do wykonywania twoich poleceń. Kłopot z mężczyznami polega na tym, że w swoim mniemaniu wszystko wiedzą lepiej, a na dodatek większość ich nie potrafi trzymać języka za zębami, jeśli nie zgadza się ze swoim szefem. Tak się dzieje, gdy kieruje nimi mężczyzna.

Jeżeli zabierze się do tego kobieta, wtedy już z pewnością wszystko będą wiedzieli lepiej i bez wahania pokażą młodej damie, gdzie raki zimują. Co będzie, jeżeli udowodnisz im, że są w błędzie?

Casey westchnęła, rozumiejąc, do czego ojciec zmierza.

- Oczywiście, będą niezadowoleni. To skłoni ich do wyrównania rachunków, czyli ponownego pokazania mi, gdzie raki zimują. Jeżeli okaże się, że znowu nie mieli racji, będą jeszcze bardziej niezadowoleni. Gdyby natomiast mieli słuszność, będę musiała ich zwolnić, żeby nie dawali przykładu innym, kwestionując każde posunięcie szefowej.

Chandos przytaknął.

- Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia i o czym - z prawdziwym żalem muszę przyznać - nie wspomniałem wcześniej. Skoro mam to już za sobą, nie będę ci zabraniał

przejęcia Bar M, jeśli wciąż chcesz spróbować. Póki wiesz, czego się spodziewać, nie uznasz ewentualnego niepowodzenia za osobistą porażkę. - Uśmiechnął się, a potem dodał: - Z

drugiej jednak strony, dziecinko, ktoś, kto osiągnął tyle, ile ty w ciągu ostatnich miesięcy, prawdopodobnie znajdzie sposób, by uniknąć tego, co jest łatwe do przewidzenia. Będę dumny, jeśli udowodnisz mi, że się myliłem.

Rozdział 45

Nieco później Casey włożyła starą bawełnianą koszulę nocną i usiadła przed lustrem w swojej przestronnej, biało--różowej sypialni. Stojąca za jej plecami matka szczotkowała córce włosy, jak wówczas, gdy Casey była młodsza. Courtney co chwila syczała, ale to rozczesywanie poplątanych włosów sprawiało dziewczynie przyjemność.

Zgodnie z przewidywaniami Courtney zastukała do drzwi sypialni w chwilę po udaniu się Casey na piętro. Zawsze były sobie bliskie i zawsze chętnie ze sobą rozmawiały. Tym bardziej że o pewnych sprawach nie chciały dyskutować przy Chandosie.

- Trochę się zaokrągliłaś... ale w odpowiednich miejscach - zauważyła Courtney.

Cascy zarumieniła się. Naprawdę tego nie zauważyła, jednak jej piersi i biodra... nareszcie stały się nieco kształtniejsze. Powinna być zadowolona z tej uwagi, zwłaszcza że tak długo na to czekała, ale przyjęła ją obojętnie, co było bardzo wymowne.

- Sądzę, że w końcu zaczął się ten magiczny i wciąż przez ciebie zapowiadany etap rozwoju.

Courtney przytaknęła. Po kilku następnych ruchach szczotką wyznała:

- Zdaniem ojca coś ci dolega. Jesteś nieszczęśliwa z powodu, który ma niewiele wspólnego z całą sprawą. Czy zdarzyło się coś niezwykłego, o czym chciałabyś porozmawiać?

- Jeżeli za coś niezwykłego uznasz zakochanie się, to tak. Przy tych słowach Casey westchnęła. Nie

powinna o tym mówić. Nie było sensu rozmawiać o czymś, czego nic można zmienić ani rozwiązać. Courtney wyglądała jednak na zadowoloną.

- Naprawdę się zakochałaś? Zaczynałam sądzić, że nikt z naszych sąsiadów nigdy nie przypadnie ci do gustu... ale ten człowiek nie jest stąd, prawda? Przypuszczam, że chodzi o tego nowojorczyka.

Casey przytaknęła i ponownie westchnęła, chociaż zapewniła matkę:

- To już skończone.

- Dlaczego?

Casey zamrugła, patrząc na odbicie matki w lustrze. - Może dlatego, że on nie odwzajemnia moich uczuć. Może dlatego, że pochodzi z nowojorskich wyższych sfer, a ja jestem wiejską dziewczyną, której nigdy nie widział w roli swojej żony? A może dlatego, że w tak ogromnym mieście źle bym się czuła i w ogóle sobie nie wyobrażam siebie w takim otoczeniu? A może...

- Może sama piętrzysz przed sobą przeszkody? - zbeształa ją Courtney. - Jesteś pewna, że ten człowiek nie odwzajemnia twoich uczuć? Trudno mi uwierzyć, by jakiś mężczyzna nie potrafił cię pokochać... gdy cię już pozna. Casey roześmiała się.

- Powiedziałaś to, jakbyś... była moją matką.

- Mówię poważnie - obstawała przy swoim Courtney. Jesteś śliczna, inteligentna i niewiarygodnie wszechstronna. Tak dużo potrafisz. Nie masz nic przeciwko wykonywaniu typowo męskich zajęć, a jednocześnie doskonale sobie radzisz z kobiecymi. Moim zdaniem dowiodłaś, że jeśli tylko chcesz, jesteś w stanie zrobić niemal wszystko.

- Nie sądzę, by każdemu mężczyźnie się to podobało - wyznała Casey z lekką drwiną.

- Może masz rację - odparła Courtney. - Ale twoje umiejętności dodają ci nieco pewności siebie, a to jedynie bardziej podkreśla twój urok. On ma na imię... Damian, tak?

- Damian Rutledge... Trzeci.

- Trzeci? To brzmi imponująco. W ogóle mu się nie spodobałaś?

Casey zmarszczyła czoło, przypomniawszy sobie łączącą ich namiętność. Tylko czy miała ona swoje źródło we wzajemnym zauroczeniu, czy po prostu wynikała z tego, że Damian przez większość czasu miał pod ręką tylko Casey?

Odpowiadając, zwróciła matce uwagę:

- Mężczyzna może być kobietą oczarowany, ale to wcale nie znaczy, że widzi ją w roli swojej przyszłej żony. Szukając kandydatki, bierze pod uwagę dużo innych rzeczy, na przykład: czy pasuje do jego świata. Damian nie chciał, żebym została jego żoną, tego jestem pewna.

- Skąd masz taką pewność?

- Ponieważ byliśmy małżeństwem, a on nie mógł doczekać się rozwodu.

Courtney wypuściła z ręki szczotkę.

- Czym byliście?

- Ślubu udzielono nam bez pytania o zgodę, mamusiu, poza tym już został unieważniony.

- Co to znaczy, że ślubu udzielono wam bez pytania o zgodę? Ktoś was do tego zmusił?

Casey przytaknęła.

- Może słyszałaś o tym głupim sędzi, Royu Beanie z Langtry. Uznał, że Damian i ja, podróżując razem, na pewno popełniamy grzech, chociaż wcale tak nie było. Potrzebował

pięciu dolarów, połączył więc nas węzłem małżeńskim, nie pytając nikogo o zgodę. Nic nie mogliśmy na to poradzić.

- To... oburzające! Casey zgodziła się z matką.

- Tak, to prawda. Oczywiście, Damian był wściekły i w każdym mieście, do którego później trafiliśmy, szukał sędziego, który unieważniłby to małżeństwo. Nie znaleźliśmy nikogo kompetentnego. W drodze powrotnej ponownie przejeżdżaliśmy przez Langtry. Wtedy ten wstrętny staruch zrobił to samo - bez pytania nas o zgodę udzielił nam rozwodu... za następne pięć dolarów.

Courtney usiadła przed toaletką obok Casey i wzięła córkę w ramiona.

- Och, kochanie, tak mi przykro. To musiało być dla ciebie bardzo ciężkie przeżycie, jeśli już wtedy go kochałaś.

Casey próbowała zlekceważyć całą sprawę.

- Nieważne. Przez cały czas wiedziałam, że to nie jest człowiek dla mnie, że nasze życie bardzo różni się od siebie i że w ogóle do siebie nie pasujemy. On źle się czuje poza wielkim miastem, ja fatalnie zniosłabym pobyt w metropolii, a nie ma żadnej trzeciej możliwości.

Żałuję jedynie, że moje serce nie wzięło tego pod uwagę i za każdym razem na jego widok topniało jak wosk.

Courtney nie mogła się z tym pogodzić.

- Pamiętasz, co ci mówiłam? Że potrafisz osiągnąć wszystko, czego zapragniesz? Dlaczego zrezygnowałaś z tego człowieka? Ściagałaś morderców. Masz zamiar prowadzić Bar M.

Dlaczego rezygnujesz z zaspokojenia potrzeby serca?

- Ponieważ ewentualne niepowodzenie w tej materii sprawiłoby mi większy ból, niż byłabym w stanie znieść.

- A jak znosisz to, że straciłaś Damiana? Bardzo źle. Może jesteś taka nieprawdopodobnie smutna, ponieważ nie dołożyłaś w tej sprawie wszelkich starań? Przeszkody, które sama wniosłaś, można pokonać, kochanie. Kto powiedział, że przez cały czas musiałabyś mieszkać w wielkim mieście albo że od tej chwili on musiałby ciągle przebywać na wsi?

Przecież moglibyście dzielić czas między oba te miejsca i cieszyć się z tego, że możecie przebywać razem.

- Ale on nie chciał, żebym była jego żoną!

- W takim razie zmień jego decyzję zaproponowała pragmatyczna Courtney. - Jeżeli nie uda ci się wymyślić sposobu, jak to zrobić, chętnie ci poradzę.

Teraz to Courtney się zarumieniła. Casey uśmiechnęła się do matki. Miała szczere chęci.

Zależało jej na tym, by córka była szczęśliwa. Przeoczyła tylko jeden mały drobiazg. Jak Casey, nawet po wymuszeniu na Damianie oświadczyn, mogłaby być szczęśliwa, gdyby on jej nie kochał?

Rozdział 46

Damian naprawdę niechętnie podróżował z Jackiem Curruthersem. ponieważ serdecznie go nienawidził. Nie pomagała mu nawet pewność, że schwytanego przestępcę czeka proces, a potem więzienie. Okradł przedsiębiorstwo, ale zamiast uciec z pieniędzmi, jak zrobiłaby większość złodziei, postanowił zwalić winę na kogoś innego i dlatego kazał zabić człowieka, zamieniając tym samym kradzież na morderstwo.

Curruthers ciężko zapracował na każdą karę, na jaką skáže go sąd, jednak Damian nie zasłużył sobie na udrękę, jaką było ciągle towarzystwo Jacka w drugiej drodze powrotnej do Nowego Jorku.

Curruthers nie okazywał nawet najmniejszych wyrzutów sumienia. Uśmiechał się z wyższością, drażnił z Damianem i kiedy tylko mógł, przechwalał swoim przestępstwem. A zamknięty z nim w tym samym wagonie Damian w żaden sposób nie mógł przed tym uciec.

W końcu zakneblował Jacka, ale w sowich oczach opryszka wciąż widać było drwinę.

To dlatego w St. Louis, w stanie Missouri, Damian postanowił poszukać innego wagonu pulmanowskiego. Zależało mu na salonce z osobnym przedziałem, w którym można by zamknąć Jacka. To, co niewidoczne dla oczu, nie zaprzęta człowiekowi tak bardzo myśli.

Damian znalazł, czego szukał - był to wagon z osobną sypialnią. Niestety, chociaż jego właściciel mieszka! w St. Louis, załatwienie formalności zajęło kilka godzin. Nim Damian wrócił. Jack zdążył uciec.

To była ostatnia rzecz, jakiej nowojorczyk się spodziewał. Przedsięwziął wszelkie środki

ostrożności. Ręce i nogi Jacka skul kajdankami, które dostał od szeryfa z Culthers, po czym przypiął więźnia do jednej z przymocowanych do podłogi ławek. Sam wagon zamknięty był

na klucz, którego duplikat miał tylko obsługujący ich pracownik kolei.

Człowiek ten był poza podejrzeniami. Po wysłuchaniu opowieści o przestępstwach Jacka kolejarz nabrał do niego wyraźnej awersji, poza tym skorzystał z tego, że pociąg zatrzymał się w mieście na noc, i postanowił odwiedzić mieszkających tu krewnych. Damian szybko znalazł kilku świadków. Jeden słyszał dochodzący z wagonu hałas. Był to odgłos łamanej ławki. Inny widział, jak Jack wyskakuje przez okno i oddala się kuśtykając. Tak czy inaczej udało mu się uciec, a St. Louis było dużym miastem, w którym łatwo znaleźć kryjówkę.

Damian natychmiast zameldował o ucieczce przestępcy na policji, która zaoferowała pomoc, nie potrafiła jednak znaleźć Curruthersa. Po trzech dniach bezczynności Damian zatelegrafował do Nowego Jorku, do detektywów, z których usług korzystał. Skontaktowali go ze swoimi znajomymi z St. Louis.

Po następnym tygodniu znaleziono ślad, który prowadził prosto do Chicago w Illinois.

Widocznie Jack zrezygnował z ukrywania się na rozległych przestrzeniach zachodu. Teraz postanowił wykorzystać w tym celu wielkie miasto, a Chicago pod względem wielkości dorównywało Nowemu Jorkowi.

Damian nie przypuszczał nawet, że z takiego właśnie powodu po raz pierwszy trafi do Chicago. Nie zapomniał, że tam gdzieś mieszka jego matka, udawało mu się jednak w ogóle o tym nie myśleć. Może pewnego dnia jej poszuka, ale na pewno nie podczas tej podróży, ponieważ na razie ma zbyt dużo spraw na głowie.

Znacznie trudniej było mu nie myśleć o Casey - prawdę mówiąc, ani na chwilę o niej nie zapomniał. Wciąż był zły o to, że opuściła go bez powiadomienia, że w środku nocy wykradła się z jego pokoju. Zostawiła go bez słowa pożegnania. Nie dała mu szansy na umówienie się na ponowne spotkanie... lub cokolwiek innego.

Postanowił, że porozmawia z nią o ich małżeństwie... a raczej rozwodzie. Cieszył się, że Bean unieważnił ich związek. Był jednak wściekły, iż sędzia ponownie podjął decyzję, nie pytając ich o zdanie. Zresztą to małżeństwo było farsą. Damian miał zamiar postąpić tak, jak nakazywał mu honor, i zaproponować prawdziwy ślub. Ale Casey nie dała mu na to szansy.

Kilka godzin po otrzymaniu wynagrodzenia za wykonaną robotę po prostu uciekła. Fakt ten dość jednoznacznie świadczył o tym, jak bardzo zależało jej na rozstaniu z Damianem. Nawet nie zaczekała na nadejście ranka. Nie było jej w odjeżdżającym pociągu. Damian sprawdził

wszystkie wagony, mając nadzieję, że ją znajdzie. Zrobił to jeszcze przed odebraniem Jacka, który tę noc spędził w miejscowa m więzieniu.

Chociaż od tego czasu upłynęło kilka tygodni. Damian wciąż rozmyślał o zniknięciu Casey.

Ponieważ detektywi byli nieugięci i za nic w świecie nie chcieli wziąć ze sobą amatora, miał bardzo dużo czasu na rozmyślanie. Kiedy Casey szukała Jacka, Damian brał w tym udział, chwilami czuł się nawet pożyteczny.

Gdy tylko ta myśl zaświtała mu w głowie, podskoczył jak głodomór na widok kawałka wołowiny. Casey powinna być z nim w Chicago. Dał jej dziesięć tysięcy dolarów za postawienie Jacka przed wymiarem sprawiedliwości. Nie otrzymał jednak tego, za co zapłacił.

Tylko jak ją znajdzie, skoro nie wie, gdzie ona mieszka, ani nic zna jej nazwiska? Nawet imię, którego używała, nie było prawdziwe. Pochodziło od liter K.C., którymi się podpisywała, a które prawdopodobnie z braku lepszego pomysłu wzięła ze znaku swojego konia.

Znaku noszonego przez Starego Sama...

Bucky Alcott odesłał Casey na leżące w pobliżu Waco ran-czo. by tam poszukała swoich korzeni. Damian odrzucił ten pomysł, uważając, że to prowadzi donikąd. Wiedział przecież, że nie kupiła tego konia na ranczu K.C., ale otrzymała go w prezencie od ojca. Niemniej to ranczo było jedynym tropem, ponieważ Casey ani razu nie powiedziała na temat swojego domu niczego, co pozwoliłoby go zlokalizować.

Tak więc Damian mógł zrobić coś pożytecznego, to znaczy wrócić do Teksasu. Wybierał się tam z jeszcze innej przyczyny, ale wciąż odczuwana złość nie pozwalała mu się do tego przyznać - nawet przed samym sobą. Właściwie nie wierzył, że uda mu się znaleźć Casey, wręcz uznał, że jedynie traci czas.

Jednakże wolał tracić czas niż siedzieć w pokoju hotelowym i czekać na codzienne raporty detektywów o postępach śledztwa, zwłaszcza że były one jednakowe i monotonne - jeszcze nie natrafiliśmy na żadne ślady". Jack przepadł w Chicago. Wykazał się sprytem i tym razem nie używał swojego nazwiska. Czyż można znaleźć igłę w stogu siana?

Co dziwne, Damian był przeświadczony, że Casey potrafiłaby tego dokonać.

Rozdział 47

Dom na ranczu K.C. należało ze wszech miar uznać za rezydencję. Gdy Damian z oddali zobaczył tę siedzibę i sąsiadujące z nią zabudowania, myślał, że dotarł do następnego miasta.

Nie było to typowe ranczo, jakie widywał podczas podróży po tej części kraju, a przejeżdżał obok wielu.

Był pod wrażeniem, a jednocześnie czuł się zawiedziony, gdyż podejrzewał, że tak dobrze prosperujące gospodarstwo prawdopodobnie nie będzie dysponowało żadnymi rejestrami i nikt nie będzie pamiętał sprzedanego wiele lat temu konia, którego młoda dziewczyna dostała od ojca i nazwała Starym Samem. Zresztą nawet jeżeli trzymaliby tu lego typu zapiski, Damian nie potrafiłby podać nazwiska owego człowieka.

Dotychczas miał nadzieję, że na podstawie opisu ktoś sobie przypomni tego dziwnego mężczyznę, teraz jednak w to wątpił. Muszą tu sprzedawać dziesiątki koni miesięcznie.

Ogromna liczba stajni świadczyła o tym, że hoduje się tutaj nie tylko bydło, lecz również i konie.

Niemniej postanowił spróbować. Może ktoś, kto pięć czy sześć lat temu zajmował się na tym ranczu sprzedażą koni.

ma świetną pamięć i nadal tu pracuje. A człowiek wyglądający tak niebezpiecznie jak ojciec Casey, którego Damian widział w Fort Worth, ma większe szanse niż przeciętny klient na to, że ktoś go zapamięta.

Po wypyтaniu w Waco o drogę do K..C. Damian wypożyczył konia. Zabawne, że zrobił to niemal bez zastanowienia, nie pomyślałszy nawet o wynajęciu powozu. Prawdę mówiąc, bardzo dobrze czuł się już w siodle, chociaż rok temu nawet by nie przypuszczał, że to możliwe.

Przed domem znajdowała się bardzo długa, szeroka weranda. Po obu stronach prowadzących na nią schodów biegły równie długie poręcze. Do jednej z nich Damian przywiązał konia, po czym podszedł do drzwi frontowych.

Czekając, aż ktoś zareaguje na jego pukanie, rozejrzał się dookoła. Właściwie nie było na co patrzeć. Wokół ciągnęły się bezkresne przestrzenie, porośnięte kaktusami i przypadkowymi drzewami. Potem zdał sobie sprawę, że weranda wychodzi na zachód. Widział już kilka niewiarygodnych zachodów słońca, jakie zdarzają się w tej części kraju. Widocznie roztaczający się stąd widok dostarczał ludziom wytchnienia po długim dniu ciężkiej pracy.

Porozstawiane na całej długości werandy krzesła i stoliki świadczyły o tym, że wielu pracowników rancza korzysta z niej w tych spokojnych chwilach.

Drzwi się otworzyły. Stała w nich całkiem ładna kobieta w średnim wieku. Jej jasnobrązowe oczy coś Damianowi przypominały, ale był tak zdenerwowany, że nie potrafił

sobie przypomnieć, co. Nie bardzo wierzył, że uda mu się tutaj natknąć na jakiś ślad prowadzący do Casey, była to jednak jego jedyna szansa. A ponieważ jeszcze tego dnia miał

się dowiedzieć, czy jego nadzieje się spełnią, potwornie się denerwował.

- W czym mogę pomóc? - spytała kobieta z zaciekawieniem.

Damian zdjął kapelusz i odchrząknął.

- Szukam młodej kobiety, która jeździ na koniu pochodzącym z tego rancza, lub przynajmniej noszącym jego znak.

- Jak ta kobieta się nazywa?

- Niestety, nie znam jej nazwiska ani imienia - przyznał. - Tego konia jakieś pięć lat temu kupił jej

ojciec. I nie wiem również, jak on się nazywa. Miałem jednak nadzieję, że ktoś tutaj go zapamiętał i wie, kto to jest, a może nawet powie mi, gdzie ten człowiek mieszka.

Wyglądało na to, że kobieta czeka na dalszy ciąg. Kiedy Damian milczał, wyznała:

- Sprzedajemy bardzo dużo koni. Czy to zwierzę miało jakieś cechy odróżniające je od innych? A może kupujący je mężczyzna był w jakiś sposób niezwykły? Bez nazwiska trudno będzie...

- Mogę go opisać — przerwał Damian, chociaż nie miał takiego zamiaru, uznał jednak, że powinien to zrobić. - Jest mniej więcej mojego wzrostu.

- No cóż, to już dużo - przyznała kobieta z uśmiechem. Jest pan nieco wyższy niż przeciętny mężczyzna.

Damian odpowiedział jej uśmiechem i poczuł się trochę swobodniej.

- Ma czarne włosy, które czasami bywają bardzo długie. Kiedy widziałem go pierwszy i jedyny raz w życiu, były naprawdę wyjątkowo długie, ale od tego momentu upłynęło trochę czasu. Prawdopodobnie ma około czterdziestu pięciu lat, więc wtedy mógł mieć trzydzieści osiem, dziewięć

Kobieta roześmiała się.

- Temu opisowi odpowiada wielu tutejszych mężczyzn, łącznie z moim mężem. Czy ma jakąś cechę, która ułatwiałaby zapamiętanie go? Może jakieś blizny?

Damian potrząsnął głową.

- Nie widziałem go z bliska. Ale... wyglądał na niebezpiecznego. Na widok takich mężczyzn ludzie zazwyczaj bardzo się denerwują. Prawdę mówiąc, przypominał człowieka wyjętego spod prawa.

- Na Boga, jest pan pewien, że chce pan ponownie się z nim spotkać? - spytała.

- Muszę znaleźć jego córkę. Przytaknęła zamyślona.

- A co może pan powiedzieć o koniu? Miał jakąś niezwykłą cechę?

- To naprawdę wspaniały wierzchowiec. Prawdopodobnie był koniem czystej krwi, chociaż Casey wołała na niego Stary Sam.

Dama zeszywniała.

- Casey? Czyżbym się przesłyszała? Podobno nie zna pan ich imion ani nazwisk?

Jej reakcja była zachęcająca.

- Naprawdę ich nie znam - wyjaśnił Damian. - Sam zacząłem mówić na nią „Casey”, ponieważ

podpisywała się inicjałami K.C. - prawdopodobnie wziętymi ze znaku na jej koniu.

Nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by ją o to zapytać. Prawdę mówiąc, wszyscy nazywali ją Kid. Może przez przypadek wie pani o kim mówię?

- Może. Dlaczego pan jej szuka?

- To raczej dość osobista sprawa...

- W takim razie chyba nie mogę panu pomóc - oznajmiła kobieta i zaczęła zamykać drzwi.

- Proszę poczekać! - zawołał Damian. - Kiedy ją spotkałem, była łowcą nagród. Nająłem ją, by znalazła mordercę mojego ojca. Niestety, uciekł mi, nim dowiozłem go na rozprawę do Nowego Jorku.

- Więc szuka jej pan, żeby ponownie ją zatrudnić? - spytała ostro.

To z pewnością nie była jej sprawa, dlatego odpowiedział:

- Mniej więcej.

- To jedyny powód, dla którego pan tu przybył? Damian trochę zeszywniał, zdumiony jej uporem.

- A miałby być jeszcze jakiś inny?

Zmarszczyła czoło i oznajmiła:

- Sądzę, że mój mąż chętnie z panem porozmawia. Proszę wejść.

Wszedł. Natychmiast go opuściła, mówiąc szorstko:

- Proszę tu poczekać.

Nie miał innej rady, mógł tylko jej posłuchać.

Zachowanie kobiety wprawiło go w najwyższe zdumienie. Zdecydowanie była o coś zła. Jej oczy przypominały gorejący bursztyn. A wszystko się zaczęło, gdy wymienił imię Casey.

Czyżby to było prawdziwe imię dziewczyny? Ta kobieta chyba wiedziała, o kogo mu chodzi.

Na pytanie, czy ją zna, odparła: „Może”. To mogło znaczyć, że tak.

Damian zamarł w bezruchu. Bursztynowe oczy?

"Temu opisowi odpowiada wielu tutejszych mężczyzn, łącznie z moim mężem".

Damian poczuł przypływ nadziei. Czyżby znalazł dom Casey? Czy właśnie rozmawiał z jej matką? Gdy ta kobieta wpadła w złość, miała oczy takie same jak Casey. A mąż tej kobiety odpowiadał

opisowi...

Ktoś klepnął go w ramię. Damian się odwrócił. Ujrzał ojca Casey z pięścią gotową do ciosu.

Potem młody człowiek zobaczył wszystkie gwiazdy.

Rozdział 48

- Chyba jednak nie powinnam ci mówić, że Casey się w nim kocha - wyznała Courtney mężowi, gdy stali nad leżącym w przejściu nieprzytomnym Damianem, któremu z nosa sączyła się strużka krwi.

- Powinnaś - odparł Chandos, z zadowoleniem rozcierając palce. To samo uczucie widać było również w jego oczach.

Courtney westchnęła i spytała z powątpiewaniem:

- Naprawdę? Nie zapominaj, że musiałam wybić ci z głowy jazdę za nim aż do Nowego Jorku. A teraz ten głupi człowiek sam stanął w naszych drzwiach. Równie dobrze mógł podać ci na tacy swoją głowę.

Chandos uniósł brew.

- W takim razie czemu powiedziałaś mi, że on tu jest? Mogłaś go odesłać, a ja nigdy nie dowiedziałbym się o jego wizycie.

Courtney syknęła.

- Bo przez chwilę naprawdę chciałam, żebyś przemówił mu do rozsądku. Ale to była bardzo krótka chwila - zapewne -niła.

Chandos niemal się uśmiechnął.

- Pewnie powiedział ci coś, co cię rozzłościło. Courtney zacisnęła wargi.

- Przyjechał tu, żeby ponownie zatrudnić Casey, uwierzysz? Nie sądzę, by chociaż przez chwilę zastanawiała się nad ponowną pracą dla tego człowieka, ale sam jego widok przedłużyłby cierpienia Casey. Tylko czy on wziął to pod uwagę? Nie. Jest egoistą, gruboskórnym sukin...

Chandos delikatnie położył palec na ustach żony, pragnąc ją uciszyć.

- Uwielbiam, gdy się wściekasz, Cateyes, ale w tym przypadku może niepotrzebnie wpadłaś w złość. Czy to nie ty przekonywałaś mnie, że ten człowiek nic nie wie o miłości Casey do niego? Czy nasza córka sama tego nie przyznała, gdy ją o to spytałaś? To w pewnym sensie usprawiedliwia popełniane przez niego błędy, prawda?

- No cóż, tak - przyznała, potem jednak przymrużyła oczy. - Skoro utrzymujesz, iż jest niewinny, czemu tu przyszedłeś i natychmiast zdziesiąłeś go między oczy?

- To bardzo proste - przez niego moja córka jest nieszczęśliwa. Nazwij to ojcowskim przywilejem.

Uniosła brwi.

- A czy matce nie przysługuje nic takiego? Zachichotał.

- Twój przywilej polegał na tym, że mogłaś przyjść do mnie. Przecież wiedziałaś, że mu dołożą.

Zarumieniła się pod wpływem wyrzutów sumienia.

- Może nie powinniśmy się zastanawiać, dlaczego każde z nas nie lubi tego młodego człowieka. Pora pomyśleć, co zrobić z jego niespodziewaną wizytą w naszym domu.

Wolałabym, żeby Casey nie wiedziała, że on tu był. Co prawda nasza córka sypia teraz na zmianę, raz tu, raz w Bar M. ale dzisiaj kolej na K.C. Jest już dość późno i Casey lada chwila może się pojawić.

Chandos przytaknął.

- Poproszę kilku pracowników, by wrzucili go na wóz i odwieźli z powrotem do miasta.

Mam nadzieję, że przyjęcie, z jakim spotkał się w K.C, da mu do zrozumienia, iż nie jest tu mile widziany.

Courtney w zamyśleniu zmarszczyła czoło.

- Nie sądzę, by to wystarczyło.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ odniosłam wrażenie, że jest trochę uparty - wyjaśniła Courtney. - Poza tym pokonał tak dużą odległość, by zatrudnić Casey. Podejrzewam, iż nie wyjedzie, póki nasza córka sama mu nie powie, że nie chce ponownie dla niego pracować.

- Jesteś pewna, że nie będzie chciała?

- Nie całkiem, dlaczego jednak miałyby się zgadzać? Poprzednio jedynym powodem były pieniądze, których potrzebowała, by dowieść ci swoich racji. Teraz niczego nie musi już dowodzić. Prowadzi Bar M i dobrze sobie radzi.

- W przypadku mężczyzny to doskonale uzasadnienie, ale jak to wygląda, jeśli chodzi o zakochaną kobietę?

Courtney niemal warknęła.

- Oczywiście, masz rację. To może mieć wpływ na jej decyzję, jeżeli będzie musiała ją podjąć. Ewentualna zgoda może wynikać z chęci przebywania w jego towarzystwie. Albo ze świadomości,

że jej ukochany naprawdę potrzebuje pomocy. Już sam ten ostatni powód by wystarczył. Może więc powinniśmy dopilnować, by Casey nie musiała podejmować żadnej decyzji?

- Sugerujesz, żebym pozbył się go raz na zawsze?

- Nie bądź śmieszny! - krzyknęła Courtney, potem zorientowała się, że Chandos jedynie się z nią drażnił. Spojrzała na niego wilkiem. - Może wystarczyłaby stanowcza rozmowa, która by go przekonała, że nie powinien tu wracać. Mógłbyś ją odbyć, osobiście eskortując go do miasta. A jeśli to będzie za mało, powiedz mu, że Casey tu nie ma, że wyjechała... och, sama nie wiem. gdzie... może do Europy. Tak. do Europy. To dostatecznie daleko, by zdał sobie sprawę, że nasza córka mu nie pomoże i że powinien zatrudnić kogoś innego.

- Wolałbym z nim nic rozmawiać. Nie wiem, czy zdołam oprzeć się pokusie, by ponownie go uderzyć.

- W takim razie to ja...

- Nie, nic z tego - zaprotestował Chandos zdecydowanie. Potem westchnął. - Dobrze, zawiozę go do miasta. - Pochylił się i zarzucił Damiana na plecy. — Cholera — jęknął - jest potwornie ciężki.

- Chandosie...!?

- Co takiego? - burknął, idąc w stronę drzwi.

- Nie mów mu, co Casey do niego czuje.

- Dlaczego?

- Ona nie zdecydowała się, by mu o tym powiedzieć, a on był zbyt tępy. by się tego domyślić...

- Albo wiedział, tylko nic go to nie obchodziło. Od początku tak uważałem, tylko dałem ci się przekonać, że jest inaczej.

- A więc to dlatego go uderzyłeś, zamiast wcześniej się z nim przywitać?

Prychnął. Uśmiechnęła się i wróciła do tematu.

- Nieważne, ale nie sądzę, by nasza córka była zadowolona, gdyby ten człowiek dowiedział się o jej uczuciach. Ja na jej miejscu byłabym wściekła.

Przytaknął i ruszył schodami prowadzącymi z werandy w dół, po czym przerzucił Damiana przez siodło konia stojącego przy poręczy. Potem Chandos spojrzał w górę, na żonę.

- Powiniennem wrócić przed kolacją - zapewnił ją. - Och, i sprawdź, czy na podłodze nie ma krwi z jego złamanego nosa.

- Naprawdę myślisz, że mu go złamałeś?

- Do jasnej cholery, z pewnością dołożyłem wszelkich starań. Z jakiego innego powodu taki olbrzym z taką łatwością padłby na ziemię?

- Może dlatego, że zawsze miałeś mocny cios. Chandos zachichotał.

- A ty zawsze bardziej we mnie wierzyłaś, niż na to zasługiwałem.

- Brednie. Wysłałam za męża za wyjątkowego mężczyznę. Tego jestem pewna.

Chandos z uśmiechem obszedł dom i podprowadził konia Damiana do stajni, by zabrać stamtąd swojego wierzchowca. Ale przyjemność, jaką sprawiły mu słowa żony, nie trwała długo, ponieważ miał do wykonania konkretne zadanie.

Na szczęście nie zajęło mu to dużo czasu. Mniej więcej po przejechaniu półtora kilometra Damian zaczął wydawać odgłosy świadczące o tym, że odzyskuje przytomność. Chandos zatrzymał oba wierzchowce, by umożliwić nowojorkowowi zsuniecie się z konia bez dodatkowych obrażeń. Gdy Damian to zrobił, przez chwilę stał na środku drogi całkiem zdezorientowany.

Kiedy w końcu dostrzegł Chandosa, spytał:

- Czy mogę wiedzieć, dokąd mnie pan wiezie?

- Z powrotem do miasta - odparł Chandos. - Nie jest pan mile widziany w K..C.

- Nie mógł mi pan po prostu tego powiedzieć? - narzekał Damian, delikatnie sprawdzając nos.

- Złamany? - Chyba nie.

- W takim razie źle pan znosi ból, co? - spytał Chandos z uśmiechem, w którym można się było dopatrzeć odrobiny zarożumiałości.

Damian skrzywił się i odparł z rozdrażnieniem:

- Po prostu oberwałem po głowie bez ostrzeżenia. Chandos wzruszył ramionami.

- A jakiego przyjęcia się pan spodziewał ze strony rodziców młodej kobiety, która przez pana omal nie zginęła?

Damian wzdrygnął się, zaskoczony, że Casey szczegółowo opowiedziała rodzicom, co robiła, gdy nie było jej w domu. Skoro jednak jej ojciec o wszystkim wiedział, należało jakoś się bronić.

- Jest łowcą nagród, i to cholernie dobrym. To jej zawód...

- Zajmowała się tym tylko przez jakiś czas, więc trudno uznać to za jej zawód.

- To nie ma znaczenia - upierał się Damian. - Była stworzona do tej roboty, dlatego się jej podjęła.

- I sądzi pan, że ponownie zechce dla pana pracować? -burknął Chandos z obrzydzeniem.

- Człowiek, którego pomogła mi znaleźć, uciekł - wyjaśnił Damian. - Wynająłem detektywów, którzy go szukają, ale tak samo jak poprzednio, tym razem również nie mają szczęścia. Casey bardziej sprzyjał los.

- Casey po prostu ma zdrowy rozsądek, to wszystko.

- To jest jej prawdziwe imię?

Zmiana tematu sprawiła, że Chandos zmarszczył czoło.

- Nie znał pan nawet jej imienia?

- Dlaczego to pana dziwi? Bardzo niechętnie mówiła o sobie. Sporo czasu upłynęło, nim się dowiedziałem, że jest kobietą!

- A jak pan to w końcu odkrył?

To pytanie zadane zostało tak podejrzliwym i pełnym potępienia tonem, że całkiem jasne było, co pomyślał Chandos, a ponieważ Damian rzeczywiście popełnił ten grzech, porzestał na ścisłej prawdzie.

- Sama mi się przyznała - wyjaśnił. - Gdy zasugerowałem jej, by zapuściła brodę.

Chandos zrobił dziwną minę. Gdyby Damian dobrze go znał, wiedziałby, że ojciec Casey właśnie ma ochotę wybuchnąć śmiechem. Ale nic o nim nie wiedział, dostrzegł więc jedynie następne mordercze spojrzenie. Chandos tylko w nieznacznym stopniu przypominał

mężczyznę, którego Damian widział ongiś w Fort Worth. Był teraz czysty i ogolony, włosy przycięt do nieco przyzwoitszej długości, chociaż jak na wielkemiejskie standardy pozostały nieco za długie. Tylko jedno się nie zmieniło - nadal czuło się, że ten człowiek jest niebezpieczny.

- Może pan spokojnie wsiąść do następnego pociągu jadącego tam, skąd pan przyjechał, panie Rutledge. Casey już nie jest łowcą nagród.

- To wyjątkowa sytuacja, ponieważ już ściagała tego człowieka - przypomniał Damian. - Poza tym chciałbym usłyszeć, co ona sama ma na ten temat do powiedzenia...

- Odradzam to panu - przerwał mu Chandos bardzo cicho. - I proszę przyjąć dobrą radę. Nie chciałbym jej powtarzać. Do diabła, niech pan się trzyma z daleka od mojej córki.

Damian ponownie chciał zaprotestować, zrezygnował jednak z tego pomysłu, ponieważ w zasięgu wzroku nie było żywej duszy, a ręka Chandosa znajdowała się zbyt blisko kolta.

Temu człowiekowi obcy był rozsądek i właściwie nic go nic obchodziło. Mógł zastrzelić Damiana, byle tylko postawić na swoim.

Nowojorczyk szorstko przytaknął i wskoczył na konia.

- W pewnym sensie... była to dla mnie... przyjemność -wyznał sucho.

Chandos rozmasował rękę.

- Dla mnie na pewno - zgodził się.

Rozdział 49

Casey zobaczyła ojca siedzącego na koniu tuż za płotem ogradzającym mały cmentarzyk. Po raz pierwszy od powrotu do domu przyjechała na grób Fletchera. Była zaskoczona, że zastała tu Chandosa. W pobliżu tego opuszczonego, ocienionego przez ogromny dąb skrawka ziemi nie było niczego, co mogłoby uzasadnić obecność ojca. Ten konkretny cmentarz przeznaczony był tylko dla ludzi z Bar M. a Chandos nie znał tu nikogo... oprócz swojego ojca.

Zatrzymała konia w pobliżu, ale nie odezwała się ani słowem, czekając, aż ojciec da jakiś sygnał świadczący o tym, że ją zauważył. Ani drgnął, jedynie ze zmarszczonym czołem spoglądał w stronę nagrobka oznaczającego miejsce spoczynku Fletchera. W końcu Casey zsiadła z konia z garścią polnych kwiatów, które zebrała na ranczu, otworzyła furtkę i przystanęła.

Zerknęła na ojca i powiedziała:

- Dobrze, że tu przyjechałeś. Naprawdę nie sędzę, by wstał z grobu i zaczął cię besztać.

Powiedziała to lekkim tonem, by zmusić ojca do uśmiechu. W jego odpowiedzi brakowało jednak wesołości.

- A powinien.

To była niezwykle wymowna uwaga, zwłaszcza że padła z jego ust. Pobrzmiwało w niej ogromne poczucie winy. Casey nie miała pojęcia, jak zareagować. Wiedziała, że Fletcher o nic Chandosa nie obwiniął, przejął na siebie całą odpowiedzialność za rozdźwięk między nimi. Nigdy wszakże nie próbowała mówić tego ojcu, gdyż zamykał się w sobie na każdą wzmianką o Fletcherze...

Nie zatem nic powiedziała, podeszła tylko do grobu i przyklękła na jedno kolano, by położyć kwiaty. Po chwili zobaczyła, jak cień ojca przesuwają się po grobie. Chandos stanął za nią.

- Ostatnio zacząłem zdawać sobie sprawę z czegoś. z czego wcale nie jestem dumny.

Słyszając te słowa, Casey zamarła w bezruchu. Spowiedź? W tym miejscu? Przed Fletcherem?

Może powinna odejść. Chandos przyjechał tu z jakiegoś konkretnego powodu i widocznie nie chciał odkładać tego na później tylko dlatego, że nie jest sam.

Wstała, ale ojciec delikatnie dotknął jej ramienia, nie chcąc, by odchodziła. Potem pełnym żalu głosem powiedział:

- Sądzę, że próbowałem cię kontrolować, tak jak staruszek próbował kontrolować mnie, gdy byłem w twoim wieku. Zrobiłem to samo, za co go nienawidziłem. Ta sytuacja jednak otworzyło mi oczy i teraz wiem, czemu próbował urabiać mnie na swoją modłę. Lepiej go zrozumiałem.

Do oczu Casey napłynęły łzy. Mój Boże, Fletcher nie liczył na więcej. Gdyby tylko tu był i mógł to usłyszeć. Z drugiej jednak strony przecież był tutaj... przynajmniej Casey zawsze czuła jego obecność w Bar M i wierzyła mocno, że dziadek wciąż ją obserwuje. A przy grobie wrażenie to jeszcze się nasilało.

Dorastając, wiele czasu spędziła u boku Fletchera i pewnie była jedyną osobą, która mogła teraz dodać ojcu otuchy, zwracając mu uwagę na pewne rzeczy.

Słyszając jego wyznanie, spytała ostrożnie:

- Może mu również wybaczyłeś?

- Tak, to też. Po prostu nie mogą pogodzić się z tym, że nie doszedłem do takich wniosków przed jego śmiercią i przynajmniej nie powiedziałem mu, że go rozumiem.

Nigdy o to nie prosił. Byłby zadowolony, że rozumiałeś, ale wcale nie musiał tego słyszeć.

Wiedział, że popełnił wiele błędów. Często o nich wspominał - wyjaśniła, uśmiechając się. -

Niemal z dumą. Trzeba jednak przyznać, że zawsze taki był. Wierzył, iż człowiek uczy się na błędach, które hartują go i dodają mu sił. Chandos przytaknął.

- Tak, jestem w stanie uwierzyć, że myślał w taki sposób.

Z zadowoleniem zauważyła, że w uwadze ojca nic było goryczy, jaką wyczułaby jeszcze kilka miesięcy temu.

- Był z ciebie zbyt dumny, by naprawdę żałować.

- Nie rozumiem.

Gdyby coś ci nie wyszło, całą winę wzięłby na siebie. Ale ty świetnie sobie radziłeś. Był dumny z wszystkiego, co się z tobą wiązało, i, no cóż. zgadnij, do czego to doprowadziło? W pełni przypisywał sobie te zasługi. Chandos wybuchnął śmiechem.

- A to sukinsyn! Casey uśmiechnęła się.

- Właśnie. Ponieważ tak dobrze sobie radziłeś, dziadek doszedł do wniosku, że wynikało to z

błędów, które wobec ciebie popełnił. Sukces, jaki odniosłeś w K.C., naprawdę wywoływał na jego policzkach rumieńce, Każdemu, kto tylko chciał słuchać, mówił, że dokonałeś tego sam i nie przyjąłeś od niego żadnej pomocy. Byłeś jego synem. Dobrze ci poszło. Powiodło ci się wręcz lepiej niż jemu. „Pokazałeś staruszkowi”. Był z tego dumny, tatusiu... był dumny z ciebie.

- Nie wiedziałem - przyznał szeptem Chandos.

- To prawda, ale wiedzieli o tym wszyscy oprócz ciebie.

- Dziękuję, dziecinko.

Ta „dziecinka” znów stała się pieszczotliwym słówkiem, jakim zawsze była i przeciw któremu Casey nigdy nie protestowała.

- Nie dziękuj mi. Powiedziałam ci tylko prawdę. Nie musisz również żałować, że nie wyznałeś mi, iż go rozumiesz. Już to zrobiłeś. On tu jest i wszystko słyszy.

Chandos uśmiechnął się smutno.

- Może, ale to nie to samo. Nigdy nie rozmawiałem z ojcem...

Casey przerwała mu prychnięciem.

- Rozmawialiście, i to często... choć dość głośno. Chandos zachichotał.

- Tak określasz nasze karczemne awantury?

- Przynajmniej nigdy nie zabraniałeś mu składania wizyt tobie i twojej rodzinie. Poza tym osiedliłeś się w najbliższym sąsiedztwie. Sądzisz, że dziadek nie wiedział, jakie to ważne?

Przecież w tym było wybaczenie, choć nie wypowiedziane. Pozwalałeś, by twoje dzieci go odwiedzały, ilekroć miały ochotę. Myślisz, że nic dostrzegął w tym zrozumienia? Pod koniec niczego nie żałował. Zostawiał ładne dziedzictwo i był z niego dumny. Zostawiał

wspaniałego syna i był z niego jeszcze dumniejszy. Był szczęśliwszy, niż myślisz, tatusiu.

- Ale ja o tym nic wiedziałem.

- Mama potwierdzi każde moje słowo. Słyszała, jak dziadek się tobą chwalił. Pewnie nawet ci o tym mówiła, prawda?

- Tak, sądzę, że tak.

Casey przytaknęła i ciągnęła dalej:

- Koniecznie chciałeś być lepszy od niego. Gdzieś w głębi duszy wiedziałeś, że dzięki temu będzie z ciebie jeszcze bardziej dumny... a i tak to zrobiłeś. To o czymś świadczy, prawda?

On z pewnością też do tego doszedł. Moim zdaniem, gdybyś naprawdę chciał dać mu do zrozumienia, że mu nie wybaczyłeś i nigdy mu nie wybaczysz, poniósłbyś porażkę.

Chandos przytulił ją mocno do siebie.

- Skąd w twoim wieku tyle mądrości?

Odsunęła się, by obdarzyć go łobuzerskim uśmiechem.

- Może po tobie? - Nie bardzo - odparł.

- W porządku, może więc po mamie? - Roześmiała się.

Wydawało jej się, że wyczuwa radość Fletchera z powodu tego, co zostało powiedziane i co poszło w niepamięć. Miała nadzieję, iż ojciec czuje to samo.

Rozdział 50

Damian powinien wsiąść do najbliższego pociągu jadącego na północ. Naprawdę wcale nie miał ochoty na ponowne spotkanie z ojcem Casey. Co prawda uważał, że gdyby doszło do walki wręcz, mógłby wygrać. Ten człowiek po prostu ograniczył się do jednego dobrze wymierzonego ciosu. Mimo to Damian wcale nie chciał się z nim bić. Nie zapominał również, że następnym razem ojciec Casey może wyciągnąć rewolwer... i zrobić z niego użytek.

Naprawdę, trudno było to wykluczyć.

Biorąc jednak wszystko pod uwagę. Damian nie mógł tak po prostu wyjechać, nie porozmawiawszy wcześniej z Casey. Skorzystał więc z paru informacji, jakie posiadał, i postanowił pójść ze swym obolałym nosem do jej dziadka. Krótkie poszukiwanie pozwoliło mu na ustalenie, który to z lekarzy.

Oczywiście, doktor Harte nie chciał przyjąć nowojorczyka. Casey ostrzegła Damiana, że starszy pan obecnie zajmuje się tylko swoimi wieloletnimi pacjentami. Doktor mienił jednak zdanie, gdy wspomniano mu, że obrażenia spowodował jego zięć. Zgodnie z przypuszczeniami, gdy gość wyjaśnił, w jaki sposób poznał Casey, Harte opowiedział mu trochę więcej na temat swojej rodziny.

- Obecnie Casey niemal bez przerwy przebywa w Bar M. na ranczu, które ona i jej bracia odziedziczyli po Fle-tcherze Stratonie - zdradził Edward Harte. - Z powodu tej posiadłości kilka miesięcy wcześniej moja wnuczka uciekła z domu. Chciała zająć się gospodarką, ale Chandos jej nie pozwolił, postanowiła więc pokazać mu, co potrafi. Oczywiście, on pojechał

za nią. nie sprowadził jej jednak do domu tak szybko, jak myśleliśmy. Moja córka, Courtney, nie była zbyt szczęśliwa, gdy oboje tak długo przebywali z dala od domu.

- To znaczy, że teraz ojciec pozwala jej na prowadzenie rancza?

— Tak. Słyszałem, że Casey na razie bardzo dobrze sobie radzi. Gdyby jednak oboje nie byli tacy porywczy, być może już wiosną doszliby do tego wniosku.

Gdyby tak się stało, Damian nie spotkałby Casey. Nie był zdziwiony, że teraz dziewczyna zajmuje się ranczem i że dobrze sobie radzi. Jej zdolności zawsze go zdumiewały. Jednak po spotkaniu i rozmowie z Chandosem Damian był zaskoczony, że przez tyle miesięcy Casey tak skutecznie uciekała przed ojcem. W końcu większość posiadanych umiejętności zawdzięczała właśnie jemu. Z drugiej strony, gdyby Chandos szybko ją znalazł, zabrałby ją do domu i Damian nigdy by jej nie poznał.

Po paru następnych minutach rozmowy z dobrodusznym lekarzem Damian postanowił

odczekać parę dni, a potem jeszcze raz poszukać Casey. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że przyjedzie ona do miasta. W ten sposób uniknąłby powtórnego spotkania z Chandosem.

Dlatego Damian bacznie obserwował dom doktora i sklep dwa miejsca, w których Casey mogła się pojawić. Nie pokazała się jednak, a nowojorczyk za bardzo chciał ponownie ją zobaczyć, by dalej czekać.

W jakiś czas później jeszcze raz wyruszył na wieś. tym razem do Bar M. Ponieważ ranczo to należało do dziadka Casey i teraz ona sama się nim zajmowała, Damian spodziewał się, że zobaczy posiadłość znacznie mniejszą niż K.C. Jednak bardzo się mylił. Oba rancza znajdujące się w rękach tej samej rodziny przypominały niewielkie miasteczka, tak dużo zabudowań otaczało główny budynek mieszkalny. Teraz Damian zrozumiał, dlaczego ojciec nie chciał przekazać Casey Bar M. Ranczo tej wielkości mogło zniechęcić mężczyznę, a co dopiero młodziutką dziewczynę!

Niestety, Casey nie było. Poinformowano go, że jest na północnym skraju rancza. Ostrzeżono go też, by nie próbował jej szukać, ponieważ w tamtych okolicach łatwo się zgubić.

Zlekceważył tę radę... i oczywiście zablądził.

Dopiero tuż przed zachodem słońca ponownie dostrzegł budynki. Na jego szczęście okazało się, że należą one do K.C, a nie Bar M. Edward Harte wspomniał, że Casey na zmianę spędza wieczory to na jednym, to na drugim ranczu. Ponieważ Damian zajechał już tak daleko, nie mógł tak po prostu odjechać, nie sprawdzwszy, czy przez przypadek jej tu nie ma.

Dobrze przypuszczał, że z werandy roztacza się piękny widok na zachód słońca. Płoneło kilka latarni, chociaż ich światło nie było jeszcze potrzebne, ponieważ jasnoczerwone promienie spowijały wszystko ciepłym blaskiem. Damian zatrzymał się na chwilę, usiadł na jednym z foteli bujanych i spojrzał na zachód. Nie mógł uwierzyć, jak niewiarygodnie piękna potrafi być ta część kraju z jej rozległymi przestrzeniami... i spokojem, jakiego nigdy nie udało mu się znaleźć w mieście.

Nie miał prawa liczyć na to, że Casey nagle pojawi się na werandzie i razem z nim spędzi tę wspaniałą chwilę. Wyobraził sobie jednak, że bierze jej dłoń w swoje ręce i kołyszą się ramię przy ramieniu, podziwiając wspaniały widok... No cóż, byłoby to możliwe, gdyby nie zdenerwowała go pożegnaniem... a ściślej rzecz biorąc, rozstaniem bez słowa pożegnania.

Naprawdę musi zapomnieć o swoim gniewie, jeżeli chce,

by Casey mu pomogła. Na pewno dziewczyna odmówi, jeżeli Damian, przedstawiając fakty, będzie

patrzył na nią wilkiem...

Westchnął i wstał, by zapukać do drzwi, nim całkiem się ściemni. Miał nadzieję, że otworzy mu ktoś inny, nie któreś z rodziców Casey. Nie zapomniał ostrzeżenia Chandosa, jedynie postanowił je zignorować. Najlepiej by było, gdyby już nigdy nie musiał mieć z tym człowiekiem do czynienia.

Widocznie w tym domu, pomimo jego ogromnych rozmiarów, nie było tylu służących, ilu należałoby się spodziewać, a przynajmniej żaden z nich nie miał obowiązku otwierania drzwi, ponieważ ponownie pojawiła się w nich Courtney Straton. Na widok Damiana wcale nie kryła swojego niezadowolenia. Natychmiast zmarszczyła czoło. Był zaskoczony, że nie zamknęła mu drzwi przed nosem.

- Miałam ogromną nadzieję, że już pan tu nigdy nie wróci - oznajmiła z pewnym zdumieniem.

- Proszę mi uwierzyć, łaskawa pani, że chciałbym, by nie było to konieczne, ale nim wyjadę, naprawdę muszę porozmawiać z Casey. Czy mogłaby pani tym razem nie wzywać męża i po prostu powiedzieć mi, czy córka jest, czy jej nie ma?

Courtney otworzyła usta, by coś powiedzieć, a potem je zamknęła. Jeszcze bardziej zmarszczyła czoło, ale tym razem zamyślając się. Damian wstrzymał dech. Jednak to ona westchnęła.

- W porządku. Skoro nie chce pan być rozsądny, to może pan wejść do środka. - Zamknęła za nim drzwi i zawołała: - Casey, kochanie, chodź tu na chwilę. Masz... gościa.

Ponieważ powiedziała to, a nie krzyknęła, dziewczyna pojawiła się w ciągu kilku sekund.

Stała w otwartych drzwiach jadalni z serwetką w ręce. Nie ruszyła się jednak dalej.

Zatrzymała się, zobaczywszy stojącego w przejściu tuż obok matki Damiana. Na twarzy Casey widać było szok i zaskoczenie.

Damian także był zaskoczony... jej eleganckim wyglądem. Tak przyzwyczał się do noszonych przez Casey dzinsów i poncha, które zdjęła tylko raz w Culthers, że nie przyszło mu na myśl, iż teraz, będąc w domu, dziewczyna może ubierać się inaczej. Jej czarne włosy ułożone były w wyszukaną koafiurę, upiętą za pomocą szpilek ozdobionych klejnotami. Miała na sobie szmaragdowozieloną aksamitną, dopasowaną w pasie suknię z głębokim okrągłym dekoltem, obszytą dużą ilością mającej ten sam kolor, niezwykle delikatnej koronki, udrapowanej w taki sposób, że przypominała krótkie, nakładane na wierzch rękawki.

Była niewiarygodnie śliczna i niezwykle ponętna z tym głębokim dekoltem podkreślającym delikatne wypukłości jej piersi. Patrząc na nią, Damian niemal zapomniał, po co tu przyjechał.

Wyglądało na to, że przerwał im kolację i że na ten posiłek ubierają się tutaj tak samo jak przedstawiciele wyższych sfer w wielkim mieście. Za Casey stanął jej ojciec. W czarnym surducie i czarnym wąskim krawacie wyglądał równie elegancko jak córka. W niczym nie przypominał człowieka, który jakiś czas temu wjechał do Fort Worth. Jeśli jednak nieprzeniknioną minę można uznać za niebezpieczną, to na pewno coś takiego można było powiedzieć o wyrazie twarzy Chandosa.

który był jeszcze bardziej niż żona niezadowolony z ponownego pojawienia się Damiana.

Po dobrej chwili Casey otrząsnęła się z zaskoczenia i spytała:

- Co tu robisz, Damianie? Co się stało z twoim nosem?

Skrzywił się, ponieważ zapomniał o tym, jak wygląda jego twarz. Opuchlizna wyraźnie już zmaląła, ale pod jednym okiem i między brwiami pojawił się duży siniak. Według doktora Harte'a było to jednak niewielkie złamanie, a mogło być gorzej, gdyby cios wylądował

bardziej na środku nosa.

Damian zerknął na Chandosa, po czym odparł:

- Nadziałem się na pięść twojego taty. Wyraźnie uznał, że ma prawo nieco przetrzepać mi skórę za to, że narażałem twoje życie na niebezpieczeństwo.

Casey ponownie była zaszokowana.

- Tatuś cię uderzył? Kiedy?! - krzyknęła. Kilka dni temu.

- Byłeś tutaj i nikt nawet nie zadał sobie trudu, by mi o tym powiedzieć? - To pytanie nic było zwrócone do niego. Prawdę mówiąc, skierowała je do Chandosa.

- O co ci chodzi? - spytał ojciec Casey obcesowo. — Ten człowiek stąd wyjechał. Miał nie wracać.

- Tatusiu, czy ostatnio nie rozmawialiśmy o podejmowaniu za mnie decyzji, które potrafię podjąć sama?

- Nim wyciągniesz zbyt pochopne wnioski, dziecinko, spytaj go, po co tu przyjechał.

Niezależnie od tego, ile masz lat, wciąż mam prawo cię chronić.

Słyszac tę zagadkową uwagę, zmarszczyła czoło. Damian poszedł w jej ślady. Słowa ojca sugerowały, że nowojorczyk przybył tutaj, by w jakiś sposób skrzywdzić Casey, co było śmieszne. Zaczął to mówić, kiedy dziewczyna odwróciła się w jego stronę i przymrużyła oczy.

- Po co tu przyjechałeś. Damianie?

Wolałby porozmawiać z nią na osobności, ale jej rodzice najwyraźniej nie zamierzali na to pozwolić, więc przeszedł od razu do sedna sprawy.

- Jack uciekł mi w St. Louis. Jego ślady prowadziły do Chicago, ale tam trop się urwał. W tak wielkim mieście łatwo się zaszyć w jakiejś norze, ponieważ jest tam mnóstwo kryjówek.

Moim detektywom zbrakło pomysłów, gdzie go szukać. Zaproponowali, by porozsyłać do wszystkich stanów listy gończe i czekać z nadzieją, że jakiś stróż prawa kiedyś gdzieś go zauważy. Co może

nigdy nie nastąpić...

Powoli przytaknęła.

- To jednak nadal nie wyjaśnia twojej obecności tutaj.

- Już raz go znalazłaś, Casey.

- Jasne, ale to było tutaj, na zachodzie. Teraz Jack jest w wielkim mieście - przypomniała. -

Co ja mogę wiedzieć o wielkich miastach?

- Znasz Jacka.

- Przecież zatrudniłeś ludzi, którzy go szukają, Damianie.

- Tak, i są biegli w swoim fachu, niestety już się poddali - wyznał. - Poza tym oni nie są tym osobiście zainteresowani. Ty tak.

- Ja tak? - Uniosła brew. - Dlaczego tak uważasz?

- Wywarłaś na mnie wrażenie osoby, która dba o to, by każdą sprawę doprowadzić do końca

- wyjaśnił. - A ta robota, chociaż zrobiłaś, co do ciebie należało, wydłużyła się i w rzeczywistości jeszcze nie została zakończona.

- To nie moja wina, że go zgubiłeś. Westchnął.

- Masz rację. Ale w znalezienie Jacka włożyłaś bardzo dużo wysiłku. Czy teraz naprawdę chcesz, by spokojnie chadzał swoimi ścieżkami?

Damian trafił w czułe miejsce i wiedział o tym. Czy Casey nie widzi, że jest jego jedyną nadzieją?

- Po co przejechałeś taki kawał drogi? Żeby ponownie mnie wynająć?

- Nie zakładałem, że będzie ci chodziło o pieniądze, ale jeśli tak...

- Poprzednio ich potrzebowałam, Damianie, teraz już nie. Po prostu chcę się upewnić i wyjaśnić niektóre rzeczy. Czy to jedyny powód twojego przyjazdu? Czy zależało ci tylko na tym, żebym powtórnie znalazła Jacka?

- Tylko? Wiesz, jak bardzo chcę oddać go w ręce wymiaru sprawiedliwości. W jakim innym celu miałbym pokonywać taki szmat drogi, zwłaszcza że nie byłem nawet pewien, czy cię tu znajdę?

- Rzeczywiście, jaki mógł być inny cel? - przyznała, po czym zerknęła na ojca. - Wiem, o co ci chodzi, tatusiu.

Potem wyszła, zostawiając nie mogącego uwierzyć w to Damiana. Nie spodziewał się, że Casey

najzwyczajniej pod słońcem odmówi mu pomocy. Prawdę mówiąc, był święcie przekonany, że wystarczy poinformować ją o ucieczce Jacka, by wsiadła do pociągu jadącego do Chicago.

- Sądzę, że otrzymał pan odpowiedź, panie Rutledge.

Odwróciwszy się, zobaczył, że matka Casey stoi w otwartych drzwiach. Owszem, otrzymał odpowiedź. Był zdruzgotany, jakby odmówiono mu nie tylko pomocy, której potrzebował.

Rozdział 51

Damian był niemal w połowie drogi do Chicago, kiedy postanowił wrócić do Teksasu. Nie poddawał się tak łatwo. Nie wykorzystał również wszystkich możliwości - nie odwołał się do poczucia winy, obowiązku moralnego, nie użył wielu innych argumentów, które mogły zmienić decyzję Casey. Poczul się odrzucony, dlatego odszedł jak zmyty. To obrzydliwe. A nawet jeżeli spotka go ostateczna odmowa, może przynajmniej zdoła rozwiązać inne leżące mu na sercu problemy. W tym względzie wcale niepotrzebna mu była dyplomacja.

Wysiadł więc z wagonu, by sprawdzić, jak długo będzie musiał czekać na najbliższy pociąg jadący na południe... i natknął się na Casey, jedzącą na stacji lunch. Był tak zdumiony jej widokiem, że dopiero po paru chwilach uwierzył własnym oczom.

To nie może być Casey w tej żółtej sukni podróżnej i starannie dobranym kapelusiku, a nawet pasujących kolorystycznie bucikach. To na pewno ktoś inny. Tak wyglądała jego pierwsza reakcja, wiedział jednak, że naprawdę zobaczył Casey. W jednej chwili odżył, a odczuwane napięcie dodało mu pewności.

A od Waco jechała ona tym samym pociągiem, jak to możliwe, że o niczym nie wiedział? No cóż, tak jednak wyglądała prawda. Poznawszy nowego pracownika kolei, który obsługiwał

jeszcze bardziej luksusową salonkę, Damian kazał przynosić sobie wszystkie posiłki do wagonu. Tym sposobem od Waco właściwie nie wysiadał z pociągu. Miał tak podły nastrój, że podczas częstych postojów wołał unikać ludzi.

Powoli podszedł do stolika, wciąż obawiając się, że obraz Casey jest jedynie jego pobożnym życzeniem. Kiedy spojrzała na niego z tą swoją nieprzeniknioną miną - teraz znał już jej pochodzenie - poważnie się zaniepokoił. Nie dostrzegł na jej twarzy zaskoczenia, uśmiechu, nie usłyszał żadnego: „Proszę, czyż to nie dziwne, że się tu spotykamy?”, niczego, od czego mógłby zacząć.

Powiedział więc po prostu:

- Jedziesz.

- Tak.

Potem już nieco mniej neutralnym tonem dodał:

- Kiedy miałaś zamiar mi o tym powiedzieć?

- W ogóle nie miałam takiego zamiaru. Zesztywniał.

- Dlaczego? Poprzednio wydawało mi się, że dość dobrze pracowało się nam razem.

- Pewne rzeczy rzeczywiście dobrze nam razem wychodziły, ale nie należało do nich znalezienie Jacka.

Ta szczerą odpowiedź była tak niespodziewana, że Damian niemal zaniemówił. Tymczasem Casey nawet się nie zarumieniła, chociaż w jakiś sposób przyznała, że dobrze im było w łóżku. Poruszyła jednak ten temat, a on pod wpływem złości postanowił szybko to wykorzystać.

- Zabawne, że o tym wspominasz, Casey. Nie przypuszczałem, że tak myślisz, zwłaszcza po zniknięciu w środku nocy bez „Do widzenia”, „Idź do diabła”, czy choćby „Dobrze się bawiłam”.

- Wydawało mi się, że rozstaliśmy się w dość miły sposób. W tej sytuacji słowa były całkiem zbędne.

Patrząc w taki sposób, zapewne miała rację. Byłoby to bardzo miłe rozstanie... gdyby każda ze stron chciała pójść w swoją stronę. Skoro jednak jedna pragnęła czegoś innego...

- Któreś z nas mogło mieć jeszcze coś do powiedzenia - zauważył.

- Któreś z nas miało dosyć czasu na powiedzenie wszystkiego, co chciało - odpaliła.

Zgrzytnął zębami. Ponownie miała rację. To on zwlekał, próbując zdobyć się na odwagę, by zasugerować, żeby w ogóle się nie rozstawali. Biorąc pod uwagę ton, jakim oboje się posługiwali, teraz również nie była najlepsza chwila, by o tym wspominać. Potem zobaczył

wchodzącą do restauracji matkę Casey i idącego za nią ojca, co zmieniło kierunek jego myślenia.

- Zabrałaś ze sobą rodziców?

Pobiegła za jego wzrokiem i uśmiechem powitała zbliżającą się do nich parę.

- Prawdę mówiąc, po prostu jedziemy w tym samym kierunku - wyznała. - Mama doszła do wniosku, że chętnie zrobiłaby w Chicago większe sprawunki. Ojciec nie chciał się z nią ponownie rozstawać, zwłaszcza że ich poprzednia rozłąka dopiero niedawno dobiegła końca, więc się do niej przyłączył. Oczywiście, zapewnili mnie, że ich wyprawa do Chicago nie ma nic wspólnego z moją decyzją.

Wywróciła oczami, by pokazać, jak bardzo im wierzy. Nie rozbawiło go to. Prosił o pomoc Casey, nie całą jej rodzinę. Zapomniał jednak, że dziewczyna wcale nie miała zamiaru go informować, iż wyrusza na polowanie na Jacka. Jeśli naprawdę o to jej chodziło... bo ta sprawa również nie została jeszcze do końca wyjaśniona.

Damian westchnął. Miał zbyt wiele powodów do odczuwania urazy, ponieważ jednak przy rodzicach

nie mógł o tym mówić, postanowił nie poruszać tej sprawy. Z jednym wyjątkiem...

- Jedziesz szukać Jacka?

- Taki miałam zamiar - odparła Casey.

- Ale nie chcesz, żebym ci towarzyszył? Nie chcesz nawet przeczytać raportu detektywów?

- Już mi powiedziałaś, jak wielkie jest miasto, w którym ukrył się Curruthers. Wydaje mi się, że by znaleźć tego człowieka, trzeba myśleć tak jak on. W tym nie pomogą mi raporty o postępach twoich detektywów, dlatego rzeczywiście ich nie potrzebuję.

- O ile pamiętam, ostatnim razem wydatnie przysłużyłem się do ujęcia Jacka. Nie prosiłem cię, żebyś sama zajęła się tą sprawą, kiedy mogę być przy tobie i jakoś ci pomóc.

Westchnęła. W tym czasie jej ojciec zbliżył się na taką odległość, że usłyszał ostatnie słowa Damiana.

- Teraz, skoro już wiem, Casey - wtrącił - że on będzie cię ochraniał, może uda mi się namówić matkę, by zrobiła zakupy gdzieś bliżej domu.

Courtney powiedziała niemal tym samym tonem:

- Dzień dobry, panie Rutledge. Widzę, że w końcu ją pan znalazł. Może w takim razie zaproponuje nam pan dalszą podróż w swoim komfortowym wagonie?

Niewiele brakowało, by Damian ze zdumienia otworzył buzię. Ponownie zaniemówił. Chcieli podróżować z nim, chociaż Casey nie miała na to ochoty? A jej ojciec naprawdę gotów był

uwierzyć, że Damian ją ochroni? Co się, do diabła, stało po opuszczeniu przez niego Waco?

Co zmieniło ich stosunek do niego?

Przez dobrą chwilę czekał, aż obsunie mu się grunt pod nogami i okaże się, że źle ich zrozumiał. W końcu odzyskał głos.

- Oczywiście, proszą pani - odparł z pewnym wahaniem. - Z prawdziwą przyjemnością będę dzielił z państwem swoją salonkę.

Casey wyduła wargi, niezadowolona. To wyraźnie nie był jej pomysł i właściwie niewiele ją wszystko obchodziło. Courtney uśmiechnęła się jednak ucieszona, więc widocznie decyzja zapadła.

Oczywiście. Chandos jak zwykle miał nieprzenikniony wyraz twarzy i nic nie mówił. Co prawda właśnie stwierdził, że Damian do pewnego stopnia ochroniłby jego córkę, ale z pewnością nie zamierzał tego powtarzać ani potwierdzać miną czy gestem.

Może ich opinia wcale tak bardzo się nie zmieniła? Może Damian doszukał się w ich słowach

więcej, niż zamierzali powiedzieć? Czyżby naprawdę zgodził się na przebywanie przez kilka dni w małej klitce razem z rodzicami Casey? Chyba musiał postradać zmysły.

Rozdział 52

Casey i jej matka zajęły w wagonie pulmanowskim osobny przedział sypialny. Chandos bez pytania o zgodę usunął stamtąd kilka rzeczy Damiana, zakładając z góry, że gospodarz odda to pomieszczenie do dyspozycji dam. Oczywiście, zrobiłby to, chciałby jednak, by go zapytano o zgodę.

Taki sposób bycia obowiązywał przez kilka pozostałych dni. Stratonowie wiele rzeczy traktowali jak coś normalnego, przynajmniej tak postępowali rodzice Casey. Ona sama nie była zbyt rozmowna... to znaczy rozmawiała tylko z rodzicami. Damian osobiście mógł się przekonać, jak dobrze się między nimi układa.

Spędzony wspólnie czas dał się znieść tylko dzięki Courtney Straton. Jej wyszukane maniery, tak bardzo odbiegające od zachowania córki i męża, świadczyły o wyniesionym z dzieciństwa dobrym wychowaniu. Ciągle próbowała wciągać Damiana w rozmowę toczącą się w głównej części wagonu, gdzie spędzali znaczną część dnia. Zachęcała go, by opowiadał o sobie, swoim ojcu i przedsiębiorstwie od tak dawna prowadzonym przez rodzinę Rutle-dge'ów.

Wspomniała nawet jego matkę...

Casey zarumieniła się, i to wtedy, kiedy Courtney wyznała:

- Casey wspomniała mi, że pańska matka mieszka w Chicago. Może, będąc w tym mieście, uda nam się ją poznać?

Spojrzenie, jakim Damian obdarzył Casey, wyraźnie mówiło: „Co jeszcze powiedziałaś swoim rodzicom? To są sprawy, które nie powinny ich obchodzić!”. Ale odpowiedź, jakiej udzielił Courtney, brzmiała całkiem inaczej.

- Wątpię, proszę pani. W końcu to nie jest wizyta towarzyska.

Nie należało jeszcze zapominać o niemiłych nocach, kiedy panie kładły się do łóżek za zamkniętymi drzwiami sypialni, a Damian zostawał sam na sam z Chandosem Stratonem.

Pierwszy wieczór nadał ton następnym, kiedy nawzajem się ignorowali. A wszystko przez jedną uwagę, którą Chandos wygłosił po usadowieniu się na długiej ławce po przeciwnej stronie wagonu.

- Moja żona ewentualne wątpliwości rozstrzyga na pańską korzyść. Uważa, że pańska determinacja o czymś świadczy. Ja zwlekam z osądem,

Damian nie miał zamiaru puszczać mimo uszu tego zagadkowego stwierdzenia.

- O czym pan, do diabła, mówi?

- Dojdzie pan do tego, złotodziebie - odparł Chandos, a potem odwrócił się i zasnął.

Tak było przez następne trzy dni. Gdy pociąg dojechał do Chicago, Damian naprawdę czuł się tak, jakby od dawna przyjaźnił się z Courtney. Ale nie z pozostałymi, gdyż oboje sprawiali wrażenie, jakby zaledwie tolerowali jego obecność. Poza tym ani razu nie udało mu się porozmawiać z Casey w cztery oczy. Zawsze u jej boku było któreś z rodziców.

Polecił im hotel, w którym poprzednio się zatrzymał i zamierzał ponownie tak zrobić. Po cichutku liczył na to, że przynajmniej tam w którymś momencie natknie się na samą Casey.

Ona jednak najchętniej nie zgodziłaby się na tę propozycję. Gdy matka przyznała, że to doskonały pomysł, dziewczyna zrobiła wiele mówiąca minę, nie próbowała jednak zmieniać podjętej decyzji.

Właściwie nie miała po co, ponieważ i tak już uzgodniono, że jeśli Casey odkryje miejsce pobytu Jacka, nie będzie próbowała sama go ująć, miał to zrobić jej ojciec, na co przystała, acz niechętnie. Obiecała również powiadamiać Damiana o postępach śledztwa, co wymagało częstych spotkań. Wtedy też Courtney zaproponowała, by jadaliby razem kolację. Nie o to chodziło Damianowi, ale starał się wykorzystać każdą nadarżającą się okazję spotkania z Casey.

Dziewczyna przedstawiła swoje plany na najbliższy czas.

- Jack przyzwyczał się do szastania twoimi pieniędzmi - wyjaśniła Damianowi. - Owszem, ukrywa się, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że nie zmienił stylu życia. Mam zamiar pytać o niego pracowników agencji obsługujących ludzi z wyższych sfer, a także w droższych hotelach. Zaczę tutaj.

To oznaczało, że dziewczyna nie będzie potrzebowała pomocy Damiana, przynajmniej przez kilka pierwszych dni. Nawet jej ojciec nie przewidywał żadnych kłopotów na etapie przepytывania ludzi.

Jak się okazało, Casey tak się spieszyło, by znaleźć Jacka i wrócić do domu, że nie pojawiła się pierwszego dnia na kolacji w hotelu. Tak samo było następnego wieczoru. Zostawiała jednak informacje, że musi porozmawiać z wieloma osobami, dlatego nie ma czasu na zjedzenie normalnej kolacji, na dodatek chce prowadzić dochodzenie do późna.

Chandos nic był tym ani trochę zaskoczony.

- Gdy moja córka do czegoś się zabiera, poświęca się swemu zajęciu bez reszty.

Damian - określając to najłagodniej - był rozczarowany. Chciał, by Jack się znalazł, i to jak najszybciej. Ale zależało mu też na spędzeniu czasu z Casey, nim ona ponownie zniknie. A ponieważ nie zgodziła się, by jej towarzyszył podczas dochodzenia, liczył na to, że zgodnie z umową będą przynajmniej wspólnie jadaliby kolacje.

Pojawiła się trzeciego wieczoru, na dodatek była pięknie ubrana. W hotelu znajdowała się bardzo elegancka restauracja. Korzystali z niej nie tylko goście hotelowi, lecz również wielu wpływowych mieszkańców miasta. Uznawali oni ten lokal za idealne miejsce, w którym można zaprezentować nową biżuterię, kosztowne utrzymanki i wszystko, z czego byli dumni.

Casey przyćmiła wszystkie inne damy. Miała na sobie lawendową jedwabną suknię, a na szyi

zawiesiła na czarnej tasiemce medalion. To zabawne, ale Damian za każdym razem odnosił wrażenie, że dziewczyna staje się coraz piękniejsza.

Tego wieczoru przyszła wcześniej niż jej rodzice. Gdy zobaczyła, że Damian jest sam.

zwolniła kroku, jakby chciała się wycofać. Widząc jednak jego spojrzenie, zmieniła zdanie -

widocznie uznała, że jeśli będzie musiał, gotów jest ściągnąć ją do stołu siłą, i postanowiła nie ryzykować takiej sceny. To dobrze, ponieważ Damianowi było w tym momencie całkiem obojętne, co o jego zachowaniu pomyślą inni.

Wstał, by odsunąć jej krzesło. Natychmiast pojawił się kelner i zaproponował wybór przekąsek. Damian nie czekał, aż zostaną sami.

- Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie, Casey.

Nie spodziewała się komplementu. Wywołał na jej policzkach rumieniec. Nim zdołała cokolwiek powiedzieć, dodał:

- Ale podobałaś mi się również w dzinsach i ponchu. To ją zaskoczyło, wciąż jednak się nie odzywała. Może czekała, aż kelner zostawi ich samych. Kiedy odszedł, okazało się, że Damian ma jeszcze jedną rzecz do dodania, chociaż nie było to mądre.

- Prawdę mówiąc, najbardziej mi się podobałaś, gdy nie miałaś na sobie żadnych szmatek.

Jej rumieniec zrobił się jasnoczerwony. Opuściła wzrok na stół i szepnęła:

- Próbujesz mnie zawstydzić?

- Nie, jedynie stwierdzam prawdę - odparł zachrypniętym głosem.

Uniosła głowę i wpatrzyła się w niego swymi złocistymi oczami. Miał dziwne uczucie, że Casey właśnie wyobraża go sobie nagiego. On z całą pewnością taką ją widział. Nie mógł

powstrzymać wciąż powracających wspomnień ostatniej wspólnie spędzonej nocy.

To była zapierająca dech w piersiach chwila. Damian chciał zabrać Casey prosto do swojego pokoju. Chciał... W tym momencie rozległ się pisk:

- Czy to ty, Damianie? Oczywiście! Co robisz w Chicago? Czemu nie dałeś mi znać o swoim przybyciu? Pewnie przyjechałeś dziś wieczorem i jutro rano miałeś zamiar złożyć mi wizytę.

Damian z przerażeniem zamknął na chwilę oczy, po czym wstał, by przywitać się z Luellą Miller.

Casey nie mogła uwierzyć, że ma aż takiego pecha. Właśnie przeżywała oszałamiającą chwilą i, prawdę mówiąc, myślała, że zaraz Damian powie coś, na co od dawna czekała. Tymczasem usłyszała drażniący głos, którego serdecznie nienawidziła, tak samo zresztą jak jego właścicielki. Casey nie tolerowała Luelli za jej drobniutką figurą, wspaniałą urodą, ale przede wszystkim za to, że traktowała Damiana jak własność.

W porządku, „nienawiść” to może zbyt mocne słowo, ale z pewnością panna Miller nie cieszyła się sympatią Casey. To jednak nie zmieniało faktu, że jedyna osoba, na którą nie chciała się natknąć, stała przy ich stoliku wyraźnie zaskoczona, że spotyka Damiana w Chicago. Do diabła, Casey całkowicie wykreśliła Luellę z pamięci, w związku z tym zapomniała, iż ta niezwykle piękność mieszka właśnie w tym mieście.

- Jestem tu w ważnej sprawie, Luello - wyjaśnił Damian. - Obawiam się, że podczas tej podróży nie będę miał czasu na kontakty towarzyskie.

- Och, naprawdę! - zawołała Luella, sztyletując wzrokiem Casey. - A to kto?

Zabawne. Czyżby Luella była o nią zazdrosna? Nawet jej nie poznała. To jedynie świadczyło o powierzchowności tej kobiety. Całkowicie skupiała się na interesującym ją mężczyźnie, a wówczas nikt inny nie zasługiwał nawet na jej pobieżne spojrzenie.

- Czuję się urażona, Luello, że mnie nie pamiętasz - zauważyła Casey sucho.

- Och. to ty, Casey - prychnęła Luella. - Przepraszam, myślałam, że jesteś... no cóż, sama wiesz... jedną z tych... - zniżyła głos do szeptu - ...pań z ulicy.

Wcale tak nie myślała, po prostu pozwoliła sobie na złośliwość. Casey w ogóle się tym nie przejęła. Właściwie miała zamiar przeprosić i zostawić tych dwoje, by mogli się nacieszyć spotkaniem. Niestety, w tym momencie pojawili się jej rodzice. Utknęła na dobre.

Prawdę mówiąc, musiała przesiedzieć całą kolację z Lu-ellą, która narzuciła im swoje towarzystwo, a uprzejmość uniemożliwiła powiedzenie jej, że chcą być sami. Ta sytuacja aż za bardzo przypominała Casey chwile spędzone z panną Miller w drodze do Fort Worth. Tak samo jak wtedy zdominowała scenę i udało jej się sprawić, że cała rozmowa kręciła się wokół jej osoby.

Casey zrezygnowała z deseru. Rozboliła ją głowa, o czym miała zamiar bez skrępułów powiadomić resztę. W tym momencie Luella najwyraźniej zobaczyła kogoś znajomego, ponieważ zaczęła wyciągać szyję, by sprawdzić, kto siedzi przy jednym z sąsiednich stolików. Licząc na to, że panna Miller ich opuści i pójdzie dręczyć swoją nieustanną paplaniną kogoś innego, Casey odczekała jeszcze chwilę ze swoim usprawiedliwieniem.

- Ojej, czyż to nie najbardziej zdumiewający zbieg okoliczności?! - zawołała Luella. -

Damianie, jestem święcie przekonana, że w przeciwległym rogu sali je kolację twoja matka...

tylko ta wspaniała kobieta jeszcze cię nie zauważyła.

Luella nawet nie zadała sobie trudu, by się obejrzeć i sprawdzić, jakie wrażenie jej słowa wywarły na Damianie. Poderwała się na równe nogi, wyraźnie zamierzając naprawić fakt, że

„ta wspaniała kobieta jeszcze go nie zauważyła”. Pisnęła, gdy Damian chwycił ją za rękę i jednym szarpnięciem posadził z powrotem na krześle.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Wciąż nie zwracała uwagi na dawane przez niego znaki, nie domyśliła się również, że Damian jest wściekły, przede wszystkim na nią.

- Oszalałeś? - Wydeła wargi.

- Całkiem możliwe. - Zgrzytnął zębami. - A już na pewno dostanę szału, jeśli ponownie zaproponujesz spotkanie z moją matką. Gdybyś zwróciła uwagę, Luello, na to, co powiedziałem, kiedy się nam narzuciłaś, dotarłoby do ciebie, że nie przyjechałem tu w celach towarzyskich. Jeśli jednak trzeba, powtórzę to jeszcze dobitniej - nie chcę widzieć matki ani teraz, ani w przyszłości.

- Mnie chyba również - rzuciła, czekając na zaprzeczenie.

Nic usłyszała go. Uroczo się zarumieniła. Nadal jednak nie czuła się na tyle urażona, by wstać i wyjść. A szkoda. Może była zbyt tępa, by się zorientować, że właśnie ją znieważono.

Courtney próbowała rozładować sytuację, przypominając o deserze. Chandos z trudem powstrzymywał śmiech. Casey ze zmartwieniem przyglądała się Damianowi. Gdy przestał

łajać Luellę, spojrzał w stronę stolika, przy którym najwidoczniej siedziała jego matka.

Ponieważ był bardzo wysoki, nic miał problemu z patrzeniem nad głowami innych.

Dziewczyna zorientowała się, kiedy matka Damiana przechwyciła jego spojrzenie. Zamarł w bezruchu. Ani drgnął, nawet nie wciągnął powietrza. Widząc smutek w jego oczach, Casey poczuła, że serce jej się kraje.

Wstał i wyszedł z restauracji. Casey również się poderwała i ruszyła w ślad za nim. Na odchodnym usłyszała jeszcze słowa Luelli:

— Nie do wiary! Nawet się nie pożegnał.

Casey uznała, że jej rodzice wszystko wyjaśnią... a może nie.

Damian poszedł prosto do swojego pokoju. Nie wiedział, że dziewczyna idzie tuż za nim, póki nie trzasnęła drzwiami, a raczej nic próbował nimi trzasnąć. Nie zamknęły się, ponieważ stała w nich Casey. Odwrócił się na pięcie, jakby szykował się do walki. Widocznie myślał, że to jego matka, ale na widok gościa natychmiast się uspokoił.

- Nie byłem gotowy - wyjaśnił, jakby wiedziała, o co mu chodzi.

Wiedziała.

- Rozumiem.

- Ta głupia pannica byłaby w stanie wytrącić z równowagi nawet świętego.

- To również rozumiem.

- Nie chcę po raz pierwszy spotkać się z matką zdenerwowany wcześniej przez kogoś innego.

Będę musiał zdobyć się na maksymalne opanowanie, by wysłuchać jej ewentualnych wyjaśnień.

- Masz rację. Jeżeli będziesz chciał z nią porozmawiać, musisz zrobić to spokojnie.

Przytaknął i ze zniecierpliwieniem przeczesał palcami włosy. Potem z bólem spojrzał na Casey.

- Ona mnie poznała, Casey - wyjął pełnym konsternacji głosem. - Nie widziała mnie od dziecka. Jak ona, do diabła, mogła mnie rozpoznać?

- Może w taki sam sposób, w jaki ty rozpoznałeś ją - odpowiedziała Casey z wahaniem.

- Nie, ona po prostu prawie wcale się nie zmieniła. To zdumiewające, ale wygląda niemal tak samo. Nieco siwych włosów na skroniach i kilka zmarszczek tylko w nieznacznym stopniu odmieniło śliczną twarz, którą zapamiętałem. Gdy nas opuściła, miałem dziesięć lat. Teraz w niczym nie przypominam tamtego dziecka.

- Damianie, matki kierują się swego rodzaju instynktem, intuicją. Poza tym przyglądałeś się jej z pewnym natężeniem. Nie przekraczając granic zdrowego rozsądku, można uznać, że dopisało jej szczęście i odgadła, kim jesteś.

- Tak, oczywiście. Tak musiało być - przyznał z westchnieniem. - Chociaż to i tak nic ma znaczenia - upierał się bez przekonania.

Casey miała w tym momencie ochotę go przytulić. Nie zrobiła tego.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. Proszę, przeproś w moim imieniu rodziców za to, że tak niespodziewanie wyszedłem.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- To ludzie wrażliwi. Nie ma potrzeby ich przeproszać. Odwróciła się.

- Casey?

Zamarła w bezruchu i wstrzymała dech. Nie powiedział jednak tego, co myślał. Casey, wchodząc, nie zamknęła za sobą drzwi. Teraz stała w nich następna osoba. Zrobiła kilka kroków i przez ramię

dziewczyny wpatrzyła się w syna. To ty, Damianie? - spytała kobieta z nadzieją w głosie. - Przyjechałeś, by się ze mną zobaczyć?

Casey odwróciła się, by zobaczyć reakcję Damiana. Stał jak posąg. Nie miał zamiaru pokazać matce, co czuje.

- Nie odparł bezbarwnie. - Przyjechałem tu, by znaleźć mordercę ojca.

Westchnęła.

- Słyszałam o jego śmierci. Bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie, proszę pani. Ten człowiek nic dla pani nie znaczył, był jedynie niewielkim wycinkiem pani młodości.

Mimo neutralnego tonu w jego słowach słyhać było urazę. Kobieta lekko przytaknęła, może próbując opanować własne emocje.

- W takim razie wybacz, że ci przeszkodziłam - szepnęła i ruszyła w stronę wyjścia.

W jej oczach Casey dostrzegła łzy. Zerknęła szybko w stronę Damiana, ale on już odwrócił

się plecami. Stał sztywno, z zaciśniętymi pięściami. Nie była to odpowiednia pora, by wspominać o łzach.

Rozdział 54

Dwa dni później Casey pojawiła się w połowie kolacji, którą Damian jadł z jej rodzicami, i przekazała im wiadomość. Naprawdę nie przypuszczała, że wszystko tak sprawnie jej pójdzie.

Kiedy postanowiła wybrać się do Chicago, zależało jej nie tylko na znalezieniu Jacka Curruthersa.

Wciąż pamiętała, jak matka, zastawszy ją przy pakowaniu, zapytała o prawdziwe motywy.

- Jedziesz mu pomóc, prawda? Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ lubię kończyć to, co zaczęłam. A ta sprawa nie została doprowadzona do końca.

- Czy to jedyny powód?

- Nie - przyznała Casey z westchnieniem. Courtney niecierpliwie zastukała nogą.

- Nie zmuszaj mnie do tego, żebym wszystko z ciebie wyciągała.

Casey usiadła na łóżku i wyjaśniła: - Mam zamiar skorzystać z twojej rady. mamusiu, przynajmniej do pewnego stopnia. Postanowiłam dać Damianowi szansę na to, by zaproponował mi małżeństwo.

Jeśli nie zrobi tego z własnej woli, nie chcę go znać.

Naprawdę, mamusiu !

Courtney nie była zadowolona ze słów córki, ale na wszystko się zgodziła. Dziewczyna uznała, że Damian będzie miał dość czasu na to, by dojść do wniosku, że właśnie znalazł

bardzo dobrą kandydatkę na żonę. Sprawa wyglądała nawet dość obiecująco. Casey kilkakrotnie przyłapała go na tym, że ukradkiem zerkał w jej stronę. Jego spojrzenia rozpalały ją od środka. Jednak w ostatecznym rozrachunku sprawiał wrażenie całkiem skoncentrowanego na szukaniu Jacka.

Właśnie go znalazła.

Tym razem nie przeprosiła za spóźnienie ani za to, że nie zostawiła żadnych wiadomości. Po prostu usiadła przy stoliku i oznajmiła bez wstępu:

- Znalazłam Jacka.

Chandos kiwnął głową, wcale nie zaskoczony faktem, że tak szybko jej się to udało. Courtney szepnęła:

- A ja nawet nie zaczęłam robić zakupów.

- Jakich zakupów? - spytał Chandos ze śmiechem. Damian nie słuchał żadnego z nich.

- Tak szybko? Jesteś pewna? - zapytał z niedowierzaniem.

Casey potrząsnęła głową.

- Pewna, ale nie do końca. Jeszcze go nie widziałam. Pasuje jednak do opisu, zgadza się również czas jego przyjazdu do miasta.

- Jak to się stało, że znalazłaś go z taką łatwością, chociaż pracujący dla mnie detektywi...?

- Nie myśl o nich źle ucięła. - Po prostu dopisało mi szczęście, poza tym pytałam o rzeczy, które im nie przyszły do głowy.

- Na przykład?

- No cóż, dowiedziałam się, że Jack zatrzymał się w hotelu w pobliżu rzeki. Nie mieszkał tam długo, zaledwie kilka dni. Była to jednak konkretna ścieżka, którą postanowiłam podążać dalej. Rozmawiałam z każdym, kto w tym czasie mógł mieć do czynienia z nim samym lub jego pokojem.

- Moi detektywi sprawdzili wszystkie hotele w mieście -przypomniał Damian. - Gdybyś zadała sobie trud i przeczytała ich raporty, wiedziałabyś o tym.

- Gdybym przeczytała twoje raporty, może nie byłabym tak dokładna, prawdopodobnie nawet nie zwracałabym sobie głowy sprawdzaniem hoteli. Ale nie słuchasz mnie. Damianie.

Powiedziałam, że dopisało mi szczęście. Okazało się, że Jack zamawiał wszystkie posiłki do pokoju. Młody człowiek, Milton Lewis, do którego obowiązków należało zbieranie tac po posiłkach, pewnego dnia się rozchorował. Oczywiście, wszystko działo się podczas pobytu Jacka w hotelu. Chłopca zastąpił jego brat, o czym wiedział tylko jeden pracownik hotelowy.

Wygląda na to, że Milton w tym roku dość często choruje. Grożono mu, że straci pracę, jeśli opuści choćby jeden dzień, dlatego postanowił zrobić wszystko, by jego zwierzchnik nie dowiedział się o tej nieobecności.

- I to właśnie on powiedział ci coś na temat Jacka? - dociekał Damian.

- Nie. O tym, że go nie było, dowiedziałam się tylko przez przypadek. Po prostu podczas rozmowy ze mną coś mu się wyrwało. Na pewno nie miał zamiaru wyjawiać swojego oszustwa. Bracia są do siebie bardzo podobni i tylko dzięki temu możliwa była taka zamiana.

- To znaczy, że rozmawiałaś z drugim z Lewisów, podczas gdy inni, przepytując Milтона, nawet nie dowiedzieli się o istnieniu jego brata? - spytał Chandos.

- Właśnie - odparła Casey. - Milton podał mi imię swojego brata, a ja dziś po południu poszłam go odwiedzić. Chłopak był nieco zdenerwowany, w związku z czym Jack nabrał

wobec niego pewnych podejrzeń. Nie ma co się temu dziwić - w końcu naszego ptaszka szukało mnóstwo ludzi. Ale, oczywiście, zdenerwowanie młodego człowieka nie wiązało się z Jackiem. Nie chcąc jednak, by klient poskarżył się szefowi, brat Milтона musiał się przyznać do podstępu. Jack widocznie uznał, że chłopak może mu pomóc, ponieważ już nigdy więcej nie pojawi się w hotelu, nie jest jednym z pracowników, których ktoś może wypytywać, nikogo więc nie naprowadzi na żaden ślad.

- W jaki sposób mu pomógł? - spytała Courtney. Na twarzy Casey pojawił się uśmiech.

- To tylko dowodzi ogromnego sprytu Jacka. Powiedział młodemu człowiekowi, że nie zdradzi sekretu całej zamiany, jeżeli chłopak pomoże mu znaleźć przyzwoity lokal, który będzie można wynająć bez pośrednictwa agencji.

- I brat Milтона to zrobił?

- Tak. Bardzo się martwił, dlatego jeszcze tego samego dnia wrócił z adresem. Prawdę mówiąc, było to jego mieszkanie. Chłopak uznał, że nic mu się nie stanie, jeżeli je wynajmie i wprowadzi się do swojego brata, póki sam nie znajdzie sobie jakiegoś lokum. Chciał, żeby Jack był zadowolony i nie doniósł szefom o zamianie. Curruthers nie wydawał się zachwycony zaproponowanym pokojem i wcale tego nie krył. Może jego niezadowolenie wynikało z faktu, że mieszkanie to nie znajduje się w najdroższej dzielnicy. Musiał jednak uznać, że trafiła mu się zbyt dobra okazja, by ją przepuścić. W końcu, ze względu na to, w jaki sposób wszystko zostało załatwione, nie było możliwości, by ktoś go

wytropił.

- Wciąż tam mieszka? Casey przytaknęła.

- Według dozorczynie tak. Przedstawił się jako Marion Adams. Prawdopodobnie miał

nadzieję, że noszone również przez kobiety imię „Marion” może kogoś zmylić. Zrobił to na wszelki wypadek, gdyby jakiemuś detektywowi podążającemu jego tropem dopisało szczęście i akurat sprawdzał ten budynek.

- W takim razie na co czekamy? - mruknął Damian, podnosząc się, by wyruszyć w drogę.

- Na rano - odparła Casey.

- Dlaczego?

- Ponieważ teraz Jacka nie ma w domu - wyjaśniła - Sprawdziłam.

Słyszając to oświadczenie, obaj siedzący przy stole mężczyźni zmarszczyli czoła.

- Sprawdziłaś? - zdziwił się Chandos. - Jeśli mi powiesz, że zapukałaś do jego drzwi, prawdopodobnie zamknę cię na klucz.

- Posłuchaj, tatusiu...

- Przecież obiecałaś, że nic będziesz próbowała sama aresztować Jacka! - dodał Damian. -

Słowo daję, Casey, nigdy więcej nie spuszczę cię z oka.

- Możecie przestać? - przerwała im Casey, doprowadzona do rozpaczki. - Nie mam zamiaru odgrywać samotnej bohaterki. Nie, nie zapukałam. Jego mieszkanie znajduje się na drugim piętrze, na prawo od schodów. Dozorczynie powiedziała mi, że go nie ma. Jest dość wścibską osobą i podgląda swoich lokatorów. Żeby się jednak upewnić, rzuciłam jakimś drobiazgiem w jego drzwi, a potem zaczekałam na pierwszym piętrze, poza zasięgiem wzroku. Chciałam usłyszeć, czy ktoś je otwiera. Pozostały zamknięte. Potem zabrałam ten przedmiot, żeby Jack się nad nim nie zastanawiał, i przyszedłam tutaj.

- Mógł wrócić, gdy tam byłaś, i zająć cię od tyłu - zauważył Damian, wciąż nie mogąc uwierzyć, że Casey nic nie groziło.

Casey lekko się uśmiechnęła i z górnego brzegu kapelusza opuściła grubą gazę. Woalka osłaniała znaczną część twarzy i była na tyle gęsta, że ukrywała rysy.

- Mógł ~ przyznała. - Aleby mnie nie rozpoznał.

- W porządku. - Damian dał za wygraną. - Mimo to nie chcę czekać do rana. W którymś momencie wróci Chciałbym wtedy tam być... - Głos odmówił mu posłuszeństwa, ponieważ Casey zaczęła

potrzęsać głową. - Dlaczego nie?

- W tym budynku jest za ciemno. Jedyne okno znajduje się na przeciwnym, odległym końcu korytarza, z dala od drzwi Jacka, i wychodzi na następny dom stojący zaledwie dwa metry dalej, dlatego nawet w ciągu dnia prawie w ogóle nic dociera tam światło. Tym bardziej po zapadnięciu mroku. Lampa na korytarzu na piętrze Jacka jest rozbita. Prawdopodobnie ostatnio docierał do swojego mieszkania ze świecą w ręce. Poza tym z każdego z tych lokali są dwa wyjścia - drzwi i znajdująca się na tyłach domu droga przeciwpożarowa. Sprawdziłam tyły. Gdyby udało mu się tamtędy uciec, miałby zbyt wiele miejsc do ukrycia. Schody przeciwpożarowe prowadzą również w górę, na znajdujący się o dwa piętra wyżej dach. Po ciemku Jack bez trudu mógłby ponownie nam umknąć. Natomiast rano, w świetle dziennym, nie będzie mu tak łatwo znaleźć jakiejś kryjówki.

Damian poddał się z westchnieniem. Chandos uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Casey nie lubi ryzykować.

- To prawda - przyznał Damian.

Rozdział 55

Nazajutrz rano wszyscy zebrali się przed wschodem słońca, gdy w hotelu panowała jeszcze cisza, w mieście do pewnego stopnia również. Mieli nadzieję, że zastaną Jacka jeszcze w łóżku. W końcu Damian świetnie sobie radził z wyważaniem drzwi. Gdyby to zrobił, sprawiłby Curruthersowi największą niespodziankę.

Chandos postanowił pójść z nimi i pilnować wyjścia awaryjnego. Casey przewidywała, że tak będzie. Co prawda w większości przypadków oboje z Damianem nieźle sobie radzili, ale skoro jej ojciec już tu był i nie miał nic innego do roboty...

Na tę okazję Casey włożyła džinsy, nie chcąc, by spódnica jej przeszkadzała. Poncho zostawiła w domu, ponieważ tutejszy, znacznie chłodniejszy klimat wymagał czegoś cieplejszego niż tamten strój odpowiedni przy nieco wyższych temperaturach. Tutaj przydała jej się podbita kożuszką kurtka, którą nosiła na ranczu.

Prawdę mówiąc, nie spodziewali się żadnych trudności. Przynajmniej Casey ich nie przewidywała. Jack nie miał tu wynajętych rewolwerowców, takich jak ci, którzy chronili go w Teksasie. Jeżeli uda się go zaskoczyć i obejdzie się bez strzelaniny, niewykluczone, że wrócą do hotelu na śniadanie.

Casey po przyjeździe do Chicago wynajęła powóz. Dotarli nim do budynku, w którym mieszkał Jack, w chwili kiedy słońce wychyliło się zza horyzontu. Chandos przeszedł nieco dalej, by widzieć jednocześnie główne wejście i wyjście awaryjne. Damian i Casey natychmiast ruszyli schodami na drugie piętro.

Damian zabrał ze sobą strzelbę. Casey czułaby się dziwnie, nosząc w mieście pas z bronią, dlatego wsunęła rewolwer i zapasowe naboje do kieszeni kurtki. Zrobiła to na wszelki wypadek, ale teraz, zbliżając się do drzwi Jacka, wyjęła broń.

Ze środka nie dochodził żaden dźwięk, w szparze pod drzwiami nie było widać światła.

Damian przyjął odpowiednią pozycję, zerknął na Casey, by sprawdzić, czy jest gotowa, po czym uderzył ramieniem w drzwi.

Natychmiast się otworzyły. Damian szybko odzyskał równowagę i nie wpadł do środka. Ale pokój był pusty. Znajdowały się w nim rzeczy Jacka, samego lokatora jednak nie zastali.

Casey zaczęła wszystko sprawdzać, by się upewnić, tymczasem Damian warknął:

- Gdzie on, do diabła, jest?

Nie odpowiedziała. Czowała, że Damian jest o wiele bardziej wściekły niż ona. Potem usłyszała słabe, acz wyraźne nawoływanie ptaka, nie spotykanego w leżącym na północy wielkim mieście.

- To ojciec...

- Co takiego?

- Musiał coś zobaczyć. Biegiem na dół! - zwołała, pędząc w stronę drzwi.

Damian nie protestował. Minał ją na schodach, gdyż długie nogi umożliwiły mu szybsze pokonywanie stopni. Gdy Casey wypadła z budynku, on już wsiał do powozu. Chandos machał, żeby się pospieszyła. Nie było czasu na pytanie, co się stało.

Casey wskoczyła do środka moment przedtem, nim ojciec podciął konia, zmuszając go do galopu. Zwierzę nie było przyzwyczajone do wyścigów, ale Chandos skłonił je do rozwinięcia pewnej prędkości. Damian pomógł Casey usiąść obok siebie, twarzą do przodu.

- W porządku, co się stało? - spytała, kiedy udało jej się odzyskać dech.

Pokazał ulicę. Od razu zauważyła, że przed nimi pędzi ulicą inny wehikuł, również nie zachowując żadnej ostrożności. To jednak nie wyjaśniało, co w ich planie spaliło na panewce.

Z trudem przesunęła się na przednie siedzenie, by porozmawiać z siedzącym na siodełku woźnicą ojcem. Klepnęła go w ramię.

Sam powiedział to, co chciała usłyszeć, krzyżąc za siebie:

- Nie wiem, czy zauważył was, czy mnie. Przez przypadek, nim znalazł się poza zasięgiem mojego wzroku, zobaczyłem, jak wskakuje do przejeżdżającego powozu. Musiał właśnie wracać do domu. Był jednak tak podejrzliwy, że natychmiast rzucił się do ucieczki. Nim dotarłem przed dom, wypchnął woźnicę i zdążył przejechać kawałek drogi. Biedny poszkodowany został na krawężniku i krzychał coś o złamanej stopie.

- Musimy pędzić tak jak on?! - krzyknęła. - To niebezpieczne.

Miała rację. Na ulicach, mimo tak wczesnej pory, panował spory ruch. Wszędzie pełno było wozów dostawczych, ludzi przechodzących przez ulicę, powozów i wehikułów wszelkiej maści. Jack pędził prosto przed siebie, na nic nie zważając, nawet jeśli w coś uderzył... a oni tuż za nim, korzystając z oczyszczonej przez niego ścieżki. W ślad za obydwojma powozami unosiły się krzyki i przekleństwa ludzi, którzy z trudem zdołali na czas uskoczyć z drogi.

- Masz rację, a ten stary koń, którego wynajęłaś, już dłużej nie podoła - wyznał Chandos. -

Musisz strzelać. Spróbuję podjechać trochę bliżej.

- Trafić Jacka, strzelając z rewolweru z pędzącego powozu? Na pewno mi się uda - mruknęła Casey pod nosem, wracając na tylne siedzenie.- Słyszałeś? - spytała Damiana.

Przytaknął szorstko. Spojrzała na strzelbę, którą wciąż ściskał w dłoni, po czym zaproponowała:

- Będziesz musiał ty to zrobić. Nie uda mi się oddać celnego strzału przy takim kołysaniu, ale ty możesz spróbować. Najpierw strzel mu nad głowę. Może będzie miał tyle zdrowego rozsądku, by się zatrzymać, nim zrobi coś złego niewinnym ludziom.

Damian nie odpowiedział, jedynie zajął lepszą pozycję. Wcale nie musieli bliżej podjeżdżać, by mógł użyć strzelby. Długa broń bez trudu pokonywała duży dystans, z którym nie radził

sobie rewolwer.

Damian strzelił. Jack się nie zatrzymał, postanowił natomiast skrócić w najbliższą przecznicę, mając nadzieję, że tym sposobem ucieknie z linii ognia. Jego koń, mimo dużej prędkości, rzucił się w tym kierunku, niestety pojazd nie mógł wykonać tak ostrego skrętu. Przewrócił

się na bok, przy okazji wyrzucając Jacka, i dopiero po przejechaniu kilku następnych metrów zatrzymał się ze zgrzytem.

Chandos musiał uciekać na chodnik, by nie przejechać Jacka, który wpadł im prosto pod koła.

Niepotrzebnie. Niedoszły burmistrz Culthers zginął podczas upadku.

Rozdział 56

Gdy po rozmowie z policją Damian przyjechał do hotelu. Casey już się pakowała. W recepcji trzymano dla gości wciąż aktualizowany rozkład jazdy pociągów. Najbliższy pociąg do Teksasu odjeżdżał tego samego dnia po południu. Już powiedziała rodzicom, że zamierza nim wyjechać, co wcale ich nie ucieszyło. Mieli nadzieję na inne zakończenie tej wyprawy...

przynajmniej matka na to liczyła.

Chandos wciąż powtarzał: „Zostawiam osąd na potem. Najpierw chcę zobaczyć, co z tego wyniknie”. Innymi słowy, nie miał zamiaru polubić ani zaakceptować Damiana, póki człowiek ten nie uszczęśliwi Casey. Teraz szansa na to topniała z godziny na godzinę.

Może ponownie zbyt szybko wyjeżdża. Prawdę mówiąc, nie dała Damianowi szansy na zastanowienie się nad czymś innym, na przykład nad małżeństwem, chociaż wiedziała, że dopiero teraz jego myśli przestały krążyć wokół sprawy ujęcia Jacka Curruthersa. Jednak, prawdę mówiąc, Casey bała się dłużej czekać, ponieważ nic w zachowaniu Damiana nie sugerowało, że kiedykolwiek myślał o tym, by ją poślubić. Nie brakowało mu zresztą okazji, by jej to czy owo szepnąć na ucho, lub przynajmniej zapowiedzieć, że gdy uporają się ze sprawą Jacka, chciałby z nią porozmawiać. Nie zrobił tego, więc czy kilka dodatkowych dni mogłoby coś zmienić? Równie dobrze mógł wyjechać jeszcze tego samego dnia.

Pojawił się jednak w jej pokoju, by przekazać jej wyniki swojego spotkania z policją i wiadomość, że złożył oficjalną rezygnację z funkcji zastępcy szeryfa. Powiedział to, stojąc za progiem, ponieważ nie otworzyła drzwi tak szeroko, by zaprosić go do środka. Dopiero gdy skończył, zauważył stojące za nią łóżko, porozkładane na nim części garderoby i przygotowaną torbę podróżną.

- Wyjeżdżasz... tak szybko?

- Czemu nie? Wsunął ręce do kieszeni.

- Rzeczywiście, czemu nie? burknął. - Sądzę, że tym razem również nie miałaś zamiaru się ze mną pożegnać.

- Czyżbym o czymś zapomniała? Wydawało mi się, że prosiłeś tylko o pomoc w sprawie Jacka. Otrzymałeś ją. Widzę jednak, że bardzo dużą wagę przywiązujesz do pożegnań, prawda? Dobrze, uważaj, że powiedziałam ci „do widzenia”.

- Słowo daję, Casey - wybuchnął - potrafisz doprowadzić człowieka do rozpacz...

- Co zrobiłam tym razem? - przerwała, marszcząc czoło.

- Nic. Do jasnej cholery, nic - zaklął i odwrócił się, by odejść.

Wcale jej się nie podobało, że widzi go w takim stanie, wściekłego na nią o... właściwie nieważne, o co. Chętnie spędziłaby resztę życia na uszczęśliwianiu go, ponieważ to jednak niemożliwe... Było jednak coś, co mogła zrobić dla niego na pożegnanie.

- Damianie...?

Odwrócił się tak szybko, że aż ją wystraszył. Dopiero po kilku sekundach jej serce nieco się uspokoiło. Nie zauważyła, że on ma te same problemy.

- Nie chciałam o tym wspominać, gdy bez przerwy myślałeś o Jacku - wyznała. - Wydaje mi się jednak, że to ostatnia szansa, więc... Tamtego wieczoru, kiedy twoja matka przyszła do ciebie do pokoju...

Zesztywniał na wspomnienie matki.

- O co chodzi? - przerwał jej.

- Kiedy odwróciła się od ciebie, Damianie, miała w oczach łzy.

Zamarł w całkowitym bezruchu. Zbladł. Casey szybko dodała:

- Uznałam, że to dość... znamienne. Świadczy o tym, że ta kobieta darzy cię bardzo mocnym uczuciem. Nie sądzisz, że nim opuścisz miasto, powinieneś sprawdzić, jakie to uczucie?

Zdobyłam jej adres. To trochę bezczelne z mojej strony, ale...

- Pojedziesz ze mną?

Nie spodziewała się tego, chciała tylko, by niezależnie od wszystkiego ponownie porozmawiał z matką.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie chcę iść tam sam - wyznał niemal szeptem.

Zabolało ją serce. Jak mogła odmówić?

- W porządku. Teraz? Przytaknął.

- Teraz, bo później mogę się rozmyślić.

Rozdział 57

Po zobaczeniu kilka dni temu w hotelu matki Damiana Casey nie szczędziła czasu, by odnaleźć adres i dowiedzieć się paru rzeczy na temat Margaret Henslowe. Po śmierci drugiego męża, Roberta Henslowe'a, Margaret została bardzo bogatą wdową. Mieszkała w ogromnej rezydencji z piaskowca, od dawna należącej do rodziny jej męża, a teraz stanowiącej jej własność.

Margaret cieszyła się ogromnym szacunkiem i, jak to się mówi, uważana była za matronę.

Nie miała żadnych przyjaciół, a przynajmniej nie potrafili ich wymienić ludzie, z którymi Casey rozmawiała na jej temat. Z drugiego małżeństwa Margaret nic doczekała się dzieci. Od śmierci pana Henslowe'a mieszkała samotnie w tym ogromnym domu i, zdaniem przepytywanych osób, spędzała w nim zbyt dużo czasu, zupełnie jakby zrezygnowała z życia i czekała na śmierć.

Casey nie wspomniała o tym Damianowi. Nic chciała, by współczuł tej kobiecie, gdyby się okazało, iż nie zasługuje na jego współczucie. Niestety, tego nie można było sprawdzić, nie wysłuchawszy wcześniej, co pani Henslowe ma do powiedzenia... na temat swojego syna.

Przyjechali w samo południe, mogli więc przeszkodzić matce Damiana w lunchu, Casey nie chciała jednak ryzykować, że wróćą z kwitkiem. Zabrała nawet ze sobą rewolwer, by w razie potrzeby obstawać przy swoim... to znaczy, gdyby ta kobieta była w domu. Gdyby jej nie było, oznaczałoby to niepowodzenie, gdyż Casey wątpiła, by Damian zgodził się na ponowną wyprawę.

Na szczęście Margaret była w domu. Kamerdyner, który otworzył drzwi, pokazał im drogę do salonu i poprosił, by zaczekali. Bez wątpienia należał do owych nieco staroświeckich dżentelmenów. Nazwisko Damiana wcale go nie zaskoczyło, widocznie go nie znał. Zresztą dlaczego miałoby być inaczej? Po co dama w domu drugiego męża miałaby opowiadać o swoim poprzednim małżeństwie?

Kilka minut później w salonie pojawiła się nieco zasapana Margaret. Pędziła, prawdopodobnie nie dowierając, że Damian naprawdę przyszedł się z nią zobaczyć.

Wyglądała na zdumioną - i zadowoloną - że widzi go stojącego obok jej kominka. Nawet nie zerknęła w stronę Casey. Nie mogła oderwać wzroku od syna.

Potrzebowała kilku chwil, by zdać sobie sprawę, że Damian wcale nie jest tak zadowolony jak ona. Był sztywny jak kołek, a za plecami trzymał zaciśnięte dłonie. Na jego twarzy malowała się powściągliwość, chociaż w oczach można było dostrzec rozgoryczenie i złość.

Na twarzy Margaret pojawiła się odrobina smutku. Patrzyli na siebie. Żadne z nich nie miało zamiaru otwierać ust.

Casey westchnęła, opadła na sofę, rozłożyła szeroką, aksamitną szarą spódnicę, a potem się zarumieniła, ponieważ poczuła ciężar rewolweru, znajdującego się w dużej torebce, którą położyła sobie na kolanach. Powinna wiedzieć, że to nie będzie potrzebne. Z drugiej strony, kto wie, jakich argumentów trzeba będzie użyć, by zmusić tych dwoje do rozmowy...

Najpierw postanowiła użyć w tym celu słów.

- Nazywam się Casey Straton. proszę pani. Jestem przyjaciółką Damiana. Wydaje mi się, że chętnie zadałby pani kilka pytań...

To miał być sygnał dla Damiana, on jednak w ogóle na niego nie zareagował. Natomiast Margaret spytała:

- Pytań? Na jaki temat?

Casey zerknęła na Damiana. Wciąż nie wyglądał na człowieka, który ma zamiar wydusić z siebie choćby jedno słowo. Ponownie westchnęła. Sprawa nie posuwała się do przodu, tak jak dziewczyna się spodziewała.

- Może zaczniemy od rozwodu. Dlaczego postanowiła pani rozstać się z mężem?

Na to odpowiedział Damian:

- Wiem, dlaczego to zrobiła - wyznał gorzko. Margaret zmarszczyła czoło.

- Nie, sądzę, że nie wiesz, a przynajmniej nie wszystko. Nie zrobiłam tego dlatego, że nie kochałam twojego ojca... choć, no cóż, prawdę mówiąc, rzeczywiście go nie kochałam, muszę jednak przyznać, że bardzo go lubiłam. Nasze małżeństwo każdemu z nas miało przynieść pewne korzyści, a zawarte zostało zgodnie z zasadą, że ślub można wziąć tylko z osobą z tej samej klasy, co, jak się domyślasz,

nie pozostawiało zbyt wielkiego wyboru.

- On cię kochał - zaprotestował Damian.

- Tak, wiem. - Margaret westchnęła. - Ale ja nie darzyłam go tym samym uczuciem. Jak sądzę, taki stan mógł trwać. Wiele kobiet żyje w takich właśnie nie spełnionych związkach.

Potem jednak spotkałam kogoś, dzięki komu moje życie nabrało znaczenia. Dopiero w tym kimś się zakochałam. Nie mogłam więc zostać dłużej u boku twojego ojca. Nie byłabym w porządku wobec nikogo.

- A więc niech diabli wezmą dziewięć lat małżeństwa i zrodzone z tego związku dziecko.

- Sądzisz, że naprawdę lepiej by było, gdybym została i unieszczęśliwiła trzy osoby zamiast jednej? - spytała.

- Jednej? Widzę, że nawet teraz nic dla ciebie nie znaczę. Sapnęła.

- To nie tak! Zabrałabym cię ze sobą, Damianie. Chciałam. Wiedziałam jednak, jak bardzo ojciec cię kocha. A ty byłeś w wieku, kiedy wpływ ojca na chłopca jest najważniejszy.

Zraniłam męża. rzucając go. Wiedziałam o tym. Wyrządziłabym mu jeszcze większą krzywdę, gdybym odebrała mu ciebie.

- W porządku, to jestem w stanie zrozumieć. Nie rozumiem natomiast, czemu nigdy mnie nie odwiedziłaś. Nie rozwiodłaś się tylko z moim ojcem, rozwiodłaś się również ze mną. Czy tak mało dla ciebie znaczyłem, że nie mogłaś choćby raz przyjechać i zobaczyć, jak mi się wiedzie?

- Mój Boże, nigdy ci nie powiedział, prawda? Damian zeszywniał.

- Czego?

- Twój ojciec wymusił na mnie obietnicę, że nigdy nie będę próbowała się z tobą zobaczyć ani skontaktować...

- Kłamiesz!

- Nie, Damianie - upierała się. - Tylko pod tym warunkiem dał mi rozwód. Ale nie bądź na niego o to zły. Nie sądzę, by zrobił to, pragnąc się na mnie zemścić. Po prostu próbował cię chronić, a ja go dobrze rozumiałam. Uważał, że wystarczająco ciężko będzie ci oswoić się z faktem, że straciłaś mnie w taki sposób. Chciał, żebyś miał trochę czasu, by się z tym pogodzić. Moje wizyty jedynie powiększałyby twój ból. Obiecał wszakże, że gdy dorośniesz, nie będzie zabraniał ci mnie odwiedzać. Widać jego zdaniem nigdy nie byłeś wystarczająco dorosły - wyznała ze smutkiem. - Ja jednak nie w pełni dotrzymałam danego mu słowa, chociaż twój ojciec nigdy się o tym nie dowiedział. Naprawdę nie mógł ode mnie wymagać, żebym nigdy więcej nie widziała cię na oczy.

- O czym ty mówisz?

- Co trzy miesiące przyjeżdżałam do Nowego Jorku, by cię zobaczyć. Nigdy jednak nie dopuściłam do tego, byś mnie zauważył. Pod tym względem ściśle przestrzegałam zobowiązania. Nie mogłam jedynie zgodzić się na to, by odmówiono mi możliwości patrzenia na ciebie, podziwiania, jak rośniesz, i sprawdzania, czy jesteś szczęśliwy. Nawet gdy byłeś już dorosły i pracowałeś w Rutkidge imports, wciąż cztery razy do roku przyjeżdżałam do Nowego Jorku. Zazwyczaj siadywałam w tej maleńkiej kawiarence naprzeciwko i czekałam, aż wyjdiesz z pracy. Pewnego razu przeszedłeś na drugą stronę ulicy, by zjeść szybką kolacją - musiałeś tego wieczoru pracować do późna. Wydawało mi się, że mnie zauważyłeś, ale byłeś zbyt zajęty. Innym razem kazałam swojemu woźnicy jeździć w kółko przez kilka godzin, czekając, aż opuścisz rezydencję. Gdy to jednak zrobiłeś, musiało ci się gdzieś bardzo spieszyć, ponieważ próbowałeś zatrzymać mój powóz. Chciałeś, żebyśmy cię podrzucili.

Musiałam krzyknąć na swojego człowieka, żeby...

Casey cicho wstała i zostawiła ich samych. Nie mogła tam być i wysłuchiwać tej spowiedzi.

To była prywatna sprawa między matką i synem, którzy zbyt długo żyli z dala od siebie.

Damian usłyszał to, na co Casey liczyła. Matka go kochała i tak było przez cały czas. Chłonał

słowa Margaret ze łzami w oczach, więc jej wierzył. Łzy Casey były trochę bardziej widoczne - od płaczu miała mokry kołnierz.

Rozdział 58

Szczęściu zawsze towarzyszy jakieś nieszczęście i na odwrót. Damian próbował o tym pamiętać, gdy... samotnie wracał do hotelu. Nikt nie ma wszystkiego, czego pragnie. Nie można od życia za dużo oczekiwać. Co jednak zrobić, gdy pragnie się tak wielu rzeczy?

Z jednej strony po rozmowie z matką odczuwał taki spokój ducha, jakby w końcu zdjęto z jego ramion ogromny ciężar. Świadomość, że nie był niechciany i że wcale nie został

opuszczony, jak zawsze myślał, całkowicie wszystko zmieniła. Nie mógł również liczyć na miłsze rozstanie. Uścisk uleczył wszystkie rany. Umowa, że od tej pory będą pozostawać ze sobą w kontakcie, bardzo dodawała mu otuchy.

Pozostawała jeszcze sprawa Casey. Damianem miotwały sprzeczne uczucia, ponieważ dziewczyna ponownie zniknęła. Gdy opuścił dom matki, spodziewał się, że jego towarzyszka będzie czekać na niego w powozie. Nie zastał jej tam. Kazała woźnicy odwieźć się do hotelu i wrócić po Damiana. Nie przekazała żadnych informacji. Znowu... ani słowa.

Na dodatek opuściła hotel. To była ostatnia kropla. Już się wymeldowała, już pojechała na dworzec kolejowy. Opuściła go.

Jazda na stację przypominała szalony pościg za Jackiem. Damian dał woźnicy niewiarygodny napiwek. Nie chciał stracić możliwości zobaczenia Casey po raz ostatni tylko dlatego, że w wielkim mieście na ulicach panuje spory ruch. Na szczęście dworzec kolejowy znajdował się blisko hotelu,

niestety był to ogromny dworzec.

Damian zdołał dotrzeć na miejsce, nim pociąg podążający na południe ruszył z peronu. Ale tłum ludzi czekających na inne pociągi utrudniał znalezienie Stratonów. Jako pierwszego zauważył Chandosa. Podeszedł do niego.

Mimo nieprzeniknionej miny słowa ojca Casey mogły świadczyć o tym, że jest zdziwiony widokiem Damiana.

- O ile dobrze pamiętam, Casey mówiła, że już się z panem pożegnała. Czy raz nie wystarczy?

- Każde z nas co innego uważa za pożegnanie. Z drugiej jednak strony, czy może być inaczej, skoro pańska córka bezgranicznie mną gardzi?

Słyszac to. Chandos się roześmiał.

- Naprawdę sądzi pan, że można gardzić człowiekiem, którego się kocha?

Damian poczuł, że serce podeszło mu do gardła. - Mówi pan, że Casey mnie kocha?

- Właściwie skąd ja mam to wiedzieć? Z tym pytaniem chyba należałoby się zwrócić do niej.

To było potworne rozczarowanie.

- Gdzie ona jest?

Chandos kiwnięciem głowy wskazał na peron. Casey wraz z matką stała przy końcu pociągu.

Starsza z pań obejmowała młodszą, jakby ją pocieszała. Ale to właściwie było niemożliwe, prawda?

Prawdopodobnie obie cieszą się, że wracają do domu, jak powiedział Chandos, gdy Damian na pożegnanie życzył mu bezpiecznej podróży.

- Nigdy wcześniej nie zapuszczałem się tak daleko w głąb kraju - wyznał ojciec Casey. -

Można mówić o du-żym postępie, przynajmniej dopóty, dopóki człowiek nie musi tu żyć. W

Teksasie wciąż jeszcze można go ignorować... i oddychać świeżym powietrzem, nie zanieczyszczonym przez kominy fabryczne i sadzę.

Gdyby Damian miał trochę więcej czasu - ten cholerny pociąg gwizdał już na odjazd -

mógłby przyznać, że przynajmniej w pewnych sprawach zgadza się ze swoim rozmówcą.

Jednak w tym momencie chciał jedynie złapać Casey, nim wsiądzie do pociągu. - Dzień dobry pani - kiwnął głową Courtney.

- Wybaczcie, ale wydaje mi się, że Chandos mnie woła—powiedziała, zostawiając ich samych.

Damian nie obejrzał się, by sprawdzić, czy to prawda. Po prostu, gdy tylko matka się oddaliła, chwycił Casey w objęcia i namiętnie ją pocałował. Tym pocałunkiem wyraził całą swoją frustrację, a także złość na Casey... i na siebie. Powinien to zrobić dawno temu.

- Teraz można to uznać za odpowiednie pożegnanie -oznajmił, stawiając ją z powrotem na ziemi.

- Tak? - odparła z lekką zadyszka. - Nie wiedziałam. Nie żegnam się zbyt często.

- Ja też, i wcale nie podoba mi się to rozstanie - narzekał.

- Naprawdę?

- Casey, ja... - Nie udało mu się wykrztusić z siebie tego, co zamierzał, powiedział więc: -

Wiesz, spodobało mi się twoje miasto. Przyszło mi na myśl, by otworzyć tam filię Rutledge Imports.

Zamrugwała.

- Tak?

- Tak. Zastanawiam się też, czy pozwolisz mi się do siebie pozalecać, gdy przeprowadzę się do Waco?

- Chcesz się do mnie zalecać? — powtórzyła z niedowierzaniem. - Jak... zalecać się?

- Nie pytam, czy mogę otworzyć swoją filię w twoim domu, Casey. Tak, chcę się do ciebie trochę pozalecać. Pewnego dnia zdobędę się na odwagę i poproszę cię o rękę, a wcześniej będę cię długo uwodził...

- Chcesz się ze mną ożenić? Uśmiechnął się na widok jej niedowierzania.

- Niczego bardziej nie pragnę - szepnął.

Zaniemówiła. Prawdę mówiąc, milczała tak długo, jedynie na niego patrząc, że niewiele brakowało, a umarłby z niepewności.

Potem oświadczyła w ten swój rzeczowy sposób:

- Do diabła z zalecaniem się! Spytaj mnie... teraz. Wstrzymał oddech.

- Zgodzisz się?

- Powiedz to.

- Wyjdiesz za mnie za mąż?

- Och, tak! Tak! - Zarzuciła mu ręce na szyję i ponownie krzyknęła: - Tak! - Potem spytała: -

Dlaczego, do diabła, zajęło ci to tak dużo czasu?

Roześmiał się.

- Byłem niepewny... jak nigdy przedtem. Znacznie wcześniej powinienem dojść do tego, Casey, że jesteś wszystkim, czego potrzeba, by nadać mojemu życiu sens. A pytanie, czy za mnie wyjdiesz, okazało się najważniejsze ze wszystkich dotychczasowych pytań, dlatego potrzebowałem trochę czasu, by zdobyć się na odwagę i je zadać. Miałem zamiar postawić je w drodze powrotnej z Culthers. Zniknęłaś, nim udało mi się to zrobić.

- Będziemy musieli popracować nad tą twoją niepewnością, Damianie. Gdy cię opuściłam, byłam zrozpaczona. Gdybyś wtedy się zdecydował, mógłbyś oszczędzić mnie, a słyszę, że i sobie, ogromnego bólu serca. Moja odpowiedź brzmiałaby tak samo. Już wtedy byłam w tobie beznadziejnie zakochana.

Przytulił ją mocno do siebie.

- Tak mi przykro...

- Nie, nie przepraszaj, głuptasie. W sprawach sercowych jestem takim samym żółtodziobem jak ty. Mogłam sama pewne sprawy wyjaśnić. To znaczy, skoro rozpacz była nieunikniona, mogłam wcześniej sprawdzić, czy rzeczywiście nie ma dla nas nadziei. Sądzę, że tak samo jak ty bałam się prawdy. To było dla mnie zbyt ważne. Więc jeśli koniecznie mamy szukać winnego...

- Nie sądzę, by taki istniał - przerwał jej z uśmiechem. - Jeśli przymkniesz oczy na te kilka naprawdę ciężkich tygodni, ja też to zrobię, a wówczas będziemy mogli dołożyć wszelkich starań, by coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło.

- Och, to brzmi jak obietnica... będę trzymać cię za słowo. Jeszcze większa obietnica kryła się w czułym pocałunku, którym ją obdarzył. Była to zapowiedź dozgonnej miłości.

Stojąca nieopodal Courtney powiedziała do męża:

- Wydaje mi się, że wkrótce będziemy mieli wesele. Chandos pobiegł oczami za jej roześmianym wzrokiem i zobaczył córkę zatopioną w namiętym pocałunku.

- Rzeczywiście na to wygląda.

Zatroskana, spojrzała na męża i powiedziała z pewnym wyrzutem:

- Mam nadzieję, że dasz mu szansę na udowodnienie, ile jest wart, nim zaczniesz go tyranizować.

- Ja? - Uśmiechnął się do niej. - Na pewno, Cateyes. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Liczę na to - szepnęła.